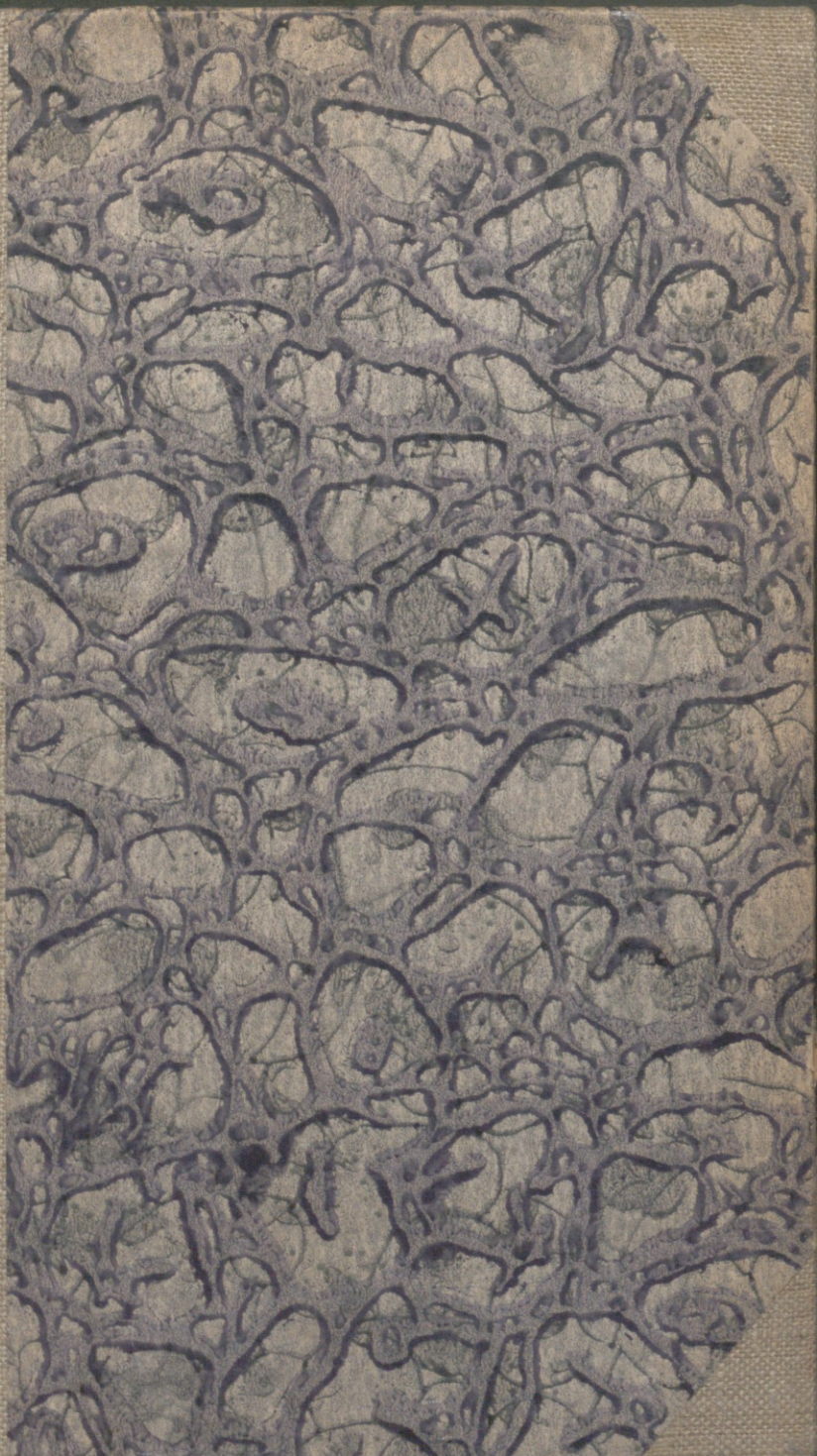


Grey Scale #13

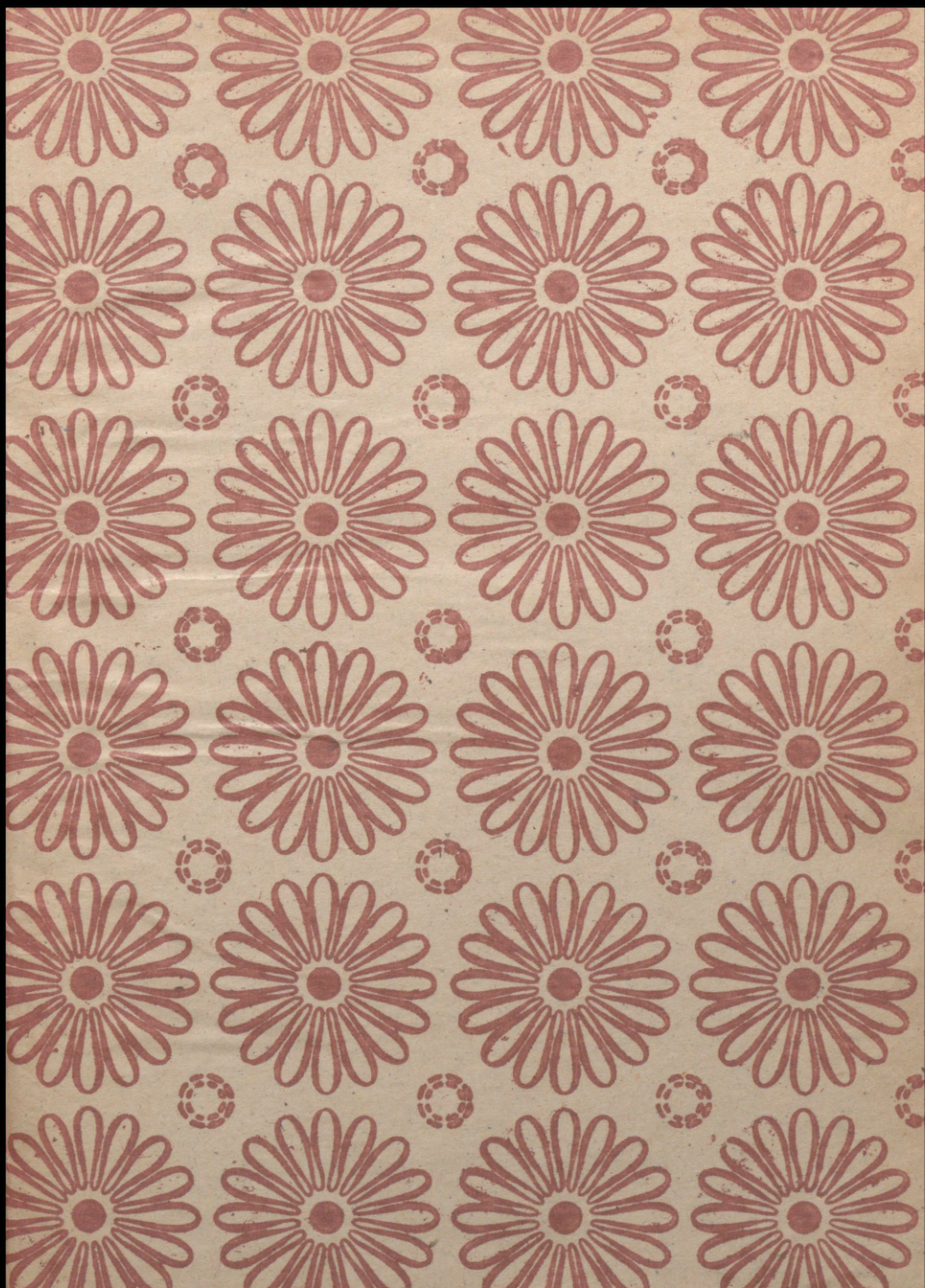


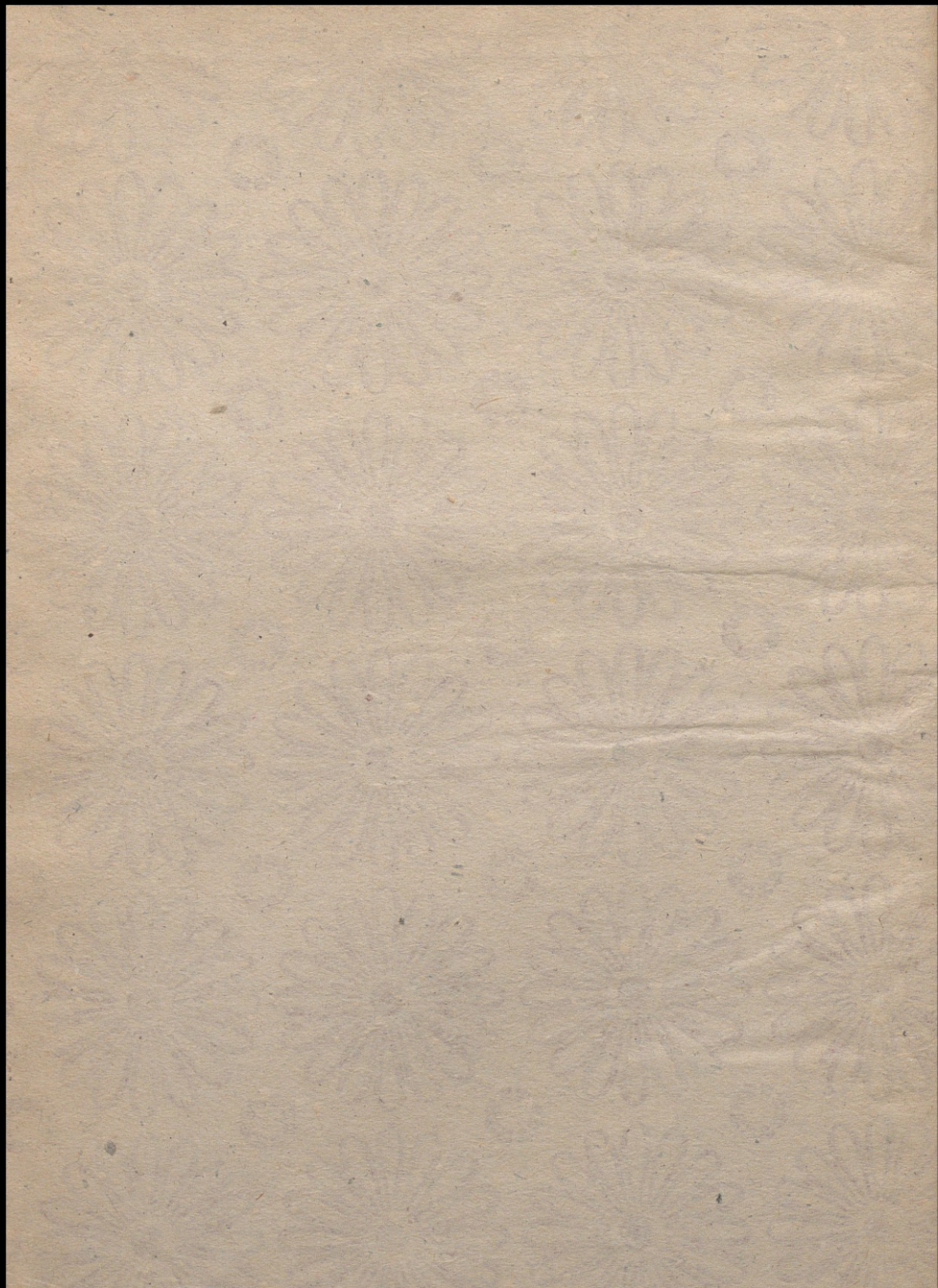
DANES
-PICTA
.COM

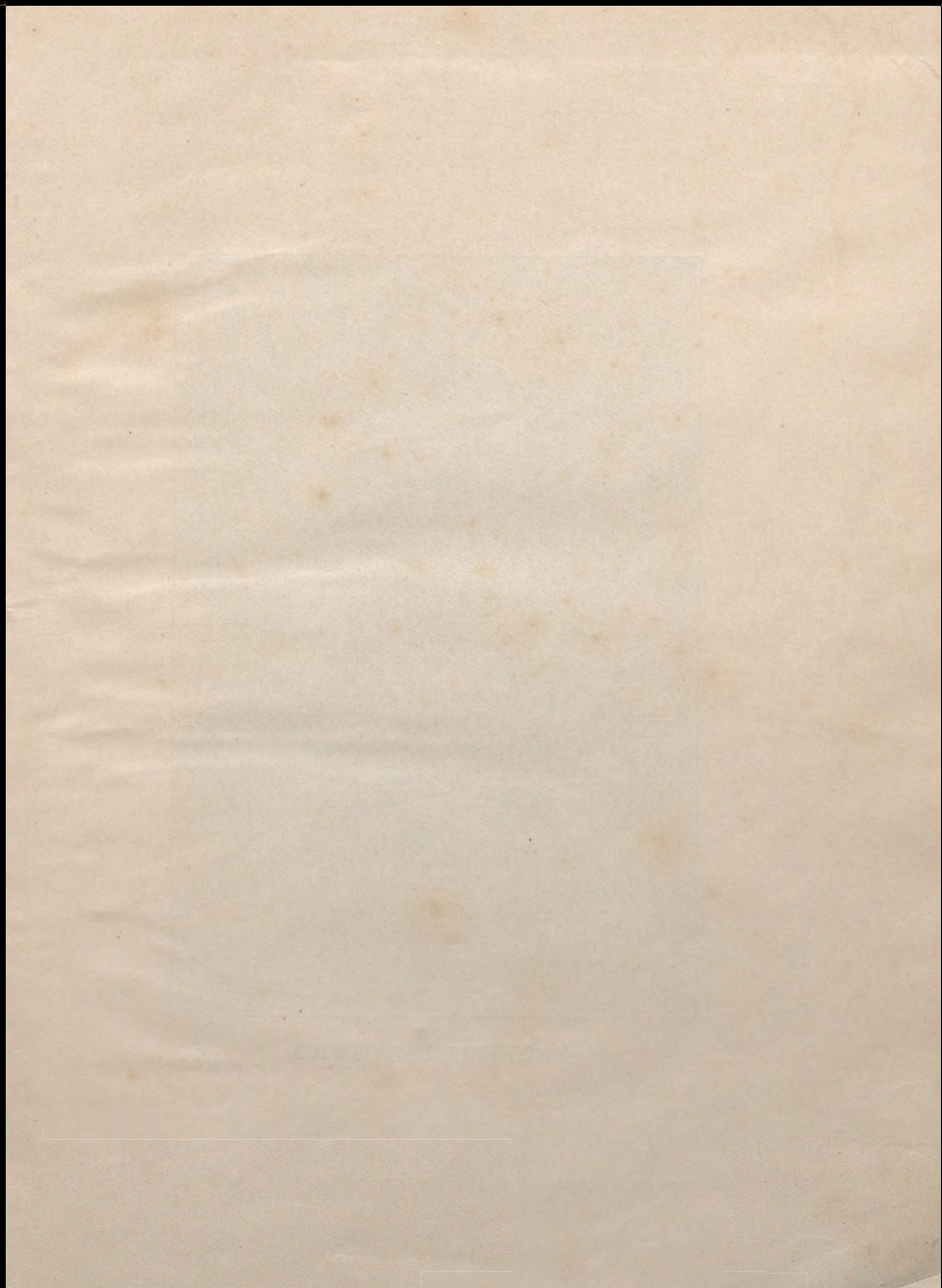
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

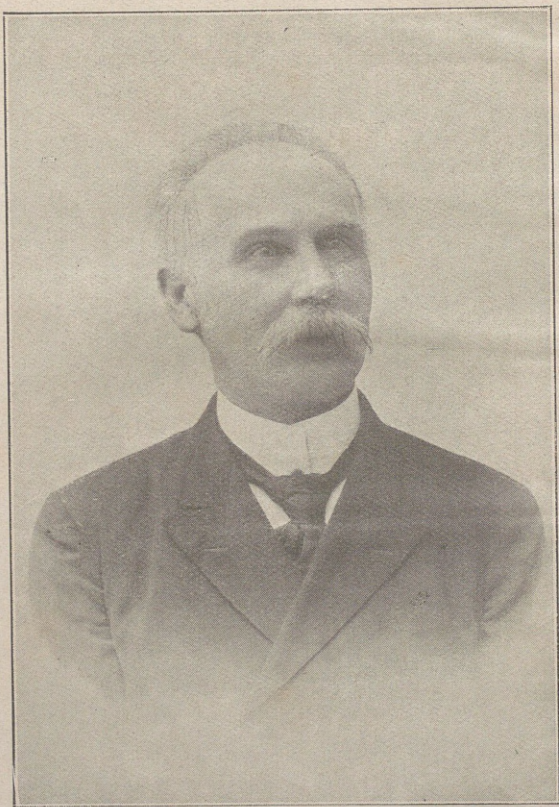








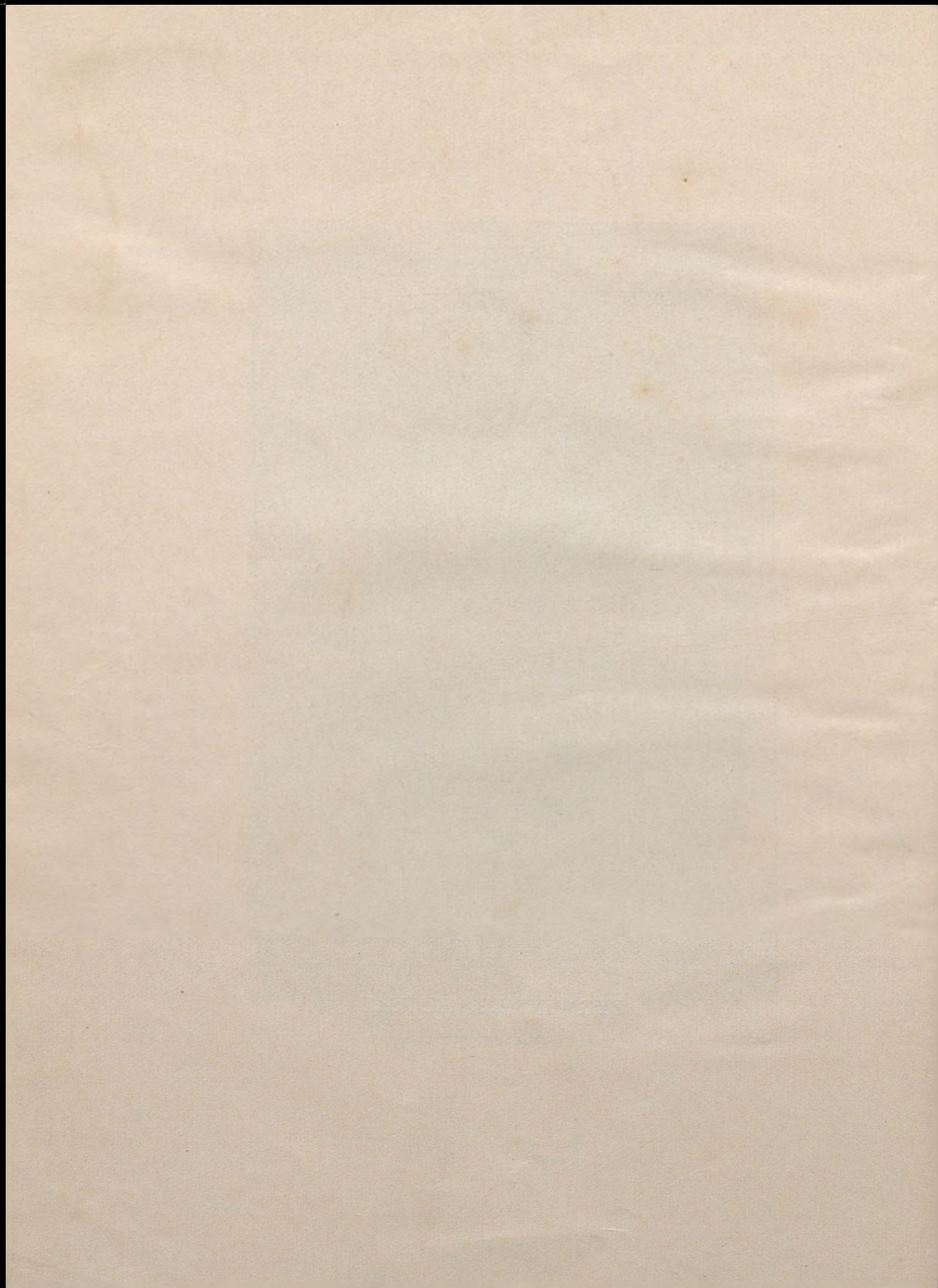




KAZIMIERZ ZIENKIEWICZ



ZYGMUNT CHMIELIŃSKI



KAZIMIERZ ZIENKIEWICZ

KAPITAN-WETERAN

KAWALER KRZYŻA VIRTUTI-MILITARI I DWUKROTNIE KRZYŻA WALECZNYCH

WSPOMNIENIA POWSTAŃCA 1863 ROKU

DO DRUKU PRZYGOTOWAŁ I WSTĘPEM OPATRZYŁ
KPT. STEFAN POMARAŃSKI

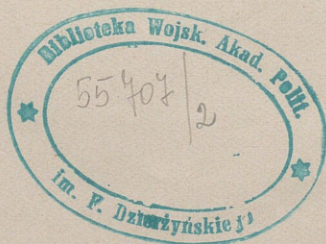
WSPÓŁPRACOWNIK KOMISJI HISTORYCZNEJ POLSKIEJ
AKADEMJI UMIEJĘTNOŚCI



WARSZAWA 1 9 3 2
WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-WYDAWNICZY

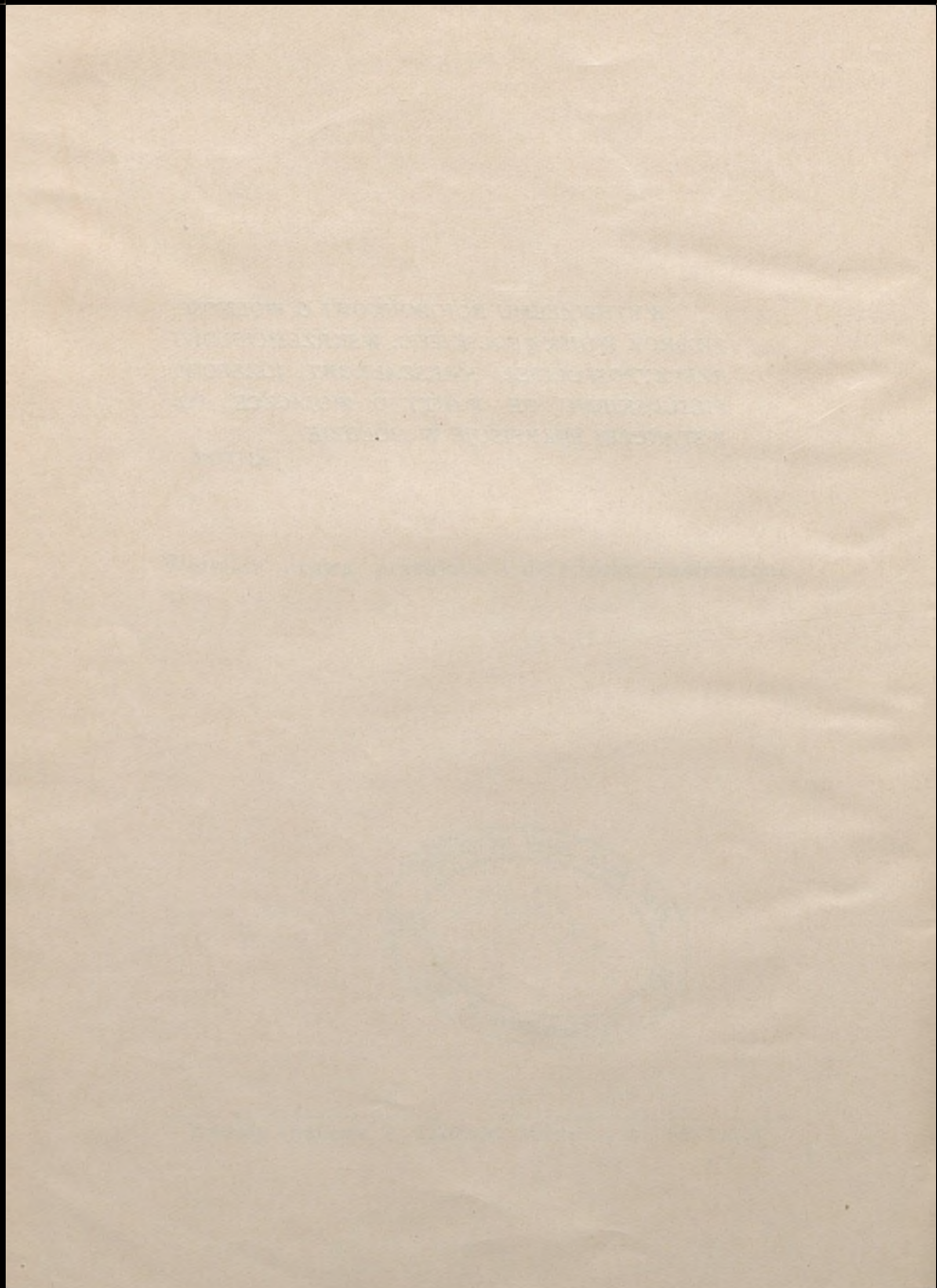
555(40)

Wszelkie prawa przekładu i przedruku zastrzeżone



WYTRWAŁEMU BOJOWNIKOWI O WOLNOŚĆ,
TWÓRCY WOJSKA POLSKIEGO, WSKRZESICIELOWI
RZECZYPOSPOLITEJ, MARSZAŁKOWI JÓZEFOWI
PIŁSUDSKIEMU TE KARTY O WOJACZCE PO-
WSTAŃCZEJ PRZYPISUJE W HOŁDZIE

AUTOR



SŁOWO WSTĘPNE.

1.

Chociaż pamiętniki, zwłaszcza skreślone później od opisywanych wypadków, nie będą nigdy zupełnie wiernem odbiciem rzeczywistości, tem niemniej wartość ich dla dziejów epoki, zdarzeń i ludzi jest niezaprzeczalna i ogromna. „Nie będzie historii, póki nie będzie pamiętników...” pisał kilkadziesiąt lat temu Julian Bartoszewicz, szukający nieraz, jak każdy zresztą dziejopis, w „poufnych zwierzeniach przyjacielskich, w notatkach pisanych dla dzieci albo dla pamięci“, „klucza do pojmowania tajemnic publicznych“. Inny badacz naszej przeszłości, autor „Bibliografii pamiętników polskich“, Edward Maliszewski, uzasadniając w przedmowie do tego dzieła konieczność swej pracy, stwierdza, że „pamiętniki są podstawowem źródłem dla każdego historyka, jednocześnie zaś pociągają ku sobie szerokie rzesze miłośników historii, wtajemniczając je w sposób żywy i bezpośredni w arkana prze-

szłości, dając im nietylko ogólny obraz tła danej epoki, nietylko rysowane z żywych wzorów sylwetki ciekawszych osobistości, ale również przeżycia i wrażenia samego autora, pozwalając nieraz na zgłębienie psychiki całego pokolenia". A oto jak oceni wartość pamiętnika jedyny w swoim rodzaju historyk wojny powstańczej 1863 roku, szukający w niej wzorów dla swej wiekopomnej pracy dziejowej, marszałek Józef Piłsudski: „Studjując w swoim czasie powstaniową dobę, znalazłem w tym prostym, *in crudo* podanym materiale (mowa o wspomnieniach, wydanych w zbiorowej księdze „W 40-tą rocznicę powstania styczniowego“ Lwów 1903) całe mnóstwo wyjaśnień dla męczących mnie pytań, a wiele wątpliwości, które miałem, zostało rozwianych. Bez takich wspomnień bowiem historyk nie ma sprawdzianu, gdy dokumenty są sprzeczne lub niejasne, gdy wreszcie dokumentów potrzebnych jest brak lub wzbudzają wątpliwości, czy nie są rozmyślnie sfałszowane. Wreszcie wspomnienia dają to, co nazywam stylem epoki, dają bowiem przeżycia ludzi, których dziełem i pracą było to, co jest obiektem pracy historycznej, dają dobę minioną, przeszłość, która zawsze odmienna jest od terażniejszości, a cechy jej istotne trudne są często do odcyfrowania, jak hieroglify dawnych, zapomnianych ludów i szczepów.”

Jednym z takich właśnie pamiętników, posiadającym znaczenie nie tylko ważnego źródła historycznego, dającego „styl epoki“, ale również mającego wartość niezastąpionego dokumentu o pracy żołnierskiej w polu w 1863 r., są wspomnienia Kazimierza Zienkiewicza. Znaczenie ich zwiększa „metoda autorska“ pamiętnikarza, który podmiotem pracy, głównym bohaterem opowieści uczynił swego wodza, pułkownika Chmielińskiego, usuwając siebie samego na plan dalszy. Są to więc raczej wspomnienia o Chmielińskim i jego oddziale, a następnie dopiero pamiętnik własny w ściślejszym tego słowa znaczeniu.

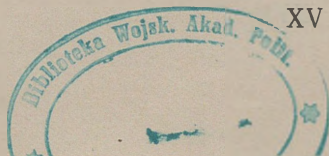
Autor ich urodził się w Warszawie 3 marca 1845 roku z matki Józefy Kwiatkowskiej i ojca Feliksa, syna Jakóba, „szlachciców litewskich“, pieczętujących się herbem Leliwa, jak pisze sam w krótkiej notatce, przechowanej w papierach rodzinnych. Ojciec, kupiec warszawski, potomek ziemian kresowych, wyzuty przez zaborczą Rosję z ojcowizny, odumarł go w dzieciństwie. Chłopca wychowała matka, niewiasta bogobojna i gorąca patriotka. Był jeszcze uczniem VII klasy szkoły realnej, kiedy pamiętnego dnia 8 kwietnia 1861 r. utracił matkę, zabitą na placu Zamkowym przez strzelających w tłum żołdaków rosyjskich. Młodzieniec poprzysiągł zemstę. Gdy w niespełna dwa lata później wybuchło powstanie, znalazł

się w szeregach walczących z bronią w ręce. Opuściwszy w czerwcu Warszawę, przebył wojnę powstańczą, jak na żołnierza przystało, w polu. Bierze udział w 15 większych bojach, zostaje dwukrotnie ranny: pod Rudnikami w prawą nogę i pod Ociesękami w prawą rękę. Awansuje stopniowo z podoficera na dowódcę kompanji i kapitana. Otrzymuje niezmiernie rzadkie odznaczenie bojowe. Po ostatniej bitwie pod Opatowem 21 lutego 1864 roku ukrywa się z garścią rozbitków w lasach świętokrzyskich, oczekuje rozkazów ponownej koncentracji sił powstańczych, nie tracąc nadziei w ostateczne zwycięstwo. Wreszcie pochwycony „z bronią“ przez obławę kozacką, ratując się przed śmiercią z wyroku sądów polowych, podaje się za poddanego austriackiego i pod przybranem nazwiskiem Ludwika Wysockiego zostaje zesłany na osiedlenie do Wschodniej Syberji. Po sześcioletnim zgórą pobycie w gubernji jeniejskiej „w roli parobka rolnego“, wskutek amnestyjnego ukazu cesarskiego przybywa w 1870 r. do Lwowa, gdzie osiada na stałe jako urzędnik magistratu. Tu zakłada rodzinę, wychowuje dwoje dzieci. W chwilach wolnych od obowiązków służbowych zajmuje się publicystyką i dziennikarstwem, pisze wierszowane gawędy o tendencji patryotycznej, które drukuje w periodykach miejscowych, pracuje spo-

łecznie, wreszcie opracowuje obszerne wspomnienia z powstania. Przeżył inwazję rosyjską 1914-15 r. i szczęśliwie doczekał się odrodzenia państwa polskiego. Zaliczony w czerwcu 1923 roku w stopniu kapitana do Korpusu Weteranów, utworzonego przez naczelnika państwa, marszałka Piłsudskiego, otrzymuje za zasługi bojowe, położone w czasie powstania, krzyż „virtuti militari” V klasy oraz dwukrotnie krzyż walecznych. Wdzięczny za pamięć, wspomnienia swe poświęcił Józefowi Piłsudskiemu. Zmarł 3 października 1925 r. Pochowany został z honorami wojskowymi na cmentarzu Łyczakowskim.

Choć „Wspomnienia powstańca” były opracowane w kilkadziesiąt lat po powstaniu, zostały one oparte na notatkach, skreślonych częściowo na zesłaniu, częściowo zaraz po powrocie do kraju, a więc za świeżej jeszcze pamięci opisywanych wypadków.

Składają się na nie jakby osobne opowiadania, z których każde może stanowić odrębną całość. Widocznie w tej postaci miały być stopniowo publikowane, jak się to stało z opisem bitwy pod Rudnikami, ogłoszonym w roku 1909 we lwowskim „Wieku Nowym” (numery z 21 — 29 stycznia). Opisu tego zresztą autor do tej części pamiętników nie włączył, rozpoczynając je od niefortunnej wyprawy Iskry-Sokołowskiego



na Małogoszcz we wrześniu 1863 roku. Nasuwa to przypuszczenie, że „Wspomnienia powstańca” są częścią zamierzonego lub, co prawdopodobniejsze, istniejącego, lecz zatraconego większego zbioru, obejmującego również czasy wcześniejsze. Zresztą pierwsze właśnie opowiadanie zawiera kilka wzmianek, potwierdzających to przypuszczenie. Zienkiewicz, służący już przedtem pod Chmielińskim i na pewien czas tylko odkomenderowany jako instruktor do nowopowstałego oddziału Iskry, znalazł się wtedy ponownie u Chmielińskiego; przytem odnosi się wrażenie, iż jest to dalszy ciąg relacji o poprzedniej służbie powstańczej autora. Brak owej początkowej części pamiętnika, z którą wątek wyczuwa się nieraz przy jego czytaniu, jest również dlatego przykry, że opisywane zdarzenia cechuje widoczna sumienność w relacji. A stosunek autora do prawdy historycznej charakteryzuje niejednokrotna żywa polemika, jaką podejmuje z innymi pamiętnikarzami tych samych czasów i wydarzeń oraz bezwzględne piętnowanie ich nieścisłości, bądź tendencyjności.

Pamiętnik Zienkiewicza będzie dla historyków 1863 roku tem cenniejszy, że został napisany nie przez polityka, nie przez typowego ówczesnego działacza spiskowca, lecz przez żołnierza i to takiego, który powstanie przeżył w linii.

Poza relacyjnymi opisami szeregu bitew, znajdujemy w nim nieraz dopełniające dotychczasowe nasze wiadomości, ciekawe szczegóły z życia obozowego w polu, o sposobach walki, służby polowej i wewnętrznej, organizacji, wyżywieniu, uzbrojeniu i umundurowaniu. Lecz co najbardziej w pamiętniku ujmuje, to gorąca miłość autora do swego „naczelnika“, pod którego dowództwem walczył. Owo uczucie, cechujące prawdziwego żołnierza, przeziiera z niejednej karty ku wodzowi, który przez wyjątkowy hart, głęboką ideowość, wspaniałe męstwo, wybitne talenty wojskowe, wreszcie osobisty urok odegrał tak wielką rolę w wojennych dziejach powstania styczniowego.

2.

Niepospolity ten wódz, jakich partyzanckie wojsko polskie nie miało zbyt wielu, czeka godnej siebie pracy historyka. Zasługuje narazie na to, aby przypomnieć przy tej sposobności koleje jego pięknego żywota.

Zygmunt Adam Chmieleński urodził się 1 grudnia 1833 roku w Warszawie, jako piąte z kolei dziecko Jana Nepomucena, byłego oficera, a wówczas komornika sądowego *) i Nepomuceny

*) Jan Nepomucen Chmieleński, urodzony 17 stycznia 1797 r. w Gostkowie pod Czyżewem, wywodzący się ze starej szlachty herbu

Juljanny z Korwinów Tyborowskich. Wczesne dzieciństwo spędził wraz z licznem rodzeństwem w majątku rodzicielskim w Barczący pod Mińskiem Mazowieckim. Po śmierci ojca w 1848 roku za poradą i staraniem kuzyna, proboszcza barczackiego, który zaopiekował się dziećmi*), oddany do aleksandryjskiego korpusu kadetów dla sierot po wojskowych w Petersburgu, został przeznaczony do zawodu wojskowego. Ukończywszy chlubnie korpus kadetów, znalazł się w istniejącym wtedy „pułku szlacheckim“, z którego w 1854 roku, już w stopniu chorążego został przeniesiony do 1 baterji IV brygady artyleryjskiej, załogującej w Warszawie.

Karjera wojskowa stała przed nim otworem, zwłaszcza, że odrazu zwrócił na siebie uwagę, jako oficer, wyróżniający się wybitnymi wartościami linjowemi. Jak na ówczesne stosunki, awansuje szybko na podporucznika i porucznika, w którym to stopniu zastaje go rok 1861, rozpo-

Leszczyc z Chmielna, uzyskał w 1843 r. „przyznanie szlachectwa z przodków“ i „zapis do ksiąg szlachty gubernji mazowieckiej“. Legitymując się, udowodnił, iż jest synem Konstancji i Wojciecha (urodzonego w 1746 r.), a wnukiem Apolonji z Czaplickich i Józefa łowczego księstwa oświęcimskiego.

*) Z małżeństwa zawartego w 1827 r. w Warszawie pozostało 6 synów i 4 córki: ur. w 1828 r. Władysław-Józef, w 1829 r. Wanda-Michalina-Nepomucena, w 1830 r. Alexandra-Izabella, w 1833 r. 19.I. Tadeusz-Franciszek, w 1833 r. I.XII, Zygmunt-Adam, w 1835 r. Antoni, w 1836 r., Michalina-Emilja-Helena, w 1837 r. Ignacy-Jakób, w 1839 r. Michalina-Józefina, w 1840 r. Ludwik-Marcin.

czynający okres manifestacyj patryjotycznych w Warszawie i całym kraju.

Jest on już wówczas za sprawą swego młodszego brata, studenta Ignacego, w ścisłych stosunkach ze spiskową organizacją niepodległościową, dążącą coraz zapalczywiej do wybuchu powstania. Tragiczne zajścia warszawskie 8-go kwietnia 1861 r., kiedy od salw do bezbronnego tłumu na placu Zamkowym i Krakowskim Przedmieściu padają dziesiątki zabitych i setki rannych, wstrząsają do głębi młodym porucznikiem. Chmieliński pod świeżem wrażeniem wypadków decyduje się wtedy zrzucić znienawidzony mundur rosyjski, aby całkowicie oddać się pracy spiskowej. Początkowo zamierzał podać się do dymisji, lecz następnie, uważając mundur rosyjski za napiętnowany niehonorowemi czynami oficerów, „którzy pozwolili sobie zrywać z kobiet żałobę i złote przedmioty“, jak sam następnie w obliczu śmierci zeznał przed sądem wojennym, postanowił samowolnie opuścić służbę i udać się do Paryża, gdzie dookoła osób Ludwika Mierosławskiego i Józefa Wysockiego zbiegały się wtedy nici pracy wojskowo - niepodległościowej.

Nie składając nawet meldunku swym władzom przełożonym, zaopatrzony w listy polecające od spiskowców warszawskich i brata Ignacego, w kilka tygodni po wypadkach kwietnio-

wych znalazł się nad Sekwaną. Zgłosiwszy się do sekretarza Mierosławskiego, Jana Kurzyny, został przedstawiony generałowi, który od razu przeznaczył go na instruktora kursów wojskowych w Paryżu i organizowanej właśnie oficerskiej szkoły w Genui. Po krótkim, miesięcznym tam pobycie został wysłany w grudniu do Konstantynopola, a następnie do Mołdawji, gdzie w porozumieniu z hospodarem Cusą późniejszy pułkownik Miłkowski organizował kadry oddziału, ośrodek siły zbrojnej, gotowej w każdej chwili przekroczyć granicę rosyjską i wywołać, bądź wesprzeć powstanie. Razem z grupą 22 emigrantów Chmieliński miał wstąpić do służby wojskowej. Został tu instruktorem jazdy konnej, co dawało mu jednocześnie utrzymanie. W Mołdawji przebywa do końca 1862 roku, gdy pod naciskiem i wreszcie na żądanie Rosji, pod groźbą przymusowego wydalenia skrył się przy pomocy hospodara do Turcji.

Kiedy w ten sposób był pochłonięty wojskową pracą organizacyjną w Mołdawji, w Warszawie, jako dezterter, został oddany zaocznie pod wojenny sąd polowy i w kwietniu 1862 r. jako zdrajca skazany na degradację, pozbawienie szlachectwa i odznaczeń oraz wszelkich praw stanu, a w razie powrotu z zagranicy, na zesłanie do robót w katordzie, w jednej z twierdz sybirskich, na

dziesięć lat *). Chmieliński wszakże, świadomie spaliwszy za sobą mosty, wrócił do kraju, ale zbrojno na czele oddziału partyzanckiego na ostateczne obrachunki z wrogiem.

Na pierwszą wiadomość o wybuchu powstania przybywa do Galicji, aby zameldować się władzom narodowym. Aresztowany jednak przez żandarmerję austriacką pod zarzutem nielegalnego przejścia granicy i uwięziony w twierdzy w Ołomuńcu, przebył tam w ciężkiej udręce szereg długich tygodni kampanji wiosennej. Na szczęście udało mu się zbiec. W kwietniu zjawia się w Krakowie, gdzie melduje się u ówczesnego wojennego naczelnika województwa krakowskiego, pułkownika Jordana.

Po krótkim pobycie w Królestwie jako oficer sztabu Jordana, który odrazu ocenił wysokie wartości młodego oficera, został przezeń do Krakowa odwołany. Tu otrzymuje dowództwo nad tworzącym się oddziałem jazdy, przeznaczonym dla partji pułkownika Bończy-Błaszczyńskiego (Tomaszewskiego), działającego już od kilku miesięcy w województwie krakowskiem. Oddział ten świetnie wyćwiczony, umundurowany jednolicie „w czamarki szaraczkowe, kaski ułańskie“, uzbrojony był wzorowo „w sztucery gwintowane z bagnetami..., w szable,

*) Wyrok zatwierdził p. o. Namiestnik Królestwa Polskiego, gen. adj. Ramsay, jako naczelny dowódca wojsk w niem konsystujących, rozkazem Nr. 72 z 28 sierpnia (st. st.) 1862 roku.

a także po większej części w rewolwery lub pistolety“. Na czele tego oddziału z 60 koni opuszcza w końcu maja Kraków. Walery Przyborowski, podówczas młodzieniec zbiegły z ławy szkolnej gimnazjum radomskiego, należący do tego grona pierwszych żołnierzy Chmielińskiego, opisuje, że kazał on im „konno i zbrojno“ zebrać się przed domem, w którym mieszkał. Wyszedłszy do nich i dosiadłszy konia, zakomenderował: „Dwójkami od prawego - marsz!“.., poczem z kopyta ruszył ulicami Krakowa ku granicy.

Przebywszy kordon graniczny, po małej utarcce ze strażą austriacką podąża forsownym marszem do dworu w Sielcach pod Skalbmierzem, wyznaczonego mu na pierwszy postój. Zaatakowany tu w czasie posiłku, siada na koń na czele części swego oddziału. Śmiałem uderzeniem rozprasza nacierających, którzy wycofują się do Skalbmierza. Za nimi wpada do miasta Chmieliński, a kozacy w panice uchodzą. Dopiero ostrzeżony przez mieszczan skalbmierskich o przybyciu pod miasto na podwodach większego oddziału piechoty rosyjskiej, zaniechał pościgu i podążył w dalszą drogę na wskazane mu miejsce spotkania z Błaszczynskim, do Chrobrza.

Jest coś potężnego w szalonym, zawadającym pędzie tego młodego rycerza - zagończyka. Wzniosły entuzjazm, gorączka czynu niosą go na

skrzydłach ku walce za Polskę, na upragnione pole bitwy, ku wielkim, a jakże tragicznym dlań przeznaczeniom losu.

Połączywszy się z Błaszczynskim w lasach między Chrobrzem a Górami, został Chmieliński dowódcą szwadronu dragonów. W „partji“ Błaszczynskiego, liczącej teraz około 250 jeźdźców, uzbrojonych w belgijskie karabinki, przebył blisko 3 tygodnie na ciągłych przemarszach, patrolowaniu okolicy między Miechowem, Pińczowem a Jędrzejowem, unikając narazie spotkania z wrogiem, którego tak gorąco pragnął. Wbrew swym intencjom został przez Rząd Narodowy, który docenił jego wartość dla wojny i gotował go do innej roli, odwołany z partji Błaszczynskiego, by zorganizować nowy samodzielny oddział, tym razem piechoty w lasach węchodrowskich. Rozstał się więc już na stałe z tym dzielnym dowódcą, który w kilka dni potem 18 czerwca padł śmiertelnie ranny w bitwie pod Górami, i podążył z przydzielonymi mu dwoma instruktorami Cywińskim i Chabriollem na nowe stanowisko. W wyznaczonem na koncentrację miejscu pod Żłotym Potokiem, w powiecie olkuskim, czekało już nań trzydziestu kilku ochotników wraz ze znaczną ilością amunicji i kilkuset karabinami.

Chmieliński wziął się z wrodzonym sobie zapaleń do pracy. Ochotnicy, kierowani tu przez

władze narodowe, ściągali dość licznie, dochodząc wreszcie do trzystu głów. Oddział został podzielony na 3 kompanje. Lecz i teraz nie było sądzone Chmielińskiemu dłużej nim dowodzić. Wkrótce otrzymał rozkaz odprowadzenia oddziału pod Koniecpol nad Pilicą i oddania go nowowyznaczonemu dowódcy, majorowi Zaborowskiemu. Generał Jordan, wtedy już naczelnik wojenny województwa sandomierskiego, polecił Chmielińskiemu organizować po raz trzeci oddział w rejonie Złotego Potoku, wreszcie już ostatecznie dla siebie samego, złożony z piechoty i jazdy. Wtedy właśnie znalazł się w oddziale w randze sierżanta Zienkiewicz wraz z innymi ochotnikami, którzy przybywali do obozowiska między Górkowem a Huciskiem. Już 6 lipca mógł Chmieliński zaatakować znienacka dwie kompanje rosyjskie, ściągnięte do pobliskiego Janowa, którym zadał klęskę, zmuszając do ucieczki. W trzy dni potem stoczył pomyślną utarczkę z przybyłym z Częstochowy do Janowa większym oddziałem płk. Ernrotha, który dopadł go pod Julanką, niedaleko Złotego Potoku. Chmieliński uniknął osaczenia, poczem, poniosłszy nieznaczne straty w taborze, zapadł w lasy między Włoszczową a Koniecpolem, pod Rudnikami.

Zwycięstwo to, którem Chmieliński rozpoczął blisko pół roku trwającą swą kampanję, rozsławiło jego imię, ściągając do obozowiska pod

Rudnikami dalszych ochotników. M. in. przybyło tu kilkudziesięciu Ślązaków pod dowództwem kpt. Hoffmana. Doszedł on do siły bataljonu, około 400 żołnierzy, oraz szwadronu jazdy, około 100 szabel. Również generał Jordan zwrócił uwagę na jego zdolności nietylko organizatorskie i wyszkoleniowe, ale i taktyczne. To przesądziło, że pozostawiono go na dowództwie stworzonej i szybko wzrastającej partji, która otrzymała nazwę Pierwszego Oddziału Krakowskiego. W obozowisku przebył Chmieliński do końca lipca, szkoląc i wyposażając intensywnie swój oddział.

Na czele tego oddziału 28 lipca stoczył pod Rudnikami krwawą bitwę z przewyższającemi go dwukrotnie siłami tegoż samego płk. Ernrotha, mającego 4 kompanje piechoty, 2 działa i oddział kawalerji. Bitwa, w czasie której Chmieliński nie wypuścił z rąk inicjatywy taktycznej, przechylała kilkakrotnie szalę zwycięstwa. Ostatecznie Chmieliński musiał ustąpić, wycofując się na Załęże i Szczekociny do Chlewskiej Woli, gdzie założył obozowisko na dłużej, aby uzupełnić odniesione straty i znów wzmóc się na siłach.

Po dwutygodniowym odpoczynku Chmieliński na wiadomość o przejściu z Galicji paru większych oddziałów powstańczych podążył ku granicy, aby spotkać jeden z nich, dowodzony przez Krukowieckiego. Po drodze 14 sierpnia zatrzy-

many pod Obiechowem przez płk. Szulmana, usiłował przebić się, lecz poniosłszy znaczniejsze straty, musiał wycofać się przez Lelów. W Lelowie, napadnięty nazajutrz, rozpuścił swój oddział, aby za kilka dni bez większych strat zebrać się zpowrotem pod Włoszczową; podążył stąd do Chlewskiej Woli, która już raz dała mu schronienie. Oddział Chmielińskiego znów zapadł na dwa tygodnie. W Chlewskiej Woli właśnie ukarał śmiercią burmistrza m. Pilicy i bandytę Dowbora, co przydało mu sławy sprawiedliwego, ale i srogiego dowódcy.

Wytropiony tu w pierwszych dniach września przez garnizon kielecki, wycofał się za Pilicę, stoczywszy 3 września pod Rudką, pod samym Przedborzem, piękną walkę odwrotową z szarżującą nań rosyjską kawalerją i piechotą, usiłującą wprzeć go do Pilicy. Kryje się w ostępach puszczy świętokrzyskiej, gdzie ponownie osaczony w lasach skotnickich, wymyka się szczęśliwie w okolice Szczekocin.

Lecz oto zbliżyliśmy się do kart pamiętnika. Pozwólmy więc im dopełnić obrazu działalności Chmielińskiego, który — wbrew temu, co pisze Zienkiewicz — właśnie we wrześniu został mianowany przez Rząd Narodowy pułkownikiem oraz wojennym naczelnikiem województwa krakowskiego. Niebawem w połowie października na wi-

downię województw południowych występuje nowy bohaterski wódz, generał Bosak-Hauke, którego głównym pomocnikiem i wreszcie szefem sztabu zostaje Chmieliński. Teraz widnokrąg zainteresowań jego rozszerza się znacznie.

Chmieliński kończy swą kampanję jako dowódca samodzielnego oddziału krakowskiego. Okres ten cechowała niepewność jutra, którą zwykle musiał równoważyć niezrównaną pomysłowością i ruchliwością. W beznadziejnym częstokroć położeniu okazywał niebywały hart i pogodę ducha, która olśniewała wpatrzonych w niego i wierzących w jego szczęśliwą gwiazdę żołnierzy. Był pierwszorzędnym wychowawcą, przywiązującym do siebie serca żołnierskie. Nieraz, zmuszony do rozpraszania swego oddziału, potrafił zawsze go zebrać nigdy nieuszczerplony, lecz przeciwnie, wzrastający w siłę i zasoby. Żołnierz trwający w takich warunkach na stanowisku, okazał się godnym swego wodza.

Obecnie niewiele większy, tak dobrze mu znany, teren działań wojennych obejmuje już z innego szczybla, ocenia z innego stanowiska. Rola jego się zmienia. Z urodzonego taktyka staje się strategiem, układającym plan działania dla całego „korpusu“, uzgadniającym poszczególne wysiłki wojska powstańczego. I w tym charakterze okazuje wybitne talenty. Przygotowana

przezeń koncentracja pod Oksą, choć zakończona niepowodzeniem, była przecież wzorem tego rodzaju, jak również i późniejsze wymknięcie się z pułapki. On także przygotował napad na Opatów 25 listopada, jego wreszcie rękę widać w boju pod Ocieskami 28 listopada. Zresztą trudno w tym okresie oddzielić wartość i całkowicie zharmonizowaną pracę Haukego i Chmielińskiego, jak wogóle najczęściej niepodobna rozróżnić pracę wodza i jego szefa sztabu.

Jedną z główniejszych trosk Chmielińskiego było zapewnienie oddziałom nowego uzbrojenia, następnie wyposażenie, a zwłaszcza mundurów i butów. Proponował więc Haukemu reformowanie na terenie podległych województw organizacji cywilnej przez ustanowienie silnej administracji, któraby tę dziedzinę pracy mogła przejąć i należycie wykonywać.

Grudzień — ostatni miesiąc działalności i życia Chmielińskiego — rozpoczął najcięższy okres całej wojny. Rozkazy, idące od Traugutta, nakazywały za wszelką cenę przetrwać zimę. A coraz słabsze siły powstańcze, coraz cięższe warunki bytu wskazywały, że nadludzkich sił i nerwów potrzeba, aby zmóc zwątpienie i apatię, jaka wkradła się w szeregi walczących. Z drugiej strony dowódca wojsk rosyjskich w Kielcach, gene-

rał Czengiery, otrzymawszy znaczne posiłki, bo całą brygadę, gotował się do ostatecznego zniesienia słabych oddziałów polskich.

Obaj wodzowie polscy stanęli wobec dylematu: albo zaniechać narazie walki i rozpuścić żołnierzy do wiosny, co stawiało pod znakiem zapytania ponowne ich zebranie, albo przetrwać zimę, zapadając całemi oddziałami w rozległą puszcę świętokrzyską. Wybrano to drugie wyjście. Wszakże wobec ruchliwości w puszczy tak wzmocnionego Czengierego niesposób było uniknąć walki, na którą narazie powstańcom brakło sił. Hauke i Chmieliński postanowili zatem piechotę rozmieścić na zimowych leżach, natomiast starać się okazać jakąś inicjatywę zapomocą silnej jazdy, która jako ruchliwsza łatwiej mogła utrzymać niezbędne pozory, sprawiając taką lub inną dywersję wojskom rosyjskim.

Na dowódcę jazdy, w tym celu skupionej, gen. Hauke wyznaczył Chmielińskiego, który z wrodzoną sobie energją w ciągu dwóch pierwszych tygodni grudnia dokonał nakazanej koncentracji naszej kawalerji, nie bacząc na ustawiczne niebezpieczeństwo, grożące ze strony Czengierego. Ostatecznie powstała duża, jak na ówczesne stosunki, jednostka, bo licząca blisko 500 koni, zorganizowana w 5 szwadronów. Samo zebranie tak znacznej siły jazdy było już

sztuką nielada, a cóż dopiero mówić o zaopatrzeniu i wyżywieniu ludzi i koni.

W połowie grudnia oddział Chmielińskiego, przy którym znajdował się stale gen. Hauke ze swoim sztabem, przemykał się właśnie na południe od Opatowa. Dopadnięty 16 grudnia pod Bodzechowem, stawiał śmiało czoło. Lecz ostatecznie gen. Hauke, napierany przez silne oddziały kawalerji i piechoty, nakazał odwrót. Chmieliński otrzymał rozkaz natarcia na piechotę i osłonięcia odwrotu. Po zaciętej walce powstańcy zostali rozbici. Z trudem udało się gen. Haukemu ująć pogromu z siłami uszczuplonymi do połowy. Chmieliński, ciężko ranny, pozostał na polu bitwy. Wzięty do niewoli, przewieziony do Radomia i postawiony w przyśpieszonym*) trybie do sądu wojennego, został skazany na śmierć przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano 23

*) Pośpiech nakazywał tu m.in. stan zdrowia Chmielińskiego, któremu z rany w łokciu wywiązała się gangrena, wymagająca odjęcia ręki. Z powodu silnej gorączki i cierpień przeprowadzenie dochodzeń natrafiło na trudności. Ostatecznie wobec groźnego stanu zdrowia, nie zważając na malignę, Sąd Wojenny 21 grudnia przystąpił do badania Chmielińskiego w szpitalu. Wydany nazajutrz w południe wyrok śmierci przez rozstrzelanie zatwierdził tegoż dnia wojenny naczelnik oddziału radomskiego, generał Uszakow, powierzając wykonanie wyroku dowódcy mohilewskiego pułku piechoty w Radomiu. Przed śmiercią nie omieszkał przeczytać Chmielińskiemu wyroku z 1862 r., degradującego go, pozbawiającego praw stanu i skazującego na katorgę. To też w nowym wyroku użyto względem niego miana „katorżnika”.

grudnia w Radomiu. Pochowany został w nieznaney dziś mogile.

Zienkiewicz nie szczędzi słów potępienia dla owej jazdy, która opuściła rannego pułkownika. Przypisuje jej małoduszność i tchórzostwo. Przemawia tu gorycz i rozpacz, która wsączyła w duszę zwątpienie, odbierające ostatnią nadzieję.

3.

Rękopis „Wspomnień powstańca“ po śmierci autora zabrał syn, inż. Władysław Zienkiewicz do Jarosławia. Początkowo był zamiar wydania ich przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemyśle, którego zmarły był przyjacielem i któremu zapisał swą bibliotekę. Projekt ten jednak nie doszedł do skutku. Dopiero w 1926 roku zajął się niemi dowódca dywizji w Jarosławiu, gen. Wacław Wieczorkiewicz, który, idąc za wskazaniem dedykacji autorskiej, złożył rękopis marszałkowi Piłsudskiemu w Belwederze. Na zlecenie marszałka Piłsudskiego przystąpiono w 1929 roku do opracowania pamiętnika do druku, co powierzono niżej podpisanemu, wtedy referentowi w samodzielnym referacie wojen dawnych Wojskowego Biura Historycznego.

Warszawa, sierpień 1932 r.

Stefan Pomarański kpt.

ISKRA PROWADZI ODDZIAŁ NA MAŁOGOSZCZ.

Nie darmo nazywaliśmy się partyzantami, a zatem ochotnikami, mającymi walczyć w podjazdowej przeciw Moskalom wojnie. Drobne polskie oddziały w stosunku do olbrzymiej siły, jaką niezaprzeczalnie kolosalna pod każdym względem Rosja wystawić mogła i może, nie nadawały się zupełnie do atakowania miast, pozostających we władaniu moskiewskiem.

Kto tylko choć w małej części obznajomiony jest ze znaczeniem strategji i taktyki wojennej, ten z pewnością zrozumie uzasadnione twierdzenie, że największym nonsensem jest zdobywanie miast i miasteczek; mija się to z korzyścią i celem, a wyrządza ogromne, niepowetowane szkody, wynikające z walk, staczanych wśród murów, gdzie każdy dom, obsadzony przez nieprzyjaciela, zamienia się w nieprzystępną fortecę.

Wróg, mszcząc się za atak, po bitwie pali zwykle miasto, a niewinnych jego mieszkańców w pień wycina. Tak było zawsze i wszędzie, a zwłaszcza w powstaniu 1863 r., w czasie którego atakowane miasta i miasteczka padały ofiarą zemsty rozjuszonych Moskali.

Rozumna taktyka wojskowych strony słabszej powinna zatem polegać na doszczętnem wybijaniu nieprzyjaciół wyłącznie w polu, na niszczeniu komunikacyj, paleniu mostów, ścinaniu słupów telegraficznych, opanowy-

waniu dróg, traktów i gościńców, a nadewszystko kolei żelaznych. Przeciwnik, pozbawiony w ten sposób połączeń komunikacyjnych ze swojemi ośrodkami, zmuszony jest jak najprędzej dobrowolnie opuszczać miasto, pozostawiając je mieszkańcom.

Generał Langiewicz nie musiał być dobrym generałem, skoro, nie mając najmniejszych rękojmi utrzymania miasta na stałe w swoim władaniu, nieopatrznie kuśił się o posiadanie lichego pod każdym względem Małogoszcza. Wartość bowiem tego biednego miasteczka nie mogła nawet stanowić zbytniej ponęty i nie było się o co ubiegać.

Małogoszcz, położony w powiecie jędrzejowskim nad rzeką Lasociną, z drogami do Chęcín, Włoszczowy i Kielc, jest nawskroś małoznaczącem miasteczkiem, nie liczącem nawet półtora tysiąca mieszkańców, z jednym tylko parafjalnym, murowanym kościołem. Całe zaś jego bogactwo stanowi kopalnia białego kamienia, iskrowca i browar.

Jakiemi powodami kierował się przy końcu miesiąca lutego 1863 r. generał Langiewicz, rozbijając pod Małogoszczem połączone hordy Czengierego, Zwierowa i Dobrowolskiego, nie trudno zresztą odgadnąć. Będąc w posiadaniu prawie dwudziestokrotnie większych sił od liczby powstańców, zostających pod dowództwem majora Iskry, mógł rościć nadzieję opanowania Kielc, owej głównej siedziby moskiewskiej na województwo krakowskie i sandomierskie. Że to się nie stało, mógł zawdzięczać jedynie własnemu usposobieniu. Owładnięty całkowicie przez stronnictwo białych, pozwolił wznieść się na wyżyny dyktatora narodu polskiego, dosięgnął szczytu swej osobistej pychy, aby jeszcze prędzej wpaść w przepaść zapomnienia i nicości zwykłego śmiertelnika.

Wielce o sobie zarozumiały major Iskra, zamiast odnieść przestrogę z działalności Langiewicza, postanowił w połowie miesiąca września 1863 roku uderzyć na Małogoszcz i wytępić przebywające tam chwilowo dwie rotę piechoty moskiewskiej z pewną ilością kozaków. A chociaż Iskra miał także odstrasżające przykłady napadu Kurowskiego na Miechów, gdzie wyginął kwiat najlepszej akademickiej młodzieży z Krakowa, oraz natarć wielu innych dowódców, siłących się napróżno o zdobycie miast, — niepomny na rzezie i pożogi, połączone z rabunkami mienia nieszczęśliwych mieszkańców, wydał rozkaz do pochodu, chcąc prawdopodobnie całej Polsce pokazać, jak dzielnym i sławnym w boju jest dowódcą.

Major Iskra rozumiał, że dwie rotę piechoty równały się siłom jego oddziału i miał prawo liczyć na pobicie Moskali w polu przez swych ochotników-powstańców, co w takich razach zawsze przechylało szalę zwycięstwa na naszą stronę. Nie zastanowił się jednak, że owe dwie rotę poza murami zamieniają się w dziesięć razy większą siłę wobec jawnie stojących na ulicach przeciwników, do których strzela się, jak do celu, a siebie bardzo mało na niebezpieczeństwo utraty życia lub kalectwo naraża.

W piękny zatem poranek wrześniowy, po poprzedniej na przygotowanych furmankach jeździe przez Konieczno, Przygradów i Wiśnicz, a następnie przez las Większych Zarczyc, zatrzymaliśmy się w młodocianym jeszcze drzewostanie leśnym, skąd w szyku bojowym zaczęliśmy pomału i ostrożnie od strony wschodniej miasta schodzić ze stoku góry ku przedmieściu Małogoszcza. Uderzyła nas na wstępie ogólna, niczem niezamącona cisza. Nie widać było ani pikiet wojskowych, ani zgoła żadnej innej żywej duszy, co bardzo wiele do myślenia dawało.

Gdyby major Iskra był przezornym i praktycznym dowódcą, powinien był w każdym razie wysłać do miasta bodaj pluton piechoty jako patrol, a za nim w pewnym odstępie czasu drugi, dla zbadania sytuacji i odpowiedniego w następstwie zachowania. Iskra takiego zarządzenia nie uczynił, lecz wysławszy naprzód całą swoją konnicę, za nią kosynierów, a za kosynierami wszystką piechotę, opanował pustą napozór przedwstępną do miasta ulicę. Kiedy mieliśmy postępować dalej, gdzie spodziewaliśmy się spotkać z Moskałami, naraz na naszych tyłach zagrzmiały strzały karabinowe, dane przez kozaków, którzy z bocznych przedmieść, przycwałowawszy w pełnym galopie, zamknęli sobą ujście ulicy, a tem samem zatarasowali przygotowaną na nas z całym rozmysłem pułapkę, tem bardziej groźniejszą, że w istocie Małogoszcz był podówczas zajęty nie przez dwie, lecz przeszło cztery rotę piechoty i całą sotnię kozaków, co przewyższało więcej niż dwukrotnie nasze siły. Jednocześnie z obydwu stron ulicy, a więc z okien, z poza parkanów, z dymników i ze strychów posypał się tak rzęśisty grad kul, że natychmiast kilkunastu powstańców padło trupem, a między nimi i oficer kawalerji Loiseau.

Kosynierzy, przerażeni tak niespodziewaną palbą z ukrycia, od której stracili kilku zabitych, a jeszcze więcej rannych, w dzikim bezładzie rozpierzchnęli się po różnych zaułkach i podwórzach, gdzie w przeważnej części ujęci zostali do niewoli.

Piechota, nie mając przed sobą wyjścia, skupiona w licznych gromadkach, musiała dla ocalenia życia przerywać się z bronią w rękach przez kupy kozaków. Ma się rozumieć, że i tutaj nie obeszło się bez licznych strat w zabitych i rannych, których kozacy niezwłocznie na miejscu dobijali, obdzierając swoim zwyczajem donaga.

Mniej ranni wycofali się z uchodzącą w rozsypce piechotą nazewnątrz miasta, uradowani wyjściem w całości z owego szatańskiego pogromu. Pomiedzy ocalonymi rannymi byli z oficerów Józef Gaszyński i Bolesław Łacki.

Oprócz kilku kozaków i ich koni, zabitych i poranionych przy naszym odwrocie, bardzo wątpię, czy który moskiewski piechur dobrze ukryty doznał na ciele jakiego szwanku.

Dlaczego Moskale nie wyzyskali tak łatwego dla siebie zwycięstwa, nie podążając wcale za nami celem doszczętnego rozbicia oddziału i wyłapania cofających się powstańców, pozostanie na zawsze nierozwiązalną zagadką. Gdzie się podział major Iskra, nikomu nie było wiadomo, gdyż nikt go nie widział. Oddział, rozproszony niemal na atomy, licznymi gromadkami umykał w najrozmaitszych kierunkach.

Pomiedzy ofiarami śmierci był również obozowy doktor medycyny Włoch rodem, nie umiejący ani jednego słówka po polsku, którego nazwisko czas zatarł zupełnie w pamięci. Biedaczysko, będąc nadmiernej tuszy, nie mógł szybko rejterować i z tego powodu dopadnięty przez kozaków, na miejscu spisami został zakłuty. Z powierzchni sędząc, można było go liczyć na przeszło trzydzieści lat wieku, chociaż ociężałość jego, spowodowana pniakowatą grubością nóg i znacznej wielkości brzuchem, podpasanym szerokim gurtowym pasem, czyniła go o wiele starszym. Trochę więcej jak średniego wzrostu, o twarzy okrągłej, zakończonej u dołu wydatnym, tłustym podbrodziem, o cerze silnie rumianej, czarnem uwłosieniu i palących oczach stanowił, wierzytelny okaz południowca. Koledzy pomiedzy sobą nie nazywali go inaczej, jak tylko grubasem. Dzielny ten Włoch, porzuciwszy lazuruwe niebo ojczyste, z czystej

dla Polaków sympatji przybył do Polski, aby swą wiedzę lekarską zużytkować na polach bitew dla rannych powstańców.

Trzej koledzy ucieczki, z którymi razem przyszło mi odszukiwać ślady w rozsypce będącego oddziału Iskry, może z nadmierną złośliwością opowiadali, że kiedy ćma kozactwa przypadła do naszych na górze pozostawionych furgonów, dwa tylko z żywnościowymi prowiantami przywłaszczyli sobie. Resztę furmanów, wysmarowawszy im poprzecznie plecy nahajkami, na rozkaz oficera kozackiego rozpędzili na cztery wiatry.

Odnalezienie obozowiska Iskry stało się zadaniem niewykonalnym. Naraziwszy oddział na zupełne rozbitcie, prawdopodobnie ze strachu przed dalszymi następstwami, a może z dyshonoru, jaki go spotkał, widocznie — tak doskonale się ukrył w niedostępnych borach, zdala od osad ludzkich położonych, że połączenie nasze z jego oddziałem było narazie zupełnem niepodobieństwem. Kilka dni wałęsania się po okolicznych wioskach nie doprowadziło do żadnego wyniku. Wszelkie dopytywania się tak u włościan, jak też u obywateli ziemskich, nie odnosiły pożądanego skutku. Gospodarze wiejscy, powodując się troską o nasze bezpieczeństwo, ukrywali broń i mundury, a udzielając chłopskich ubrań, ugaszczali u siebie kolejno po wiejskich chałupach. Aż dopiero po jakimś czasie takiego błąkania w stronie Leśnicy, Skórkowa, Krasocina, Borowicz, Świdna, Oleszna i bliższych miejscowości Żeleźnicy, pewien wieśniak doniósł nam, że w pobliskich lasach biwakuje jakiś polski oddział. Korzystając z tak upragnionej wieści, niezwłocznie wyruszyliśmy w drogę i po krótkim już marszu znaleźliśmy się w obozowisku powstańczym nie majora Iskry wprawdzie, lecz... Chmielińskiego.

Zaraz po przyeskortowaniu nas do obozu przez jednego żołnierza z pikiety, zostaliśmy ze wszystkich stron otoczeni przez chmielińszczaków, którzy z całą ciekawością przyglądali się naszemu umundurowaniu, krytykując je w najrozmaitsze sposoby. Do mnie osobiście zbiegło się mnóstwo dawnych kolegów i przyjaciół, którzy ściskając się ze mną i całując, podziwiali moje czerwone na nogach żuawskie spódnice i odrazu z tego tytułu nazwali mnie „ugotowanym rakiem“.

Stawieni przed groźne oblicze Chmielińskiego, poddani zostaliśmy najściślejszej indagacji, lecz kiedy szczegółowo opowiedzieliśmy swoje przejścia od chwili rozbitcia oddziału pod Małogoszczem, Chmieliński widocznie w wysokim stopniu zirytowany niefortunnym i zgubnym postępkami Iskry, oświadczył, że narazie na pewien czas zatrzymuje nas u siebie, gdyż otrzymał właśnie wiadomości z kilku stron o wyruszeniu na jego oddział Moskali z różnych miejscowości. Niebezpieczną więc byłoby rzeczą w taką porę czynić dalsze poszukiwania swego oddziału.

Polecił swemu adjutantowi, podówczas Julianowi Wiśniewskiemu, zaprowadzić nas i czasowo przydzielić do kompanii kapitana Franciszka Skąpskiego, z tem nadmienieniem, że po odbytej bitwie i wolnych od nieprzyjaciela okolicach mamy być uwolnieni i odesłani napowrót do oddziału majora Iskry, jako tam przynależni.

Służąc pod Chmielińskim od samego początku organizacji jego oddziału, właśnie z kompanii strzeleckiej kapitana Skąpskiego odkomenderowany zostałem do oddziału Iskry w charakterze podoficera instruktora piechoty. Można więc wyobrazić sobie moją radość, gdy najmniej spodziewanie, szczególnym tylko zbiegiem okoliczności, dostałem się napowrót pod rozkazy tak wy-

bitnego wodza, który nadzwyczajną sprężystością i energią, wzorowym w obozie ładem, szczególną dbałością o potrzeby żołnierzy i umiejętnym oszczędzaniem tychże w staczanych bojach, wyrobił sobie markę jednego z najlepszych dowódców w powstaniu 1863 roku.

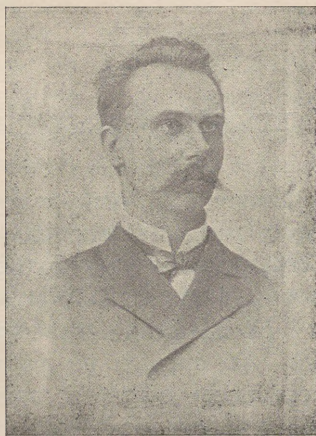
Kapitan Skąpski, ten ukochany przez wszystkich żołnierzy kolega, powitał mnie z całą serdecznością, na jaką go tylko stać było, żałując jednocześnie, że dotychczas nie osiągnąłem wyższego awansu, tem więcej, że moi rówieśnicy i koledzy podoficerowie, jak Kucharski i Grabczewski, od paru tygodni zamianowani zostali podporucznikami. Zakończył wreszcie nadzieją, że Chmieliński może się rozmyśli i nie zechce nas majorowi Iskrze odesłać, a wówczas mogę być pewnym niepominięcia przy najbliższym awansie.

BITWA POD CIERNEM, WARZYNEM I CZARNĄ. (22-24.IX).

Po upadku Langiewicza ruch powstańczy w owym odcinku Królestwa zagaśł zupełnie. Objawy życia sprawy narodowej zdawały się być pogrzebane. Moskiewski triumf pociągnął za sobą coraz to silniejsze objawy gwałtów i prześladowań znękaney moralnie i materialnie ludności. Aż dopiero po paru miesiącach tej okropnej i przerażającej stagnacji zaczęli się kolejno zjawiać prawdziwi bohaterowie narodu, rycerze opiekuńczy zamierającej polskiej sprawy, którzy, ujawszy ster zorganizowanych przez siebie oddziałków, postanowili walczyć dla honoru Polski na to tylko, aby zwyciężać lub ginąć.

Do słynnych z odwagi i męstwa, a zarazem z wielkiej znajomości sztuki wojowania, należał Konrad Błęszyński, znany w powstaniu pod pseudonimami Tomaszewskiego i Bończy, który jako jeden z najdzielniejszych oficerów regularnej armji bardzo wysoce był ceniony w wojsku rosyjskiem. Wytrawny ten kawalerzysta sformował dwa szwadrony konnicy, złożone z jednej setki ułanów i takiejże liczby krakusów, umundurowanych tak malowniczo i wspaniale, że wprost oczu od nich oderwać nie można było. Karabinki, pałasze i rewolwery uwidaczniały wyrób pierwszej marki, a konie dorodne

świadczyły o wyborowej ich rasie, co wszystko wymownie dowodziło niezwykle wielkich kosztów, jakich kraj i społeczeństwo nie szczędziło na wyekwipowanie tego oddziału.



*Kazimierz Zienkiewicz
w kilką lat po powrocie z zesłania.*

Z taką to konnicą przejeżdżając wszcz i wzdłuż we wszystkich kierunkach obu wzmiankowanych województw, Bończa swoją osobą i zajmującym wyglądem podwładnych szwadronów ożywiał wszystkie wioski i miasteczka, pobudzając uśpionych i zwątpiałych na duchu do czynów narodowych i ponownych na arenę walk z Moskalami występów.

Na nieszczęście jednakże całego polskiego społeczeństwa pułkownik Bończa, zaatakowany przez wrogów w miejscowości Góry w okolicach Lubczy, przyjął bitwę, a spadłszy ciężko ranny z konia, opuszczony przez swoich własnych żołnierzy, został na placu boju tak okropnie

przez Moskali zmasakrowany, że w stanie całkowicie nieprzytomnym przyniesiony do dworu w Lubczy, w dniu 18 czerwca po kilkugodzinnych strasznych męczarniach bohaterskiego życia dokonał.

Serdecznie ubolewając nad niespodziewanym zgonem wielkiego patrioty i wojownika, w którego życiu największe pokładano nadzieje, oburzali się wszyscy nad haniebnym postępkami jego żołnierzy.

Komendę po śmierci Bończy objął nad całym oddziałem rotmistrz Dzanott, herbu Grzymała, ziemianin, z dawnej rodziny włoskiej pochodzący. Na drugi dzień po bitwie pod Górami zjawił się Dzanott we wsi Seceminie, gdzie obozował ze swoją piechotą pułkownik Chmieliński, a to w celu połączenia się z owym sławnym dowódcą. Chmieliński, wyprowadziwszy wszystką swoją piechotę na ogromny plac przed dworem secemińskim i ustawivszy takową w jednej wydłużonej linii naprzeciw kawalerji Dzanotta, wykrzyczał w dotkliwy sposób byłych żołnierzy Bończy za haniebne opuszczenie swego wodza podczas bitwy, oświadczając, że wszystkich oficerów degraduje na podoficerów, a podoficerów na szeregowców. W odpowiedzi na to rotmistrz Dzanott zakomenderował: „W prawo — kłusem marsz!“ i, wysforowawszy się na czoło kolumny, opuścił Secemin.

W kilka dni po powyższej aferze tenże rotmistrz nadciągnął z oddziałem swych kawalerzystów do Przedborza, rzekomo dla udzielenia pomocy Oksińskiemu, który późnym wieczorem opuściwszy to miasto przed przybyłymi Moskalami, cofając się ku granicy, rozbrajał stopniowo wszystkie zgromadzone przy nim oddziały, a pomiędzy nimi również prawdopodobnie i konnicę rotmistrza Dzanotta. Od tego bowiem czasu osobistość pana rot-

mistrza przestała istnieć na widowni powstania 1863 r., zniknąwszy bez wieści.

Drugi nieustraszony wojownik to Dyonizy Czachowski, ziemianin, herbu Korab, wódz w podeszłym już wieku, lecz młodzieńczej energii i stanowczości. Będąc wielkim miłośnikiem myślistwa i dlatego znakomicie obznajomiony z wszystkimi niemal lasami i puszcza-
mi w kieleckiem, był przez długi czas postrachem Moskali. Stał na czele nielicznej piechoty, bo zaledwie dochodzącej 400 czasem 500 ludzi. Bitwy zwykle wygrywał, przechodząc z jednego zwycięstwa w drugie. Nigdy nie zwyciężony pomimo ustawicznych na niego napadów Moskali, którzy za wszelką cenę starali się znieść jego oddział, doczekał się bohaterskiej śmierci. Wziąwszy z sobą kilku zaledwie kawalerzystów, pojechał z nimi w odwiedzin do Wierzchowisk, własności swej córki i tam, napadnięty przez wrogów, zginął w dniu 6 listopada 1863 r., uśmiercając w obronie życia kilkunastu Moskali.

Zygmunt Chmieliński, z ziemiańskiej rodziny, herbu Leszczyc, z Chmielna pochodzącej, dzielnością i nieustraszonem męstwem dorównujący Czachowskiemu, przewyższał go wyższą znajomością obrotów wojennych, jakiej nabrał w długich walkach z góralami kaukaskimi w randze porucznika artylerji rosyjskiej. Należał zatem do rodu uprzywilejowanego, pomimo to mówił o sobie, że jest tylko Polakiem, nie znoszącym żadnych kastowości i stronnictw, którym przypisywał wszystkie nieszczęścia Polski. Z tych przyczyn posądzono go o jakobinizm i wygórowany przesadnie demokratyzm. Stronnictwo białych pałało doń najwyższą nienawiścią, nie mogąc zbliżyć się do niego, a tem samem przerobić na adoratora swych zamierzeń i zachcianek. Chmieliński wbrew ich chęciom

nieubłaganie i nieustannie bił Moskali, tych najzacieńszych i największych wrogów swego narodu, i nikt zgoła nie śmiał mu w tem przeszkadzać.

Pułkownik Zygmunt Chmieliński, wyznawca pięknych zasad demokratycznych i najgorliwszy ich propagator pomiędzy nami, zginął zamordowany przez Moskali w Radomiu w grudniu 1863 r.

Jednocześnie z powyższymi dowódcami, a niezależnie od nich, walczył zwycięsko z caratem w tych samych województwach, były nadporucznik i komendant kompanji z armji austriackiej, Karol Kolita, pod pseudonimem Rębajły. Bitwy przezeń stoczone pod Jeziorkiem, Mierzwinem, Hutą Szczecińską, Ilżą, Radkowicami, a wkońcu pod naczelną komendą Topora w Opatowie kończyły się zupełnym moskiewskim pogromem. Pułkownik Rębajło, nie bawiąc się w żadne sztaby i nie różniąc się ubiorem od swoich żołnierzy, z którymi razem spożywał we wspólnym kotle przygotowaną strawę, obozował wyłącznie po lasach, wypadając z nich skutecznie na upatrzoną zdobycz moskiewską. Rozmawiając w niewoli z rosyjskimi żołdatami, na własne — jak to mówią — uszy, słyszałem opowiadania ich o Rębajle:

— Etot Lach otliczno nas rubał (ten Lach porządnie nas rąbał).

Dożywszy 90 roku życia, doczekał się pułkownik Rębajło zjednoczenia wszystkich ziem polskich pod rządami niepodległej Rzeczypospolitej i pochowany został w 1920 r. na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, z należnemi mu honorami ze strony regularnego już wojska polskiego.

Nieomal od początku miesiąca października 1863 r. na widowni bitew, staczanych w tychże województwach, rozpoczął swoją działalność generał Józef Hauke, po-

chodzący z dawnej rodziny flamandzkiej, osiadłej w Polsce u schyłku Rzeczypospolitej i całkiem spolszczonej.

Pod nazwą własnego herbu „Bosak“ nabrał on rozgłosnej sławy, pozyskawszy nadzwyczajny szacunek i cześć za swoją męską, bohaterską i rozumną czynność w roli naczelnika sił zbrojnych województw krakowskiego i sandomierskiego.

Objeżdżając ustawicznie poddane pod swą wojenną władzę pomienione województwa z silnym szwadronem kawalerji i przydzielonym sobie szefem sztabu w osobie pułkownika Zygmunta Chmielińskiego, baczył przede wszystkim na to, aby Moskale nie mogli odkryć jego głównej kwatery, skąd rozsyłał rozkazy do podwładnych mu naczelników oddziałów, rozlokowanych w miejscowościach, przez siebie wskazanych.

Jeżeli niekiedy Moskale zdołali wykryć jego stanowisko, zezwalał im postępować za sobą dlatego, aby naprowadziwszy ich na upatrzony oddział piechoty powstańczej, sprawić im takie baty, na jakie zasługiwali, ażeby dobrze pamiętali, co to znaczy szukać kwatery generała Bosaka.

Wszyscy wymienieni dowódcy, przesiąknięci nawskroś polskim narodowym duchem, nie myśleli ani na chwilę o odstępie od sprawy ojczystej. Myśl o ratowaniu własnej osoby od grożącego im na każdym kroku niebezpieczeństwa nigdy do nich nie miała przystępu. Walczyli jak lwy w najgorszych dla powstania warunkach, otoczeni ze wszystkich stron coraz bardziej zwiększającymi się masami zaciętych wrogów.

Za pierwszy przykład stania niezwruszenie na polskim posterunku niechaj posłuży opis trzydniowych walk pod Ciernem, Warzynem i Czarncą.

Chmieleński miał podówczas pod sobą najwyżej 100 kawalerzystów pod komendą rotmistrza Rzepeckiego i prawie 400 piechoty pod kapitanami: Skąpskim Franciszkiem, Szanckim Hipolitem, Rząśnickim Ryszardem i Nowickim Walerym, synem urzędnika z Kielc.

Przeciwnikiem Chmieleńskiego w tych trzydniowych walkach był generał Czengiery, rodowity Węgier, który w roku 1849 podczas wojny austriacko-węgierskiej (gdy Moskale szli na pomoc Austrii) służył w wojsku austriackim, lecz idąc za popędem cywilizacji knuta przeszedł do służby moskiewskiej.

W czasie powstania 1863 r., jako komendant załogi w Kielcach dowiedział się zapomocą licznie rozesłanych szpiegów, że Chmieleński obozuje od dłuższego czasu w lasach obok Żeleźnicy, postanowił przeto zniszczyć go całkowicie. Zrozumiał jednakże, że ilość jego żołnierzy, chociaż grubo przewyższająca liczbą powstańców, z powodu nadzwyczajnego sprytu, niesłychanej ostrożności i przebiegłości Chmieleńskiego, a nadewszystko sławionej bitności jego wojska, posuniętej aż do zuchwalstwa i pogardy śmierci — nie sprostą zamierzonemu zadaniu.

Telegraficznie zatem i przez kozackich najlepszych jeźdźców rozesłał rozkazy do moskiewskich dowódców w Częstochowie, Piotrkowie, Miechowie, a nawet do majora Gawryłowa w Proszowicach, ażeby natychmiast wyruszyli ze swoimi żołdatami ku Żeleźnicy. Dla pewniejszego zaś i skutecznego otoczenia kolumny Chmieleńskiego obliczył najdokładniej oddalenie powyższych miast od wskazanej miejscowości biwakowania polskiego wodza i na tej podstawie polecił każdemu dowódcy moskiewskiemu zosobna tak manewrować podwładnem im wojskiem, aby zupełne otoczenie oddziału Chmieleńskiego



dokonane zostało ściśle w podanym dniu i niemal — oznaczonej godzinie. Sam zaś, stanąwszy na czele pięciu rot piechoty, dwóch szwadronów dragonów i jednej sotni kozaków, z trzema armatami i grupą raketników ochotczo wyruszył z Kielc w przekonaniu, że teraz dopiero prawosławny Pan Bóg musi pobłogosławić jego zamiarom.

Kolumny moskiewskie z Częstochowy, Piotrkowa, Miechowa i Proszowic, po przybyciu w ściśle oznaczonym czasie do wiosek, okalających las żeleźnicki zaskoczone były nieobecnością generała Czengierego, który przecież powinien tu być pierwszym dla objęcia głównej komendy.

Po dłuższem bezskutecznem wyczekiwaniu postanowili działać na własną rękę i w tym celu posłali do lasu na zwiady silny oddział dońskich kozaków. Dońcy po wejściu do centrum leśnej puszczy zostali przez polskich ułanów przywitani kulkami o tyle skutecznie, że natychmiast spadł z konia jeden, a dwóch innych zostało rannych.

Po strzałach ułani czmychnęli w stronę zachodnią w kierunku Szczekocin. Za nimi puścili się w pogoń z całym końskim impetem kozacy, a za tą konnicą ruszyły wszystkie kolumny dyszącej bliskiem zwycięstwem piechoty rosyjskiej. Ułani, mając dobrze wypoczęte konie, cwałowali poprostu w zawody z wiatrem, kozacy zaś, chociaż słynni ze znanej ręczności koni, z powodu już pomęczonych niedawną jazdą rumaków, nie mogli im dorównać w szalonym biegu. Po dwumilowej bezskutecznej gonitwie kozacy musieli dać za wygraną i stanąć dla odsapnięcia zbiedzonych koni.

Kiedy po dłuższym czasie do miejsca ich postoju nadciągnęła wszystka moskiewska piechota, cały oddział skutkiem silnego zmęczenia zatrzymał się, by ugotować

posiłek. Biwakowanie rozpoczęło się na dobre. Poczem rozstawiono pikiety i ułożono się do snu.

Jak długo spali, niewiadomo, to tylko pewne, że już dobrze było po północy, gdy polscy ułani podjechali cicho pod uśpiony obóz moskiewski, dając ognia z karabinów do kozackiej pikiety. Jeden kozak zsunął się pośpiesznie z konia, którego ułani złapali i zabrali z sobą, a drugi kozuń, Bogu już ducha ze strachu poleciwszy, w największym pędzie pocwałował, wpadł do obozu i zaalarmował śpiących:

— Lachy idut! Miatieżniki idut!

Powstało zamieszanie, dopiero gdy oficerowie opamiętali się po wspólnej pomiędzy sobą naradzie, wysłali w zaatakowaną stronę część dragonów i kozaków i w zupełnem do obrony pogotowiu oczekiwali nastania dnia. Łatwo to jednakże powiedzieć, lecz trudniej wykonać. Słońce wschodziło już późno, bo prawie o szóstej godzinie, a zatem do rozświtu dnia trzeba było stać na przemęczonych nogach z jakich pięć godzin, a coś podobnego po długim przedtem marszu było niewykonalne. To też wkrótce oficerowie pokładli się na ziemi, za nimi poszli strudzeni żołnierze i wkrótce posnęli.

Dzień już dawno nastał, kiedy zbudził się cały obóz. Nie wiadano jednak, co się stało z głównokomenderującym generałem Czengierem, na którego rozkaz opuścili spokojne i wygodne po miastach leża.

Wtem najniespodziewaniej na skraju lasu od strony wschodniej rozległa się salwa karabinowych strzałów. Świst kulek przeszył powietrze ponad głowami żołnierzy, raniąc kilku.

Wysłany w nocy silny podjazd dotąd nie powrócił i niewiadomo było, co się z nim stało.

Nie upłynęło pół godziny, gdy od strony zachodniej

postawiona w czystym polu konna pikietą w największym galopie wpadła do obozu. Za nią pędziło pół szwadronu polskich ułanów. Zobaczywszy wymierzone ku sobie luży moskiewskie, zawrócili na miejscu. Wprawdzie Moskale dali do nich dwie salwy z karabinów, ale dystans, dzielący dwóch przeciwników był taki, że kule piechoty nie dosięgły zuchowatych ułanów.

Pułkownik Chmieliński, jak mało kto z polskich wodzów, miał szczególną pasję dokuczania Moskalom tak zwanymi u nas „strategicznymi figielkami“, do jakich zaliczyć należy i owe boje pod Ciernem, Warzynem i Czarną.

Jak wiadomo, w czasie powstania 1863 r. istniała „Cywilna Organizacja Narodowa“, obejmująca swą siecią wszystkie miasta, dwory, gminy i wioski. Oprócz licznych zadań owej magistratury, zawisłej od Rządu Narodowego, było jej obowiązkiem pod najsurowszą, ma się rozumieć, odpowiedzialnością, donosić natychmiast wojskowym polskim władzom o ruchach wojennych Moskali.

Zawiadomiony w ten sposób Chmieliński, że Moskale wyszli nań naraz aż z pięciu miejsc, to jest z Częstochowy, Piotrkowa, Miechowa, Proszowic i z Kielc, zrozumiał, że chodziło tu o otoczenie jego oddziału i doszczętne zniesienie tych resztek sił powstańczych, jakie dotąd jeszcze w tej okolicy istniały.

Wybrał przeto najlepszych, wypróbowanych w odwadze dwudziestu kawalerzystów pod dowództwem oficera (nie pamiętam już dziś jego nazwiska), rozkazał im pozostać w opuszczeniu się mającem obozowisku dopóty, dopóki nie zostaną przez Moskali zaatakowani i skłonieni do rejtenty, ale w stronę przeciwną tej, w którą Chmieliński odejdzie z całym oddziałem. Obrotnością zaś swoją mają tak manewrować, aby Moskale odciągać jak najdalej

od strony południowej i przez ciągle ich alarmowanie nie dopuścić do połączenia z generałem Czengierym, maszerującym od strony Kielc.

„Figielek strategiczny“ udał się znakomicie i Chmieliński, uniknąwszy otoczenia, zmuszony został okolicznościami do walki z piątą najsilniejszą grupą kielecką.

Moskale po przybyciu pod Żeleźnicę zaatakowali, jak już wiemy, owych dwudziestu kawalerzystów Chmielińskiego i posłali za nimi część swoich dragonów i kozaków, którzy, nie mogąc ich dogonić, dwie mile od Żeleźnicy stanęli na wypoczynek, dokąd też przybyła i moskiewska piechota. Ułani, uwolnieni od pościgu, pojechawszy dalej, natknęli się na oddział rotmistrza Jana Rudowskiego, złożony ze stu wyborowych jeźdźców, przeważnie zawodowych kawalerzystów, wyćwiczonych praktycznie w konnicach regularnych armij zaborców. Rudowski sam, były junkier rosyjskich dragonów, odznaczał się niezwykłą śmiałością, junakierją i butną żołnierską fantazją. Mając za zadanie ustawiczne alarmowanie i niepokojenie Moskali, tak się w tem rzemiośle zaprawił, że mało kto z polskiej konnicy mógł z nim w tej mierze puszczać się w zawody.

Oficer, dowodzący ową garstką ułanów Chmielińskiego, opowiedział Rudowskiemu, o co chodzi, a mianowicie, że Moskale wyszli z pięciu miast naraz na kolumnę Chmielińskiego w zamiarze jej zniesienia. Wobec tego Chmieliński polecił mu zostać w opuszczonem miejscu obozowania oddziału i z chwilą przybycia tam moskiewskich wojsk alarmować je ciągle i bez wytchnienia tak, aby odciągnąć od Żeleźnicy we wszystkie możliwe strony z wyjątkiem południowej. A ponieważ na czele dwudziestu tylko żołnierzy nie może podołać włożonemu

nań obowiązkowi, spodziewa się przeto, że pan rotmistrz Rudowski nie odmówi mu pomocy.

Rudowskiemu tylko w to graj!

Kazał więc owemu oficerowi wydzielić patrol, któryby wyszedł Moskali od północy i z tej strony ich zaalarmował, a w pozornej ucieczce, używając podstępów, za sobą odciągnął. Wyznaczył następnie punkt zborny dla całego oddziału u sołtysa w N. N. (nie pamiętam dziś nazwy). Sam Rudowski uderzył na biwakujących Moskali od wschodu, a oficerowi z oddziału Chmielińskiego z resztą jego oddziału polecił natrzeć od zachodu.

Chmieliński uniknął otoczenia!

Fama powszechna rozgłosiła wkrótce, że Moskałe, bez przerwy alarmowani przez kawalerję Chmielińskiego i Rudowskiego, włączyli się za nimi niezmordowanie, w przekonaniu, że ścigają oddział, dowodzony przez Chmielińskiego. Wkońcu widząc, że najusilniejsze ich zabiegi nie odnoszą żadnego skutku, a kozaków i dragonów coraz więcej ubywa, po trzech dniach nadzwyczaj nużących marszów, przeklęli i Chmielińskiego i Czen-gierego, a nawet świat cały i, upadając ze zmęczenia, powrócili do swoich miejskich siedzib.

Tymczasem my — cały oddział Chmielińskiego, zostawiwszy tylko owych wyżej wspomnianych dwudziestu kawalerzystów, opuściliśmy z rana rejon lasów pomiędzy Olesznem, Zabrodami, Bdzisławowem a Żeleźnicą, stanowiący w drugiej połowie września nasze obozowisko.

Wymarsz nasz odbiegał znacznie od regulaminu wojskowego, który nie nadawał się wcale dla oddziału, liczącego wogóle tylko około pół tysiąca ludzi. W każdym razie w zupełności wystarczał do całkowitego zabezpie-

czenia tak skromniutkiej kolumny od niespodziewanego napadu.

Chmieliński, stanąwszy konno przed gotowym do wymarszu oddziałem, odkomenderował naprzód dwóch ułanów na tak zwaną szpicę, a dodawszy im na koniu siedzącego wieśniaka, obznajmionego dobrze z okolicą, nakazał przewodnikowi prowadzić oddział w kierunku na Brzeście, Jeżowice, Żeliszawice, Ludwinów i Rogienice. Jechać mieli w takim oddaleniu, aby zawsze widzieć mogli straż przednią, złożoną z pół plutonu jeźdźców. Jeżeli szpica wjedzie w las, a droga leśna załamywać się będzie pod jakimkolwiek kątem, w takim razie ma stanąć na miejscu i tak długo baczyć na obydwie drogi, dopóki awangarda nie zrówna się z nimi. Wówczas galopem znów wysforuje się na ten sam dystans. To samo było zastosowane do trzech półplutonów kawalerji, nazwanych flankierami, którzy mieli przepatrywać boki maszerującego oddziału i wysyłać dalsze zwiady i podjazdy szczególnie na postronne drogi. W takim samym odstępie wyruszyła jedna kompanja strzelców pod komendą kapitana Rząśnickiego, nosząca nazwę saperów z tego powodu, że będąc złożoną przeważnie z różnego rodzaju robotników, zaopatrzoną była oprócz karabinów w piły, siekiery, świdry, bretnale i t. p. narzędzia.

Główną część naszej mikroskopijnej armji stanowiły dwie kompanje piechoty pod kapitanami: Skąpskim i Szanckim. O jakich 500 kroków za tą centralną częścią kolumny ruszyły wszystkie furgony z żywnością, zapasowem umundurowaniem, bronią i amunicją, kotłami do gotowania, kuźnią polową i wszelkimi innemi rekwizytami, niezbędnymi dla wojska. Za ostatnim wozem pędzono trzy pary niezłe wypasionych wołów. Za tym drogocennym dla wszystkich skarbem, w pewnym znowu

odstępie podążał kapitan Nowicki na czele strzeleckiej kompanji.

Całość kolumny zamykały znów trzy półpluton flankierów, w znacznieszem zaś oddaleniu jeden półpluton tylnej straży, t. zw. arjergardy, i wreszcie na końcu, również na wielki dystans, dwóch kawalerzystów, mających za zadanie ustawiczne rozglądanie się na dalekie tyły, ażeby przy spostrzeżeniu jakiego niebezpieczeństwa natychmiast uwiadomić o tem dowódcę, ustnie w dzień, a wystrzałem w nocy.

Tej tylko nadzwyczajnej ostrożności zawdzięczaliśmy niemożliwość niespodziewanego podejścia nas przez Moskali i podczas pochodów, tem bardziej, że Chmieliński ze swoim adjutantem Wiśniewskim i rotmistrzem kawalerji Rzepeckim bardzo często przejeżdżali cwałem z jednego końca oddziału w drugi, przestrzegając pilnie, aby przepisane odstępy pojedynczych części całej kolumny ściśle były zachowane.

Kiedy wyszliśmy już z lasu i wstąpili na drogę polną, spostrzegliśmy obok kompanji kapitana Skąpskiego naszego „obozowego dziadzię“ w podszarzałym surducie oliwkowego koloru, kroczącego po zboczach drogi z karabinem, przewieszonym przez plecy, w czarnej rogatywce z daszkiem, przystrojonej na boku pękiem różnobarwnych kogucich piór i z prostym, okutym u dołu w szpic kijem w rękach. Był on nadzwyczajnie chudy, trochę więcej jak średniego wzrostu, o nosie wystającym silniej z pozapadanej i kościstej twarzy. Na oko wydawał się być starcem, najmniej siedmdziesiąt lat liczącym.

Kim był ten nasz obozowy dziadzio?

Oto na kilka dni przed bitwą w Janowie, do obozu Chmielińskiego w lasach Żłotego Potoka żołnierz,

stojący na pieszej pikiecie, przyprowadził owego dzia-
dzia przed surowe oblicze dowódcy.

— Tego oto człowieka przyprowadzam panu puł-
kownikowi — wyjaśnił salutując. — Zdaje się, że to jest
jakiś niebezpieczne indywiduum, gdyż przeszedł niepo-
strzeżenie przez najdalej wysunięte pikiety konne.

Przyprowadzony starzec wyprężył się wówczas jak
struna, dziarsko po wojskowemu zasalutował i, stojąc
w takiej pozycji, krzyczał z całym oburzeniem:

— Panie pułkowniku! Ten gołowąsy drapichrust
przedstawia mnie za osobę podejrzaną, nie znając wcale
mojej przeszłości. A może jeszcze ten psi fanfaron zrobić
zechce ze mnie moskiewskiego szpiega... hę — co?

I wybałuszył złowrogo białka swych siwych oczu
przed samym nosem żołnierza.

— Ja się nazywam Józef Szydłowski — ciągnął
dalej — i jak samo moje nazwisko wskazuje, jestem
majstrem od szydła w niedalekiem miasteczku Szydło-
wie, tak zniszczonem, że między innymi, dawniej naj-
zamożniejszymi katolikami i ja zeszłem na krańcową
biedę.

Zobaczywszy, że na dany przez Chmielińskiego znak
żołnierz już odchodzi, zaczął za nim tak wrzeszczeć:

— Ty mizerny pędraku! tyś jeszcze nie ssał swojej
godnej mamusi, jak ja sierżant polskiej armji podczas
rewolucji 1831 roku biłem lepiej psubratów Moskali, niż
ty teraz, który lepiej władasz podłym ozorem, jak
bronią.

Cały obóz parsknął homerycznym śmiechem.

— A masz, dziadziu, jakie dowody na to, żeś rze-
czywiście służył w polskim wojsku w czasie rewolucji?—
zapytał wtedy przyjemnym głosem pułkownik.

— Naturalnie, że mam, panie pułkowniku.

Sięgnął ręką w zanadrze i po chwili wyjął dość gruby plik pożółkłych fascykułów, w ósemkę poskładanych i w starą ceratę zawiniętych, a wyjąwszy z pośród nich bibulasty arkusik, podał go Chmielińskiemu.

— A, ładnie, bardzo pięknie! Jak widzę, podziękowanie naczelnego wodza za dzielne zachowanie się w bitwi pod Grochowem i z tego powodu nominacja na sierżanta. Lecz powiedzcie mi, dziadziu, w jakim zamiarze przysłicie do nas?

— Jeżeli pan pułkownik raczy mnie się pytać, w jakim celu przybyłem do obozu, to ja również mam prawo dowiedzieć się, dlaczego pan pułkownik dowodzi tutaj zbrojnym oddziałem?

Chmieliński serdecznie się roześmiał.

— Jakto? Czyżbyś naprawdę w tak późnym wieku zechciał się bić z Moskalami?

— Nietylko, że chcę się bić z tymi psubratami, ale jako Polak uważam to za obowiązek i konieczność. Mam wprowadzić siedmdziesiątkę, ale bez dokładu. Za to oczywiście posiadam jeszcze strzeleckie i zaręczam o największy nawet zakład, że każdego wziętego na cel Moskala nawylot prześwidruje. Pan pułkownik zapewne rozumie, co znaczą w bitwach dobre u żołnierza oczy?

Chmieliński wysoce zdumiony zrobił powątpiewający ruch głowy, lecz doraźnie przeprowadzony egzamin przekonał nas o istotnej sprawności strzeleckiej dziadzia.

Po kilkodniowym w obozie pobycie naszego dziadzia, gdy się powszechnie przekonano, że pomimo swej oryginalności jest on bardzo koleżeńskim współtowarzyszem, a ponadto uczciwym i nawskroś religijnym człowiekiem, tak go ogólnie polubiono, iż mimo nazywania nas drapichrustami, pędrakami, smykami, bachorami i t. p. epitetami, czczono go i poważano powszechnie.

Pamiętam, że trzeciego dnia po jego zainstalowaniu się w obozie, rano, gdyśmy jeszcze w najlepsze spali, wszczął się przez krzyk dziadzia ogromny alarm w naszej kompanji.

— Hej, wstawać powsinogi, pędraki i psy pogańskie, do modlitwy! Cóż to wy sobie myślicie, że jako polscy żołnierze, stając co chwila w obliczu śmierci, staniecie przed Bogiem jak bezbożni dusiciele z czapką na łbach?... I leżąc przez całą noc do góry brzuchami, nie podziękujecie Panu Bogu za łaskę pozostawiania przy życiu?... I macie lucyperskie prawo, jak świnie wstać i odrazu iść do szaflika, aby tylko jak najprędzej naładować swe obrzydliwe kałduny? Wstawać mi tu natychmiast, zbi-surmanione wiercipięty, bo będę prętem budzić.

W tej chwili dało się słyszeć przejmujące i bardzo donośne gwizdnięcie. U wejścia do kompanijnego szałasus stał pułkownik Chmieliński, komenderując:

— Do szeregu!

Zerwali się wszyscy, jak sparzeni, na równe nogi i w przeciągu jakich pięciu minut stanęli parami za ustawioną w kozły bronią, przy której wartował zawsze żołnierz. Chmieliński, widząc, że już wszyscy opuścili szałas, krótkimi słowy przemówił, przyznając Szydłowskiemu zupełną rację.

— Bezbożnie żyć nie przystoi polskiemu żołnierzowi... Dzięki naszemu dziadziowi — oświadczył pułkownik — zaprowadzam od dzisiaj w całym obozie poranne i wieczorne modlitwy dla wszystkich żołnierzy bez wyjątku, a z braku kapelana poruczam dziadziowi dozorowanie kompanji, by mój rozkaz był ściśle wykonany.

Chmieliński, poleciwszy Szydłowskiemu wziąć z magazynu świstawkę podoficerską do budzenia żołnierzy, poszedł kolejno do wszystkich szałasów celem wprowadzenia w czyn nowego zarządzenia.

Gdy pułkownik odszedł, polecił dziadzio rozejść się żołnierzom na pół godziny celem umycia się, poczem pomaszerował do magazynu po świstawkę. Wróciwszy z zawieszoną na szyi świstawką, zastał całą kompanję umytą i odświeżoną. Grzebień nie odgrywał w obozie żadnej roli, bo nie wyłączając samego Chmielińskiego, wszyscy musieliśmy być ostrzyżeni przy samej skórze, czego każdy kapitan osobiście musiał dopilnować.

Dziadzio dał sygnał świstawką, a na to hasło żołnierze natychmiast bez broni stanęli w jednolitym szeregu.

— Czapki zdjąć! — skomenderował.

Gdy głowy odkryto, staruszek wygłosił okolicznościową naukę.

Owa naprawdę piękna nauka, jaką miał do żołnierzy, nasunęła ogólne podejrzenie, że dziadzio Szydłowski nie jest majstrem szewckim, za jakiego się podał, a przebrany księdzem.

— A nie pójdziecie mi zaraz precz, wy obrzydliwe karakony i aroganckie natręty... To w pojęciach takich, jak wy, trywialnych duszyczek, szewc nie może być wykształconym jako tako człowiekiem? Szewc nie śmie być lepszym od was religjantem, nie ma prawa do otwierania gęby i wygłaszania słów Bożych? A to co takiego? Chybaście wszyscy na kupę co do jednego pofiksowali... wy nieznośne skurczybyki? — zrzędził staruszek i przyspieszonym krokiem odszedł ku taborowi.

Podejrzenie wszakże co do zawodu Szydłowskiego stało się naszym przekonaniem.

Takim był nasz staruszek Szydłowski, ten właśnie obozowy dziadzio, który po wymaszerowaniu oddziału z lasów żeleźniczkich szedł po zboczach drogi sam w milczeniu.

— Czemu dziadzio taki dzisiaj milczący, czy smutny? proszę co powiedzieć i rozweselić siebie i nas — zagadnęła najgrubszym w całej kompanji kolega.

— Będziesz ty miał, pękaty tołumbasie, niezaślugo takie wesele, o jakim się twojej prababce nie śniło.

— Niech dziadzio lepiej swoją prababkę zaprosi do jakiegoś urojonego wesela.

— Co?... ty, gębata poczwaro sobie myślisz, że ja wasze mózgi zawracam niedorzeczными urojeniami? A czyż ty pusta, pakułami napchana głowo, nie pamiętasz, że pułkownik zakazał nam śpiewania w marszu, czyż nie widzicie, że się coś święci, kiedy pułkownik z adjutantem i rotmistrzem Rzepeckim bez przerwy galopują wzdłuż całego oddziału i ustawicznie wysyłają rekonesanse na wszystkie strony?

Zaledwie dziadzio ostatnie słowa wypowiedział, dał się słyszeć poza nami tętent, biegnącego w całym pędzie, konia. Przed pułkownikiem stanął ułan z tylnej szpicy i coś żywo rozmawiał, lecz z powodu znaczniejszego oddalenia nie mogliśmy słów usłyszeć. Zaraz potem Chmieliński zawrócił konia i razem z ułanem popędził ku tylnej straży, nakazując Rzepeckiemu i adjutantowi, aby eszelony oddziału w tym samym porządku nie przerywały dalszego marszu.

Wysforowawszy się w czyste pole, daleko poza tylną straż, Chmieliński zaczął pilnie lunetą rekognoskować okolicę.

Prawdopodobnie coś dostrzegł, gdyż po niejakiemś czasie zawrócił do tylnej straży, a zabrawszy ją z sobą, dopadł do oddziału flankierów i ustawicznie lunetował okolicę na tyłach.

Dzień był pogodny, palące promienie słońca dawały się we znaki maszerującym po wyschniętej piaszczystej

drodze powstańcom. Grube warstwy pyłu i kurzu, unoszące się w powietrzu z pod nóg żołnierzy, ufarbowały nasze twarze, ręce i całą odzież od stóp do głowy na jakiś nieokreślony w malarstwie kolor szarawo-brudno-popielaty. Pyłki owego duszącego prochu wciskały się do oczu, nosów i uszów, pokrywając barwę ciała wstrętą powłoką.

Chmieliński — wódz i pułkownik — jednakowo został przyozdobiony, jak i jego żołnierze.

W jaki sposób odciągnął Chmieliński owe moskiewskie załogi od nakazanego punktu zbornego w okolicach lasów żelezińskich, o tem, ma się rozumieć, Czengierzy nie wiedział i właśnie dlatego pośpiesznym marszem podążał do tej miejscowości na czele swojej kolumny. Chmieliński przeciwnie, chcąc przeszkodzić zgubnemu dla siebie połączeniu Moskali, poszedł wprost na południe, ku Kielcom, lekceważąc trzykrotnie większe od siebie siły rosyjskie.

Do strategicznych zamiarów Chmielińskiego widocznie należało spotkanie się i rozprawienie z Czengierem w miejscowości, najdalej od Żeleźnicy oddalonej. Jednakowoż liczne forpoczty, rozesłane przez Czengierego po całej okolicy, najmniej spodziewanie wpadły na trop naszego oddziału, niwecząc w części plany pułkownika.

Chmieliński dostrzegłszy zapomocą lunety nieprzyjacielski rekonesans w sile pół sotni kozaków, połączył się z flankierami na to jedynie, ażeby wysłać podjazd, złożony z dziesięciu ludzi, dla należytego powitania miłych gości.

Pierwsze strzały pochodziły z kozackich karabinów, na które polscy ułani nie odpowiadali z powodu zbyt dużego dystansu. Natomiast zawróciwszy konie, zaczęli

stępa jechać zpowrotem, zwracając baczną uwagę, co zrobią kozacy.

Gdy to się działo na tyłach polskiej kolumny, szpic nasza i awangarda zaczęły się zbliżać do widniejącego wpobliżu lasu. Dopóki cały oddział maszerował drogą w czystym polu, to i kozacy, mając respekt przed wielką gromadą „buntowników“, również stępa postępowali za cofającym się polskim podjazdem. Lecz kiedy eszelony naszego oddziału stopniowo zapuszczały się w las, kozacy puścili się kłusem ku milczącemu podjazdowi, na co ułani odpowiedzieli takim galopem koni, że w kilka minut połączyli się z flankierami, obok których wciąż jechał Chmieliński.

Wtedy role zupełnie się odmieniły. Kozacy, widząc równe naprzeciw siebie siły, stanęli w przyzwoitym oddaleniu, spoglądając zpoдеłba na naszych.

Chmieliński, jakby nigdy nic nie zaszło, silnym głosem zakomenderował, ażeby każde słowo kozacy mogli słyszeć:

— Kawalerja — dwójkami — stępa marsz!

I powoli, jakby defilując na paradzie, wjechali do tej najbezpieczniejszej naszej przystani leśnej, nazwanej w gwarze powstańczej „kochanym stryjem“. Kozacy, uszykowawszy się w czwórki i zajmąwszy pozycję wprost drogi, do lasu wiodącej, mieli przed oczyma cały podłużny jej profil. Kiedy nasi kawalerzyści po niejakiś czasie zniknęli całkowicie z oczu, a nawet tętentu nie było już słyszeć, kozacy puścili się kłusem do lasu, aby dopaść ich ponownie na odległość niezbędną do dalszego śledzenia.

Ale zaledwie kozacy w zbitych szeregach wjechali do lasu, zupełnie najniespodziewaniej rozległa się silna karabinowa palba z obu stron drogi. Z odległości kilku-

nastu kroków obsypani zostali rzęsim gradem kul. Siedmiu kozaków zsunęło się z koni na ziemię. Reszta w największym nieładzie i popłochu, z nieładkiem wy-ciem drapnęła, co koń wyskoczy. Osieroczone przez śmierć jeźdźców konie rozbiegły się po lesie.

Był to nowy „figielek“ pułkownika Chmielińskiego, niezbyt miły dla wlokących się za nami kozaków, ale dla nas bardzo pożyteczny, jak to się w dalszym ciągu pokaże.

Chmieliński chciał się pozbyć niepożądaney obser-wacji, a celem pochwylenia języka kazał za wszelką cenę wziąć żywcem jednego chociaż jeńca. W tym celu zawcza-su jeszcze rozkazał kapitanowi Rząśnickiemu, maszerują-cemu z kompanją na przodzie kolumny piechoty, roz-dzielić swoich strzelców na dwie części i obydwoma stro-nami lasu spieszenie lecz w cichości pomaszerować na opu-szczony skraj boru, tam dobrze się ukryć poza grubemi drzewami i w chwili wkroczenia kozaków urządzić na nich obławę.

Wkrótce echo salwy rozległo się po całym lesie. Wtedy Chmieliński polecił całemu oddziałowi wypocząć na miejscu marszu i posilić się śniadaniem, złożonem z okowity, chleba i węgierskiej paprykowanej słoniny, a sam wzięwszy z sobą dziesięciu kawalerzystów pocwa-łował do kapitana Rząśnickiego.

Rząśnicki po przywitaniu kozackiego podjazdu o-gniem stał na samem krańcu lasu, mając przed sobą swo-bodny widok na rozległe pola, skąd doskonale mógł widzieć, azali Moskale w większej liczbie nie powrócą dla dokonania rewanzu.

Na drodze leśnej, nie dalej jak 150 kroków od ka-pitana Rząśnickiego, leżało 6 trupów kozackich, obna-żonych ze zwierzchniego umundurowania, w jednej tylko bieliźnie. Uzbrojenie ich, a więc lance, krzywe pałasze

w skórzanych pochwach, rewolwery, patrontasze i tak zwane u kozaków janczarki (karabinki) leżały posegregowane na osobnych kupkach, a opodal mundury, spodnie i czapki.

Pułkownik zrazu uczynił wymówkę Rząśnickiemu, że nie ograniczył się do zabrania uzbrojenia, ale obdarł trupy z mundurów. Kiedy wszakże kapitan wyjaśnił mu pobudki tego kroku, nawet pochwalił. Istotnie można było przebrać za kozaków od stóp do głów sześciu naszych ułanów i w ten sposób uzyskać bardzo cenne wiadomości. Okazało się wreszcie, że prócz zabitych był jeszcze jeden ranny kozak, który stanowił bodaj najcenniejszą zdobycz w tem starciu.

Chmieliński pozostawił dwóch ułanów jako pikietę na samym skraju lasu, przy drodze, by pod osłoną drzew obserwowali, czy nie pojawią się Moskale. Kapitanowi Rząśnickiemu porучzył na odjeźdźnym zaczekać na ludzi, wysłanych w las do ujęcia koni kozackich, oraz polecił przetransportowanie rannego kozaka, którego chciał przesłuchać.

Po powrocie do obozu Chmieliński zastał nas, leżących wygodnie na miękkiej leśnej trawie i mchu. Może w pół godziny po pułkowniku nadciągnął kapitan Rząśnicki, prowadząc siedem kozackich koni i rannego kozaka, niesionego na noszach przez czterech żołnierzy oraz kilku powstańców, objuczonych bronią i zdobytym ekwipunkiem moskiewskim. Kozaka polecił Chmieliński pod strażą odosobnić zupełnie od oddziału.

Młoda obozowa wiara natychmiast gromadkami otoczyła zarówno kozaka, jak i przytransportowany łup wojenny, wyciągając szaszki kozackie z pochew skórzanych i fechtując się niemi, oglądając mundury, rewolwery i pi-

ki, lub ubierając się w płaskie bez daszka czapki, obwiezione u dołu czerwonym lampasem.

Kozak, usadowiony na omszałym pniu drzewnym, dostał dla wzmocnienia sił porządną czarkę okowity, jeszcze porządniejszy kawał chleba i z pół łokcia suchej kiełbasy. Gdy sobie już dobrze podjadł i wypił, rozgadał się na dobre.

Chmieliński, zobaczywszy zdaleka tak niespodziewaną zmianę w zdrowiu kozaka, przyszedł doń, pytając po rosyjsku:

— A znasz ty mnie?

— Nie mogu znać!

— Jestem Chmieliński.

— Kak eto możet byt'!?...wy sam polskij gienierał?

I zerwawszy się z pnia na równe nogi, chciał się po wojskowemu wyprostować i salutować. Nie mógł jednak tego uczynić z powodu bólu w przestrzelonej nodze. Chmieliński kazał mu usiąść zpowrotem.

— Skąd wyszliście na mój oddział?

— Iz goroda Kielc.

— A gienerał Czengiery jest z wami?

— Toczno tak (istotnie tak).

— A jakimi siłami rozporządza?

— Piat' rot piechotnych strielkow, dwa eskadrona dragunow, odna sotnia kozacych wsadnikow (jeźdźców), dwie puszki (armaty) i otriad (oddział) raketnikow.

— Prawdę mówisz? — zapytał Chmieliński. A w jakim celu generał Czengiery wyszedł z Kielc?

Kozak wyjaśnił, że, o ile wie, chodzi przedewszystkiem o połączenie się z innemi garnizonami, a następnie o otoczenie i zniesienie wszystkich powstańców. Do tej

pory kiedy generał kazał wysłać ich na podjazd, połączenie nie nastąpiło.

Chmieliński po wybadaniu kozaka kazał rotmistrzowi Rzepeckiemu wybrać ze szwadronu sześciu ludzi, władających dobrze rosyjskim językiem, przebrać ich w zdobyte kozackie ubranie oraz uzbrojenie i przyprowadzić do siebie. Następnie polecił rozesłać zaraz po wszystkich okolicznych wioskach przynajmniej po pięciu ułanów, celem zarekwirowania jak największych ilości furmanek pod naszych pieszych żołnierzy i odstawić je do niedalekich Rogienic, gdzie mają na nas oczekiwać. Chodziło mu zatem o to, ażeby postronne wsie ogołocić z koni i wozów i tem samem utrudnić pomęczonym Moskałom dalszą za nami gonitwę. Postanowił odsunąć się jak najdalej od żeleźnickich lasów, gdzie miały się zgromadzić owe okoliczne załogi rosyjskie celem połączenia się z kolumną Czengierego, który właśnie jest tutaj za dwie godziny oczekiwany. Połączenie Moskali dotąd nie nastąpiło, a spodziewał się za dalszą Bożą pomocą do tego nie dopuścić.

Opuściwszy rotmistrza Rzepeckiego, udał się Chmieliński do magazyniera Sokołowskiego i kazał mu, aby najdalej za pół godziny ze wszystkimi furgonami wyruszył do Rogienic, dając mu za osłonę 10 kawalerzystów. Spotkanie z oddziałami ma nastąpić w Rogienicach.

Wkrótce po tem zjawili się przed Chmielińskim ułani na kozackich koniach i w kozackich mundurach, z pikami w rękach i czapkami, zuchowato na bakier włożonemi. Wyglądali tak, że absolutnie niczem od prawdziwych kozaków, urodzonych nad Donem, odróżnić ich nie można było. Twarze i ręce pokryte prochem, z pod warstwy którego oryginalnie i dziko uwydatniały się białka oczu, ani na chwilę nie podsuwały przypuszczenia,

że pod tym wstrętnym dla nas strojem kryją się polskie dusze, nienawidzące całą siłą naszych odwiecznych katów.

Chmieliński z największą uwagą zlustrował nowokreowanych kozaków, a następnie dla przekonania się o jakości władania moskiewszczyzną, zajął się przez dłuższy czas rozmową w języku rosyjskim. Rezultat okazał się bardzo pomyślny. Upomniął ich jeszcze, aby w zetknięciu się z Moskalami, byli pełni animuszu, zupełnej pewności siebie i żołnierskiej fantazji. Przytem aby posiadali wiarę w powodzenie poruczonej im akcji i osobiste zadowolenie z możliwości wyprowadzenia w pole wrogów. Czengiery niezawodnie znajduje się na naszych tyłach. Gdy zaś raniony kozak zeznał, że Czengiery nie zdołał się dotąd połączyć około Żeleźnicy z innemi załogami, a przypuszczać można, że to się mogło stać już po odejściu kozaków, chodziło więc o to, ażeby bez narażenia siebie na zbytnie niebezpieczeństwo, dotarli na tyły wojsk moskiewskich, zręcznie wybadali ich arjergardę, czy Czengiery maszeruje wyłącznie na czele swojej kieleckiej załogi, czy też zdołał powiększyć te wojska wysłanymi na pomoc garnizonami. Wreszcie kazał im wrócić do Rogienic, gdzie partja będzie ich oczekiwała. Dojeżdżając zpowrotem do obozu, mieli wywiesić na pice białą chustkę.

Polscy „kozacy“ po takim objaśnieniu pułkownika ruszyli z kopyta w przeznaczoną drogę. A oto jakie spotkały ich koleje. Jechali bardzo długo, aż wreszcie po kilku godzinach ogromnie forsownej jazdy dowiedzieli się w pewnej wiosce, że trzeba wziąć kierunek na południe, ażeby się znaleźć na tyłach moskiewskich.

Tym razem szczęście zaczęło im sprzyjać. Nie ujechali nawet ćwierci mili drogi, gdy naprzeciw ukazał się w całym rozpędzie konia cwałujący Doniec. Ułani

mrugnęli na siebie znacząco i stanąwszy rzędem obok siebie, zatarasowali wąską szerokość drogi.

Zatrzymawszy Dońca, dowiedzieli się, iż jedzie on z listem od Czengierego do dowódcy jednej z grup, ciągnącej na koncentrację pod dowództwem majora Gawryłowa. Rozbroili go więc, odebrali ekspedycję i po krótkim odpoczynku, wzięwszy kozaka w sam środek pomiędzy siebie, popędzili rażno zpowrotem.

Chmieliński po wyprawieniu swoich sześciu kozaków był obecny przy wymarszu całego magazynowego taboru i tych patroli ułańskich, które przeznaczył do ogołocenia okolicznych wiosek z podwód. Następnie uporządkował w szyku pochodowym cały oddział, a ściągawszy pikietę, kazał wezwać rannego kozaka i zapytał go, czy już dostał na cały dzień przeznaczoną wódkę, chleb i słoninę, a następnie oświadczył mu, że jest wolny. Ponieważ generał Czengiere, zgodnie z własną zapowiedzią, stanowczo pójdzie za nami, nie ulega wątpliwości, że może za godzinę, albo i prędzej kozak spotka się z nim na tem samym miejscu. Kazał mu się pokłonić panu generałowi i oświadczyć, że on, Chmieliński, rozpoczął marsz na Kielce i że z tego powodu zaleca spieszną za sobą gonitwę.

Poczem pułkownik spał konia ostrogami i wkrótce zrównał się z maszerującym już oddziałem.

Ogromnie utrudzeni i osłabieni na siłach długo-trwającym marszem, rozłożyliśmy się obozem pod samymi Rogienicami. Gdzie kto mógł, tam się kładł na wielkim, bujną trawą porośniętym kobiercu i swobodnie wyprostowywał zmęczone nogi. Mając w tornistrach chleb i słoninę, a w manierkach okowitę, nie dbaliśmy narazie o nic więcej, chociaż niejeden z nas z pożądlivością spo-

glądał w stronę mięsnego krupniku, gotującego się w podpalonych o kilkanaście kroków kotłach, nastawionych na rozkaz magazyniera Sokołowskiego, który o godzinę wcześniej przybył do Rogienic.

W pół godziny może po naszym tutaj przybyciu przypędził do obozu jeden ze stojących na pikiecie ułanów i oświadczył, że na miejscu ich posterunku oczekuje sześciu naszych jeźdźców, którzy chwycili prawdziwego kozaka prawdopodobnie z jakimś ważnym pisemnym rozkazem, a ponieważ nie chcą jeńcowi pokazywać naszego obozu, proszą przeto o decyzję.

Chmieleński dosiadł konia i popędził z ułanem na wskazane miejsce.

Po zbadaniu kozaka i odczytaniu pisma Czengierego do Gawryłowa rozkazał ułanom z pikiety wziąć jeńca w środek pomiędzy siebie i dawać na niego baczna uwagę z rewolwerami w rękach. Gdyby zdradził się najmniejszym do ucieczki ruchem, palnąć mu w łeb. Jeżeli kozak umknie, odpowiadać będą za niego przed sądem wojennym. Mają go wydać jedynie tylko tym „naszym kozakom“, którzy po pożywieniu się w obozie, wkrótce tutaj po niego przyjadą.

Jak nam później opowiadano, pisemna Czengierego depesza zawierała krótki tylko rozkaz, by zgromadzone pod Żeleźnicą wszystkie moskiewskie oddziały natychmiast kontrmarszem udały się do Rogienic, gdzie albo zastaną już oddziały Czengierego, albo mają na nie tam oczekiwać. Gdy jedno, albo drugie zawiedzie, obowiązani będą dopóty w Rogienicach przebywać, dopóki nie przyśle nowego rozporządzenia.

Chmieleński, wzięwszy z sobą owych sześciu kozaków, jechał z nimi stępa w wielkiem zadowoleniu, poczęstował ich cygarami, pochwalił za znakomite wykonanie

poruczonej misji, dodając zarazem, że to co oni zrobili, jest tylko pierwszą częścią zadania, druga zaś polega na tem, ażeby odebrali z pikiety bezbronnego kozunia i pojechali z nim aż pod same Kielce. Pod miastem mają kozakowi odebrać konia i kazać mu pójść piechotą do siedziby Czengierego, potem, stojąc jeszcze czas jakiś na miejscu, obserwować, czy wypuszczony na wolność kozak rzeczywiście poszedł do miasta. Późem kazał magazynierowi wydać siedem racyj żołnierskich żywności, tytoniu i okowity na trzy dni.

Furmanki konwojowane przez naszych ułanów zaczęły ze wszystkich stron nadjeżdżać, magazynier zaś pośpiesznie pakował swoje bagaże. Przewodnika na jego osobistą prośbę i oświadczenie, że dalszych okolic nie zna, Chmieliński zwolnił, tem bardziej, że był on członkiem Narodowej Cywilnej Organizacji. Odtąd obowiązek przewodnictwa spadał całym ciężarem na dokładną mapę generalnego sztabu, będącą w posiadaniu Chmielińskiego, która w dzień w zupełności wystarczała. Zato w czasie nocnych pochodów pułkownik zmuszony był brać od wsi do wsi pierwszego lepszego wieśniaka.

Gdyśmy już wzmocnili ciała menażką gorącego krupniku i funtem mięsa, Chmieliński ściągnął wszystkie pikietę i rozkazał żołnierzom wsiadać na przygotowane podwody.

W dobrym wesołym nastroju dojechaliśmy przez okolice Rzeszówka i Tyńca do lasów, położonych pod Ciernem, gdzie na obszernej równinie rozłożyliśmy się obozem. Byliśmy od Moskali oddzieleni znacznieszą odległością, rokującą nam, jak się to zrazu wydawało, spokojniejszy i dłuższy wypoczynek. Moskale bowiem, jeśli przyszli do Rogienic, to musieli być dobrze długo-trwałym marszem pomęczeni, a o podwodach dla dalszej

za nami pogoni, nawet i marzyć nie mogli, bośmy całą okolicę całkowicie z nich ogołocili. Choć generał Czeniery miał najszczerzy zamiar szybkiego rozprawienia się z nami, nie miał środków do przetransportowania swojej piechoty z Rogienic do Cierna.

Ostrożny do ostatecznych granic Chmieliński ob-
stawił cały obóz placówkami i podwójnym łańcuchem
pieszych i konnych pikiet, nie szczędząc przytem usta-
wicznego na wszystkie strony rozsyłania małych, kon-
nych podjazdów i patroli. Reszta dnia i noc z 21 na
22 września przeszły nam zupełnie spokojnie, nic też
dziwnego, że rano zastał nas zupełnie wypoczętych i jak-
by odrodzonych.

Jakiego rodzaju były wieści, raportowane Chmie-
lińskiemu przez wracające forpocztę, o tem żaden z nas
nie mógł wiedzieć. Byliśmy pod tym względem zupełnie
odosobnieni, gdyż żołnierze, przybyli z rekonesansu, su-
rowo mieli zakazane opowiadać komu bądź o wynikach
wyprawy.

Otucha w zwykłym trybie życia obozowego, nie za-
kłóconym żadnym niebezpieczeństwem, wzmogła się
jeszcze bardziej, gdy Chmieliński przed samą południową
porą rozkazał swoim czterem kapitanom powołać kom-
panje pod broń, w celu przeprowadzenia ćwiczeń, zwy-
kłych w razach dłuższego na miejscu biwakowania.

Po skończeniu niemal dwugodzinnych obrotów sek-
cjami, plutonami i kompanjami, formowaniu carré
(czworoboków) i rozsypaniu się w tyraljery, Chmieliń-
ski na czele czterech kompanij przeprowadził jeszcze
różne ewolucje wojskowe całym bataljonem. Wreszcie,
ustawiwszy kompanje, tak do nas przemówił:

„Żołnierze! Chlubnie przebyliście zacięte walki
z Moskalami pod Janowem, Rudnikami, Obiechowem i na

polach Przedborza. Nigdy nie zawiedliście mojego zaufania i pokładanej wiary w wasze męstwo, odwagę i bezwzględną wojskową karność. Pamiętajcie i nadal, że tylko przez te przymioty żołnierz staje się prawdziwym żołnierzem, zwyciężającym wrogów, niweczającym nieprzyjacielskie zamiary, staje się zaszczytem i wzorem do naśladowania dla całej Polski. Walczyliście zawsze z nieugiętym postanowieniem pokonania nawpół dzikiego najeźdźcy naszego kraju.

Za wasze przeto bohaterstwo, nieustraszonność w bojach i zachowanie zimnej krwi wśród świstu kul moskiewskich, składałam wam w imieniu całej Ojczyzny najgorętsze podziękowanie.

Ale oto nadchodzi nieunikniona chwila nowego starcia.

Moskiewski generał Czengiery wyteżył umysł, aby nas znieść doszczętnie i w tym celu powołał do pomocy garnizony z czterech miast, którymi pragnął otoczyć nasz obóz pod Żeleźnicą. To mu się nie udało i udać nie może. Dzisiaj mamy walczyć tylko z kolumną Czengierego.

Znając waszą waleczność, mam niezachwianą pewność, że jak zawsze tak i teraz nie zawiedziecie mego zaufania“.

W odpowiedzi na to przemówienie zabrzmiały okrzyki z ust wszystkich żołnierzy:

— Niech żyje Ojczyzna!

— Niech żyje Chmieliński!

Po złożeniu broni w kozły i spożyciu krupniku z mięsem oczekiwaliśmy dalszych wypadków, leżąc lub siedząc spokojnie na trawie. Cisza zapanowała ogólna, nie zakłócona najmniejszym hałasem. Widocznie wiara obozowa w milczeniu odmawiała modlitwy, polecając

swe życie Najwyższemu Stwórcy i prosząc Go o dobrotliwe przebaczenie doczesnych grzechów.

Kiedy magazynier Sokołowski ukończył pakowanie wszystkich rekwizytów na furgony, Chmieliński, chcąc oczyścić przyszły plac boju z niepotrzebnego balastu, odkomenderował kilkunastu jeźdźców do eskorty, poczem tabor natychmiast odjechał. Na środku obozowiska pozostały tylko zgłiszczające ogniska.

Nie więcej jak w pół godziny po odjeździe furgonów przycwalał jeden z wysłanych podjazdów, a komendant tegoż coś żywo przed Chmielińskim rozprawił i gestykułował. Chmieliński w odpowiedzi zarządził wysłanie dwakroć liczniejszego rekonesansu, a całej piechocie rozkazał stanąć natychmiast pod bronią.

Kompanja kapitana Skąpskiego otrzymała polecenie rozstawienia strzelców w ten sposób, aby cały brzeg lasu od strony, z której spodziewaliśmy się nadejścia Moskali, był zupełnie na przestrzeni prawie kilkuset metrów należycie przygotowany na ich powitanie. Za każdym więc grubszym drzewem dość gęsto rozstawieni byli ukryci pojedynczy żołnierze. Z trzema pozostałymi kompaniami piechoty i z resztą konnicy Chmieliński wszedł głębiej w las i stanął narazie w nieznacznym od rozstawionej tyraljery oddaleniu. Poczem rozkazał rotmistrzowi Rzepeckiemu z całą pozostałą jazdą udać się na tyły zwróconej do polany tyraljery, aby zabezpieczyć ją przed jakim niespodziewanym atakiem na nasze tyły.

Wreszcie Chmieliński polecił kapitanowi Rząśnickiemu udać się na lewe skrzydło tyraljery i stanąć w zwartych szeregach w lesie tak, ażeby w razie obejścia nas przez Moskali i doraźnego wpadnięcia na tyły, być od takiego manewru całkowicie zabezpieczonym. Kapitan

Nowicki otrzymał taki sam rozkaz do ustawienia kompanji na prawem skrzydle tyraljerów. W środku za tyraljerami stanęła jako główna rezerwa kompanja kapitana Szaneckiego.

W ten sposób centrum tyraljery miało doraźną w razie potrzeby pomoc strzelców Szaneckiego, a oba skrzydła — kompanij Rząśnickiego i Nowickiego.

Nie upłynął i kwadrans od tych przygotowań, gdy konne nasze pikiety dały strzałami znać o zbliżaniu się Moskali. W parę minut potem pikiety przecwałowały przez równinę; jednocześnie z niemi powrócił i ostatnio wysłany rekonesans.

Z przeciwnej strony równiny wychyliły się też niebawem kozackie piki i na polanę powolnem stępem wjechało ostrożnie kilku Dońców.

Nagle z naszej linji padł pojedynczy strzał, od którego jeden z kozaków spadł na ziemię. Dońcy odrazu zawrócili, a Chmieliński, rozgniewany widocznie, że ktoś ośmielił się strzelać bez wydania ogólnej komendy, krzyczał, przebiegając wzdłuż frontu.

— Kto to strzelił?

— To ja — odpowiedział dziadzio Szydłowski, stojący przy jednym z grubszych drzew.

— A czemu dziadzio strzelał, kiedy nie było rozkazu?

— Chciałem się tylko dowiedzieć, jaki będzie o m e n dla naszej bitwy.

— No i coś dziadzio wywnioskował?

— Proszę tylko popatrzeć: kozak zarył cyferblatem do naszego frontu, a nogami tam, skąd przyszedł. Znak to niechybny, że bitwa musi być dla nas wygrana!

Chmieliński rozbawiony odpowiedział:

— Niech dziadzio drugi raz tego nie robi. U nas przedewszystkiem należy słuchać rozkazu.

Zaledwie pułkownik wypowiedział ostatnie słowa pokazała się piechota moskiewska, która zaczęła się formować w kolumny bojowe na przeciwnym skraju lasu, obsypując nas rżęsiwym rotowym ogniem, a niebawem też odezwały się i dwa działa moskiewskie.

Chmieliński pozostał obojętny na to pierwsze moskiewskie wyzwanie do boju i nie kazał odpowiadać na strzały. Kule, przelatując jak osy obok naszych uszu lub wbijając się w pnie drzew, nie wyrządzały nam najmniejszej szkody. Kartacze moskiewskie, górując nad nami i obcinając gałązki drzew, zasypywały liśćmi ukrytych za drzewami strzelców.

Wtedy generał Czengiery, nie widząc skutków strzelaniny, rozsyłał w tyraljerkę jedną czy dwie rotę piechoty i rozkazał wystąpić na równinę. Myślał zapewne, że Chmieliński, widząc się w ogromnej mniejszości w stosunku do zgromadzonych przeciw niemu sił, opuścił las i że obecnie przed nim rejteruje. Taki domysł należało przezornie sprawdzić zapomocą posuwającej się naprzód tyraljery.

Dopóki Moskale znajdowali się w przyzwoitym od nas dystansie, to i Chmieliński okazywał się dla nich uprzejmym, nie odpowiadając wcale strzałami. Lecz kiedy przybliżyli się na odległość pewnego strzału, na dany sygnał rozpoczęliśmy ogień na całej linii, przed którym nieprzyjaciel pośpiesznie się cofnął z odkrytej miejscowości, pozostawiając kilkunastu rannych i zabitych. Wtedy Czengiery ponowił atak na nasze stanowiska, wzmacniając szturmujących znaczniejszą ilością swych rezerw.

Widząc to, Chmieliński rozkazał kompanji Szanecskiego uformować parę kroków za pierwszą — drugą linię obronną i w ten sposób podwoił siłę naszego ognia.

Gdy pomimo wzmożonej naszej palby Moskale leżeli wciąż naprzód, naciskani ztyłu przez rezerwy i przebyli już większą część równiny, nagle z lewej strony wypadła zbita w podwójnym szeregu kompanja kapitana Rzańnickiego, a przywitawszy Moskali gradem kul z pochylonym bagnetem puściła się do rozstrzygającego ataku. Moskale, zmuszeni koniecznością do należytej w tem miejscu obrony, nagwałt rozpoczęli zmianę frontu. Zanim jednak to nastąpiło, popłoch i przerażenie między żołdatami, wystawionymi na silne polskie pociski, robiły już zamieszanie i niepokój. Jedna z moskiewskich prawoskrzydłowych rot, najbliższej powstańców się znajdująca, zniżyła bagnety wdół i krzyczała: — Na sztyki! Lecz poprzestali na tym gromkim okrzyku, nie mając widocznie nadmiaru żołnierskiego animuszu do odparcia ataku. Na dobitkę w tejże samej chwili z prawego skrzydła wybiegła kompanja Nowickiego, wrzeszcząc na całe gardło:

— Niech żyje Polska!

— Bij psubratów, Moskali!

Tak niespodziewanie wzięci w trzy ognie, Moskale nie wiedzieli, co począć. Wtem dał się słyszeć okrzyk:

— Radi Hospoda Boha... bratcy spasajties! (Na Boga! bracia ratujcie się!)

Okrzyk ten wystarczył za wszystko. Nie pomogło płażowanie pałaszami przez oficerów, nie poskutkowały, żadne komendy, ani nawoływania do karności i porządku. Wszystko, co żyło, w największym popłochu i panice uciekało do lasu.

Wieczór już na dobre zapadł, gdy w znacznem od nas oddaleniu dały się słyszeć trąbki moskiewskie, sygnalizujące: na otboj! (cofać się w szyku bojowym!)

Warto było patrzeć, jakiego rodzaju był ów odtrąbiony szlak bojowy w ucieczce!

Chmieliński zarządził natychmiastowe ugrupowanie wszystkich kompanij do dalszego pochodu, a zabrawszy z sobą około dwudziestu świeżo ranionych, między którymi był porucznik Ropolewski, wyruszył w dalszą drogę lasami.



*Kpt. Franciszek Skąpski,
dowódca 2 kompanji strzelców w oddziale Chmielińskiego.*

Na placu boju pozostało kilkunastu naszych zabitych, a pomiędzy nimi i kapitan Franciszek Skąpski, jeden z najlepszych i najdzielniejszych oficerów, znakomity instruktor, ceniony i żałowany przez wszystkich kolega. Padł na miejscu, prawie już po bitwie, nie wypowiedziawszy ani jednego słowa.

Ilu padło w bitwie Moskali, ilu było ranionych, nikt

tego nie wiedział, albowiem Chmielińskiemu chodziło przede wszystkim o śpieszne opuszczenie p'acu boju i o jak największe odsunięcie się od kolumny Czengierego, która nie będąc całkowicie rozbita, mogła nam jeszcze i tutaj zagrażać. W każdym razie Moskali musiało o wiele więcej ubyc z szeregów niż naszych, gdyż ciała ich gęsto zaścielały pobojo-wisko.

W czasie tej dwugodzinnej walki ani nasza, ani moskiewska kawalerja nie uczestniczyła w zapasach, a to przede wszystkim z powodu lesistego położenia pola bitwy, nie nadającego się do obrotów konnicy, jak niemniej z tych przyczyn, że gdzie się toczą walki pomiędzy oddziałami piechoty, tam panowie kawalerzyści nie mają wiele do powiedzenia.

W toku opowiadania zaznaczyłem, że rotmistrz Rzepecki z częstką swej konnicy odjechał z rozkazu Chmielińskiego na tyły naszej piechoty w celu obserwowania i zabezpieczenia się przed mogącymi pojawić się tam Moskalami, i że od tego czasu nikt z nas w czasie boju ani na chwilę tej kawalerji nie oglądał. Z tego jednakowoż powodu nie ośmieliłbym się uczynić jej zarzutu tchórzostwa.

Innego jednakże w tej mierze zapatrywania był jeden z naszych obozowych kolegów, który w wydanych pod pseudonimem Lucjana Sulimy Pamiętnikach powstańca z roku 1863 i 1864 przy opisanu bitwy pod Ciernem miał zarzucić kawalerji Chmielińskiego, że uciekła z pola walki.

Otóż Zygmunt Napoleon Krzywda, autor Wspomnień obozowych z roku 1863 i 1864 obraził się takim twierdzeniem Sulimy, a chcąc siebie i konnicę Rzepeckiego oczyścić z tak hańbiącego zarzutu na str. 33, 34 i 35 swojego dziełka popisał różne niedorzeczności, którym obowiązany jestem zaprzeczyć.

Oto przykładowo tłumaczenie Krzywdy:

„Po kilkunastu dniach pobycie w Żeleźnicy, wskutek ponownego wymarszu samego Czengierego z Kielc na nas w pięć rot piechoty, dwa szwadrony dragonów z sotnią kozaków i czterema działami, wyruszyliśmy z miejsca i przez Łachów, Rogienice, Lipno, przeszedłszy wpływ Nidę, stanęliśmy dla wypoczynku po całonocnym marszu w lesie, na małej polance, niedaleko wsi Cierna.

Tutaj to właśnie dnia 22 września zaatakowali nas Moskale. Przebiegu bitwy tej zaciętej i krwawej nie będę powtarzał, gdyż autor Pamiętnik ów powstańca, Sulima opisał ją dokładnie; niesłusznie tylko rzucił płamę na kawalerję naszą, iż uciekła z pola walki. Drugi pluton bowiem był przez cały czas w ogniu, przeznaczony w awangardę i wysłany naprzód, został odcięty od całego oddziału.

Jak tylko strzały dały się słyszeć z kilku stron naraz na pikietach, Chmieliński wyprawił pierwszy pluton kawalerji w awangardę, wskazując nam kierunek, w jakim mieliśmy maszerować, i dając za przewodnika miejscowego leśniczego.

Chmieliński pierwotnie miał widać inny plan marszu, przewodnik bowiem prowadził nas drogą, wiodącą ponad samem polem w kierunku głębokich lasów; dopiero wskutek parcia z lewego skrzydła zmuszony był prawdopodobnie porzucić pierwotny kierunek, w jakim nas posłał, tak, że zamiast trzymać się lasu, nieprzyjaciel wyparł go na rozległe pola.

Za awangardą postępował długi szereg furgonów naszych i wozów chłopskich, na których w marszu, przed bitwą, jechała była nasza piechota; wozy te, gdy kule moskiewskie je dosięgły, poczęły zmykać i na wąskiej leśnej dróżynie tak się zaparły, iż ani kroku naprzód postąpić nie mogły.

Kawalerja nieprzyjacielska jeszcze przed bitwą widać otoczyła nasz obóz z lewego flanku, gdyż zaraz z samego początku flankiery dragonie i kozackie okazały się aż u samego czoła naszej kolumny, rażąc nas z gęszczy nie dalej jak na 30 lub 40 kroków celnymi strzałami, a dostrzegłszy zamieszanie, jakie powstało między naszymi wozami, odrazu masą rzucili się na furgony, rąbiąc furgonistów i chłopów na wozach.

Piechota nasza, ujrawszy dragonów przy furgonach, skierowała na nich silny karabinowy ogień, kule te jednak poczęły razić nie tylko dragonów, lecz i nas; znajdowaliśmy się zatem w krzyżowym ogniu strzałów dragonie i naszej własnej piechoty.

Przebiec się do swoich było fizycznym niepodobieństwem, gdyż nie tylko cma dragonów, lecz także i wał wozów przegradzał nas od nich, zmuszeni przeto byliśmy rejtować; nim to jednak nastąpiło, na wezwanie porucznika Nejmana wyskoczyło nas kilkunastu na ochotnika do szarży, a nawet jeden z naszych, niejaki Br., przyskoczywszy na parę kroków do majora dragonów wpakował mu cały nabój siekańca z pistoletu w twarz; major

spadł z konia, a wtedy chmura dragonów wskoczyła na nas. W całym plutonie było nas niespełna trzydziestu, trudno zatem było nam się mierzyć z siłą kilkakrotnie liczniejszą, podawszy więc tyły dragonom, poczęliśmy zmykać, mając na karku całą masę dragonów i kozaków; pogoń trwała z pół mili.

Połączenie się z oddziałem było niepodobne, cała bowiem kawalerja nieprzyjacielska, licząca do 300 koni, odgradzała nas od niego; pomaszerowaliśmy więc samopas dalej, zdążając do najbliższej wioski dla pozostawienia tam kilku naszych rannych, których uprowadziliśmy z sobą; oprócz tych pluton nasz stracił jeszcze dwóch szeregowców poległych.

Z Chmielińskim, ustępującym wciąż przed Moskalami, połączyliśmy się po południu dopiero w Rakoszynie.

Bitwa trwała kilka godzin i była bardzo krwawa.

Oddział nasz odbył tę niebezpieczną rejteradę w najzupełniejszym porządku. Straty jednak nasze były bardzo znaczne, lecz nie dziw, gdyż walczyć musiano jeden przeciwko czterem. Moskale bowiem liczyli swe siły do 1000 ludzi, prócz czterech armat.“

Jakto?... Więc Chmieliński, staczając dwugodzinną bitwę na leśnej polanie pod Ciernem i przygotowując się do niej po pierwszych ostrzegawczych strzałach pikiet (jak to zeznaje sam Krzywda), jednocześnie z temi strzałami wysyła pierwszy pluton kawalerji w awangardę, a za tą awangardą cały swój tabor i wszystkie podwody, na których przyjechaliśmy pod Cierno? Z całego opisu Krzywdy widać jedynie to, że sam będąc laikiem w nauce wojennej, robi laika z tak zdolnego wodza, jakim niezaprzeczalnie był Chmieliński. Kogóż więc ta samoistna awangarda reprezentowała i kogo miała osłaniać? Czyż ten plutonik konnicy, zaledwie z trzydziestu ludzi złożony, mógł zabezpieczyć wszystkie nasze podwody i cały obozowy magazyn? Gdyby zresztą istotnie Chmieliński zapoczątkował bitwę w danem miejscu, a podwody i furgony wysłał pod opieką plutoniku kawalerji, to opiekunowie tych podwód i furgonów nazywaliby się przecież eskortą, a nie awangardą? A cóż dopiero myśleć o lekkomyślnej utracie powierzonego owej awangardzie magazynu, przez którego zabranie — Moskale ogołocili

cały oddział Chmielińskiego z żywności, z broni, a nade wszystko z amunicji.

Według dalszego twierdzenia Krzywdy szereg podwód i furgonów magazynowych został na leśnej wąskiej drożynie napadnięty przez moskiewskich dragonów, a woźnice i furgoniści byli rąbani dragońskimi szablami i przez to, zbiwszy się w jednolitą masę, utworzyli wielki wał nie do przebycia. Przez to połączenie się kawalerji z oddziałami stało się fizycznym niepodobieństwem, tem większem, że nadomiar wszystkiego polska piechota, widząc, co się dzieje z furgonami i podwodami, zaczęła strzelać do dragonów... Zachodzi pytanie, skąd się tam wzięła polska piechota, skoro po pierwszych strzałach pikiet, oznajmiających przyjście Moskali na leśną polanę pod Ciemnem, Chmieliński miał wysłać połowę kawalerji na awangardę, a sam z wszystką piechotą staczał na miejscu zaatakowania, a do tego w lesie, dwugodzinną bitwę z Moskalami?

Tyle bajeczek naraz, to trochę za wiele, tem więcej, że koroną tych fantazji jest bardzo znamienity ustęp o niesłychanem bohaterstwie tej nielicznej części kawalerji Chmielińskiego, w której znajdował się i Krzywda.

Na str. 44 owej samochwalczej broszurki czytamy dosłownie:

„Usłyszawszy porządną burę, iż bez jego (Chmielińskiego) rozkazu schowaliśmy się w las, za karę posłani zostaliśmy w arjergardę, dla zluźniania kompanji piechoty, upadającej już ze znużenia.

Cały nasz pluton przetrzebiony dwudniową bitwą, liczył zaledwie 22 ludzi, naszem więc teraz zadaniem było wstrzymać cały nawał Moskwy, rozsypawszy się zatem w tyraljerkę, rozpoczęliśmy ogień, cofając się stępa.“

A trochę dalej na tejże stronicy Krzywda tak konkluduje:

„Blisko godzinę może, rejterując w ten sposób, jeden plu-

ton kawalerji i do tego tak nieliczny, wstrzymywał parcie całej kawalerji nieprzyjacielskiej z artylerją“.

Ponieważ cała kawalerja generała Czengierego składała się z jednej sotni kozaków i dwóch szwadronów dragonów, czyli razem więcej jak 300 koni, nie licząc czterech armat z obsługą, czyż więc nie było na świecie największem bohaterstwem cofać się stępa blisko przez całą godzinę 22 ułanom w arjergardzie Chmielińskiego, wtedy, gdy 14 konnych Moskali przypadło na jednego polskiego kawalerzystę, do tego rozsypanego w tyraljerce?

Niejeden z szanownych czytelników, po odczytaniu takiej farsy, zapewne zapyta:

— A cóż robiła ta stosunkowo olbrzymia moskiewska kawalerja wobec tak znikomej garstki polskiej arjergardy, cofającej się stępa blisko przez godzinę?

Szkoda wielka dla społeczeństwa, że Krzywda nie opisał tak bohaterskich czynów wierszem. Byłaby z nich prawdziwa dla czytelników „epopea“, a dla autora unieśmiertelnienie nazwiska na wieki wieków.

Moskale wyprawę swą na nas przedsięwzięli nie dlatego, aby bić się i wchodzić w zapasy wojenne z Chmielińskim. Im chodziło o to, żeby ten nienawistny dla siebie oddział za cenę najmniejszych ofiar w ludziach doszczętnie zniszczyć. Oddział Chmielińskiego, acz mały ilością, był dla nich prawdziwą solą w oku, nic też dziwnego, że generał Czengierey postanowił tym razem za wszelką cenę pozbyć się raz na zawsze nieznośnych chmielińszczaków.

Chmieliński rozumiał grożące mu niebezpieczeństwo. Pojmując aż nadto dobrze, że siły Czengierego więcej niż trzykrotnie przewyższają ilość jego oddziału, chwycił się sposobów, wskazanych przez technikę wojskową

i wrodzone mu uzdolnienia w taktyce wojennej. Pomi-
mo że Krzywda w 20 lat po powstaniu w książce swej
porąbał mu furmanów przygotowanych do jazdy podwód
i posiekał woźniców taborowych, Chmieliński rzeczywi-
stemi czynami dokonał czegoś innego. Zdając sobie
sprawę, że nie może nawet marzyć o zupełnem pobiciu
Czengierego, skorzystał z chwilowego popłochu Moskali
i ustawivszy wszystkie swoje kompanje jedna za drugą,
śpiesznie wycofał się lasami ku zachodowi na Nagłowice,
przy muzyce grających woddali na naszych tyłach trąbek
nieprzyjacielskich, zwołujących na „s b o r“ rozpierzchnię-
tych po lasach Moskali.

Marsz całego oddziału, utrudniony niesieniem
i prowadzeniem rannych kolegów, trwał niewiele dłużej
nad pół godziny, gdy raptem... o, nieba!... natknęliśmy
się wśród ciemnej nocy na nasze podwoły i wszystkie
furgony, stojące na leśnej drodze z daną im przed bitwą
ulańską eskortą. Nadzwyczajnym jakimś cudem odżyli
porąbani przez Krzywdę woźnice i furmani i w najlep-
szem zdrowiu ofiarowali swoje usługi do dalszej podróży.

Na dany rozkaz, powskakiwaliśmy na fury i za chwi-
lę rażnym truchtem odsuwaliśmy się coraz bardziej od
prześladowców. Minąwszy Nagłowice, urządziliśmy mały
wypoczynek dla podkarmienia koni, poczem skróciliśmy
w stronę południowo-zachodnią i przeważnie już odkry-
tymi miejscowościami pojechaliśmy do Pawłowic, w któ-
rych przebywaliśmy co najmniej dwie godziny.

Zaraz po swem tam przybyciu Chmieliński polecił
Rzepeckiemu odkonwojować cały magazyn do Nawarzyc,
celem przygotowania dla oddziału gorącego posiłku, a za-
rządowi dworu w Pawłowicach rozkazał rannych żołnie-
rzy, dotąd tylko prowizorycznie opatrzonych, porozwozić
celem dalszej kuracji po okolicznych dworach.

Był już ranek, kiedy dobrze wypoczętemi po całonocnej podróży drogami polnemi końmi dotarliśmy do Nawarzyć, aby tu rozprostować nieco pokurczone nogi. Chmieliński, jak zwykle, poobstawiał cały obóz pikietami, powysyłał w stronę, z którejśmy przybyli, parę konnych podjazdów, a na koniec resztę konnicy wysłał w pobliskie wioski, celem zarekwirowania nowych podwód dla zamiany dotychczasowych, zbyt już wyczerpanych.

Kto zapragnie dobrze się znużyć i utrudzić, niechaj spróbuje snu na prostym chłopskim wozie, wypełnionym przez pięć osób, a do tego przy jeździe kilkogodzinnej. Raz jeden tylko skosztować takiego przysmaczku, a będzie się go całe życie z pewnością pamiętało. Tak samo było i z nami. Mając rozluźnione członki we wszystkich stawach, rozmarzeni niewyspaniem, jak po wypiciu alkoholu, rzuciliśmy się, gdzie kto stał, na miękką murawę, zasypiając w jednej minucie ciężkim snem, nie dbając ani o życie, ani o świat cały.

Spaliśmy dość długo, a spalibyśmy jeszcze nieskończenie dłużej, gdyby nie krzyki, które rozległy się nam nad uchem, połączone z szarpaniem za mundury:

— Hej, leniuchy, wstawajcie co żywo, krupnik już gotów, jedziemy zaraz w drogę!

Porwawszy się czem prędzej z orzeźwiającego snu, zjadłem z niesłychanym apetytem krupnik z porządną porcją mięsa świeżo zabitego wołu. W stronie rozłożonego magazynu widać było ogromny ruch. Kotły i wszystkie przybory do gotowania na łeb na szyję pakowano na furgony, które pośpiesznie zaprzęgano i kolejno ustawiano w porządku, wskazanym przez Chmielińskiego, z konna kierującego przygotowaniami do wymarszu. Niebawem też rozległa się komenda: „do szeregów“, poczem kompanjami w ustalonym porządku sekcji, wsiadaliśmy

na wozy, które stopniowo ruszyły w stronę północno-zachodnią przez wieś Wawrzynów. Cała ta podróż, dokonana drogami wyłącznie polnemi, odznaczała się szczególnie pomiędzy Nawarzycami a Mierzawą zaciętem napaśtowaniem nas przez dragonów i kozaków.

Generał Czengiery, poniosłszy w lasach pod Ciermem dotkliwe straty, rozumiał aż nadto dobrze, że klęska, jakiej tam doznał, wynikła z niemożliwości wprowadzenia na lesisty plac boju licznej konnicy, a więc użycia wszystkich sił, jakie posiadał pod ręką. Z drugiej zaś strony żywił najgorętsze z pewnością przekonanie, że wezwane na pomoc garnizony okolicznych miast, lada chwila nadciągną. Nie dając zatem za wygraną, gdy po przybyciu do Nawarzyc zobaczył nas w znacznym już oddaleniu od tej miejscowości, rozkazał do naszej, mało już widocznej arjergardy, strzelać z armat raz po raz. Strzelanina ta oczywiście nie zadawała nam żadnych strat i pobudzała nas tylko do żartów i śmiechów. Wreszcie Czengiery, widząc bezowocność tej strzelaniny, wysłał swoich kawalerzystów, aby zabiegli nam od przodu i, przecinając linię odwrotu, powstrzymywali, a sam z wszystką piechotą ruszył „kontrmarszami“ za nimi.

Chmieliński, spostrzegłszy, na co się zanosi, niezwłocznie ściągnął z pola awangardę i arjergardę do obustronnej asysty i obrony furgonów oraz podwód, napełnionych powstańcami, i najspokojniej w świecie jechał dalej.

Niezdługo z obu stron drogi zostaliśmy obkoczeni całą chmurą dragonów i kozaków, starających się nas powstrzymać rżęsiestymi strzałami. Na takie przywitanie odpowiedzieliśmy w równie uprzejmy sposób, a ponieważ konni Moskale nadto blisko ku nam się podsunęli, to też i skutek naszego ognia był taki, że kilkunastu

spadło z konia, a reszta, jakby w nich piorun trzasnęła, rejterowała w takiej odległości, że już ani ich, ani nasze strzały nie donosiły. Na naszych podwodach został jeden z kolegów zabity, a trzech lekko rannych. Najgorsze jednak było to, że dwa konie od podwód i jeden od furgonów padły na miejscu, skutkiem czego mimo najlepszych chęci należało chwilowo cały oddział zatrzymać w pochodzie.

Chmieleński rozkazał ułanowi połapać biegające w polu konie dragońskie, poprzyprzęgać do wozów w miejsce zabitych, co gdy się stało, pojechaliśmy dalej. Wprawdzie towarzyszyli nam jeszcze Moskale z pół godziny i strzelali ustawicznie, lecz z takiego dystansu, że pociski ich nie zadawały strat; wreszcie zaczęli ściągać się i oddalać do tyłu.

Uwolnieni dzięki temu od nieproszonej opieki, dotarliśmy do Warzyna. Tutaj Chmieleński postanowił dać nam po niewygodnej i męczącej jeździe na furach bodaj kilkugodzinny odpoczynek, należało się bowiem spodziewać, że zawziętość byłego Madziara ku nam ustanie i że on sam swym utrudzonym do ostateczności żołdatom również pozwoli bodaj trochę wypocząć.

To też magazynier Sokołowski konie kazał powyprzęgać, chleb i słoninę rozpakować, a beczkę z okowitą stoczyć na ziemię i ustawić na legarach. Furjerzy sekcyjni otoczyli kołem wszystkie te obozowe specjały, aby nimi nakarmić wygłodniałą wiarę żołnierską. I już miało rozdawać furjerom porcje, gdy wtem padł daleki strzał, a równocześnie wszelkie nadzieje otrzymania tak pońętnych dla podniebienia przysmaków odrazu w łeb wzięły.

— Do broni!... do broni!... — krzyczano naokół.

Gdyby nie to błogodajne jedzenie, gdyby nie tych

pięćset żadnych pracy usteczek, gdyby nie te pożądlive oczy, z wyczekiwaniem i zachwytem spoglądające w stronę prowiantów z magazynu, wsiedlibyśmy raz dwa na wozy, by udać się w dalszą drogę. Ale konie trzeba było wyprząć i tak samo jak nam podsunąć coś do gryzienia, zwinięcie więc magazynu wymagało dłuższego zachodu; przywrócić wszystko do pierwotnego stanu nie tak łatwym było zadaniem. Zostawić zaś magazyn na pastwę Moskalom i zdecydować się w następstwie na głód, było niepodobieństwem, nie mogącem pomieścić się w żadnej powstańczej głowie.

— Raczej śmierć, aniżeli... oddanie magazynu!

Pod tem hasłem sformował nas Chmieliński w kompanje i biegiem nakazał zająć wskazane za wsią stanowiska. Naprzeciw nas, o jakich może sześćset kroków postępowała ku wsi wydłużona czarna linja dragonów i kozaków. Spostrzegłszy wybiegających ze wsi powstańców, dali ognia z karabinów, lecz z małym skutkiem. Że zaś piechota nasza nie pozostała dłużna i natychmiast odpowiedziała salwą rotowych strzałów, kozacy i dragoni pierzchnęli niezwłocznie wtył, pozostawiając na polu liczne ofiary. Lecz tym razem sytuacja była cięższa. Okazało się, że nadążała już za nami moskiewska piechota, która tam, gdzie przedtem stali dragoni i kozacy zaczęła ustawiać swe szyki do boju. Jedna rota piechoty rozsypała się w tyraljerę, a po obu końcach łańcucha tejeż stanęli kozacy i dragoni łukowatą linją. Niebawem też zaryczały dwa działa i ciężkie moskiewskie pociski, unosząc się ponad naszymi głowami, leciały do wsi Warzyna, warcząc ponurym basem.

Gdy w dalszym ciągu nadciągnęły jeszcze cztery rotы piechoty, dwie z nich ukrył Czengiery za łańcuchem swoich tyraljerów jako rezerwę, a pozostałe dwie rotы

pomaszerowały chyłkiem za obie linje dragonów i kozaków, aby pod ich osłoną wpaść na nasze tyły i zajmą-
szy wieś dokonać zupełnego rozbicia naszego oddziału.

Chmieleński, obserwujący przebieg bitwy zapomocą lunety, zauważywszy manerw Czengierego, ściągnął niezwłocznie swoich teraljerów, nakazał biegiem wpaść do wsi i jak najszybciej zająć miejsca na przygotowanych do dalszej jazdy podwodach. Wślad za nami podążyły również dwie kompanje, a czwarta kompanja, rozwinąwszy szyk dwoma plutonami, cofała się już powolniej, strzelając bez przerwy do napierających wrogów.

Jeszcze chwilka..., a już wszyscy siedzimy na podwodach przy donośnym śpiewie: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Maćki, Bartłomieje i Wojciechy przykładają bagnetki do skór swojej chudoby, a pocziwe koniska, jakby przeczuwając grożące im niebezpieczeństwo, wałą z kopyta, aż miło patrzeć. Świst kul moskiewskich goni za nami czas jakiś bezskutecznie, aż wkońcu piechota moskiewska daje za wygranę.

Okolicami leśisto-odkrytemi, również na północno-zachodnią stronę obok Nagłowic, Dąbia i Bębelska podążaliśmy ku Czarnocy, dawnej posiadłości hetmana Stefana Czarnieckiego, gdzie w kościele, przez niego ufundowanym, spoczywają śmiertelne szczątki tego niezapomnianego w Polsce rycerskiego wodza.

Pozostawiwszy na polach Warzyna paru zabitych kolegów i zabrawszy z sobą kilku ranionych, odbywaliśmy tę blisko czteromilową podróż, bezustannie atakowani przez konnicę. Piechota rosyjska, choć znużona do najwyższego stopnia prawie trzydniowymi forsownymi marszami, szła i szła naprzód.

Cóżby jednak pan generał Czengierzy dał, ażeby jakimś nadprzyrodzonym sposobem mógł w czystym polu

przerzucić część swojej piechoty na czoło naszej kolumny i rznąć do nas z dwóch stron karabinowym ogniem, obsypywać kartaczami, obrzucać rakietami i zacieśniać koło owego łańcucha?

Tymczasem myśmy wciąż byli na przodzie i to było bene naszego pułkownika.

Ten „przodek“ stanowił *conditio sine qua non* przewagi Chmielińskiego nad Czengierem.

Chmieliński baczył więc tylko na czoło swej kolumny i strzegł je, jak źrenicy w oku.

I oto właśnie teraz, gdyśmy może ujechali trochę więcej jak milę drogi od Warzyna, Chmieliński zatrzymał cały oddział w czystym polu i, nie zwracając uwagi widniejących zdala kawalerzystów rosyjskich, nakazał chwilowy dla koni odpoczynek. Ma się rozumieć, że wzdłuż całego taboru wozów pokładliśmy się na ziemię i, mając przy sobie karabiny wpogotowiu, znakomicie rozciągaliliśmy pod promieniami słonecznymi na miękkiej trawie pokurczone członki. Zajadaliśmy paprykowaną słoninkę, dokładali chlebem, popijali okowitą i było nam z tem wszystkim bardzo dobrze i wesoło.

Kozacy i dragoni objeżdżali nas ze wszystkich stron, węszyli, jak tylko mogli, strzelali do nas, kiedy tylko chcieli, ale myśmy sobie niewiele co z tego robili. Oni wiedzieli, że stanowili siłę z 300 ludzi złożoną, a do tego siedzącą jeszcze na pysznych rumakach, — myśmy zaś, nie posiadając balastu końskiego, reprezentowali cyfrę czterystu szarych, nieźle wyćwiczonych w strzelaniu piechurów. Przewaga zatem była tylko po naszej stronie. Jeżeli kulki kawalerji moskiewskiej nas nie dochodziły, któżby zechciał marnować proch i ołów na bezskuteczną odpowiedź? Inna rzecz była w takich razach, gdy moskiewskie osy, zaczęły nam brzęczeć koło uszu, lub gdy

który z podwodowych koni rozciągnął kopyta i trzeba go było zastąpić innym, zapasowym. Wtedy dawało się salwę, skutkiem której hołota moskiewska natychmiast niknęła z widowni. Podsuwanie się bliskie konnicy ku nam bardzo rzadko zresztą się zdarzało, a to z tego powodu, że najczęściej uśmiercaliśmy te niewinne stworzenia, a kozak lub dragon, pozbawiony swego bieguna, zmuszony był potem drałować piechotę, lub gniewać się niewygodnie za plecami swego kolegi.

Do obejścia przez piechotę rosyjską nie dopuściliśmy, Chmieliński bowiem, z niezwykłą intuicją rekognoskując ustawicznie patrolami konnemi okolicę, zawsze szczęśliwie ustalał kierunek naszego pochodu. Zaskoczenie więc naszego czoła przez nieprzyjaciela stawało się niemożliwe do wykonania.

Jak tylko w czasie takiej walki z kawalerją zaczęła się ukazywać piechota nieprzyjacielska, wówczas zajmowaliśmy swoje miejsca na furmankach, a podwozy w przypieczonym tempie pędziły dalej. Bawiło nas to niezmiernie, wprowadzając w świetne humory.

Gdyśmy nareszcie znaleźli się w bliższych od wsi Czarnicy okolicach i rozłożyli na dłuższy wypoczynek pod lasem, Moskałe za jakiś czas ponownie zaatakowali nas nadciągającą piechotę. I znowu powtórzyła się prawie ta sama historia, co pod Warzynem. Paru zabitych w naszym tyraljerskim łańcuchu, kilku ranionych, kpiny z huku moskiewskich armat, ponowne pod ogniem wsiadanie na podwozy i dalsza pośpieszna jazda.

W godzinę albo może półtorej po tym epizodzie Chmieliński, nie przerywając naszej jazdy, zdał wszystką swoją piechotę pod komendę kapitana Nowickiego i polecił temuż prowadzić cały oddział zupełnie w ten sam sposób na stare obozowisko w lasach pod Rudnikami.

Gdyby kapitan Nowicki w ciągu dalszej jazdy nie był więcej napastowany przez konnicę nieprzyjacielską, miał po osiągnięciu celu podróży rozpuścić wszystkie podwody i tam oczekiwać powrotu pułkownika.

Chmieleński po takim rozporządzeniu stanął na czele garści swojej kawalerji i w odwrotnym kierunku zniknął nam niebawem z oczu. Opowiadano później, że okrążywszy lasami maszerującego za nami Czengierego, znalazł się na tyłach jego wojsk, śmiało zaatakował ze zgoła niespodziewanej strony i tem samem wprowadził rosyjskiego generała w zupełne osłupienie.

Czengierey zbity z tropu, przekonawszy się, że sam Chmieleński dowodzi atakującym go konnym oddziałem, był pewien, że poza nim znajduje się i jego piechota, ściągnął przeto z frontu swoich kozaków i dragonów i kazał im gonić Chmieleńskiego. Sam również z piechotą udał się za konnicą w ich ślady, a zmęczony doreszty i tak już nad wyraz znużonych żołnierzy, plunął na wszystko i rozkazał powolny odwrót do Kielc.

Taki smutny koniec wzięły zapalczywe popędy Czengierego.

Ktoby zaś z amatorów uciesznych humoresek zechciał się trochę zabawić, temu polecam uważne przestudjowanie *Wspomnień obozowych Krzywdy*.

Rozciągając, na przykład, swoje fantazyjne opowiadania (od str. 33 do str. 50), tak opisuje zakończenie wyprawy na nas generała Czengierego:

„Piechota polska po trzchedniowej walce i ciągle marszu dnem i nocą, mając nieprzyjaciela na karku, tak była zmęczona, iż przyjęcie bitwy w tym stanie rzeczy narażało cały oddział na niechybne rozbicie, to też Chmieleński dla ocalenia piechoty postanowił poświęcić kawalerję wraz z sobą, a przynajmniej wystawić na szalę niepewną, powierzając ocalenie nasze jedynie szybkości nóg końskich“ (str. 44 i 45).

Pan Napoleon Krzywda, jeżeli taką prawdą żyje na

tamtym świecie, jak na ziemskim globie, to z pewnością nie zasłużą sobie na niebieską koronę.

Daj mu Boże takie zdrowe nogi i takie zmęczenie w krainie duchów, jakie my mieliśmy po potyczce pod Czarną. Gdyby bowiem Krzywda zadał sobie tylko troszeczkę trudów i obliczył wszystkie przestrzenie, jakie myśmy od początku aż do końca tych trzech walk przebyli, wówczas z pewnością nie zechciałby swego nazwiska na szwank narażać, gdyż przyznałby, że oddział Chmielińskiego absolutnie piechotą maszerować nie mógł.

Za dowód niechaj posłuży następujący wykaz odległości jednych miejscowości od drugich: z Żeleźnicy do Rogienic 22 km, z Rogienic do Cierna 16 km, z Cierna do Nagłowic 8 km, z Nagłowic do Pawłowic 12 km, z Pawłowic do Nawarzyc 17 km, z Nawarzyc do Warzyzna 16 km, z Warzyzna do Czarncy 28 km, z Czarncy do Rudnik 8 km. Razem linjami prostymi 127 kilometrów. Przyjawszy na różne skróty dróg wiejskich w przybliżeniu około 23 km, otrzymamy razem 150 km.

Równa się to 20 milom polskim, licząc po $7\frac{1}{2}$ kilometrów na jedną milę. A ponieważ całość wojennej wyprawy została obliczona na 3 doby, przeto na każde 24 godzin marszu wypadało po 6 i $\frac{1}{2}$ mil polskich.

Proszę przeto łaskawie odpowiedzieć, czy jest możliwe, ażeby żołnierz Chmielińskiego, obciążony karabinem, tornistrem, ładownicą i grubym płaszczem, zwinętym w rolkę i przewieszonym przez ramię, słowem w całym wojennym rynsztunku, mógł bez przerwy maszerować piechotą i uchodzić przed pogonią przez 3 doby zrzędu, robiąc na dobę po 6 i $\frac{1}{2}$ mil?

Ocalenie zatem polskiej piechoty, zależne było na całej długiej przestrzeni salwowania się od rozbicia przez Moskali wyłącznie od jazdy na furmankach, czego Chmie-

liński z całą ścisłością przestrzegał i to właśnie było dla nas najzbawienniejszym środkiem ochronnym. Chmieleński przeto nie ocalił oddziału męstwem garstki swojej piechoty, tej zaś poświęceniem kawalerji, tylko podwodami, które wobec trzykroć przeważającej liczby wrogów, stanowiły najskuteczniejszą taktyczną siłę Chmieleńskiego. Czengiery, maszerujący bez wytchnienia na naszych tyłach, miał 5 rot piechoty, a zatem około 1250 karabinów. Chcąc gonić nas na furmankach, musiałyby na ten cel użyć 300 wozów chłopskich, licząc po 4 żołnierzy na jeden wóz. Piechota Chmieleńskiego o sile 400 ludzi mieściła się na 100 furmankach, lecz właśnie miała tę nadzwyczajną nad Czengierem przewagę, że była zawsze na przodzie i że piechocie moskiewskiej nie pozwoliła się nigdy otoczyć. Moskale, przechodząc okolicami, przez nas opuszczonemi, zastawali wioski całkowicie przez nas ogołocone z wozów i koni. Dostawały im się wprawdzie pewne ilości podwód, pozostawionych przez nas na drogach z powodu wyczerpania sił końskich, oraz przypędzanych przez kozaków z bocznych wiosek, lecz w najlepszym razie były to tak znikome ilości, że mało przynosiły korzyści.

Czengiery, z trudem i znacznym wysiłkiem doganiając nas na miejscach naszych niezbędnych wypoczynków, musiał z prawdziwą wściekłością patrzeć na odjeżdżających w jego oczach powstańców i nie mogąc ani kroku naprzód ruszyć, zmuszony był tam wypocząć, gdzieśmy przed chwilą sami wypoczywali.

Taka ciuciubabka odgrywała się ustawicznie bez zawiązywania oczu chusteczką, a do tego najczęściej w białe dzień.

Napoleon Krzywda musiał brać miarę naszego znużenia z tych zapewne oznak, żeśmy niejednokrotnie obok

swych podwód maszerowali per pedes aposto-
rum. Fakt taki jednakże niczego nie dowodzi i nie
przemawia na naszą niekorzyść. Kto bowiem, jak my,
w przeciągu długiej podróży na wozach miał poobijane
i poobstukiwane kości na drogach furmankowych, a nogi
całymi godzinami pokurczone, ten musiał, chcąc nie chcąc,
złazić niekiedy z podwody i maszerując piechotą, czy na-
wet biegnąc rozprostowywać zbolące członki. Myśmy
nawet spali na podwodach, urządzając się do snu tak, że
dwóch żołnierzy wyskakiwało z fury na ziemię i przez
całą godzinę zabawiało się w piechurów, pozostali zaś
dwaj koledzy wyciągali się zwykle plecami do siebie
przez długość wozu i w najlepsze ucinali „chrapowiec-
kiego“.

Czytając opisy trzydniowych naszych walk, skreślo-
nych piórem Krzywdy, wprost oczom własnym nie daje
się wiary, do jak znakomitych bohaterskich czynów zdolna
była jazda Chmielińskiego. A przecież, naprzekór tak
triumfującemu samochwalstwu, dokonane fakta co innego
mówiły właśnie o tej jeździe.

Więcej niż całodzienna bitwa pod Mełchowem w dniu
30 września 1863 r. również odznaczyła się niezwykłą
odwagą tej kawalerji. Chmieliński, w brzasku dnia za-
alarmowany przez Moskali, opuścił Mełchów, aby na skraju
lasów przy pobliskich polach, stanąć do bitwy z nieprzy-
jacielem. Nie chcąc konnicy narażać na strzały moskiew-
skie, pozostawił ją na swoich bliskich tyłach we wsi Meł-
chowie, aby w danym razie mieć ją pod ręką i stosownie
do potrzeby użyć. Moskale w czasie bitwy, chcąc się
upewnić, czy poza frontem Chmielińskiego няма jakich
rezerw, ustawili swe działa tak, aby pociski armatnie
rzucane przez elewację padały na wieś Mełchów, a że
przytem obrzucali jednocześnie tę wioskę i rakietami

kongrewskiem, skutek był taki, że kawalerja Chmielińskiego, wyniosłszy się z Mełchowa, drapnęła aż o kilka mil od placu boju.

W obu tych bitwach nieobecność kawalerji pozbawiła nas możliwego zdobycia armat nieprzyjacielskich.

A wiadoma wszystkim bitwa pod Bodzechowem w dniu 16 grudnia 1863? Wszakże brało w niej udział 5 szwadronów polskiej konnicy, w ogólnej liczbie 450 koni, między którymi był właśnie i szwadron Napoleona Krzywdy. Kiedy pułkownik Chmieliński, będąc ranny, zsunął się z konia na ziemię, wszystka ta kawalerja w największej panice przebiegła obok rannego i żaden z kawalerzystów nie zdobył się na odwagę udzielenia ratunku temu wielkiemu wodzowi, który był jedną z nielicznych dusz powstania. Skutkiem tego Chmieliński został przez dragonów wzięty do niewoli i niebawem rozstrzelany w Radomiu. Ze śmiercią tego opłakiwanego powszechnie bohatera, powstanie w województwach krakowskim i sandomierskim zaczęło gwałtownie upadać, a sprawcy tego polskiego nieszczęścia doczekali się tylko surowej publicznej admonicji ze strony generała Bosaka. Chmieliński sam jeden był więcej wart, jak sto takich szwadronów.

Weźmy np. taki niewinny napozór epizodzik, przytoczony na str. 44 przez Krzywdę:

„Do nas przyłączył się oficer wojsk austriackich, kapitan tyrolskich strzelców, Niemiec (nazwiska nie pomnę), który swemi strzałami dobrze dał się Moskałom we znaki; miał on przy sobie dwóch piechurów, którzy ciągle tylko nabijali mu karabiny, a on strzelał; każdy strzał jego był celny; on sam jeden, czego naoczny był świadkiem, zsadził z konia ze dwudziestu kozaków i dragonów. Ale bo też sławnym był strzelcem, o każdy jego strzał można było trzymać zakład, będąc pewnym wygranej“.

Przedewszystkiem stanowczo zaprzeczam, jakoby w piechocie Chmielińskiego, oprócz przytoczonych przeze mnie imion i nazwisk czterech kapitanów, znajdował

się jaki Niemiec, kapitan tyrolskich strzelców. Również i rezerwowego kapitana Niemca w całym obozie Chmielińskiego nie było, a to tem więcej, że nasz pułkownik nie lubował się w otoczeniu swej osoby sztabowymi oficerami.

Niemniej za dowód nieprawdy może posłużyć i ta okoliczność, że kiedy kapitan Franciszek Skąpski poległ w bitwie pod Ciernem, wówczas Chmieliński powierzył dowództwo osieroconej kompanii porucznikowi Albinowi Tylmanowi. Gdyby więc był w oddziale Chmielińskiego jaki zapasowy oficer w randze kapitana, jemu całkiem naturalnie należałoby się pierwszeństwo w uzyskaniu komendy. Był wprawdzie pod Chmielińskim nie „Niemiec“ lecz Słazak, kapitan Hoffman, słynny z celności swych strzałów, który jednak na czele kompanii strzelców z samych Słazaków złożonej poległ bohaterską śmiercią na polach Rudnik i Załęża w dniu 28 lipca 1863 r., tak strasznie porąbany przez moskiewskich dragonów, że na ciele jego znaleziono aż 37 ran. Sam zresztą Krzywda dobroduszenie wynurza się, że nazwiska owego Niemca nie pamięta, a szkoda wielka, gdyż może który z żyjących chmielińszczaków przypomniałby go sobie. Ale, nie o to tylko tutaj chodzi. Krzywda w dalszym ciągu wywodów o Niemcu powiada, że do konnej arjergardy, złożonej z 22 ludzi i wstrzymującej przez całą godzinę napór 300 kawalerzystów moskiewskich, przyłączył się ów niemiecki amator strzelania i mając z sobą dwóch piechurów do nabijania, zsadził z koni ze dwudziestu dragonów i kozaków.

Arjergarda jest przecież na to, ażeby przynajmniej w oddaleniu 300 kroków postępowała za piechotą. Przypuśćmy, że przeoczyłem istotnie jakiegoś fikcyjnego kapitana w obozie, lecz trudno zrozumieć, w jaki sposób, przy

znanej surowości Chmielińskiego, mógł kapitan w czasie atakowania nieprzyjaciela opuścić swoją kompanję, zdać ją na łaskę losu (boć przecież w czystym polu liczna moskiewska kawalerja każdej chwili mogła się przerzucić i na boki piechoty Chmielińskiego) i pójść aż do znacznej oddalonej arjergardy w celu popisowywania się strzałami?

Tak to się zabawia czytając publiczność.

A teraz jeszcze parę wdzięcznych fiołeczków:

„Pułkownika swego (str. 46) trzymaliśmy przed sobą, popełniając ztyłu jego konia, by dobrze nogi naciągał; każdy miał sobie za punkt honoru nie wyprzedzać w tych śmiertelnych wyścigach swego ukochanego dowódcy“.

Czy to można pułkownika lub innego dowódcę, przepisowo znajdującego się na froncie, „z musu“ trzymać przed sobą, a co większa mieć sobie „za punkt honoru“ ukochanego dowódcy „nie wyprzedzać“?

Napoleon Krzywdą był przy końcu powstania niezaprzeczalnie rotmistrzem kawalerji, lecz okazuje się z wszystkiego, że nie znając regulaminu wojskowego i przepisów o karności żołnierskiej, sam się zdradził z tem, że posiadał bardzo słabe na oficera kwalifikacje.

We Wspomieniach obozowych (str. 33 i 34) Krzywdą najwyraźniej pisze, że wysłany w czasie walki pod Ciernem w awangardę, tem samem w bitwie staczanej przez piechotę Chmielińskiego żadnego udziału nie brał, zachodzi przeto pytanie, dlaczego z całą pewnością stwierdził, że przebiegu tej bitwy zaciętej i krwawej nie będzie powtarzał, gdyż autor Pamiętników powstania „dokładnie ją opisał“?

Wszak jest rzeczą oczywistą, że kto czego osobiście nie widzi, w jakim zdarzeniu udziału nie bierze, nie może o tem mówić, a tem bardziej pisać. Lecz przyjmować na niewidziane to, o czem kto inny pisał, to należy istotnie do nieodgadnionych zagadek.

Czemu więc od tej zasady Krzywda odstąpił?

Do kategorii bitew można było zaliczyć walkę pod Ciernem, która ze względu na długość jej trwania, znacznieszą z obu stron ilość zabitych i ranionych, a wreszcie z przyczyny ustąpienia Moskali z placu boju zasługiwała na to miano. Co zaś do krótkotrwałych walk pod Warzynem i Czarncą, gdzie straty były mało znaczne, miejsca walki nie można nawet było chrzcić imieniem „placu boju“. Wyróżniały się one nieznacznie tylko dłuższymi orężnymi zapasami od ustawicznych starć z napięciem kawalerji moskiewskiej w ciągu całego naszego cofania się, nosiły zatem charakter pospolitych potyczek. Wątpię też bardzo, czy pułkownik Chmieliński składał o nich jakie do gazet sprawozdania i relacje, nie kwalifikujące się zresztą do druku z powodu podrzędnego przebiegu obopólnych zapasów.

Co miał na myśli Krzywda, pisząc na str. 49 swej broszury:

„Straty nasze w tej trzechdniowej, jednym prawie ciągiem prowadzonej bitwie były przerażające: z ładnego tego, doskonale wyćwiczonego i wymustrowanego oddziału, nie zostało jak ze 160 piechoty i czterdzieści kilka koni kawalerji, razem 200 ludzi z górą; ubyła nas zatem blisko połowa“.

Myśli autora tych słów musiały dobrze błędzić po nieodgadnionych manowcach i bezdrożach, jeżeli nie znał rzeczywistej liczebności swego oddziału, a nadewszystko, że większą część żołnierzy Chmielińskiego jednym skrobnięciem pióra zniósł z tego świata.

Cóż więc robił Krzywda i jego koledzy kawalerzyści? Czy może w zaciętym i morderczym boju na podjazdach, forpocztach i rekonesansach obliczali te setki poległych i ranionych?

Kawalerja Chmielińskiego, do stu ludzi licząca, stanowiła jedynie siłę pomocniczą czterech kompanij pie-

choty. Przeznaczona wyłącznie do służby obozowej, bardzo mało prochu w tych trzechdniowych walkach wachała, wywiązując się natomiast odpowiednio we właściwym jej zakresie działania. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Chmieliński bezustannie wysyłał liczne patrole, podjazdy, forpocztę i rekonesanse na wszystkie drogi naszego marszu, silne partje konnicy z poleceniem doraźnego rekwirowania podwód z pobliskich naszej drogi wiosek i odstawiania ich na wskazane zgóry miejsca, a oprócz tego osobne oddziały kawaleryjskie do przysposobienia na oznaczony czas chleba i różnych wiktuałów po dworach, około których mieliśmy przechodzić, to będziemy mieli gotową odpowiedź, czy zasłużeni bądź co bądź kawalerzyści Chmielińskiego mieli czas na obliczanie poległych i rannych żołnierzy.

Krzywdzie koniecznie się zachciało pozować na wielkiego bohatera kosztem piechoty. Kłam jednakże takiemu zapatrywaniu zadawał sam generał Czengiery, który nigdy się nie uganiał za mizernie, bo powierzchownie tylko wyszkoloną polską kawalerją, lecz niezmordowanie pędził swe bataljony za polskim piechuram.

Przysłowie polskie powiada, że gdzie konia kuja, tam żaba nogę podstawia. Otóż taką żabą są wszystkie opisy o trzechdniowych walkach Krzywdy, gdzie 400 pieszych żołnierzy Chmielińskiego ginie w pomroce skreślonych wydarzeń, a tylko sławna powstańcza konnica rej wodzi i figuruje na pierwszym planie.

W całym tym pochodzie w zabitych i ranionych mogliśmy mieć najwyżej 50 ludzi. Strata więc była stosunkowo nieznaczna, pomimo, że w trzychdniowych walkach, w razie nieumiejętnego kierownictwa, mogła być o wiele większa lub doprowadzić do zniszczenia całego oddziału.

Prawdopodobnie Krzywda przez wykazanie niebywale ogromnych strat chciał przedstawić olbrzymie niebezpieczeństwo wytrwania w podobnie ciężkich opałach, a więc i większego bohaterstwa. Inaczej absolutnie nie można tłumaczyć tak fantastycznie osnutych bajeczek, a zarazem w znacznej części skomponowanej marszruty pochodu oddziału Chmielińskiego.

Napoleon Krzywda w zakończeniu swych opisów o walkach pod Ciernem, Warzynem i Czarną oświadcza (str. 50), że będąc bardzo zmęczony i trochę niezdrów po trzymiesięcznym pobycie w obozie Chmielińskiego, postanowił parę dni odpocząć, w którym to celu prosił pułkownika o udzielenie krótkiego, parodniowego urlopu. Uzyskawszy go, konno i zbrojno udał się do domu. Mnie się zdaje, że autor musiał popełnić omyłkę w dacie uzyskania tego urlopu. Tyle i tak rażących błędów i sprzeczności, takie mnóstwo fantazji, opartych na urojeniach i absolutnej nieprawdziwości podawanych faktów, zdają się dowodzić, że uzyskał on wolność jazdy do domu nie po odbyciu tych walk, lecz przed ich rozpoczęciem.

Dopiero odniedawna będąc w posiadaniu Wspomnień o bozowych, uważam za konieczne błędy i zanedto rażące usterki niniejszem sprostować. Proszę więc nie brać za złe, że nie wystąpiłem w obronie prawdy za życia autora, dając mu tem możliwość repliki.

Wróćmy jednak do opisywanych zdarzeń.

Na drugi dzień z rana, po zainstalowaniu piechoty w lesie rudnickim, przybył do obozu pułkownik wesołym usposobieniu, zadowolony, że mu się udało Moskali otumanić i wyprowadzić na bezdroża. Wprawdzie porządnie zmęczył siebie i żołnierzy, zwłaszcza swoich kawalerzystów, oraz długą i forsowną jazdą i tak już znużone konie, lecz sukces pozbycia się tak zaciętej zmory,

jaką był Czengiery, wynagrodził sowicie poniesione trudy.

Tego samego dnia adjutant Chmielińskiego, Julian Wiśniewski zebrał nas czterech, przybyłych po porażce pod Małogoszczem do obozu, i zaprowadził do szalasu naczelnika.

Właśnie otrzymał był pewną wiadomość, że w Chrzastowie, odległym stąd o półtorej mili, obozuje oddział majora Iskry. Ponieważ nie zgadzało się z jego przekonaniem przetrzymywanie żołnierzy z innych oddziałów, a zostawił nas u siebie w wyjątkowem tylko naszym położeniu, obecnie, gdy okolica cała jest wolna od Moskali, uwalnia nas z pod swojej opieki z tem żądaniem, abyśmy niezwłocznie udali się pod komendę swego poprzedniego dowódcy. Panu majorowi Iskrze kazał oznajmić, że wiarogodność naszych tłumaczeń gotów jest każdej chwili na żądanie potwierdzić. Chrzastów jest położony nad Pilicą, w południowo-zachodniej stronie, a idzie się do niego przez Załęże i Teresów. Kazał więc udać się zaraz do magazyniera Sokołowskiego, ażeby nas zaopatrzył w żywność na drogę, której kres osiągniemy najdalej za 4 godziny.

Złożywszy ukłon wojskowy przez salutowanie, poszliśmy zaraz do magazynu, skąd po zaopatrzeniu w prowianty i daniu nam przez dyżurnego oficera przepustki na swobodne przejście przez pikiety, z żalem opuściliśmy obóz Chmielińskiego, wyruszając w nakazaną drogę.

Dosyć późnym wieczorem stanęliśmy przed obliczem pana majora, który w otoczeniu sztabowców dosyć lekceważąco wysłuchiwał naszych opowiadań i temi mniej więcej słowy rozstrzygnął nasze losy:

— Skoroście wrócili do mojego oddziału... no, to dobrze. Macie się udać do swoich kapitanów i polecić w mojem imieniu wcielenie siebie w ich szeregi

w stopniach, przedtem zajmowanych. Potwierdzenia waszych zeznań od Chmielińskiego domagać się nie będę.

W obozie dostrześliśmy przechadzającego się w samotności majora Pawła Bogdana, do niego też skierowaliśmy swe kroki. Major Bogdan, cieszący się żywą sympatją wszystkich żołnierzy, rozmawiał z nami dłuższy czas, wypytywał o nasze przejścia pod rozkazami Chmielińskiego, podziwiał jego taktyczne zdolności, utrzymując, że gdyby powstanie nasze więcej miało tak dzielnych wodzów i z takim poświęceniem działających dla sprawy ojczystej, insurekcja zamiast upadać święciłaby coraz to większe triumfy. Późem zaprowadził nas osobiście do miejsc biwakowania kompanij i polecił poszczególnym komendantom wcielić nas w posiadanych stopniach w szeregi.

Jako starszy sierżant-instruktor zaraz z rana następnego dnia wyprowadziłem kompanję piechoty do zwykłych przedpołudniowych ćwiczeń bronią i obrotami, a przybyły w godzinę później kapitan Grob położył się na trawie pod cieniem rosnącego drzewa i uważnie śledził wyniki mojej pracy, nie szczędząc uwag i najrozmaitszych spostrzeżeń. Kiedy żołnierze byli już dobrze pomęczeni, a wykonywając nieraz kilkanaście razy te same zwroty, okazywali coraz to większe w nich uzdolnienie, kapitan Grob, nakazawszy dłuższy wypoczynek, zaprosił mnie do swojego „chłódka“ i poczęstowawszy cygarem, rozpoczął rozmowę, zobowiązawszy mnie do tajemnicy.

Mówił, że z oddziałem Iskry coraz to gorzej się teraz dzieje. Dowódca z każdym dniem bardziej zapomina o ciężących na nim obowiązkach, nie dba o nic, niczem się nie zajmuje, słowem pogrążony jest w zupełnej do wszystkiego apatii. Aż strach przejmuję na to, coby

się z nami stać mogło w razie nieprzyjacielskiej inwazji. Cieszył się bardzo, że powrócił, i dlatego prosił o energiczne wzięcie się do ćwiczeń kompanijnych, ażeby w razie jakiej niespodzianki mieć choć ze strony dobrze wyćwiczonych żołnierzy lepsze zabezpieczenie. Tego samego zdania są kapitanowie Denisiewicz i Rosenbach, którzy, podzielając o smutnym stanie rzeczy opinię, dyplomatycznie zachowują się tylko wobec nieodgadnionych postępowań naczelnika, a całą siłą starają się o utrzymanie karności wojskowej w swoich kompanjach, aby tylko zapobiec rozluźnieniu się dyscypliny.

Wysłuchawszy tej zgola niespodziewanej i smutnej opowieści, uważałem za stosowne nie badać szczegółowo kapitana Groba i nie dochodzić przyczyn tak fatalnej odmiany w zachowaniu się majora Iskry. Rozumiałem jednakże, że poza ogólnikowymi frazesami tego wynurzenia kryją się większe zarzuty, z którymi kapitan Grob nie chciał lub nie mógł mnie obznajmić.

Danego kapitanowi słowa należało dotrzymać, a że młodzieńcza energia i wyborne zdrowie drgały we mnie całą siłą, zaraz też po spożyciu południowego posiłku i po krótkim po nim wypoczynku, zabrałem kompanję w pole i dalejże z nią w wojskowe obertasy. Męczyłem żołnierzy w najrozmaitsze sposoby z 5 godzin, ale skutek już był taki, że gdy pod wieczór przyszedł mój kapitan i na próbę zaczął sprawdzać rozmaite obrotu i ewolucje, uznał, że żołnierze są już na drodze do bardzo dobrego wyszkolenia, a zarazem dodał, że jeszcze kilka dni takich niezmordowanych ćwiczeń, a kompanja jego będzie pod względem wyrobienia wojskowego jedną z pierwszych w całym oddziale.

Ma się rozumieć, że taka pochwała podnieciła porządnie moją ambicję, skutkiem czego, odprowadzając

kompanję do obozu, układałem sobie plan dalszych ćwiczeń na dzień następny i w tym celu prosiłem kapitana o pożyczenie regulaminu wojskowego dla dokładniejszego przestudjowania w wieczornych i rannych godzinach.

Otrzymawszy regulamin, schowałem go do kieszeni i poszedłem w stronę konnicy rotmistrza Bogusza, ażeby odnaleźć słynnego w polskiej kawalerji kozaka Pawła Lotkina, którego poznałem jeszcze w czasach pierwotnego organizowania się oddziału Chmielińskiego w lasach Złotego Potoka.

Lotkin siedział na grubej kłodzie zwalonego drzewa i najspokojniej w świecie kurzył tytoń z króciutkiej fajeczki. Za swoją nadzwyczajną odwagę, zuchwałość i męstwo zdobył sobie rangę porucznika jeszcze podobno w oddziale Langiewicza, mimo to, że ani czytać ani pisać po polsku nie umiał. Wszyscy dowódcy oddziałów polskich, w których Lotkin służył, cenili go nadzwyczajnie i pomimo, że nie posiadał żadnego społecznego stanowiska, wyróżniali go ponad wszystkich, utrzymując, że do rzemiosła wojennego potrzebną jest nadewszystko dzielność osobista, szalona odwaga, pogarda śmierci i rezygnacja ze wszystkiego, a do takich cnót wojskowych, ludzie o wysokiem stanowisku, niepomierne wstręt czują. Lotkin, posiadając te wszystkie przymioty, przeszedł najśmielsze nawet co do niego oczekiwania.

Tak w oddziale Chmielińskiego, jak i w szeregach Iskry cieszyłem się ogromnemi względami tego kozaka, a to z tych powodów, że gdy na Lotkina przypadł 24-godzinny dyżur oficerski, wówczas z własnej chęci przez cały ten czas pozostawałem przy jego boku, załatwiając w razach potrzeby wszelkie pisemne czynności, połączone z działalnością oficera dyżurnego. Lotkin wów-

czas nie wiedział, jak mi ma dziękować i stale utrzymywał, że jak zdobędziemy Warszawę, a on się nauczy czytać i pisać po polsku, wtenczas dopiero będzie wiedział, jak ma moją dlań pomoc wynagrodzić.

— Kak pożywasz, bratiec? (jak się miewasz bracie?) — krzyknąłem na całe gardło zaszedłszy mu od strony pleców.

— A ty skąd się tutaj wzięłeś? — odpowiedział z kiepska po polsku Lotkin. Jej Bohu, ja думаł, что ты уже давно убит (jak Boga kocham, myślałem, żeś ty już dawno zabity). A ty nie wiesz, jak ja tutaj bez ciebie biedowałem. Mnie już trzy razy przeznaczali dyżur, a ja każdym razem wykręcałem się, jak mogłem. Ale dzięki Bogu, że żyjesz, to mi znowu będziesz pomagać. Prawda, że tak?

Ależ naturalnie, że tak — odpowiedziałem. Komu jak komu, ale tobie nigdy nie odmówię swojej pomocy.

Kozak zerwał się z siedzenia, chwycił mnie za rękę i tak ją serdecznie swoją żyłastą dłońią uściśnął, aż mi w niej wszystkie kości zatrzeszczały.

Chcąc odwrócić rozmowę na inny przedmiot, nagle go zagadnąłem po przyjacielsku, szczerze i prawdziwie, co w naszym sztabie się dzieje?

Kozak odrazu spochmurniał.

— Dużo o tem mówić — odrzekł nareszcie. — Ale jeżeli chcesz koniecznie wiedzieć, to ci opowiem, że chyba sam Pan Bóg wie, co nas może spotkać z takim jak Iskra naczelnikiem. — Prosił również o tajemnicę. Utrzymywał, że Iskra już w wojsku rosyjskiem musiał należeć do nałogowych oficerów, tak zwanych „bezpутnikow“ i „uchodiajew“ (łazików), czego skutki coraz bardziej dają się widzieć w ustawicznym pijaństwie Iskry

i niepohamowanej niczem lubieżności. Są to przecież tego rodzaju wady, że przechodząc w nałóg, niczem wykorzeńić się nie dadzą i sprowadzają każdego podlegającego im śmiertelnika na manowce bez wyjścia. Kapitanowie z piechoty unikają istotnie orgij pijackich i innych majora Iskry, lecz jego adjutant B. i rotmistrz, dowódca jazdy, brnąc już widać zdawna w takim samym nałogu, radzi są z okazji i jeszcze bardziej podniecają rozwiniętą do ostatecznych granic chorobę pijaństwa naczelnika. Dopiero przybyły przed kilku dniami major Bogdan, jedynie swoją osobą przyczynił się do powstrzymania jawnej hulatyki. Szanowna ta trójka odrazu widocznie zrozumiała, że major Bogdan nie będzie towarzyszem wszelkich sprośnych bachanali i z tego tytułu zostawili mu swobodę dowolnego działania w całym obozie, którym zresztą oddawna już przestali się zajmować. Nałóg zaś ich doszedł do takiego stopnia napięcia, że pod wieczór śledzą tylko, kiedy major Bogdan uda się na spoczynek i odtąd przez całą noc poświęcają się zabójczym dla siebie uciechom, aby rano przedstawić się oczom całego obozu w stanie niewyspanym z obrzękniętymi od wypitego alkoholu twarzami, z błędnym wzrokiem i nie możliwością prawie stania na nogach. Tego rodzaju postępowanie oddziaływa fatalnie na wszystkich żołnierzy. Brak przykładu zgóry doprowadził już niejednokrotnie do objawów niesubordynacji i gdyby nie taktowne i zapobiegawcze postępowanie majora Bogdana, kto wie, czy rozprężenie wszystkich żołnierzy, nie doprowadziłoby do ogólnych wybryków, a nawet do działań, kompromitujących ideę powstania. Piechota, trzeba przyznać, pod sprężystą komendą swych kapitanów, a co ważniejsza pod silnym sterem majora Bogdana, wybrnęła już w znacznej części ze swojego wojskowego zaniedbania i z tej

demoralizacji, którą się już zaczęła przyjmować od tych czynników, co zamiast święcić przykładem wzorowego zachowania, zapomnieli o najświętszych względem ojczyzny obowiązkach. O kawalerji majora Iskry na nieszczęście tego powiedzieć nie można. Jeżeli bowiem sam jej rotmistrz nietylko że ulega błędom i zbrodniczym wadom naczelnika, ale nawet i sam go do pijatyki zachęca i całemi dniami śpi bez opamiętania, to można sobie wyobrazić, jak ta nasza konnica obecnie wygląda? Jednego należy się obawiać, a to napadu ze strony Moskali na nasz obóz. Chociaż przyznać to należy, co jest bardzo zagadkowe, że od chwili wystąpienia na widownię oddziału Iskry, Moskale nigdy ani razu nas nie atakowali! Lotkin wreszcie zaczął narzekać na los, który zrządził, że się dostał do takiego oddziału, z którego teraz nie wiadomo, jak się wydostać, aby uniknąć nieprzewidzianych i opłakanych następstw.

W ten sposób z opowieści Lotkina o wiele wyraźniej i szczegółowiej, aniżeli to uczynił kapitan Grob, dowiedziałem się o istotnym stanie obozu Iskry.

KOZAK PAWEŁ LOTKIN.

Kozak Lotkin odznaczył się w powstaniu 1863 r. taką nadzwyczajną odwagą, brawurą w napadach na Moskali i zacięta do nich nienawiścią, że w bardzo krótkim czasie po jego ukazaniu się w szeregach narodowych polskich krążyło mnóstwo najrozmaitszych, nieraz nawet nieprawdopodobnych o jego bohaterskich czynach opowiadań.

Ponieważ w województwie krakowskim i sandomierskim stał się Paweł Lotkin postacią nawskroś legendarną, uważam przeto za obowiązek sumienia naryskować piórem to wszystko, co o nim ciekawszego zebrać mogłem.

O ile pokochał Polskę i Polaków, o tyle pogardzał zbójecką i dziką (jak sam się wyrażał) naturą carskich służalców i nadzwyczajny wstręt odczuwał do całej moskiewskiej, pogrążonej w nieludzkim despotyzmie elity.

Przyczyna, skutkiem której przeszedł w szeregi powstania polskiego, była rzeczywiście nadzwyczajnie poważna.

Początek miesiąca stycznia 1863 r. zastał Lotkina jeszcze w szeregach sotni dońskich kozaków, konsystującej w Kielcach. Fizycznie bardzo silny, 30 lat podówczas liczący Lotkin, mężczyzna więcej jak średniego wzrostu,

zwinny i muskularnie wyrobiony, od dzieciństwa razem z koniem wychowany, nie odznaczał się szczególniejszą urodą. Fizjonomia jego była nawskroś kozacka, o siwych oczach, wcale niełagodnych, a więc tak surowych i ponurych, jakie zwykle cechują spojrzenia Dońców. Oblicze jego niemal kwadratowe i płaskie, posiadało cerę śniadą i ogorzałą, spaloną od najwcześniejszej młodości słonecznymi promieniami na stepach kozackich.

Nieszczęściem dla niego, że zakochany w czarnobrewej i figlarnej pokojówce naczelnika sądu kieleckiego (jak to sam opowiadał), zgłosił swoją niezwykle miłą atencję formalnem oświadczeniem pojęcia jej za żonę. Dziewczyna, dowiedziawszy się, że każdy z Kozaków jest właścicielem gospodarstwa na stanicach, nad Donem położonych, że posiada grunta, domostwa, konie, krowy, nierogaciznę, drób wszelkiego rodzaju, a nawet grzyby i ryby, odwzajemniając się również gorącym uczuciem, postanowiła czekać aż do ukończenia powstania, to jest do czasu, kiedy Lotkin zwolniony z czynnej powinności wojskowej, powróci do domu i na wieki połączony ze swoją Anusią, uczyni z niej gospodynię własnego gospodarstwa.

Czując się urzędową narzeczoną swego ukochanego, niejednokrotnie zachodziła pod koszary swego oblubieńca, aby po wywołaniu go, porozmawiać z nim trochę i nabrać otuchy do niecałkiem pewnego jutra.

Obopólnej takiej, a wzajemnej miłości, wszedł w drogę całkiem nieprzewidziany casus fatalis. Oto urodziwa Anulka, odwiedzając czasami swego niedoszłego męża, wpadła w oko kozackiemu esaułowi, który podniecony jej pięknnością, rozgorzał ku niej uczuciem największej pożądliwości, a ponieważ wszystkie beczelnie czynione propo-

zycje zostały bez skutku, a różnego rodzaju namowy, a nawet prześladowania, rozbiły się o jej nieposzlakowaną uczciwość, esauł postanowił zemścić się na Bogu ducha winnym jej oblubieńcu, czekając tylko sposobności do skutecznego wykonania swego prawdziwie moskiewskiego zamiaru.

Pewnego pięknego dnia esauł polecił całej sotni kozaków wyprowadzić konie do ujeżdżalni, wziąć ze sobą ruchome barjery i ćwiczyć konie w skokach. Gdy Lotkin swoją kolejkę kilka razy odbył i najwyższe przeszkody z całą lekkością poprzęsadał, zobaczył raptem, że poza ogrodzeniem rajtszuli, pomiędzy gapiącą się cywilną gawiedzią znajduje się i jego ukochana Anulka. Nie mogąc wytrzymać, aby jej bodaj zbliska nie pozdrowić, podjechał na swym koniu ku ogrodzeniu ujeżdżalni, dając znak ukochanej, ażeby się ku niemu zbliżyła. Anulka chętna wezwaniu podeszła ku niemu rozpoczęła pogawędkę.

Traf chciał, że esauł dostrzegł owe niepożądane dla siebie umięgi dwojga młodych ludzi. Spiał konia ostrogami i w sekundzie stanął przed Lotkinem.

— Czy ty w służbie jesteś? — wrzasnął mu po moskiewsku nad uchem.

— Toczno tak, wasze błagorodje (tak jest, wasza wielmożność).

— Slezaj z łoszadi (złaz z konia).

Lotkin zeskoczył z konia, to samo uczynił i esauł, a wtedy, trzymając konie za wodze, stanęli groźnie naprzeciw siebie.

— Winowat, ili niet? (winien, czy nie?) — zagrzymiał z wściekłością esauł.

— Niet, wasze blahorodje (nie, wasza wielmoż-

ność) — odpowiedział Lotkin, wyciągnawszy się po wojskowemu jak struna.

— Tak nadujśia, sukinsyn! (to się nadmij, psi synu!)

„Nadujśia“ należało do doraźnych i wielce barbarzyńskich egzekucyj w wojsku rosyjskiem, a polegało na tem, że wezwany obowiązany był do wydęcia obu policzków tak silnie, ażeby niemal oczy z orbit wychodziły. Skazujący podwładnego na karę śledził pilnie, azali wydęcie jest prawidłowe i zadowalające. W przeciwnym razie wrzeszczał: łutsze! (lepiej). Jeżeli mu poprawionego wydęcia było jeszcze za mało, krzyczał po raz drugi: jeszcze łutsze! (jeszcze lepiej). Gdy wydęcie było zupełnie dostateczne i większego naprężenia policzków uzyskać już nie było można, wtedy w powietrzu migała z największą siłą rozmachnięta ręka pana kata, a uderzony delikwent padał nieraz zemdłony na ziemię, przeważnie z pozbawieniem kilku lub kilkunastu zębów, a czasem z pękniętą szczęką. Powietrze, wypełniające jamę ustną przez naprężenie policzków, a następnie przez silne weń uderzenie, dokonywało takiego zniszczenia.

Lotkin błyskawicznie zrozumiał grozę swojego położenia. Miał paść ofiarą hańby doraźnej w oczach całej setki kolegów, wobec licznego audytorjum cywilnych widzów, a nadewszystko w przytomności ubóstwianej Anulki.

— Jak ty mnie, tak ja tobie — pomyślał.

Pozornie niby zaczął policzki nadymać, lecz jednocześnie przysposabiając swą nadzwyczajnie żyłastą i grubą, prawdziwie niedźwiedzią łapę, jak nie świsnie nią w twarz przeciwnika, aż z esauła, bez wydęcia policzków, tylko drzazgi poleciały. Przewrócił on natychmiast kozła w powietrzu i padł bez przytomności na ziemię, brocząc krwią z ust i z nosa.

— Ubił esauła... ubił! (zabił esauła, zabił) — krzyczano dookoła.

Widząc, że to nie przelewki, Lotkin porwał rewolwer esauła, wskoczył na konia, przesadził ogrodzenie ujeżdżalni i puścił się galopem w stronę widniejącego lasu. Za nim popędziło w pogoń kilkunastu kozaków na koniach, wrzeszcząc, co mieli sił:

— Łowi, łowi etowo rozbojnika! (Łap, łap, tego rozbojnika).

Okazało się, że żaden z goniących nie miał broni przy sobie. Licząc na to, że i Lotkin jest bezbronny, już go mieli dogonić i złapać, gdy wtém uciekający strzelił do najbliższego kozaka i zwałił go na ziemię. Reszta Dońców, widząc, co się święci, drapnęła zpowrotem do Kielc.

Lotkin ocalał.

Walęsając się dłuższy czas po lasach i żyjąc prowiantami zakupowanymi po małych miasteczkach, już się nosił z zamiarem przejścia granicy austriackiej, gdy niespodziewanie nastąpił wybuch powstania w dniu 22 stycznia 1863 r. i nasz kozak znalazł bezpieczne przytulisko w szeregach generała Langiewicza.

Takie o sobie szczegóły opowiadał mi Lotkin i tak je teraz podałem.

Po przejściu części oddziału Langiewicza do Galicji i rozproszeniu resztek jego żołnierzy w granicach Kongresówki, Lotkin walczył jeszcze pod Jeziorańskim. Następnie przebywając jakiś czas na żołdzie galicyjskim w Krakowie, w końcu maja przyłączył się do małego oddziałku kawalerji, który pod rozkazami Chmielińskiego wkroczył na terytorja, objęte zbrojnym powstaniem. W tej konnicy pozostawał dopóty, dopóki na mocy rozporządzenia Rządu Narodowego, Chmieliński nie został zmuszony

cały, przez siebie zorganizowany, oddział zdać pod komendę umyślnie w tym celu z Warszawy przysłanego majora Zaborowskiego. Zaborowski objął ów oddział w Seceminie i poszedłszy z nim pod Przedborz, na pomoc Oksińskiemu, który pod pretekstem rzekomej przewagi Moskali kazał złożyć broń i rozpuścić wszystkich żołnierzy. Po takiej nieprzyjemnej aferze, przeszedł Lotkin do oddziału Iskry.

Nie ulega wątpliwości, że nadzwyczaj charakterystyczną i oryginalną swoją postacią prosty ten doński Kozak wzbudzał powszechne zainteresowanie, tem większe, że za szaloną śmiałość w najbardziej nieraz ryzykownych przedsięwzięciach i z własnej częstokroć inicjatywy pochodzących wyprawach przeciw podjazdom i pikietom moskiewskim, został wyniesiony do godności oficerskiej, chociaż oprócz żylastej pięści i nieubłaganej do Moskali nienawiści, kwalifikacyj na taki stopień w hierarchii wojskowej nie posiadał.

Polacy, będąc niepospolitymi graczami w rzemiośle wojennem, ogromnie zawsze cenili męstwo i rycerskość jednostek, bez względu na ich narodowość i wyznanie. Stąd też i kozak Lotkin, chociaż był prawosławnym Ukraińcem, nie umiejącym mówić prawie po polsku, cieszył się tak niezwykłą sympatją i szacunkiem wszystkich kolegów-żołnierzy, a sam tak do nas jakoś serdecznie przylgnął, że istotnie między nim a nami nie było absolutnie nic nieharmonijnego.

Lotkin pomimo swego analfabetyzmu był nadzwyczajnie grzeczny i uprzejmy i wcale niczem nie zdradzał nieokrzesania, które zwykło ujawniać się u niewykształconych osobników. W każdym towarzystwie potrafił odpowiednio się znaleźć i nigdy nie przekraczał granic

przyzwoitości. Inteligencja była mu wrodzona i to właśnie szczególnie zjawisko, stanowiło zagadkową charakterystykę Lotkina, jako zwykłego dońskiego Kozaka.

Matka Lotkina była Polką, możliwe zatem, że krew polska uzyskała przewagę i zatarła wrodzony popęd do objawów zdziczenia.

Zamiłowania do kozackiego stroju nigdy się Lotkin nie wyrzekał. Innych pantalonów, jak niebieskie z czerwonym lampasem nie nosił; innej kurtki nie posiadał, jak tylko kozacką. A ze swoim srebrnym kolczykiem w lewym uchu nie rozstałby się za żadne skarby świata. Krzywa kozacka „szaszka“ (pałasz) w skórzanej pochwie i nieodłączna nahajka obok dwóch wypróbowanych rewolwerów były najulubieńszą jego bronią w każdej potrzebie. Niezwykle muskularny, a przytem zwinny, okazywał niezwykle gibkość ruchów, jaka cechuje typ kozaczy na koniu czy pod koniem. Jego twarz koścista, prawie spłaszczona, przyozdobiona rzadkim, krótkim wąsem, z oczyma niewielkimi, niemal skośnymi, przedstawiała więcej małpi niż ludzki wyraz, z którego przebijała zwinność wiewiórki i chytrość lisa. Obok zaś takich tylko pozornych cech, Lotkin w czynach i działaniach był nadzwyczaj honorowym i prawym człowiekiem, gotowym każdej chwili do walki z wszelką ludzką niesprawiedliwością.

Obie ręce Lotkina były literalnie całe pokryte masą drogocennych złotych sygnetów i pierścionków z brylancikami, szmaragdami, perełkami, rubinami i wszelkimi innymi przyozdobieniami, o których pochodzeniu toczyły się nieraz zabawne dyskusje. Wyjaśnienia udzielił dopiero jeden ze starszych naszych kawalerzystów, który uchodził za dobrego rębacza łbów moskiewskich. Lotkin, wiedząc dobrze o praktykach dońców, starał się nadewszystko

zabierać w bojach kulbaki kozackie, w których zawsze kryły się te najkosztowniejsze przedmioty biżuteryjne, porabowane w dworach polskich lub sklepach żydowskich. Lotkin, przechowując wszelkie inne precjoza, Bóg wie gdzie, pierścionkami przyozdabiał swe palce, aby blaskiem kameleonowym kamieni napawać jak kruk oczy.

Nie ulega najmniejszej kwestji, że nazwisko „Lotkin“ było tylko pseudonimem w powstaniu; w rzeczywistości musiał on z pewnością inaczej się nazywać, bo gdyby Moskale dostali Lotkina pod tem nazwiskiem do niewoli, wówczas nie omieszkaliby tak doniosłego dla siebie wypadku rozgłosić w rosyjskich pismach. Lotkin znosił najważniejsze moskiewskie pikiety i posterunki, nieraz całkowicie niszczył ich podjazdy, alarmował bez przerwy obozy po wsiach i miastach, nie dając im spokoju i w nocy i w dzień. Wiedział, jak ich podejść, podskubnąć, narobić awantur i kłopotów.

Któż, na przykład, jeżeli nie Lotkin w dniu 25 listopada 1863 r. uprzętnął w biały dzień bez strzału, stojącą na moście pod Opatowem kozacką pikietę, kiedy połączone konnice generała Bosaka i Chmielińskiego, wpadłszy niespodziewanie do tego miasta, zrobiły ład z pozostałymi Moskalami, zabierając im magazyny z bronią i ubraniami, konie i kasę?

Naoczni świadkowie owego przygodnego przedstawienia w ten sposób opowiadali.

Daleko za miastem Opatowem stało na moście dwóch kozaków rosyjskich na pikiecie, wytężając swój wzrok w stronę bardzo stąd oddalonego lasu. Nagle z tego obserwowanego punktu wyjechało dwóch pijanych kozaków, co łatwo było można poznać po włożonych z nadto na bakier czapkach i po przewalaniu się z jednej strony koni na drugą. Pikietą moskiewską, stojącą na

moście, upewniona, że ma do czynienia z dwoma kozakami, wysłanymi widocznie od innej komendy rosyjskiej do Opatowa, nie podejrzewając niczego złego, z moskiewską lubością przysłuchiwała się pijackiemu śpiewowi Lotkina:

— Hej... po matuszkie... po Wołgie!

Kiedy śpiewający zbliżyli się już do samego mostu, rzucono im od niechcienia pytanie:

— Wy z której strony?

— Iz Wołoszczowy.

— A wodku imiejetie?

— Konieczno (oczywiście).

I z temi słowy Lotkin, wyjechawszy na most, zsiadł ze swoim towarzyszem z koni, zdjęli z siebie pełne manierki okowity, a podawszy je, pozwolili im ciągnąć do upadłego. Gdy oczy pijanych stały się błędne i pokryły się jakąś białą-mleczną powłoką, Lotkin zapytał:

— A znajecie wy, kto my takije? (a wiecie co my za jedni).

— Wied', kozaki? (przecież kozacy).

— Niet, my polskije miatieżniki! (nie, jesteśmy polscy powstańcy).

— Wriosz, sukinsyn! (kłamiesz, psi synu).

— Jej Bohu nie wru (na Boga nie kłamię).

— Nu... tak cztóż (no więc co?)

— Tiepier dawajcie swoi rużja i łoszadi! (teraz dawajcie swe karabiny i konie).

To powiedziawszy, w jednej sekundzie rozbroili otumanionych z nadmiaru wypitej okowity kozaków, posadzili bezbronnych na ich własne konie i ruszyli z kopyta w drogę powrotną.

W tej chwili z lasu wyjechał generał Bosak z Chmiełńskim na czele kawalerji.

— Gospodin gienierał — meldował Lotkin — droga w Opatow użę swobodna! (Panie generale, droga do Opatowa już wolna).

Bosak z Chmielińskim, spojrzawszy na pijane towarzystwo Lotkina, wybuchnęli głośnym śmiechem i dawszy koniom ostrogi, popędzili śmiało w stronę Opatowa.

Podobnych scen z życia Lotkina było więcej, a jedna przygoda zwykle przyćmiewała drugą pod względem dowcipu, sposobu wykonania, oryginalnej awanturniczości, a nadewszystko fantazji.

Lotkin, na przykład, uznał za stosowne mieć pod swojemi rozkazami bodaj kilku rzeczywistych kozaków, z kozackimi spisami, w kozackich mundurach, z kozackimi końmi i bronią. Tylko bowiem z takim oddziałkiem mógłby skutecznie uprzętać moskiewskie pikiety, rozbijać ich podjazdy, penetrować obozy.

Gdy mu przedstawiono trudność spełnienia takich zachcianek, a mianowicie niemożliwość dokładnego uszycia kozackich strojów, wystarania się o piki i „szaszki“ kozackie, a nadewszystko o dobór takich ludzi, którzy potrafiliby odpowiednio występować w roli kozaków, Lotkin odpowiedział, że choć jest to trudne zadanie, ale nie dla niego. Prosił tylko, by mu zostawiono swobodę, a sam sobie poradzi.

Cóż było robić? Po tak kategorycznym oświadczeniu zostawiono Lotkinowi wolność robienia z sobą, co tylko zechce, a on tymczasem przez dwa dni z rzędu snuł się jak błędna mara po obozie, nie chcąc nawet z nikim rozmawiać. Na trzeci dzień zniknął z oddziału zupełnie, a piątego dnia zjawił się zpowrotem, przyprowadzając z sobą dwóch rzeczywistych i żywych kozuniów z całym ekwipunkiem i uzbrojeniem.

I cóż to się stało?

Lotkin, napełniwszy dwie wielkie manierki okowitą, a oprócz tego wzięwszy parę butelek słodkiej wódki, bochenek chleba i kupę różnych wędlin, ze znacznym zapasem cygar, wyruszył w ubraniu kozackiem prosto na Kielce! Wiedząc dobrze, gdzie Moskale stawiali najbardziej naprzód wysunięte pikiety kozackie, ukrył się w lesie i ze skraju tegoż obserwował, kiedy nastąpi dwugodzinna zmiana. Doczekawszy się pożądaney zmiany, po chwilce jeszcze oczekiwania, ujawnił się na polu w całej kozackiej okazałości, zmierzając stępa ku stojącym na pikiecie kozakom.

Podjechał do nich blisko, przywitał grzecznie i oznajmił, że jedzie z depeszą od naczelnika wojennego z Jędrzejewa do generała Czengierego. Słowo po słowie wszczęła się pomiędzy nimi żywa rozmowa, przeplatana pijatyką, paleniem cygar i zakąskami. Po godzinie pijatyki, gdy kozacy byli już dobrze „wstawieni“, Lotkin zaproponował schronienie się do lasu przed skwarem słonecznym.

Jeden z nich natychmiast przystał na podobny wniosek, drugi zaś nie chciał z obawy następstw. Lecz gdy zaczął perswadować, że za upicie się na pikiecie, czeka ich niechybne uwięzienie, bicie, a może i rozstrzelanie, a ponadto, gdy w ich oczach podarł na drobne strzępki rzekomą „depeszę“ do generała Czengierego, oporny kozak się zgodził.

W lesie rozłożyli się wygodnie na miękkiej murawie, a pozostawiając koniom rozkosz chrupania zielonej trawki, rozpoczęli dalszą pijatykę, oraz dojadanie chleba i wędlin. A kiedy już wszystko znalazło się w ich brzuchach, zaszyli się w jeszcze większą gęstwę lasu, ułożyli do snu i podchmieleni już na dobre, spalili coś 48 godzin.

Po przebudzeniu ujawniła się przed nimi natychmiast groza położenia w całej okazałości.

— Czto diełat'? (co robić) — mówił jeden.

— Boh znajet (Bóg wie) — dodał drugi?

— Pit' wodku — (pić wódkę) — zakonkludował Lotkin, patrząc filuternie na obydwóch. I zabrał się do okulbaczenia konia.

— Ty kuda? (ty dokąd) — zapytał jeden?

— Gdzie głaza poniesut (gdzie oczy poniosą) — odrzekł smutnie Lotkin.

— Ja s toboju (ja z tobą) — mówił jeden.

— I ja toże (i ja też) — odpowiedział drugi.

Zerwali się na równe nogi, dosiedli „człapaków“ i jeszcze tego samego dnia znaleźli się w polskim obozie, gdzie nie szczędzono im smacznego jadła i dobrych napitków. A kiedy po obfitym poczęstunku Lotkin zapytał, czy im nie tęskno za carem i generałem Czengierym, splunęli z pogardą na ziemię, klnąc siarczyście.

Sprawa dalszego organizowania kozackiego oddziału Lotkina poszła już o wiele łatwiej i w szybszym tempie. Lotkin pewnego pięknego poranku, wybrawszy sobie kilku takich jak sam amatorów pięści i guzów, umieścił na ich czele dwóch ostatnio pozyskanych kozuniów, a sam, wysforowawszy się na front, ruszył z kopyta podobno w stronę Pilicy. Tam, zręcznie zaalarmowawszy niewielką załogę moskiewską, potrafił się sprytnie w pobliżu ukryć, w oczekiwaniu na wyniki.

Wkrótce z miasta wyruszył mały podjazd kozaków coś w liczbie dziesięciu koni, wędząc i tropiąc, gdzie się podziało owo buntownicze lichy, które ośmieliło się ich niepokoić.

Lotkin bardzo grzecznie puścił ich przed sobą, ma się rozumieć, nie spuszczać oczu z kierunku, w którym

pojechali. A kiedy tętent kopyt oddalających się koni już dawno ucichł, pomału, nie śpiesząc się wcale, pojechał za nimi. Lotkinowi widocznie zależało na tem, ażeby podjazd najdalej odciągnąć od miasta i pozbawić bliższej stamtąd pomocy.

Po półgodzinnej możej jeździe na otwartej przestrzeni droga wchodziła w las. Lotkin ze swoim oddziałem stanął za skrzyżowaniem gąszczy leśnej, opatrzył karabinki i rewolwery, czekając na powrót podjazdu kozackiego, co gdy po dłuższym czasie nastąpiło, zniemacka, jak wściekły pies, rzucił się na nieprzygotowanych na niespodziewany napad. Poszarpał kozaków w mgnieniu oka na strzepy, poczem z zimną krwią przystąpił do obliczenia rezultatu krwawej masakry; dwóch kozaków leżało zabitych, trzech rannych nurzało się we krwi na drodze, jeden dobrowolnie się poddał, a reszta w przerażeniu rozpieczęła się na wszystkie strony, aby swemu komendantowi jak najprędzej donieść o olbrzymich siłach Łachów, którzy w tak okropny sposób zdołali ich poturbować.

Lotkin, nie mając już tu co robić, szybko nakazał przewiązać rany trzem kozakom, których, ma się rozumieć, pozbawił zwierzchniego ubrania i broni. To samo zrobili z zabitymi, a połapawszy konie, żywe i martwe ofiary swego napadu pozostawili na placu boju, poczem obładowani ekwipunkiem i umundurowaniem kozackiem, jak jacy konni handełesi, pogalopowali z jeńcem w powrotną do obozu drogę.

Lotkin triumfował.

Co chciał, to dostał, skutkiem czego rozpoczęła się dlań błogosławiona era łatwiejszych już pomysłów i doświadczeń forteli.

Powszechna o Lotkinie opinia przedstawiała go

zawsze z najlepszej strony, szczególnie ze względu na dobroć serca i uczynność. Potrzebującemu czegoś koledze, nie potrafiłby nic odmówić, chociażby miał oddać wszystko, co posiadał. Gdy powrócił z bitwy lub z jakiejś osobistej wyprawy, zwykł był swoim ulubieńcom, z którymi najbardziej sympatyzował, robić prezenty w postaci cennego zdobytego rewolweru, karabinka lub pałasza. Jeżeli który z nich posiadał konia kiepskiego, lub z jakimi wadami, obiecywał mu wymienić go na lepszego i zawsze słowa dotrzymywał.

Tak samo też lubił rozdawać w boju cenne pamiątki Moskałom, o czym w polskich obozach bardzo głośno mówiono. Lotkin, na przykład, podczas harcowania w polu dwóch nieprzyjacielskich oddziałów kawalerji, lubił w oczach wszystkich zniknąć z końskiego grzbietu, spuszczać się pod jego brzuch. Koń, lecąc pozornie sam jeden, równał się z pierwszym lepszym nieprzyjacielskim kozuniem lub dragonem, a w tejże chwili Lotkin jak „Deus ex machina“ zjawiał się na kulbace i całą siłą pięści walił w nos nie spodziewającego się takiego ciosu kawalerzystę. Cios druzgotał chrząstkę nosową, a zbroczona krwią ofiara padała na ziemię, jeśli jeszcze żywa to oszpecona dogonnie.

Gdy wymawiano Lotkinowi barbarzyństwo podobnego postępowania, stale odpowiadał, że jeżeli pies, silnie uderzony po nosie, zdycha natychmiast, to z Moskałem w takim wypadku nic podobnego stać się nie może, z tej prostej przyczyny, że Moskał, będąc gorszym od psa, tem samem jest od niego silniejszy. Wobec takiej logiki nic już z Lotkinem poradzić nie można było.

Należąc do ulubieńców Lotkina, odbierałem od niego na każdym kroku dowody największego zaufania; okazywał mi czynami, że przylgnął do mnie z całą szcze-

rością swej kozackiej duszy i byłby ze mną gotów chociażby do piekła skoczyć. Narzekał tylko stale, co będzie z sobą robił, a właściwie ze swoim oficerskim stopniem, gdy Polska odzyska niezależność polityczną? Perswadowałem mu w takich razach, że kraj, pomny na wielkie jego zasługi podczas wojny, nie zapominając o nich, udzieli mu w nagrodę bodaj jednorocznego urlopu, a czas ten przy dobrych chęciach w zupełności wystarczy na należyte wyuczenie się czytania i pisania po polsku.

— To prawda — odpowiadał i wyrażał żal, że dawniej się tych sztuk nie nauczył.

Lotkin odpowiednio oceniał postępowanie polskich oficerów z podwładnymi im szeregowymi w powstaniu 1863 r., utrzymując, że stoją oni pod względem humanitarnym o całe niebo wyżej od rosyjskich praporszczyków (chorążych) i kapitanów. Utrzymywał przytem, że w wojsku rosyjskiem egzystencja szeregowca jest karą za niepopelnione grzechy; nie uważa się go za człowieka, jest traktowany jak ostatniego rodzaju bydłę i prześladowany na każdym kroku.

Taki pogląd, na własnej widać praktyce życia oparty, wyrobił w Lotkinie najwyższą pogardę do swych nieprzyjaciół — Moskali. Stąd też kiedy zdarzało się parę razy Lotkinowi dostać do niewoli rosyjskiej, używał wszelkich możliwych sił i sposobów, aby się z niej jak najprędzej wydobyć.

Przywieziony pierwszym razem, jak opowiadano, do Częstochowy i przyprowadzany codziennie wieczorem z więzienia do wojennej komisji śledczej, otrzymywał za każdym razem po 50 kijów. Wyczerpany bólem i męczarnią, postanowił zaryzykować i raczej zginąć na miejscu, aniżeli dać się dalej tak nikczemnie maltretować. Kiedy więc następnego wieczoru był znowu

prowadzony pod bagnetami sześciu żołnierzy, nagłym ruchem ręki wyrwał jednemu Moskalowi karabin, a trzymając silnie za lufę, kolbą wykręcił młynica po łbach eskorty tak skutecznie, że trzem je porozwalał, a resztę zniewolił do panicznej ucieczki. Sam zaś skręcił wysiłkowym biegiem w najciemniejszy zaułek, torując sobie drogę grozą najeżonego bagnetem karabina. Żydzi i wszystko, co żyło, pierzchało mu z drogi, a zanim ogłupieni Moskale, zdążyli się opamiętać i nadbiec z pomocą, noc czarna już zapadła i przyjaznym mrokiem pokryła zwyczajną ucieczkę swobodnego Lotkina.

Od tego czasu Lotkin nabrał jeszcze większej brawury w napadaniu na Moskali. Dyszał wprost zemstą za doznaną zniewagę i na każdym kroku starał się dać im odczuć swoją o nich pamięć.

Niejednokrotnie sam jeden wjeżdżał do środka ich obozowiska, zasiadał do wspólnego jadła, gwarząc z nimi wesoło i opowiadając różne kozackie dykteryjki. Potem siadał na swego konia i tak samo stępa zniknął im z oczu. Zdradzały go tylko pozostawione pamiątki, gdyż na pożegnanie ostatnie pikiety, obok których przejeżdżał, uśmiercał strzałami z rewolweru.

A wreszcie jakoś w połowie grudnia 1863 r. Lotkin został przez Moskali otoczony w polu i to całym szwadronem dragonów. Radość ich z tego powodu była tak wielka, że go nawet palcem nie tknęli, lecz obmowawszy na wszystkie strony łęgami postronkami, jeszcze lepiej jak pajak muchę, położyli na wóz, otoczyli zewsząd i w takiej paradzie, wśród radosnych wybuchów triumfu, przywieźli do powiatowego miasta Olkusza. Tutaj poradzono sobie z nim krótko. Ponieważ na rynku był odwach, umieszczono w nim Lotkina. Ale jak? Oto w wielkiej parterowej izbie, dookoła której były żołnierskie

drewniane prycze, na których w nocy najmniej 30 żołdaków spało, znajdowała się pod podłogą ciemna piwnica. Wiodły do niej schody pod drzwiami, umieszczonemi w wycięciu podłogi odwachowej.

Gdy Lotkina, uwolnionego z więzów, zakwaterowano w owym lochu, ciężkie drzwi za nim spuszczone, założono gruby żelazny skobel i zamknięto na kłódkę, postawiono na drzwiach stołek, a na stołku posadzono żołnierza z karabinem, z wyraźnym nakazem nieschodzenia z tego posterunku, aż do nowej zmiany. Jeden tylko z rosyjskich oficerów, powodowany litością dla biednego skazańca, kazał Lotkinowi rzucić do wnętrza piwnicy snop słomy, prześcieradło i żołnierską poduszkę. Sąd wojenny miał się odbyć nazajutrz tylko dla pozorów, a bezpośrednio po nim miało nastąpić wykonanie wyroku śmierci.

Lotkin, wiedząc, co go niezapowiedzianego spotka, nie chciał zwłóczyć z świeżo obmyślanem postanowieniem wyslizgnięcia się z matni, w którą niebacznie popadł. Jakoż, gdy siedząc na schodach, pod samemi drzwiami wytrawnym słuchem odczuł gremialne chrapanie żołnierzy w izbie odwachowej, zapukał zlekka do drzwi. Na zapytanie żołnierza, czego chce, oświadczył, że umiera z pragnienia i prosił o ostatnią chrześcijańską przysługę przed śmiercią: o troszeczkę wody dla zwilżenia zgorączkowanych warg.

Żołnierz się zgodził i kazał chwilę poczekać. Poczem zeszedł ze stołka, nabrał pełen kubek wody ze stojącego w pobliżu wiadra, otworzył kłódkę wiszącym na ścianie kluczem, odłożył żelazny skobel i pomału podniósł drzwi dla podania przygotowanej wody. W tej jednakże chwili coś strasznie zwinnego i drapieżnego ścisnęło go z całej siły za gardło, tak że, pomimo naj-

wyższego przerażenia i strachu, tchu nawet nie mógł wydobyć z siebie, a jednocześnie pociągnięty wdół, wleciał w otchłań piwniczną.

Operator w osobie Lotkina, przemocą wpakował żołnierzowi knebel z chustki do ust, ręce skrępował wtyłkę zdjętym ze siebie paskiem, a do związania nóg użył własnych żołnierza rzemieni i z całym spokojem przygotowanego na śmierć więźnia opuścił odwach, unosząc z sobą jedynie prześcieradło. Zaledwie jednakże przestąpił próg odwachu i zaczerpnął świeżego powietrza, oko w oko zetknął się z chodzącym na posterunku szyldwachem.

— Kto ty takoj? (Coś za jeden?)

— Lotkin... miatieżnik! (powstaniec) — wrzasnął mu w ucho oswobodzony skazaniec i jednocześnie poczęstowawszy żołnierza pięścią pomiędzy oczy, wyrwał karabin i, przebiegłszy przez rynek i jakiś zaułek, wypadł na pole.

Szyldwach wszczął alarm, lecz nim się Moskale na odwachu zerwali i przekonali, że więźnia niema, zanim zaalarmowali całą konsystującą w mieście załogę, zanim nareszcie kozacy zdołali osiodłać konie i rozbiec się po drogach we wszystkich możliwych kierunkach, Lotkin był już daleko od siedziby bliskiej swej egzekucji. Uciekając, niejednokrotnie słyszał zbliżający się zoddali tętent pościgu, lecz zawsze na czas kładł się w bródz pól zasypanych śniegiem, nakrywał wziętem z sobą prześcieradłem i znakomicie chronił przed wypatrującym go wzrokiem.

Gdy wszystko ostatecznie już przycichło i Moskale musieli radzi nie radzi zrezygnować z powieszenia tak cennego dla siebie „buntowuszczyka“, Lotkin wstał, poszedł w dalszą drogę i drugiego coś dnia, uzbrojony

w zdobyty karabin moskiewski, przybył do obozu, opowiadając z werwą o swoich niezwykłych przejsiach.

Komendant szwadronu kawalerji w oddziale Iskry, rotmistrz Bogusz, zaraz po rozstrzelaniu swego naczelnika w Drochlinie w dniu 29 września 1863 r., tak zgrabnie zdołał się ulotnić z placu egzekucji, że dotąd nikomu nie było wiadome, co się z nim i z podwładną jemu konnicą stało. O poruczniku Lotkinie również słuch zaginął; tymczasem na str. 118 Wspomień obozowych Napoleon Krzywda tak wzmiankuje:

„W pierwszej połowie stycznia 1864 r. z nadzieją bliskiej wiosny, poczęło być ruchliwiej i w moich stronach, to jest w powiecie kieleckim.

Najpierw zjawił się mały oddziałek kawalerji, z dwudziestu kilku koni złożony, pod dowództwem Teodora Belardiego (dawnego oficera z oddziału Chmielińskiego), stanowiący żandarmerję powiatu kieleckiego, który jednak niezadługo, wskutek nieostrożności dowódcy, przez kozaków znienacka napadnięty i rozbity został. Ci, co na miejscu polegli, dostali się do niewoli, a między nimi i Belardi, wraz z swym oficerem Lotkinem. Pierwszego powieszono w Kielcach, Lotkin zaś, były podoficer wojsk rosyjskich (dezerters z szeregów wroga, jeszcze w kwietniu r. 1863, przeszedł do oddziału Bończy), z ojca i nazwiska Moskal, po matce duszą Polak, nie chciał się przyznać do pochodzenia moskiewskiego, pomimo, iż bardzo źle po polsku mówił, otrzymawszy 200 pałek, uciekł nocą z więzienia, uprowadzając ze sobą dwóch żołnierzy, którzy stanowili jego straż więzienną, i przybył wprost do mego oddziału.

Tak więc nie było już na całym obszarze Polski, ani jednego oddziału zbrojnego; powstanie zupełnie już i ostatecznie zgłębionem zostało“.

Okazuje się, że Krzywda był zawsze niepoprawnym pisarzem. Jeżeli bowiem w całej swojej broszurze utyka na każdym kroku na mnóstwo błędów i niedomagań, to przecież taki malusieńki kawałeczek zacytowanego przeze mnie „komunikatu“, powinien być wolny od wszelkich usterek. Tymczasem i tutaj tak nie jest. Piszący powinien zadawać sobie więcej trudu, czynić odpowiednie przygotowania, dokładniej i na pewnych danych wszystko badać i opierać i dopiero tak wszechstronnie przygoto-

wany materiał podawać do druku. Otóż, na przykład, Belardiego nie powieszono w Kielcach, lecz mimo, że był pruskim poddanym, rozstrzelano w Wodzisławiu dnia 19 maja 1864 r. Tak samo Lotkin nie był wcale podoficerem wojsk rosyjskich, lecz prostym tylko kozakiem i nie Moskałem, a Ukraińcem. Ponadto Lotkin nie zdezerterował w miesiącu kwietniu do kawalerji Bończy, lecz w miesiącu styczniu 1863 r. na kilka dni przed wybuchem powstania, poczem odrazu znalazł się w formacjach generała Langiewicza.

Ustęp powyżej przytoczony posiada jednakowoż tę dobrą stronę, że jasno wskazuje na pobyt Lotkina w oddzialeku Belardiego aż do połowy stycznia 1864 r., czyli stwierdza, że Lotkin po zniknięciu szwadronu Bogusza, przeszedł do konnej żandarmerji powiatu kieleckiego, pod dowództwem Belardiego.

Opisując wypadki z miesiąca kwietnia 1864 r. (str. 167), Krzywda uderza w ton minorowy swej lutni, a mianowicie:

„Same złe wiadomości sypały się, jak z rękawa! W parę dni potem jeden żołnierz z byłego mego szwadronu, przechodząc przez Ojców w zamiarze dostania się za granicę, opowiadał mi, iż ostatni oddział zbrojny Moroka w spotkaniu z nieprzyjacielem w okolicach Przedborza, został zupełnie zniszczonym, a sam Morok, gdy koń padł pod nim, dostał się żywcem do niewoli. Z całego oddziału pozostało tylko kilkunastu ludzi, którzy nie mając się gdzie podziąć, pod dowództwem Lotkina tułali się z kąta w kąt, ukrywając się jeszcze z kilkanaście dni po lasach. W końcu i Lotkin został w jakiejś chacie około Bebelna schwytany i oddany do Kielc, a niebawem rozstrzelany“.

Przeglądając szczegółowo urzędową listę politycznych polskich przestępców, straconych w granicach Królestwa Polskiego w latach 1863 i 1864, nazwiska Lotkina wcale w niej nie znalazłem, chociaż powszechnie było wiadomo, że Lotkin w końcu powstania dostał się do niewoli moskiewskiej.

Znamienne i dające wiele do myślenia w rosyjskiej liście straconych powstańców jest nazwisko Pawła Kuzniecowa, kozaka, który za udział w kilku partjach i bitwach, został rozstrzelany w Radomiu dnia 13 lipca 1864 roku.

Prawdopodobieństwo zupełnej identyczności Kuzniecowa z Lotkinem stanowiło, że obaj byli kozakami, że obaj posiadali jedno i to samo imię, że w okolicach Radomia i Kielc, absolutnie żadnego kozaka Kuzniecowa w polskich zbrojnych oddziałach nie było; że kozak Lotkin istotnie brał udział w kilku partjach i w szeregu bitew i że nazwisko „Lotkin“ było tylko osobistym pseudonimem, o czym on sam niejednokrotnie przede mną wspominał.

Na podstawie powyższych danych śmiało wnosić można, że Paweł Lotkin w powstaniu polskim, a Paweł Kuzniecowa w wojsku rosyjskim, stanowili jednego i tego samego kozaka, pałającego największą nienawiścią ku Moskalom, jako zaciętym wrogom wolności.

MAJOR ISKRA.

Pan major Iskra, wielce o sobie myślący, zarozumiały i dumny, z głową zwykle do góry wzniesioną, chciał się widocznie wysokim swym stopniem wojskowym, tak nagle i niespodziewanie uzyskanym, że wyobraźnia jego stosunkowo za młodej głowy, objąć nie mogła ogromu tak wspaniałej rangi.

Cóż bowiem wobec pana majora mógł znaczyć jakiś podporuczniczyna, sierżant, furjer lub szeregowiec?

To są przecież zwykli śmiertelni ludzie, podporządkowani pod przymusową uległość czynnikom powołanym do rządzenia. Gdy przeciwnie pan major, oficer sztabowy, dowódca samoistnego oddziału jest na to, aby rządzić, rozkazywać, odbierać hołdy od wszystkich podwładnych, a nadto, ażeby unieprzystępnić się tym, którzy w jednym rządzie z nim zasiadać nie mogli i nie mieli prawa.

Otóż ta wielkość i wspaniałość, olśniewały poprostu patrzącego. Wzniosłą postawą, niesłychaną dumą uwydatniającą się z jego górnołotnego spojrzenia, wielkopańskimi gestami, jak niemniej lodowatym chłodem, jaki nagle się pojawiał na tej niezwykłej twarzy, onieśmiał doreszty każdego obserwatora. Ktoby jednakże sądził, że ma przed sobą kandydata do potęgi światowej, ten

popęłniłby gruby błąd. Pozory zwykle człowieka mylą. Chcąc zatem dojść, jakie przyczyny powodują psychologiczne zmiany człowieka i w jakim celu, trzeba, jak to mówią, zjeść z największym przyjacielem całą beczkę soli, ażeby zagadkowy indywidualizm wszechstronnie poznać i ocenić.

Co do osoby pana majora Iskry, nie trzeba było jednak tak bardzo wielkich zachodów do osiągnięcia konkretnych odpowiedzi na postawione pytania. Należało tylko przełamać mur chiński, oddzielający Iskrę od obcowania z oddziałem, a wówczas ten rosyjski praporszczyk (chorąży) sam w całej zajmującej postawie odsłoniłby się przed naszymi oczyma.

Zato stale obcowała z panem majorem olbrzymich rozmiarów manierka okowity, w towarzystwie kilku butelek najrozmaitszego rodzaju wódek. Pan Artur Sokołowski — takie bowiem było imię i nazwisko Iskry — był zwykle tak podniecony i oszołomiony alkoholem, że bezmyślną swoją postawą sugestjonował drugih, wpajając w nich przekonanie, że jest niebotycznie dumny i nadmiernie ambitny.

Sąd wojenny w Drochlinie, jedyny bodaj tego rodzaju podczas powstania, miał rozstrzygnąć właściwie dwa główne pytania: czy major Iskra upijał się z powodu wyrzutów sumienia za dokonywane zbrodnie! — lub też, czy jest on notorycznym pijakiem i nie wiedział, co czyni?

Najciekawszym dokumentem winy Artura Sokołowskiego byłby protokół śledczy, spisany z nim w nocy poprzedzającej egzekucję i zabrany, zdaje się, przez pułkownika Kurowskiego, który umyślnie z Krakowa przybył do Drochlina, aby sądowi wojennemu przewodniczyć.

Gdy atoli obecnie, po tylu ubiegłych latach mowy

być nie może o odnalezieniu tego najważniejszego dokumentu, należy się przeto ograniczyć do samych faktów postępowania majora Iskry w obozie, do opowiadań o nim osób drugih, do sprawozdań dziennikarskich z owych czasów, aby bodaj w części dojść do usprawiedliwienia tak surowego wyroku, na którego wydanie niejeden ze współczesnych sarkał.

Lecz jeżeli Artur Sokołowski, tak jak każdy pijak, musiał być w każdym calu zdenerwowany, nie umiejący nad sobą panować, pozbawiony woli i energii, umiejący na zawołanie śmiać się i płakać, toć również trzeba wziąć pod uwagę, że wady, z nałogu pijaństwa pochodzące, nie uwalniają pijaka od odpowiedzialności za dokonane przestępstwa, gdyż w przeciwnym razie każdy zabójca tłumaczyłby swoje morderstwa nieświadomością tego, co czynił.

Pewnego razu zdziwiliśmy się niepomału, że prowadząc od dłuższego czasu życie pozbawione praktyk religijnych, przemaszerowaliśmy jednej niedzieli do wsi, posiadającej swój własny parafjalny kościół. Niespodzianka nielada i w każdym razie bardzo interesująca. Iskra w kościele... — to tak, jak nawrócenie grzesznika! Skierowaliśmy swe kroki w podwoje wiejskiej świątyni, gdzie przed wielkim ołtarzem ksiądz, otoczony chmurami kadzideł, przy dźwiękach uroczystych tonów organów, odprawiał świąteczne nabożeństwo. Żołnierze uszeregowani z karabinami u nóg kornie słuchali nabożeństwa, a oficerowie podczas ewangelji według zwyczaju dawnych Polaków dobyli pałaszy z pochw.

Lecz cóż z tego?

W kilka zaledwie godzin po opuszczeniu świątyni, Iskra sprowadził z pobliskiego miasteczka kilku żydków muzykantów, usiadł na kamiennych schodach przed dwo-

rem miejscowym w otoczeniu pań obywaterek, a umieściwszy żydowską orkiestrę na uboczu dworu, kazał grać od ucha, polecając całemu pieszemu oddziałowi defilować do taktu muzyki wokoło obszernych klombów. Jego niebieskie oczy pod wpływem nadmiernego użycia alkoholu stały się matowe i błędne, ogień w nich przygasł zupełnie, a wyraz stał się całkiem bezmyślny.

Można sobie wyobrazić, co owe panie dziedziczki myślały o takim polskim dowódcy, który popisując się przed niemi żydowską, lichą muzykę i przymusową w świąteczny dzień defiladą polskich ochotników, sam tak się kiwał na obydwie strony na owych schodach.

Na drugi dzień rano Iskra wydał rozkaz do pochodu. Opuściliśmy wioskę i, maszerując kilka godzin, zdążyliśmy dojść do paru wielkich gospodarczych zabudowań, samotnie w polu stojących. Zdaje się, że jeden z tych budynków był ogromną dworską stodołą, a drugi owczarnią. Pustka przerażająca wiała tu ze wszystkich stron: ani jednego człowieka, ani jednej żywej duszy nie było widać chociażby na lekarstwo. Ustawwszy broń w kozły przed owymi szopami, wypoczywaliśmy dość wygodnie na bujnie tutaj rosnącej trawie, posilając się chlebem i paprykowaną słoniną. Czekaliśmy na relacje rozesłanych aż w trzy strony konnych podjazdów, rzekomo przeciw zbliżającym się w naszym kierunku Moskałom. Iskra, utrzymując, że nieprzyjaciół musi tedy przechodzić, obiecał w danym razie drzwi tych budynków porozbijać, wojsko swoje wewnątrz umieścić i w nieprzeczuwających niczego złego wrogów, po bliskim ich pod szopy podejściu, plunąć rżęsimym huraganowym ogniem z karabinów, tak aby zapłacić stokroć lepszym odwetem za klęskę pod Małogoszczem. Fantazyjne jednak te plany naszego dowódcy nie doprowadziły do żadnych dodatnich wyników.

Wysłani na rekonesans kawalerzyści powrócili z oznajmieniem, że o Moskalach nigdzie nic nie słyhać i że z żadnej strony nie grozi oddziałowi najmniejsze niebezpieczeństwo. Radzi, nieradzi takiemu wynikowi poszukiwań Moskali, musieliśmy pożegnać raz na zawsze owe samotne budynki folwarczne i pomaszerować dalej.

W drodze przystąpił do mnie kapitan Grob i zwrócił mi uwagę na niedorzeczność zarządzeń Iskry, który, zobaczywszy w czyściutkiem polu dwie szopy, chciał nas w nich zamknąć na to, aby Moskałom kurtę skrócić. Szkoda, że Moskale się tu nie zjawili. Wiedząc z doświadczenia, iż Rosjanie nigdy nie wychodzą na nas bez armat, można było przypuścić, coby się z nami po ulokowaniu w tych szopach ustało.

Pamiętam, że po zapadnięciu wieczoru, przyszliśmy do Wiszniowej Woli, wioski niedaleko miasteczka Włoszczowy położonej. Iskra swoim zwyczajem, nie troszcząc się o losy oddziału, natychmiast udał się do dworu. Tworzą jego sztab kapitanowie, przyzwyczajeni od samego początku zorganizowania oddziału, do zupełnego braku nad nimi kontroli, również poszli za nim. O jakości więc noclegu zmuszeni byli decydować tylko sami żołnierze. Ponieważ wielki dwór parterowy zwrócony był frontem do kolosalnego podwórza, czy placu, a zajmował sobą całą jedną ścianę trójboku, dwie zaś następne ściany stanowiły zabudowania gospodarcze, jak stajnie, spichlerze, stodoły, wozownie i t. d., wypełnione pod sam wierzch krescencją z ostatnich zbiorów, czwarta więc ściana była zupełnie otwartą, mając odkryty widok i dostęp na rozległe pola.

Oddział poradził sobie krótko. Zmęczona prawie całodziennym marszem piechota, a do tego zwabiona aromatem świeżego w obszernych stodołach siana, koni-

czyny i słomy, oraz złożonemi omłotami zboża, ułokowała się z całym zbrojnym rynsztunkiem na tej wonnej i miękkiej pościeli, zasypiając natychmiast. Kawalerja zajęła dworskie drewniane stajnie.

Jeszcze nie upłynęła połowa nocy, gdy straszne okrzyki: „Pali się!” zaczęły rozdzierać powietrze. W głębokim śnie pogrążeni żołnierze otwierali przerażone oczy, olśnione blaskiem zaczynającego się już palić siana i słomy. Kto zdążył odnaleźć swój karabin i części uzbrojenia, zeskakiwał z wierzchu wypełnionej stodoły nadół i biegł w pole, gdzie oczekiwał na przybycie dalszych kolegów, którzy wystraszeni szalejącą pożogą wszystkich zabudowań, coraz w większej liczbie tu przybiegali.

Widok był naprawdę straszny. Jedni żołnierze byli bez czapek, drudzy wygodniejsi bez mundurów lub płaszczy. Nie wszyscy potrafili odnaleźć swoje patrontasze i tornistry, a co się tyczy karabinów, to najmniej trzecia ich część w stodołach i spichrzach pozostała. Które konie potrafiły się wyrwać z gorejących stajen, leciały oszalałe przez podwórze na pola i niebezpieczną rzeczą było zbliżyć się do nich. Reszta koni, objęta płomieniami i nawpół uduszona od dymu, rżała przedśmiertnym, strasznym, niezwykłym jakimś rykiem.

Ogień szalał już w całej pełni. Komplet zabudowań dworskich, oprócz samego dworu, stanowił jedną olbrzymich rozmiarów gorejącą pochodnię, skutkiem czego przyległe pola były tak silnie oświetlone, jakgdyby miały służyć za elektrycznem światłem objętą salę balową. Nadomiar nieszczęścia, pozostawione w stodołach i szopach, nabite karabiny rozpoczęły, paląc się, bezustanną z małemi przerwami palbę, od której niejednen z nas został raniony. Cofnęliśmy się przeto bardziej, poza dystans

doniosłości strzałów, co właśnie zarządził któryś z kapitanów.

Iskra pochmurny stał w otoczeniu oficerów poza naszymi szeregami, wyrażając głośno obawę, aby Moskale z pobliskiej Włoszczowy nie nadciągnęli do nas. Płonna to i fikcyjna była obawa. Albowiem, jak wielu z nas przypuszczało, Moskale właśnie w najlepszej zdawali się nas mieć opiece i prawdopodobnie nie zrobiliby żadnej krzywdy oddziałowi Iskry.

Przed świtaniem dnia ogień stopniowo zmalął i przygasał. Strzały dopalających się jeszcze gdzieś karabinów stały się rzadsze, więc i czas daremnego na tym miejscu biwakowania okazał się niepotrzebny i zbędny. Oficerowie przeto z rozkazu Iskry nakazali podjechać gotowym do drogi furgonom i porozdzielać z zapasów obozowych brakującą żołnierzom broń i inne rekwizyta. Po godzinie może skrzętnych zabiegów, oddział, jako tako wyekwipowany, w towarzystwie zmniejszonej o czwartą część konnicy, pożegnał smutny widok przedstawiające pogorzelisko, udając się na kwatery do dalszych wiosek.

O przeprowadzeniu na miejscu pożaru jakiegoś śledztwa i mowy nawet nie było. Wiadome tylko było powszechnie, że jeden z kawalerzystów po powrocie z pikiet, przylepił zapaloną łożówkę do drewnianej stajennej ściany, a położywszy się spać, zapomniał ją zagasić i w ten sposób stał się przyczyną opisanej katastrofy.

Major Iskra miał czasami szlachetniejsze myśli i dążności, może właśnie w zamiarze uwidocznienia wobec swojej piechoty lepszych postanowień i czynów. Ale zanim przyszło do wykonania zamiaru, natychmiast wywracał koziółka, aby przedstawić siebie w jeszcze gorszej ohydzie.

Jeszcze przed pochodem majora Iskry na Małogoszcz, Chmieliński w końcu miesiąca sierpnia lub na początku września 1863 r., biwakując z oddziałem, liczącym około 400 piechoty i 100 szabel jazdy w lasach Chlewskiej Woli, został zawiadomiony, że celem zniesienia jego oddziału wyszedł z Kielc generał Czeniery w sile 4 rot piechoty, szwadronu dragonów, sotni kozaków i 3 armat. Ponieważ pułkownik Szulman nadciągnął z pomocą na czele 3 rot piechoty i 2 szwadronów dragonów, cała zatem siła moskiewska, zgromadzona przeciw Chmielińskiemu, wynosiła 7 rot piechoty, 3 szwadrony dragonów, sotnię kozaków i 3 armaty.

Zmuszony więc do opuszczenia Chlewskiej Woli, Chmieliński wyruszył w stronę północną ku oddalonemu o 6 mil Przedborzowi.

Major Iskra, przebywający z oddziałem w lasach kosowskich, a więc w pobliżu Chlewskiej Woli, zdecydował się pójść na pomoc Chmielińskiemu. Co wpłynęło na taką niby decyzję, prawdopodobnie nigdy nie będzie wyjaśnione.

Czy zaś Chmieliński zaprosił Iskrę osobiście lub piśmennie do wspólnej przeciw Moskałom akcji, czy też major Iskra z własnej tylko chwilowej chęci wystąpił z postanowieniem pójścia z pomocą Chmielińskiemu, pozostanie w sferze nierozwiązalnych zagadek. Zdaje się jednakże bardzo wątpliwe, ażeby zanadto pyszny w swej osobistej randze major posłuchał prośby, lub nawet wezwania o jeden stopień niższego od siebie oficera.

Nie wchodząc jednakże w pobudki istoty czynu, pewnego, jak to mówią, pięknego poranku ucieszyliśmy się wiadomością, że idziemy z pomocą Chmielińskiemu.

Obóz zwinięto, kotły i rekwizyta obozowe złożono na fury i niebawem piechota nasza, poprzedzona częścią

konnicy w awangardzie, wyruszyła ochoczo ku bliskim, jak się zdawało, „tanom“ z Moskalami.

Marsze odbywaliśmy przeważnie lasami i w następstwie uciążliwych i forsownych pochodów niejednokrotnie słyszeliśmy, jak nasza konnica na przyległych do lasów polach wymieniała strzały z podjazdami rosyjskiej kawalerji. Mówiono nam wówczas, że maszerujemy ciągle na przestrzeniach nie dalszych, jak o 3 wiorsty od oddziału Chmielińskiego, aby przy nadarzonej sposobności zająć Moskalom tyły.

W ten sposób postępując ustawicznie naprzód, drugiego dnia znaleźliśmy się w lasach porębowskich i ręczkowskich, położonych po prawej stronie Pilicy. Po obraniu punktu obserwacyjnego na skraju tychże lasów, wkrótce zostaliśmy świadkami wspaniałego i nigdy dla nas niezapomnianego widoku.

Środkiem szerokich wzgórzystych pól ukazała się długa linja polskich tyraljerów, asekurowana po bokach silnemi rezerwami piechoty i niewielkiemi oddziałami konnicy. W przyzwoitem oddaleniu poza zbrojnymi powstańcami widać było, jak na dłoni, szare pasma moskiewskich rot, obsypujących ustawicznie salwami kul ustępujący we wzorowym szyku bojowym i odstrzeliwujący się z pieśnią na ustach oddział Chmielińskiego. Konnica moskiewska wszelkich dokładała starań, aby zająć boki powstańczego frontu, lecz baczne na wszystko, co się działo, rezerwy Chmielińskiego, celnym i rześistym ogniem odpierały ze znaczną stratą szarżujących kozaków i dragonów.

Umieszczone między piechotą moskiewską, armaty od czasu do czasu prażyły kartaczami ustępujących powoli chmielińszczaków, którzy śpiewem odpowiadali na monotonny ich ryk.

Silnie przypiekające słońce jaskrawo oświecało ten prawdziwie interesujący widok, godny najznakomitszego pendzla, tem bardziej, że bojaźń zbliżenia się moskiewskiej do Polaków piechoty znać było widocznie po ociężałym i leniwym pochodzie, w przyzwoitym oddaleniu niby nacierających Moskali.

W owej właśnie chwili stała się rzecz niezwykła.

Gdy linję polskich tyraljerów zaczęto zwijać celem wkroczenia do pobliskiej wioski Prądkowice, część konnicy majora Iskry albo samowolnie, albo na rozkaz dowódcy wychyliła się z lasu tak, że osłupieni Moskale skierowali na nią swe strzały.

Byliśmy najmocniej przekonani, że rotmistrz Bogusz na czele konnicy majora Iskry, lada sekundę przeleci galopem wzdłuż tyłów linji moskiewskiej, my zaś biegiem podążymy za naszą kawalerją i osiągniemy odcięcie odwrotu Moskalom i damy pomoc oddziałowi Chmielińskiego przez wzięcie ich na dwa ognie, a co za tem idzie doszczętne rozbicie. W nagrodę zwycięstwa uzyskalibyśmy dwa tysiące karabinów, trzy armaty i cały moskiewski tabor.

Niespodziewanie wszakże zamiast rozkazu do ataku usłyszeliśmy nieprawdopodobną komendę majora Iskry:

— Baczność! Na ramię broń! W lewo w tył zwrot!
— Bataljon... kompanjami naprzód marsz!

I stało się to, czego żaden uczciwy Polak spodziewać się nie mógł. Zamiast wspólnie z Chmielińskim dokonać niechybnego, wielkiego zwycięstwa, zmuszeni byliśmy niezwłocznie opuścić tak bliźutki plac boju i zdać na pastwę Moskalom cały oddział Chmielińskiego.

Jak nam później opowiadano, do ostateczności takiej nie przyszło, Chmieliński bowiem zrozumiał, że ukazanie się przed lasem kawalerji Iskry, a następnie cofnię-

cie się tejże i przez dłuższy czas nie pokazywanie się jej na polach poza linią atakujących go Moskali, nic innego nie mogło oznaczać, jak tylko zupełne opuszczenie zajętego przez Iskrę pomocniczego stanowiska. Nie tracąc ani chwili czasu, Chmieliński bocznymi drogami wysłał natychmiast silny konny podjazd w stronę lasów porębowskich i rączkowskich, z nakazem odegrania roli awangardy oddziału Iskry i demonstracyjnego atakowania w tym charakterze Moskali na tyłach.

Fortel udał się znakomicie.

Moskale upewnieni, że oddział Iskry ustawicznie jeszcze zagraża pochodowi naprzód, pozwolili Chmielińskiemu wkroczyć do wsi Prądkowice, gdzie jego żołnierze pod osłoną tyraljerów, pozostawionych w polu, swobodnie zgotowali obiad, zjedli go, następnie zluźniali tyraljerów, aby i im dać możliwość zasilenia wygłodzonych długim marszem i bojem żołądków. Później zaczęli się przysposabiać do dalszego pochodu w stronę niedalekiego już Przedborza.

Kiedy nareszcie po dłuższym czasie Moskale przyszli do przekonania, że oddział Iskry odszedł bezpowrotnie z placu boju, zaczęli poza Prądkowicami wszystkimi siłami nacierać na ustępujących przed nimi chmielińszczaków, w przekonaniu, że po obejściu skrzydeł polskich tyraljerów zdołają uniemożliwić im wkroczenie do Przedborza i weprą ich w rzekę Pilicę.

Manewr ten zdawał się być nieuchronny, co pociągnęłoby niechybną katastrofę.

Kiedy więc rotę moskiewską podwójnym krokiem zdążyły na jedno z polskich skrzydeł, aby je doszczętnie złamać i zmusić do odwrotu w jednym kierunku, ku rzece, Chmieliński w zagrożone miejsce zdołał pchnąć wszystkie swoje rezerwy, a długą linię swych tyralje-

rów kolisko od dwóch przeciwległych kończyn tak wyginał, aby wydłużonym lejem koła udogodnić wkroczenie do miasta.

Moskale, spostrzegłszy tego rodzaju ściąganie tyraljerów, a więc opróżnianie znacznej części terenu, z gromkim okrzykiem rzucili się naprzód, nie spodiewając się wcale gorzkiej niespodzianki.

Tyraljerzy Chmielińskiego, opuszczając zajęty przez siebie poprzednio długi front, odsłoniли przed Moskalami niewidoczne przedtem zagłębienia terenu, obsadzone już polskimi rezerwami, które, przypuściwszy na bliski dystans biegnących Moskali, przyjęły ich silnymi salwami karabinowymi, zmuszając do rejterady.

Chmieliński wkroczył do Przedborza.

Zanim Moskale zdążyli dobiec do dosyć długiego mostu nad rzeką Pilicą, Chmieliński od strony miasta, po obu stronach przyczółka mostowego ukrył dwa plutony piechoty w ten sposób, że żołnierze rosyjscy, wkraczający na most, zostali wzięci w krzyżowy, a rześisty ogień karabinów i prędko cofnęli się wtył. Moskale, widząc bezskuteczność swych usiłowań, mogących narazić ich na ogromne straty, wytoczyli zdaleka trzy armaty i zaczęli ostrzeliwać most i miasto.

Najbardziej ulubioną miejscowością Iskry była (o ile sobie przypominam) wieś Oleszno, posiadająca piękny pałac w otoczeniu rozległego parku, obwiedzonego wokół żelaznemi sztachetami na podmurowaniu. Właściciel jej bawił podówczas zagranicą, a tylko miejscowy plenipotent z rodziną zajmował część pałacu, udzieloną mu na mieszkanie. Oddział Iskry, a właściwie jego piechota, stała bywała umieszczana po chłopskich chałupach. Iskra zaś sam z oficerami rozkoszował się w pięknych pałacowych apartamentach, dzięki uprzejmości partrjotycznej

plenipotentą, któremu odpłacił się nikczemnym postępkami, na jaki nie zdobyłaby się najczarniejsza i najbardziej zbrodnicza dusza.

We dworze bawiła podówczas na wakacjach córka plenipotenty, pensjonarka zakładu wychowawczego z Kielc. Miało to być dziewczę nieletnie, naiwne i, zwyczajem moralnych ludzi, religijnie wychowane. Otóż rodzice owej panienki, nie przeczuwając nic złego w grzecznościach dla niej Iskry, mieli prawo spodziewać się, że tenże, jako dowódca wojsk narodowych polskich, granic przyzwoitości nie przekroczy. Tymczasem stało się coś zupełnie przeciwnego. Pewnego popołudnia Iskra w towarzystwie 3 oficerów i uproszonej panienki poszedł na spacer do parku, gdzie, nadużywając jej zaufania, w podstępny i nieczyny sposób uwiódł. Zrozpaczony ojciec panny natychmiast osobiście wyjechał do Warszawy, aby u członków Rządu Narodowego wyblagać sprawiedliwe zadośćuczynienie hańbie domowej.

Jednocześnie też zaczęły kursować pomiędzy żołnierzami niezbadane wieści o prowadzonej przez Iskry korespondencji z generałem Czengierem, o czym w jakiś czas po odbytych wyrokach wzmiankowało jedno z galicyjskich pism perjodycznych.

Od tego czasu nad egzystencją Iskry zawisły czarne chmury, a do pierwszych takich chmurek należało przydzielenie z warszawskiego Wydziału Wojny do naszego oddziału majora Pawła Bogdana, byłego kapitana wojsk rosyjskich, który, mężnie walcząc pod Langiewiczem przy boku Rochebruna, zasłynął jako wyborowy żołnierz. Kapitanowie Grob, Denisiewicz i Rosenbach od razu znaleźli się przy swoich kompanjach. Adjutant Iskry B. przepadł gdzieś bez wieści, a rotmistrz Bogusz przestał z kawalerją czynić swe długie zagadkowe poza obręb obozu

wycieczki. Piechota odżyła w całej pełni, gdyż teraz dopiero zaczęto bardziej dbać o nią.

Niespodziewanie również przywrócono dawne obozowe ćwiczenia tak z bronią w rękach, jak i obrotami wojskowymi. Poza służbą major Bogdan w swej włochatej burce, wyprostowany zawsze po żołniersku, chodził od plutonu do plutonu, od kompanii do kompanii, rozmawiając życzliwie z wszystkimi, kto mu się tylko pod rękę nawinął. Wkrótce też został nadzwyczajnie polubiany tak przez żołnierzy, jak i oficerów. Zaledwie kilka dni upłynęło od jego do nas przybycia, a każdy obserwator przysięgłby na wszystkie świętości, że tutaj nie major Iskra, lecz major Bogdan całym oddziałem dowodzi.

Wkrótce potem major Bogdan zaproponował przesunięcie oddziału o parę mil naprzód, uzasadniając potrzebą lepszego wyżywienia żołnierzy i wymogami taktyki wojskowej, a uczynił to w tonie tak stanowczym i zasadniczym, że właściwy dowódca nie mógł znaleźć żadnych argumentów przeciw temu żądaniu.

Marsz natychmiast skutecznie i oddział po trzygodzinnym marzu pochodzie znalazł się w jakiejś wiosce, w której słuchy głosiły, że niedaleko nas przebywa oddział Chmielińskiego.

To było bardzo znamienne.

W godzinę marzu po naszym zainstalowaniu się w nowej siedzibie, przyjechał do kwatery naszego dowódcy specjalny kurjer, przywożący od pułkownika Kurowskiego do majora Iskry wezwanie do niedalekiego Drochlina.

Odmowa była wręcz niemożliwą. Iskra przeto, rad

nierad, zażądał dla siebie parokonnej bryczki z miejscowego dworu i w towarzystwie plutonu konnicy pod komendą porucznika Lotkina, w jego asyście pojechał na to, aby już nigdy więcej nie powrócić do swojego oddziału.

ROZSTRZELANIE ISKRY.

Major Paweł Bogdan czuwał jak żuraw nad całością pozostawionego jego pieczy oddziału, gdy po parogodzinnej niebytności porucznik Lotkin powrócił z Drochlina, meldując, że major Iskra został rozbrojony, aresztowany i oddany pod sąd wojenny, jak również że major Bogdan ma natychmiast z całym oddziałem przybyć do Drochlina.

Po zaalarmowaniu oddziału przysposobiono wszystko do niezwłocznego marszu, tak że najwyżej w przeciągu pół godziny piechota i konnica były już w drodze.

Stosownie do szyku bojowego, wysłano naprzód dwóch kawalerzystów na szpicę, w większym za nim oddaleniu postępował cały półpluton konnicy w awangardzie, a o jakich dwieście metrów dalej jechał na czele oddziału na siwym koniu major Bogdan, który, ubrany w swoją włochatą bundę z nasuniętym na głowę kapturem, robił pośród mroków nocnych wrażenie beduina. Bezpośrednio za tymczasowym dowódcą maszerował kapitan Grob z kompanją swych czerwonych żuawów, a za nim kompanje strzelców kapitanów Rosenbacha i Denisiejczy. Dalej kompanja kosynierów Postawki, przekształconych stopniowo w formację strzelecką, potem dwa plutony kawalerji pod komendą Bogusza, a za niemi

wszystkie obozowe furgony i znowu w odstępie dwustometrowym półpluton konnicy jako arjergarda, a na samym końcu, jak zwykle, dwóch kawalerzystów w tylnej szpicy.

Będąc trochę znużony dyżurem z poprzedniej nocy porucznika Lotkina i asystowaniem mu w roli pisarza, usiadłem na jakiś opróżniony z żywności furgon, aby bodaj na chwilę się zdrzemnąć. I już sen miał zaciążyć nad moimi powiekami, gdy do tego samego furgonu przycwałował konno Lotkin, aby, jak mówił, wyprostować trochę kości po swej jeździe do Drochlina i zpowrotem. O spaniu naturalnie już mowy nie było. Rozmowę rozpoczął pierwszy Lotkin, opowiadaniem o wrażeniach z tej ostatniej już drogi w życiu Iskry.

Iskra, jak to Lotkin utrzymywał, siedział na bryczce chmurny i zadumany. Długo nie mówił do nikogo ani słowa, nareszcie zasnął i w takim stanie znajdował się może godzinę. Gdy się obudził, zaprosił do siebie na bryczkę Lotkina i powiedział mu, że w tej chwili śniła mu się jego matka, która oznajmiwszy, że Lotkin wiezie go na niechybną śmierć, zniknęła. „Bóg wiara, sen mara“, dodał Iskra, poczem popadł w dalszą zadumę i już więcej z Lotkinem nie rozmawiał. Opowiadał dalej Lotkin, że pocichu przesiadł się z bryczki na swego konia, poczem najdalej za pół godziny bryczka, wioząca Iskłę, zaturkotała przed sienią dworu w Drochlinie, wypełnioną żołnierzami polskimi z oficerem na czele. Gdy Iskra wysiadł i przestąpił próg domu, został natychmiast rozbrojony i zrewidowany.

Po odebraniu wszystkich papierów, jakie miał przy sobie, odprowadzono go do osobnego w parterze pokoju, który ze wszystkich stron został otoczony wzmocnionymi zbrojnymi wartami, a Lotkinowi nakazano nie-

zwłocznie wracać celem sprowadzenia oddziału Iskry do Drochlina.

Marsz oddziału Iskry do Drochlina odbył się bez żadnych przygód i zainteresowania. Było już dobrze po północy, gdyśmy przybyli do wsi. Major Bogdan w tej chwili zameldował się w głównej kwaterze pułkownika Kurowskiego, a na jego miejsce przybył do nas adjutant Chmielińskiego, który osobiście wyprowadził cały oddział Iskry niedaleko za wieś i tam ustawił w prostej linii, rozkazując złożyć broń w kozły i rozpocząć biwakowanie. Nasza konnica stanęła na lewym skrzydle.

Po uskutecznieniu takiego rozmieszczenia oddziału, pan adjutant zaprosił z sobą do głównej kwatery kapitanów: Groba, Rosenbacha i Denisiewicza, oraz rotmistrza Bogusza, których natychmiast po przyjeździe do dworu rozbrojono, aresztowano i każdego pojedynczo w osobnym pod wartą pokoju osadzono. Wtedy niezwłocznie sąd wojenny rozpoczął dalsze rozprawy nad majorem Iskrą przez powoływanie w roli świadków kapitanów z oddziału Iskry i rotmistrza Bogusza.

Tymczasem żołnierze Iskry, pozbawieni swego dowódcy i kapitanów, rzucili się na poszukiwanie opału na ogniska, gdyż chłodna, prawie jesienna noc zaczęła nam nieco dokuczać. Wkrótce też naniesiono dosyć drzewa, rozniecono ogniska i przy wesołych, a ciepłych płomieniach wyciągano zziębnięte członki.

Tak przeszła noc.

Kiedy brzask dzienny zaczął powoli przywdziewać na siebie jasną szatę i uwidoczniać stopniowo okoliczne przedmioty, zaczęto rozdawać żołnierzom zwykłe porcje okowity i chleb ze słoniną, tak znakomicie przyprawioną, że dawała się smarować jak masło. Rozwidniło się wkrótce na dobre i niebawem też przyszło w pole kilku

żołnierzy z łopatami i za wskazówką swego oficera rozpoczęli o jakich sto metrów od naszej konnicy kopanie dołu.

Każdy z nas zrozumiał ważność chwili. W milczeniu też śledziliśmy wzrokiem, czy dół będzie jeden, czy może więcej? Kiedy zatem kopacze, po wykopaniu pojedynczego dołu wrócili tam, skąd przyszedli, nabraliśmy przekonania, że grób ma służyć na miejsce wiecznego spoczynku wyłącznie tylko dla majora Iskry.

Dziń okazał się piękny, w całym tego słowa znaczeniu. Słońce, podniósłszy się do znacznej wysokości, ogrzewało wszystkich ciepłymi i błogimi promieniami, a w jasnym i jarzącym jego świetle cudownie odbijały się dalekie pola i łąki.

Niebawem w równym tempie marszowem nadciągnął z kwater drochlińskich bataljon piechoty Chmielińskiego z konnicą, a trochę dalej za nim świeżo przybyły z Galicji oddział Ottona Esterhazego. Chmielińszczacy rozwinęli się całym bataljonem pod kątem prostym, porzucając od prawego skrzydła byłego oddziału Iskry, a znów pod kątem prostym od końca oddziału Chmielińskiego stanęła formacja Esterhazego. W ten sposób trzy boki w polu zajęły piechota i konnica trzech oddziałów, czwarty zaś bok, świecąc w środku wykopanym grobem dla majora Iskry, pozostawiał luźny widok na dalsze przestrzenie pól.

Po niedługim czasie od strony widniejącego stąd dworu w Drochlinie ukazała się gromadka jeźdźców. Na czele jechał na karym koniu pułkownik Kurowski w towarzystwie dwóch adjutantów. Ubrany był w piękny granatowy mundur, wzorowany na galowych uniformach armji z przed 1831 r. Mundur ten, bogato przyozdobiony srebrnymi akselbantami i naramiennikami, któ-

rych gęste frendzle efektownie odbijały od niebieskiej barwy uniformu, wzbudzał uczucie zachwytu i podziwu. W drugim rzędzie jeźdźców odznaczał się skromnością umundurowania Chmieliński z jednym adjutantem po lewej i majorem Bogdanem po prawej stronie. Orszak ten zamykało jeszcze dwóch jeźdźców. Po lewej stronie na zgrabnym gniadym koniu jechał pułkownik Teofil Zaremba-Władyczański, a obok niego Otto Esterchazy, dowódca stojącego na placu nowego oddziału piechoty strzeleckiej. Cała ta grupa ośmiu jeźdźców, wjechawszy w środek czworoboku, osadziła konie na miejscu.

Wślad za nimi, z tej samej miejscowości wyszły dwie partje ludzi. W pierwszej dominował swym wysokim wzrostem major Iskra, z lekko na ramionach spoczywającą burką sławucką koloru brązowego, podszytą amarantowem suknem. Głowę miał nakrytą czarnym pięknym kołpakiem, przyozdobionym w ażurową z czaplił piórem agrafę. Obok Iskry postępował ksiądz zakonnik bernardyn czy kapucyń z krzyżem w ręku. Orszak ten konwojował oddział kawalerzystów z dobytymi szablami.

Druga partja, za nią postępująca, również w otoczeniu spieszonej konnicy z obnażonemi pałaszami, eskortowała pomiędzy sobą kapitanów Groba, Denisiewicza, Rosenbacha i rotmistrza Bogusza.

Za eskortowanymi ludźmi szło jeszcze dwóch żołnierzy oddzielnie, niosąc szable i rewolwery, należące do 3 kapitanów i rotmistrza Bogusza.

Całkiem naturalnie, że uwagę powszechną zwracał na siebie wyłącznie major Iskra.

I rzeczywiście było na co patrzeć!

Iskra bowiem w oczach patrzącego nań widza szedł raczej na jakąś zabawę, lecz pod żadnym pozorem nie na śmierć. Widocznie świeżo umyty i odświeżony, od-

czyszczony i uczesany, bez najmniejszych śladów obrzęknięcia na twarzy, z cerą delikatną, lekko zarumienioną i ujętą artystycznie w obramowaniu bujnych blond loków — przedstawiał naprawdę typ pięknego mężczyzny, nie wyglądającego zgoła na skazańca.

Gdy owe piesze partje zajęły wskazane na środku czwroboku miejsca, Chmieliński podjechał konno kilka kroków naprzód i dobitnym a silnym głosem przeczytał z podanego mu przez adjutanta arkusza papieru, co następuje:

„Na podstawie wyroku Sądu Wojennego, odbytego we wsi Drochlinie w dniu 29 września 1863 r., obecny tutaj major wojsk polskich Artur Iskra-Sokołowski, za udowodnione gwałty i rabunki, oraz utratę znacznej liczby ludzi, koni, broni, amunicji i innych wojskowych rekwizy w skazany został na karę śmierci przez rozstrzelanie“.

Tu Chmieliński z całej siły zawołał:

— A ja ten wyrok zatwierdzam!

Po odczytaniu powyższego wyroku Iskra wyprostowany dumnie postąpił kilka kroków naprzód i z podniesioną do góry głową wygłosił dwie prośby, a mianowicie: ażeby przy rozstrzelaniu nie zawiązywano mu oczu, a po wtóre aby mu pozwolono przed śmiercią napisać kilka słów do siostry, mieszkającej w Warszawie.

Obydwie prośby uwzględniono.

Podjechał przeto major Bogdan na swym siwym koniu ku skazańcowi i podał mu wyjęty z kieszeni notesik. Iskra wyjął z niego ołówek, oparł notes o bok konia i, skreśliwszy widocznie słowa ostatniego z siostrą pożegnania, wręczył po ukończeniu pisma ową kieszonkową książeczkę Bogdanowi. Po tym ostatnim swoim czynie zgrabnym teatralnym ruchem zrzucił z ramion okrywającą go dotąd burkę i skierował swe kroki wprost

ku krawędzi wykopanego dołu. Nie odstępował go już zakonnik z krzyżem w ręku. A ponieważ o jakich dwadzieścia lub piętnaście kroków od Iskry, stał półpluton piechoty z oficerem na czele, odkomenderowany do wykonania egzekucji, Iskra, obróciwszy się nagle twarzą do mających strzelać żołnierzy, podrzucił z głowy swój kołpak z czaplem piórem do góry i na cały głos krzyknął:

— Ginę od kuli polskiej, lecz stokroć wolałbym zginąć od kuli moskiewskiej!... Niech żyje Polska!

Wtem stało się coś niespodziewanego. Kawalerja Iskry, ustawiona na lewem skrzydle piechoty, podniosła chóralny jednogrzmiący okrzyk:

— Łaski!.. Przebaczenia!

Chmieliński natychmiast spiął konia ostrogami i galopując przed frontem wrzeszczącej konnicy z odwiezionym rewolwerem w ręku, zawołał:

— Milczeć!.. Milczeć!

Na szczęście wszyscy zamilkli. W przeciwnym bowiem razie nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Chmieliński do nieposłusznych temu rozkazowi byłby osobiście strzelał.

W tejże chwili ksiądz podał Iskrze do pocałowania krzyż z wizerunkiem Chrystusa i odstąpił na bok.

Krótkie głosy komendy... palba całą salwą... i major Iskra wpadł do otwartego dołu.

Podbiegł ksiądz, a nachyliwszy się nad dołem, zawołał:

— Żyje!

Wówczas dwóch podoficerów, spuściwszy lufy karabinów do dołu, dało ognia.

Oficer, komenderujący egzekucją, przystąpił do grobu, popatrzył czas jakiś do środka, wreszcie dał znak

żołnierzom, stojącym w pogotowiu z łopatami, do zakopania dołu.

Po skutecznieniu tej ostatniej powinności, czy przysługi Chmieliński nakazał zwrócić pałasze, odebrane kapitanom Grobowi, Rosenbachowi i Denisiewiczowi, a także rotmistrzowi Boguszowi, z poleceniem natychmiastowego objęcia poprzednich komend w kompanjach i szwadronie.

Pułkownik Zaremba został osobiście przez Chmielińskiego doprowadzony przed front byłego oddziału Iskry i przedstawiony jako nowy dowódca.

Po tej prezatacji rozległy się komendy naczelników oddziałów: Zaremby, Chmielińskiego i Esterhazego i bataljony według wskazanego porządku opuściły plac egzekucji, kierując swój wymarsz w stronę niedalekiego Melchowa.

W polu została tylko świeża mogiła rozstrzelanego przed chwilą Iskry.

Komentując suche słowa wyroku, wydanego na Iskłę, podkomendni jego oddziału rozumieli, że gwałty odnosiły się do wypadku w Olesznie. Utratą znacznej liczby ludzi, koni, broni, amunicji i innych wojskowych rekwizytów, można było przypisać niebacznemu zaatakowaniu miasta Małogoszcza, jak również niedogłądu wojska w Wiszniowej Woli pod Włoszczową. Ale o rabunkach nikt z całej piechoty oddziału Iskry nic nie wiedział i wiedzieć nie mógł. Piechota do rabunków nadawać się nie mogła, jako ciało za ciężkie do tego rodzaju karygodnych wybryków. A gdyby nawet dała się nakłonić do czegoś podobnego, odpowiedzialność byłaby za powszechna i rozgłośna, zamieniając cały, półtysiąc ludzi liczący, oddział w jedną bandę rabusiów, a to właśnie byłoby zbyt ryzykowne i niedorzeczne.

Zwrócono więc uwagę na co innego..., że przed samem wykonaniem wyroku kawalerja Iskry prosiła gremjalnie o łaskę i przebaczenie.

Drugim znamienym faktem było to, że już po wykonaniu wyroku Chmieliński wszystkich oficerów konnicy byłego oddziału Iskry zdegradował na podoficerów, a podoficerów na szeregowców. I to właśnie stało się przyczyną samowolnego przez tę konnicę opuszczenia oddziału w niewiadomym kierunku, a następnie zupełnego zniknięcia z horyzontu powstania

Adjutant Iskry, B. również przepadł bez wieści.

Jeden tylko — porucznik Lotkin z garstką swoich kozaków odłączył się od owych samowolnych banitów, przyłączając się do kawalerji Chmielińskiego.

Piechota, pozostała po rozstrzelaniu Iskry, walczyła mężnie pod Mełchowem, Oksą, Kwiliną, Ocieskami i Hutą Szczecińską, odbierając wszędzie pochwały za niezwykle męstwo i nieustraszość w bojach. Ostatecznie przetrwała ona do zupełnego upadku powstania, kiedy po bohaterskim ataku na Opatów w końcu lutego 1864 r. w parę dni później z resztą innych oddziałów została zniesiona przez olbrzymie siły moskiewskie pod Witosławicką Górą.

Zadaniem przeto niniejszego mojego pamiętnika jest w imieniu prawdy szczegółowe spisanie tych bojów, ażeby sprostować wszystkie bajeczki i fałsze o oddziale Iskry przez ludzi niepowołanych, kto wie, czy nie z rozmysłu popisane.

W każdym razie szkodą jest niepowetowaną, że wyrok śmierci na Iskry orzekł tylko w krótkości, za co kara została wymierzona, nie podając jednakże szczegółów zbrodni. Szczegóły te ujęte widocznie tylko w pro-

tokóle śledztwa, niewiadomo w czyje ręce się dostały i pytanie, czy zobaczą kiedy światło dzienne.

Chmieliński, tak samo jak Czachowski lub generał Bosak, należał do bardzo wyjątkowych wodzów powstania 1863 r., nie znoszących t. zw. politykowania i niehonorowych czynów. Stojąc jedynie na stanowisku Polaka wobec wrogów i ciemniźcicieli Ojczyzny, hołdował do końca swego bohaterskiego życia — maksymie bezwzględnej walki z Moskalami. Nic też dziwnego, że oburzony nikczemnymi postępками Iskry, hańbiącemi nas zarówno wobec całego polskiego społeczeństwa, jak i nazewnątrz, uległ może sugestji, że promienie złego w prostym od Iskry kierunku wniknęły już w organizm całego jego oddziału. A jeżeli tak było, to demoralizacja musiała być wszechstronna i nie mogło być na nią ratunku, co w razach poskromienia tejże, musiałoby ujawnić się opozycją lub buntem.

I o tem właśnie Chmieliński chciał się osobiście przekonać.

Kiedy więc najspokojniej w świecie opuściliśmy plac egzekucji, a na czoło maszerującej kolumny wysunięto naprzód kompanję żuawów kapitana Groba, a za nią kompanje strzeleckie kapitanów Rosenbacha i Denisiewicza, a wkońcu kompanję kosynierów Postawki, Chmieliński przygalopował na sam front oddziału i najpierw wziął w obroty żuawów.

Teren falowato-pagórkowaty, okryty ścierniem po odbytych zbiorach, wcale się nie nadawał do wykonywania ruchów i obrotów wojskowych. Chmieliński jednakże, nic sobie z tego nie robiąc, nakazywał nam, w marszu ewolucjonować coraz to innemi zwrotami i formacjami. Zwykły naprzykład krok marszowy zamieniał na bieg, formację dwójkową przeistaczał w kontramarszu na

czwórkową, sekcjami, plutonami lub frontem kompanijnym, rozsypywał kompanje w tyraljerkę, to znów nagle ściągał je w szeregi, aby sformować czworoboki, najeżone bagnetami przeciw kawalerji. Słowem na przestrzeni półmilojowej tak porządnie nas umęczył, że kapitanowie z językami powywieszanemi prawie nadążyć już nie mogli po nierównym terenie. Ochrypnięci od ustawicznie wygłaszanych komend, spoceni od ciągłych zwrotów i bezustannych wysiłków, przedstawiali widok godny pożalowania.

Chmieleński, największą irytację swoją skupiając na żuawach kapitana Groba, nie szczędził płażowania pałazem i bezustannego krzyczenia.

— Jak maszerujecie rogate czworonogi?

— Na co takie odstępny... czerwone raki?

Oddział jednakże cały nadzwyczajnie obrotami zmęczony i padający nieomal z nóg, nie dał się wyprowadzić z równowagi i pomimo takiego maltretowania dochodził w zupełnym porządku do widniejących jeszcze w blasku zachodzącego słońca domostw Mełchowa.

Wieczór już całkowicie roztaczał swą mroczną szatę nad całą wsią, gdy nas rozkwaterowywano po tamtejszych chałupach i zaciągano warty przed każdą z nich.

Żołnierze byli tak sforsowani, że nie czekając nawet na wieczorny posiłek, pokładli się na pierwszym lepszym miejscu, często nie zdejmując rynsztunku.

BITWA POD MEŁCHOWEM.

(30. IX. 1863 r.).

Brzask dzienny już się miał zbliżyć, chociaż noc czarnym kirem pokrywała jeszcze cały Mełchów, gdyśmy zostali zaalarmowani strzałami pikiet obozowych.

Wszystko co żyło zrywa się ze snu, chwytą za broń i wybiega przed chałupy, formując szeregi kompanijne. Kapitanowie z dobytymi pałaszami wydawali krótkie komendy, a dowódcy przebiegali na koniach fronty swych wojsk, przynaglaając wszystkich do pośpiechu.

Gdy ostatecznie wydano rozkaz do wymarszu, spostrześliśmy, że byliśmy przeznaczeni na pierwszy ogień.

Domostwa wsi Mełchowa stanowiły jedną długą linię przy drodze, która po skończeniu się wsi wchodziła w obustronny wysokopienny las, ciągnący się jeszcze dosyć daleko poza wsią, potem kończąc się nagle z lewej i z prawej strony pod kątami prostemi, wydłużała te lasy z prawej strony w kierunku miasteczka Lelowa, a z lewej również na znacznem oddaleniu ku Bolesławowi.

Otóż naprzeciw tych lasów i wylotu drogi z Mełchowa rozciągała się bardzo daleka przestrzeń pól falistopagórkowatych, gdzie niegdzie tylko rzadkimi krzakami porośniętych.

Moskale, nadciągając właśnie od strony tych pól,

starali się nie dopuścić powstańców do leżących naprzeciw lasów, i w tym właśnie celu pchnęli jeszcze przed świtem ku Mełchowu znaczną ilość kozaków i dragonów, aby ci wskazanego celu dopięli. Wiedzieli oni, że jeżeli zdołamy uprzedzić ich zabiegi i obsadzimy skraje lasów od strony pola, to lasy te staną się naturalną fortecą, którą Moskale z odkrytego miejsca zdobywać będą musieli, ponosząc dotkliwe straty.

Biegliśmy zatem rozwiniętymi półplutonami piechoty, zajmując całą szerokość drogi, a więc w pierwszej linii kompanja żuawów kapitana Groba, następnie kompanje strzeleckie kapitanów Rosenbacha i Denisiewicza, a za nimi formacja Postawki. Pułkownik Zaremba kłusował obok nas, po prawej stronie drogi, więcej rowem aniżeli gościńcem. Za nami zdążały kompanje strzelców pułkownika Chmielińskiego, a na końcu oddział Esterhazego.

Zaledwieśmy opuścili Mełchów i weszli do lasu, zostaliśmy przywitani kulami z karabinów rosyjskiej konnicy. Narazie zabroniono nam strzelać i, ażeby Moskałom dać skuteczną odprawę, postanowiono kozaków i dragonów przypuścić do siebie na bliższy dystans. W tym celu korzystając z opłotków, dostaliśmy rozkaz uszykować się odpowiednio, a więc znowu położyliśmy się na ziemi, strzelcy Rosenbacha przyklęknęli, a kompanja Denisiewicza pozostała w stojącej podstawie. W ten sposób kolejnymi salwami zamierzano przywitać nacierających.

Brzask dnia był jeszcze tak słaby, że kozacy i dragoni, oddaleni o jakich dwieście kroków od nas, przedstawiali się naszym oczom niby jakieś fantastyczne widma, w mglistych, ledwie tylko widocznych zarysach, zbliżających się stopniowo ku nam.

Tymczasem Moskale, rozzuchwaleni naszym pozornym spokojem, sądzili widocznie, że od pierwszych ich strzałów lęk przejął nasze dusze i że wystarczy jeszcze jeden taki atak, a rozpierzchniemy się na wszystkie strony. Podniósłszy zatem głośnie i dzikie wrzaski, przypuścili na nas szaloną szarżę, nie szczędząc kul ze swoich krótkich karabinków. I już się zdawało, że najwyżej za parę sekund wpadną na nas i rozniosą kopytami końskimi, gdy raptem przyczajeni na komendę kapitana Groba daliśmy salwę.

Skutek naszego ognia był straszny. Krzyki, piski, wrzaski i jęki, rżenie koni i przekleństwa, dźwięki trąbek na odwrót, pomieszane z ostatniem westchnieniem: *Hospodi pomiluj!.. (Boże zlituj się).*

Moskale, przerażeni takim obrotem rzeczy, nie zdążyli jeszcze swych koni nawrócić, gdy grzmiąca druga salwa strzałów przeszła powietrze.

To kapitan Rosenbach dał Moskalom znać o swej obecności.

Wówczas popłoch pomiędzy kozakami i dragonami stał się powszechny. Pogalopowali oni dziarsko zpowrotem, tylko pył z pod kopyt okrył ich gęstymi obłokami.

Stosy trupów ludzkich i końskich oraz głośnie jęki ranionych świadczyły o odbytej przed chwilą bitwie.

Kompanja strzelców kapitana Denisiewicza nie potrzebowała strzelać, albowiem nikogo już przed nami nie było.

Straty nasze przy wstępnym ogniu konnicy rosyjskiej były stosunkowo nieznaczne. Śmierć tylko pułkownika Zaremby była dla wszystkich bolesna i w skutkach niepowetowania z powodu jego wysokich zdolności wojсковych, męstwa i wypróbowanego partjotyzmu.

Pułkownik Teofil Władyczański, znany pod pseudo-

nimem Zaremby, były podpułkownik generalnego sztabu wojska rosyjskiego, zaciągnął się w Krakowie jako prosty powstaniec, w celu walczenia z Moskwą o ojczyznę. Dzielny żołnierz i najszlachetniejszy z pomiędzy tych, co na wezwanie Rządu Narodowego, opuścili szeregi moskiewskie. Był najpierw na Litwie i stamtąd po jakiejś nieszczęśliwej potyczce przez Prusy dostał się do Kongresówki. Hasłem jego było bić się i zginąć za ojczyznę. Zgorszony wypadkami w Krakowskim, mawiał: „U nas na Litwie niema uciekinierów, — a kto idzie do lasu, tam zostaje dopóty, dopóki nie zginie“. „Tu w Krakowskim (powiadał) milsze jest życie ludziom“. „Ja (mówił, jakby przeczuwając) mam tylko dwie ostateczności: albo zginę na polu walki, albo mnie Moskwa rozstrzela“. Skromny i nie wynoszący się nad drugih, zachowywał w kółkach towarzyskich, gdzie bywał, największe incognito i nigdy się swoim męstwem nie chełpił, jak to zwykli robić ludzie o podejrzanej odwadze. W bitwie pod Mełchowem kule moskiewskie ubiły najprzód pod nim dwa konie. Kiedy siadał na trzeciego, zaledwie wypowiedział słowa: „Trzecia kulka już dla mnie będzie“ — gdy strzał z pobliża nadciągających Moskali ugodził go w brzuch. Spadł zaraz z konia, ale męczarnie jego śmierci bohaterkiej trwały jeszcze 28 godzin. Podczas tych ostatnich bolesnych chwil, zachowywał największą przytomność i rezygnację. Mówił o nadziei, jaka nie ustępuje z jego serca, co do losu Polski, pisał ostatnie rozporządzenie swego majątku, wzmacniał swoich podkomendnych i zachęcał do wytrwania. Pogrzeb jego odbył się uroczyście z udziałem licznej publiczności okolicznej. Szkoda wodza o takim sercu.

Mając przez sobą drogę oczyszczoną z Moskali, biegliśmy zwartym kompanijnym szeregiem, w największym

bez wytchnienia pędzie, a gdyśmy już dolecieli do końca drogi wśród lasów, nasz oddział Zaremby (dawny Iskry) skierował się w prawo na skraj lasu, piechota Chmielińskiego zajęła na przedpolu wylot drogi melchowskiej, oddział zaś Esterhazego ulokował się w lasach po lewej stronie gościńca.

Zaledwie zdążyliśmy objąć w posiadanie skraj lasu i zaledwie kapitan Grob zdołał nas rozstawić tyralerką za olbrzymimi pniami rosnącego tutaj drzewostanu, piechota moskiewska w długich szarych szynelach ukazała się naszym oczom, pędziła przez pola i już była bliska lasu, gdyśmy z poza drzew otworzyli na nią celny ogień z belgijskich sztucerów. Zatrzymani w biegu pokładli się w brózdach polnych i wtedy rozpoczęła się dłuższy czas trwająca obopólna strzelanina. Kule moskiewskie świstały nam wprawdzie około uszu, ale absolutnie najmniejszej szkody nie wyrządziły, gdyż każdy żuaw, znakomicie ukryty za grubemi sosnami, czuł się bezpiecznie, drwił tylko z tej daremnej na wiatr pukaniny.

Tymczasem i Moskale, zauważywszy bezowocność leżenia w brózdach i wystawiania siebie na niepotrzebne strzały, postanowili prędzej z nami skończyć i wprost szturmem wyprzeć ze skraju lasu. Posłali zatem w sukurs całą rotę piechoty, spodziewając się, że bagnetami wnet rozstrzygnie walkę.

Masz tobie babo redutę!

Nam było tak wygodnie strzelać z poza drzew i przyglądać się z całą przyjemnością walczącego żołnierza, gdy trafiony Moskal obmacuje się po rękach, nogach lub po brzuchu, a potem lezie rączkiem na tyły swego oddziału, a tu szelmy nie tylko że nas chcą pozbawić panoramy, lecz ponadto żywią pobożne życzenia całkowitego wyparcia nas ze stanowisk.

— O, niedoczekanie wasze! — pomyślał sobie zapewne stojący głębiej w lesie obok swego konia major Bogdan. Skinął bowiem tylko w stronę rezerw Rosenbacha i Denisiewicza, leżących bezużytecznie na brzuchach i do tego jeszcze na miękkiej, leśnej podściółce. Obie kompanje ruszyły natychmiast, podpełzły na sam skraj lasu, akurat naprzeciw podążających ku nam Moskalom.

Znowu powtórzyła się ta sama historia, jak o brzaśku dnia na drodze mełchowskiej z kozakami — strzelanina na bliski dystans.

Nauka nie poszła w las!

Trzeba widzieć na własne oczy Moskali, w danym razie zwykle alkoholem podnieconych, jak pewni zwycięstwa, falą, zdaje się wszystko i wszystkich druzgocą, biegną nieprzeparcie naprzód.

Tak samo było i tym razem.

— Na sztyki! (na bagnety) — dała się słyszeć rosyjska komenda.

Cała falanga Moskali rzuciła się jednostajną ławą na las. I już byli nie więcej jak na 40 kroków od nas, gdy padły polskie komendy:

— Ognia!

Silny grzechot karabinów przerwał chwilę niespokojnego wyczekiwania. Kilkunastu Moskali padło, reszta zrejterowała szybko wtył.

Rezerwy nasze wróciły na dawne miejsca, a my — zuawci stanęliśmy znowu za swojemi grubemi pniakami i z zadowoleniem obserwowaliśmy Moskali skupiających się w przyzwoitem oddaleniu.

Cóż więc wobec takiego stanu rzeczy pozostawało Moskalom do zrobienia? Zatoczyć armaty.

Wkrótce też dał się słyszeć turkot sześciokonnych

dział i niebawem naprzeciw nas ukazały się paszcze armat, które, grząc basowym rykiem, obcinały pociskami granatów wierzchołki drzew, nie czyniąc nam szkód.

Szum i łoskot spadających na ziemię gałęzi rozdzierał monotonię lasu, ożywiał ciszę leśną i niejako dodawał uroku całości bitwy, a jeżeli przynosił jaką materialną szkodę, to wyłącznie właścicielowi drzewostanu.

Moskale jednakże tak wierzyli w skuteczność swych „puszek“, że co najmniej przez całą godzinę walili z dział, sądząc widocznie, że jednej polskiej duszy w lesie nie pozostanie.

To było tak nazwane przedwstępne przygotowanie do szturm.

A gdy ponowny atak na las nastąpił, my niepoprawni z temi rezerwami, które znowu podpełzły na skraj lasu, przypuściwszy Moskali na ten sam bliski dystans, otworzyliśmy morderczy ogień, wstrzymując ponownie szturm, zmuszając ich znowu do odwrotu.

Odetchnęliśmy swobodnie. O nowym ataku Moskale przynajmniej narazie nie myśleli. Dlatego też właśnie, uważając ową chwilę za odpowiednią do zaopatrzenia naszych, jeszcze od wczorajszego dnia wyposzczonych żołdaków, major Bogdan wysłał kilku ludzi do furgonów, pozostawionych w Melchowie, którzy stamtąd właśnie sprowadzili chleb, słoninę i okowitę.

Zajadając smacznie te boże dary, czyniliśmy to nawet i na intencję moskiewską, gdyż wzmacniając osłabione prawie dwudziestogodzinnym postem organizmy, staraliśmy się jak najlepiej i jak najdokładniej to uczynić, nam było na długo weselej, — no i ażeby to Moskalom wyszło także na zdrowie.

Gdy tak się działo z Moskalami na prawem skrzydle, przejdziemy się teraz do lasu, położonego po lewej stro-

nie drogi mełchowskiej, dokąd — jak wiemy — wkroczył oddział Esterhazego.

Na nieszczęście oddział ów, świeżo sformowany w Galicji, składał się z młodzieży, jeszcze nieotrząskanej z ogniem. Moskale wyczuli widocznie słaby opór, bo zwartym szykiem, jak piorun wpadli do lasu. Pierwszemi moskiewskimi strzałami został zabity Esterhazy, co tak okropnie podziało na nieoswojonych z bitwami tych młodych i niedoświadczonych żołnierzy, że odrazu poszli w rozsypkę.

Chmieliński, śledząc tok bitwy, obawiając się oskrzydlenia oddziałów i połączonego z tem całkowitego rozbięcia, ściągnął natychmiast ze swoich rezerw dwie kompanje strzelców i na ich czele wpadł na tyły Moskali, uganiających się za rozbitkami oddziału Esterhazego. Moskale, nieprzygotowani na taki manewr Chmielińskiego, wyrzuceni z lasu, sromotnie uciekli. Chmieliński podwójnie wygrał: raz, że zapłacił Moskalom dobrym procentem za śmierć Esterhazego, a po wtóre, że ściągnąwszy resztki swej piechoty z wylotu drogi mełchowskiej do lasu, zabezpieczył ją od niepotrzebnego w odkrytem miejscu ostrzeliwania.

Droga mełchowska, opróżniona z ostatniego żołnierza, świecąc odtąd pustkami, służyła za wyborny dla Moskali wabik. Ci jednakże o tyle już zmadrzeli, że ani razu nie pokusili się o wejście na nią, rozumiejąc aż nadto dobrze, że chytry Chmieliński uczynił z niej coś w rodzaju Sammosierry, gdyż w istocie z powodu obsadzenia jednej strony lasu przez dawnych żołnierzy Iskry, a z drugiej przez chmielińszczaków, stała się ona trudna do sforsowania. Trzebaby chyba mieć co najmniej trzykrotnie większe siły, ażeby tą drogą dostać się na nasze tyły.

Chmieliński, przekonawszy się naocznie, że w tej części lasu, gdzie się znajdował jego oddział, Moskali

niema, spokojny już o dalsze losy rozmieszczonych tu żołnierzy, postanowił zlustrować prawe skrzydło.

Jakżeż niezmiernie musiał być zdziwiony, gdy po przybyciu tu zobaczył nas, spokojnie siedzących pod pniami olbrzymich drzew i do tego zwróconych tyłem do Moskali, rezerwy leżące w pozycjach swobodnych na brzuchach, a naprzeciw nas w polu liczne trupy Moskali; w przyzwoitej odległości widać było niewielkie ich grupy.

Chmieliński od razu ocenił całą sytuację i widocznie poweselał. A kiedy major Bogdan podszedł ku niemu, by się zameldować, Chmieliński zapytał o jakość naszych szkód?

— Nawet najmniejszych szkód ani w zabitych, ani w rannych nie mieliśmy.

— A to w jaki sposób? — pytał dalej zdziwiony Chmieliński, pokazując na leżące na połu trupy moskiewskie.

W odpowiedzi major Bogdan wskazał na grube pnie drzew, stojących na skraju lasu, i bezpiecznie o nich opartych żuawów.

— Tak prawda. Jesteście jak w fortecy — mówił Chmieliński — ale powiadaj mi, majorze, jak to się stało, że oddział, na który miałem podstawy jak najmniej liczyć, okazał się tak bitny i waleczny?

— Proszę nie zapominać, panie pułkowniku, że dawny oddział Iskry został wymusztrowany przez podoficerów-instruktorów, udzielonych mu przez pana pułkownika.

— A tak, przypominam to sobie, proszę o podanie mi imion i nazwisk tych instruktorów.

— Henryk Huppert, Jan Postawka, Kazimierz Zienkiewicz — odpowiedział Bogdan.

Chmieliński wyjął kieszonkowy notesik, a zapisawszy w nim podane nazwiska, ogłosił jako rozkaz dzienny, awans podoficerów-instruktorów: Henryka Hup-

perta, Jana Postawki i mnie na podporuczników z tem, że pierwsi dwaj mają czasowo sprawować funkcję komendantów kompanij. Jednocześnie oznajmił, że wobec śmierci pułkownika Zaremby bataljon po rozstrzelanym Iskrze przechodzi odtąd w całości pod jego dowództwo, które sprawować będzie w dziale wojskowym przez majora Bogdana, a w dziale aprowizacyjno-manipulacyjnym przez awansowanego właśnie majora Rosenbacha. W dalszych planach organizacyjnych po stworzeniu z kadr oddziału Zaremby dwóch bataljonów, każdy z tych majorów jest przeznaczony do samoistnej komendy. Obecne więc stanowiska obu majorów przy byłym oddziale Iskry są tylko czasowe. Ponieważ zaś kapitan Denisiewicz przechodzi z awansem do konnicy, przeto prowizorycznym komendantem kompanji po nim został porucznik Narkiewicz, prowizorycznym komendantem po majorze Rosenbachu podporucznik Huppert. Podporucznik Postawka zatrzymuje dalej komendę swej kompanji, która wkrótce po uzupełnieniu karabinów zostanie zamieniona w kompanję strzelecką. Ja natomiast zostałem nadal w kompanji żuawów kapitana Groba.

Po takim oświadczeniu pułkownik Chmieliński zwrócił się do najbliższej kompanji strzelców, leżącej w rezerwie poza linją tyraljerów, z prośbą o świeżą wodę do picia. Jeden z szeregowców podniósł się na nogi i podał pułkownikowi manierkę, napełnioną wodą. I szczególnym trafem w tejże sekundzie Moskale rozpozczęli ogień karabinowy, a jedna z kul zabłąkanych wytrąciła mu manierkę z ręki.

— Psubraty! — zawołał Chmieliński — nawet mi się wody nie pozwalają napić.

To mówiąc, podał rękę majorowi i odjechał na lewe skrzydło.

Moskale kontynuowali dalszą strzelaninę z nie lepszym, niż dotąd skutkiem, z tą jednakże różnicą, że zamiast obsypywania nas granatami zajęli się teraz rzucaaniem rac kongrewskich poprzez las na wieś Mełchów, w celu wypłoszenia stojącej w Mełchowie konnicy Chmielińskiego, którą umyślnie tam pułkownik pozostawił, ażeby od strony wsi strzegła naszych tyłów, a jednocześnie miała podczas bitwy piechoty lepsze we wsi schronienie i wreszcie, żeby w razie konieczności czynnego jej wystąpienia, mieć ją pod ręką.

O ile to było prawdą, nie można przesądzać, ale podówczas powszechnie głoszono, że kiedy Moskale rakietami kongrewskimi zapalili parę chałup w Mełchowie, kawalerja ta tak zgrabnie stamtąd drapnęła, że się nie oparła, aż o kilkanaście mil od miejsca wyznaczonego jej na postój, co tak pułkownika zirytowało, że rotmistrza tej konnicy miał oddać pod sąd wojenny.

Faktem jednakże było, że gdyśmy po wygraniu bitwy maszerowali późnym już wieczorem ku miasteczku Lelowu, oddalonemu o 4 kilometry, ani jednego kawalerzysty przy nas nie było.

Wogóle bitwa pod Mełchowem była dla Moskale bardzo niekorzystna i krwawa. Chmieliński za śmierć dwóch dowódców i rozbięcie oddziału Esterhazego odpłacił tak sowicie, że lepiej zapłacić nie można było. Czas bitwy samej, trwającej więcej niż dwanaście godzin, przeleciał dla żołnierzy nadzwyczaj szybko. Cechą albowiem wszystkich bitew jest to, że silne podniecenie wrażeń, różnolita mnogość epizodów wśród walki, a nadewszystko zapomnienie o swoim „ja“ podczas zgorączkowania walką tak bardzo wpływają na odczucie czasu, że dzień cały wydaje się równym dwu godzinom, a godzina dzieściu minutom.

Po opuszczeniu nas przez Chmielińskiego, który udał się na swoje lewe skrzydło, piechota moskiewska znowu rozpoczęła atakowanie naszej pozycji. Prażeni jednak ogniem uciekali zpowrotem na to jedynie, aby po upływie kwadransa lub pół godziny, na nowo taki sam szturm rozpoczynać. Najgorzej było z naszą bronią. Rozgrzane lufy karabinowe od częstych strzałów tak się zaszmarowały zewnątrz mazią prochową, że przy ponownem nabijaniu nie można było z nich stempla wyciągnąć i niejednokrotnie należało sąsiedniego kolegę prosić do pomocy, aby wyciągnięcie stempla wspólnymi siłami skutecznie. Najlepszym, bo wypróbowanym na to środkiem jest jedynie kilkakrotnie przetarcie zanieczyszczonej lufy zapomocą wody i stempla, obwinętego na końcu pakułami. Lecz ponieważ w tej części lasu, w której przebywaliśmy, wody ani kropelki nigdzie nie było, musieliśmy przeto zrezygnować z takiej metody i dalej się męczyć z wyrywaniem siłą stempli ugrzęźniętych w lufach.

Dziwiło nas niezmiernie, dlaczego Moskale pomimo ustawicznego niepowodzenia ciągle ponawiali bezużyteczne szturmy, narażając się na tak wielkie ofiary w ludziach.

Tymczasem, jak się to później okazało, dowódca bijącego się z nami oddziału chciał nas koniecznie wszelkimi możliwymi sposobami jeśli nie rozbić, to przynajmniej jak najdłużej tutaj przetrzymać. Otrzymawszy bowiem wiadomość o maszerowaniu świeżych posiłków, liczył na to, że lada chwila one nadejdą i pomogą do zupełnego zniszczenia nas.

Doniesiono również Chmielińskiemu za pośrednictwem organizacji cywilnej o idącej z kilku stron naraz pomocy dla Moskali. Wobec tego nic innego nie pozo-

stawało Chmielińskiemu, jak tylko zwinąć cały obóz z linii bojowej i, wobec oczywistej a bliskiej przewagi nieprzyjaciół zręcznem wymknięciem się z zastawianej matni ocalić swój oddział od zagłady.

A że Chmieliński był tęgim „graczem“ wojskowym, postanowił zatem byle jak nie ustępować, lecz naprzód rozbić walczących z nami Moskali i na pewien czas unieszkodliwić ich i uczynić niezdawnymi do dalszej walki, a dopiero po rozbiciu napastników zejść spokojnie z pola bitwy.

Jak pomyślał — tak zrobił.

Jakoż, gdyśmy byli zajęci silną pukaniną, raptem usłyszeliśmy daleko po lewej stronie rozległego placu bojowego ogromną wrzawę i krzyki. Patrzymy, a z lasu, w tamtej stronie położonego, wybiegają w szalonym pędzie zbite kolumny chmielińszczaków z karabinami w rękach „do ataku“.

Moskale skonsternowani tym niemiłym widokiem, gdyż szturm na bagnety nigdy nie wytrzymywali, pomimo nawoływań swych oficerów, na kilka zaledwie kroków od dopadającej ich polskiej piechoty zaczęli w wielkim nieładzie pierzchać, pociągając za sobą i tych, którzy zajęci byli nami. Sformowaliśmy więc co prędzej ze ściągniętej linii tyraljerskiej zwartą kolumnę kompanijną i ze śpiewem: Jeszcze Polska nie zginęła! istic huraganowo wypadliśmy z lasu na pole, mając w krótkich za sobą odstępach trzy kompanie piechoty, z równą brawurą biegnących na Moskali.

W odpowiedzi na ten nasz krok Rosjanie, którzy tak długo z nami na tem miejscu walczyli, poszli za przykładem swoich kolegów z lewego skrzydła i umykali czem prędzej, aby tylko ocalić zagrożone życie.

Cudowny to był widok!

Artylerja moskiewska, złożona z dwóch dział, z uprzężami po 3 pary koni, uciekała przez pola, co sił starczyło, przynaglana do tego nahajkami kozaków, którzy, z dwóch stron otoczywszy armaty, bili niemiłosiernie i konie i powożących artylerzystów, aby tylko nie wpaść z tak cennym skarbem w ręce Polaków. Kurz, wydobywający się z pod kopyt końskich i kół armatnich, wytworzył żółtopopielate obłoki poprzez które absolutnie nic nie było można widzieć.

Za armatami pędzili w nieładzie piechurzy moskiewscy, a tuż za nimi w zwartych szeregach kolumny powstańców, żądnych zwycięstwa i zdobyczy. Nie ulega najmniejszej kwestji, że gdybyśmy mieli pod ręką bodaj pięćdziesięciu kawalerzystów, działa moskiewskie musiałyby się stać polskim łupem, co podniosłoby co najmniej o sto procent wartość i znaczenie stoczonej bitwy.

Los zrządził inaczej. Siły nóg goniących za Moskalami powstańców nie mogły przewyższyć znakomitej ucieczki wrogów i po półgodzinnym może pościgu, wyczerpały się zupełnie. Powróciliśmy zatem pod las i drogą piaszczystą, prowadzącą wciąż pod owym lasem, rozpoczęliśmy powolny marsz formacjami półplutonowemi ku Lelowu.

Słońce zniżyło się już znacznie na nieboskłonie, a promienie jaskrawo oświecały cały nasz pochód i pola, i lasy..., gdyśmy niespodziewanie, po przemaszerowaniu najwyżej trzystu metrów, zaalarmowani zostali na tyłach dzikim i przeraźliwym wrzaskiem:

— Nie ujdiesz!... (Nie uciekniesz)

Spojrzelśmy poza siebie i zobaczyliśmy w przyzwoitym dystansie całą ćmę kozaków, zataczających flankierskim sposobem łuk za nami i strzelających z janczarek.

Ostatni nasz pluton, maszerujący na samym końcu

oddziału, zatrzymał się, odwrócił i obdarował kozu-
niów dobrze wymierzoną salwą.

Kozacy zawrócili i zniknęli jak kamfora.

Znowu pomaszzerowaliśmy dalej. Lecz zaledwie upły-
nął kwadrans od powyższego zajścia, jak znowu na na-
szych tyłach pojawili się kozacy i znowu dał się słyszeć
ich przeraźliwy wrzask.

Powtórzyła się ta sama historia. Ostatni pluton jak
i przedtem poczęstował ich kulkami, zmuszając i tym ra-
zem do ucieczki. W ten sposób z kolejnymi przerwami
trwało prześladowanie kozackie aż do zupełnego zacho-
du słońca, to jest czasu, gdy awangarda naszej piechoty
wchodziła do Lelowa, w którym wszakże nie zazналиśmy
upragnionego odpoczynku.

Od częstych strzałów kozackich, mierzonych w całą
kupę naszej piechoty, nie ponieśliśmy szkód, oprócz tylko
jednej jedynej ofiary, co dowodziło kiepskości celowania
z koni. Mianowicie gdy w czasie pochodu siedłem z mło-
dziutkim kolegą Albinem Kinastowskim, zdaje się alum-
nem seminarjum kieleckiego, przystanął on na chwilę,
a odwróciwszy się twarzą ku strzelającym kozakom, pod-
niósł manierkę do wysokości ust celem ugaszenia wodą
pragnienia i w tejże chwili, dostawszy kulą w czoło,
padł na miejscu bez życia. Pluton na chwilę przystanął,
a ukrywszy zwłoki w krzakach przydrożnego lasu, uwia-
domił w przechodzie przez Lelów tamtejszych mieszkań-
ców o tem przykrem zdarzeniu. Jak się potem dowiedzie-
liśmy, lelowianie na drugi dzień odnaleźli ciało zabitego
i urządzili ś.p. Kinastowskiemu przyzwoity pogrzeb na
miejskim cmentarzu.

Pułkownik Schulmann, dowodzący wyprawą mo-
skiewską w bitwie pod Mełchowem, miał pod sobą 5 plu-
tonów noworosyjskiego pułku dragonów, sotnię koza-

ków, 2 działa i jedną raketnicę oraz 6 rot piechoty smoleńskiego pułku, słynnego w powstaniu z podpalań, rabunków, niesłychanych rzezi i okrucieństw. Jako czystej rasy Niemiec w mundurze moskiewskim nie różnił się niczem od wszystkich innych niemieckich polakożerców w carskiej służbie, odznaczających się najbardziej zaciętą ku nam nienawiścią, a to głównie z powodu należenia do zbójckiej krzyżackiej rodziny, która doszła do znaczenia, bogactwa, rozgłosu i siły tylko przez rozbój, na Polsce dokonany.

Straty nasze ogólne pod Mełchowem nie przenosiły w zabitych i rannych nawet 40 ludzi, podczas gdy Schulmann miał najmniej pięć razy tyle ofiar. Lecz co dziwniejsza, że gdy największa część strat moskiewskich była poniesiona na prawem skrzydle, to po polskiej tam stronie dosłownie ani jeden powstaniec nie został zabity lub ranny. Przeciwnie na lewym skrzydle, gdzie piechota pułku smoleńskiego na samym wstępie bitwy wpadła do lasu i tam rozproszyła nigdy jeszcze w ogniu nie będący oddział Esterhazego, kładąc trupem i raniąc największą ilość niedoświadczonych żołnierzy, Chmieliński, który pośpieszył celem uratowania tego oddziału od zupełnej zagłady, stosunkowo mało położył na wieczny odpoczynek smoleńskich żołdatów, albowiem oni wiedząc, że Chmieliński bije, a nie żartuje, rozprysnęli się przed nim na wszystkie strony.

XIII. DZIERZGOWSKI MŁYN.

Przy końcu bitwy pod Mełchowem Chmieliński, jak wspomniałem, otrzymał zawiadomienie o wyjściu nań moskiewskich załóg z licznych okolicznych miast, postanowił więc obóz zwinąć i z pomocą taktycznego manewrowania wydostać się z tej nowej matni, jaką Czen-giery i Schulmann przygotowywali mu właśnie. Trzeba było wyczuć, w której stronie i jakie znajdują się siły, aby wydostać się z oblawy. Najbardziej dla Chmielińskiego dotkliwy był zupełny brak konnicy, z którą niewiadomo było, co się stało, skutkiem czego rekognoskowanie okolic, przez które mieliśmy przechodzić, zupełnie odpadło. Wobec tak przykrego stanu rzeczy należało wyzyskiwać mroki nocy i dopiero pod osłoną panujących ciemności jak najdalej odsunąć się od nieprzyjaciela i o ile możności w tym czasie połączyć się z konnicą, która, jakem wspomniał, z pod Mełchowa ulotniła się z niewiadomych przyczyn.

Nie zatrzymując się wcale w Lelowie, właściwie ominęliśmy go, przechodząc przez jedno z przedmieść. Skierowaliśmy się w stronę północno-zachodnią ku Gródkowi, poczem przeprowadziliśmy się przez Pilicę, a następnie przez Przyłęk Szlachecki, Psary, Bichniów, Krzepin, Bebelno, przybyliśmy nazajutrz do Rogienic. Cała

ta przestrzeń, obejmująca cztery opętane mile drogi, została przebyta przeważnie w porze nocnej z kilkoma odpoczynkami, przerywanymi bezustannie atakami kozaków i dragonów, którzy, podsuwając się ku nam z boków, od czasu do czasu obsypywali oddział kulkami. Strzały te z powodu ciemnej nocy były na szczęście bezskuteczne. Dowodziło to jednakże czujności pułkownika Schulmana, który, wzięwszy nas pod swoją szczególną opiekę, marnował tak swoją piechotę, aby nie dopuścić do wymknięcia się Chmielińskiego z zastawionych siideł.

W jednej z powyżej przytoczonych wiosek połączyliśmy się z oddziałem majora Faustyna Grylińskiego, składającym się z trzech kompanij piechoty i garści kawalerji. Wzmocnieni zatem na siłach, raźniej już posuwaliliśmy się naprzód. Szala powodzenia jednakże przechylała się nieodmiennie na stronę Moskali, ucieczka bowiem kawalerji naszej z Mełchowa pozbawiła Chmielińskiego możliwości wysyłania podjazdów forpoczt i rekonesansów. Przez to pułkownik Schulmann oskrzydłał zupełnie naszą piechotę z obydwóch boków, pozwalając tylko nawprost siebie maszerować, a do tego w tym jeszcze kierunku, na jaki obydwie silne moskiewskie skrzydła zezwalały.

Powołane do wyruszenia w pole załogi wojsk moskiewskich z Włoszczowy, Jędrzejowa, Olkusza, Kielc, Koniecpola, Miechowa, Częstochowy i Piotrkowa, liczące razem z artylerją i konnicą do dziesięciu tysięcy żołnierzy, pod rozkazami pułkownika Schulmana okręzały nas wokoło. Stopniowo zwężając pierścień, opasający wojska Chmielińskiego, zbliżały się one coraz bardziej ku Rogienicom, w których właśnie przebywaliśmy na dłuższym wypoczynku.

W Rogienicach oczekiwała nas przybyła wreszcie

z pod Mełchowa konnica. Przywitanie jej z Chmielińskim było nadzwyczaj ostre i tylko grozie położenia należy zawdzięczać, że skończyło się na wymyślaniu.

Nawet Napoleon Krzywda w swoich „Wspomnieniach obozowych” robi słodziutką minkę niewiniątka, gdy tak się lakonicznie wyraża:

„Po tygodniowym pobycie w domu (str. 53) dowiaduję się, że Chmieliński stoi obozem w Rogienicach, wiosce o półtorej mili odległej od miejsc, gdzie obecnie się znajdowałem. Wsiadłem więc na koń, wypocząwszy sobie należycie i podążyłem do Rogienic, gdzie połączyłem się ze swoimi. Z zadziwieniem znalazłem oddział trzy razy większy, jak go opuściłem.”

Że pan Krzywda się zdziwił, to nic dziwnego. Ale myśmy się jeszcze bardziej zdziwili, że kawalerja ta miała śmiałość przybyć wówczas, gdy już prawie zupełnie potrzebna nie była.

Parci ciągle naprzód przez Moskali, następujących nam nieomal na pięty, opuściliśmy Rogienice i poszli w stronę Oksy, o milę drogi stąd oddalonej. Między Oksą, a Lipnem stanęliśmy w jakiejś ślicznie, bo malowniczo zalesionej miejscowości, gdzie młodziutki drzewostan żywą barwą swojej zieleni, oświetlonej jaskrawem światłem zachodzącego słońca, efektownie odbijał od długiej, a niezbyt szerokiej łąki, bardzo piękną trawą porośniętej.

Chmieliński zdecydował się przyjąć natarcie Moskali. Wszystką piechotę ustawił w wydłużonym szyku bojowym pod samym laskiem, z twarzami obróconymi na łączkę i w ten sposób oczekiwał pod bronią na lada chwila nadciągnąć mających wrogów. W pozycji takiej staliśmy daremnie aż do zupełnego zachodu słońca.

Moskale nie nadchodzili.

Rosyjski dowódca nie chciał widocznie atakować wprost, co niewątpliwie kosztowałoby go wiele ofiar,

ponadto zaś wystawiałby na ryzyko odniesienie całkowitego zwycięstwa. A więc pragnął nas zgnieść zupełnie tak, aby jedna nawet polska noga z całkowitego pogromu nie wyszła. Pułkownik Schulman obsadził zatem swoim wojskiem wioski położone w stronie południowo-wschodniej, a mianowicie: Dębnik, Kroślinę, Kossów, Bałków, Bieganów, Zalesie, Brzeście i Stoki z zamiarem rozpoczęcia ataku o świcie.

Tymczasem, gdy zmierzch zupełny nastał i pogryźł w ciemnym mroku ziemię, Chmieliński po sprawdzeniu zapomocą podjazdów i rekonesansów, że po obu stronach swego oddziału ma za wielkiego na swoje siły przeciwnika, a do tego pozycję nieodpowiednią do stoczenia bitwy, wyruszył w dalszą drogę i maszerując między Radkowem a Ponczowem, doszedł do dzierzgowskiego młyna, przeznaczając go na miejsce noclegu całego oddziału.

Zanim nas rozpuszczono z szeregów, Chmieliński wystąpił przed front i zwrócił się do nas z dłuższą przemową, objaśniając o ciężkim naszym położeniu.

Oznajmił, że zostaliśmy tu otoczeni ze wszystkich stron przez blisko dziesięć tysięcy Moskali. Zagłada nasza byłaby nieuchronna, gdyby nie ta okoliczność, że nie mamy jeszcze chęci przeniesienia się w krainę duchów i że szkoda byłoby na jakimś dzierzgowskim młynie zakończyć swoją doczesną po ziemi wędrówkę, mówił żartobliwie. Kazał więc nam przespać się kilka godzin w zupełnym spokoju, przyczem zabronił rozniecać ognisk, palić tytoniu i czynić najmniejszych nawet hałasów, co dla bezpieczeństwa całego obozu szczególnie nam wszystkim zalecał.

W tej chwili ze stojących szeregów odezwał się głos jakiegoś złośliwca:

— To pokuta za grzechy naszej kawalerji!

— A to kto się odzywa? — krzyknął Chmieliński. I powtórzywszy parę razy to zapytanie, przechodził wśród szeregów żołnierzy. Cisza, jak makiem zasiał, była odpowiedzią. Żołnierze, znając krewkie usposobienie dowódcy, najmniejszym nawet ruchem nie zdradzili kolegi, z którego ust padło oskarżenie, stojącej pośród ras jazdy.

Pułkownik jeszcze raz stanął przed frontem piechoty i załagodził niemiły epizod skarceniem nas wszystkich.

Rozpuszczeni żołnierze, znużeni forsownym marszem i niespaną zeszłą nocą, pokładli się spać jak stali, gdzie kto mógł i gdzie tylko chciał. Wkrótce oprócz miarowego stąpania wart przy karabinach, ustawionych w kolumny, w całym obozowisku słychać było tylko w najrozmaitszych tonach wywodzone chrapanie.

Dobrze już było po północy, gdyśmy zostali obudzeni i ustawieni w szeregi kompanijne. Na czele zgromadzonych oddziałów stanął Chmieliński z adjutantem Wiśniewskim, trzymającym zapaloną latarkę w rękach. Nieco woddali, po lewej od nich stronie widniała grupa wieśniaków w grubych chłopskich sukmanach. Jeszcze dalej z prawej strony przy słabem oświetleniu latarek kilku ludzi napełniało ze stoczonych na ziemię beczek okowitę do wiader dla ułatwienia napełniania nią żołnierskich manierek. Osobna partja ludzi zajęta była zdejmowaniem z furgonów chleba i sucharów, a jeszcze inna dzieleniem połci słoniny na racje dla wojska.

Pułkownik Chmieliński, wywoławszy nazwisko jednego z kapitanów, wręczył mu kartkę z wypisaną marszrutą, a przydzieliwszy mu przewodnika z grupy stojących chłopów, dał następującą instrukcję.

Ma on natychmiast udać się ze swoją kompanją do widniejącego opodal magazynu, rozebrać pomiędzy żoł-

nierzy chleb i słoninę, a okowitą ponapełniać manierki, co wszystko ma być uskutecznione najwyżej w ciągu kilkunastu minut. Następnie przydzielonego przewodnika ma trzymać między żołnierzami i w razie jakiejś zdrady skończyć z nim doraźnie. Po całkowitem przejściu moskiewskiego kordonu należy jeszcze przewodnika zatrzymać dopóty, dopóki znane mu będą okolice, poczem, po wynagrodzeniu trudu pięćdziesięciu rublami zwolnić go do domu. Zrazu, aż do minięcia opasującej nas rosyjskiej obręczy, maszerować „gęsiego“, nie wolno rozpałać zapalek, nic ze sobą nie mówić, broń tak zaopatrzyć, aby najmniejszego szczęku nie wydawała, a nadewszystko pilnie nadśłuchiwać, azali nie słyszeć tętentu końskiego lub tupotu nóg ludzkich. W takich razach jak najciszej schodzić z drogi na bok, kłaść się na ziemi w największym cieniu i z zapartym oddechem przeczekiwać przejście wrogów.

W ten sposób wywołał dwunastu kolejno kapitanów, każdego z nich zaopatrzył w pisemną marszrutę, w przewodnika i każdemu z nich nakazał zaopatrzyć się w żywność i okowitę. Naostatek Chmieliński rozkazał otoczyć konnicą opróżnione z żywności furgony obozowe i również z przewodnikiem na czele, wśród największej ciszy i jeszcze większych ostrożności opuścić młyn dzierzgowski.

Rozejście się całego obozu w dwunastu pieszych partjach i jednej konnej odbyło się w promieniach odśrodkowych, na wszystkie strony i kierunki. Pozostał tylko Chmieliński z adjutantami Wiśniewskim i Bolesławem Łackim oraz majorami: Bogdanem Rosenbachem i Grylińskim. Wkońcu i oni po dokładnem zlustrowaniu ogołoconej już zupełnie z obozowiska miejscowości z po-

zostawionym dla siebie przewodnikiem zniknęli w ciemnościach nocnych.

Tymczasem Schulmann, nim jeszcze oddziały nasze doszły do dzierzgowskiego młyna, śledząc najmniejszy ruch polskich żołnierzy, krok w krok postępował za nimi. Przedewszystkiem też obsadził silnie Ponczów i Radków.

Następnie skreślił raport do gen. Czengierego, konsystującego w Kielcach, pełen dobrych myśli i pewności zwycięstwa. Sztafetę tę zapieczętowano w kopertę, włożono do skórzanej torebki, przymocowanej do rzemiennych pasów i posłano natychmiast do generała Czengierego do Kielc.

Nazajutrz przed świtem w myśl rozkazu, wydanego poprzedniego dnia przez pułkownika Schulmana, wszystkie wojska moskiewskie, otaczające kołem młyn dzierzgowski, punktualnie o czwartej godzinie rano wyruszyły w szyku bojowym koncentrycznie ku Dzierżgowowi. Po bokach galopowali dragoni i kozacy w ten sposób, ażeby ciągle utrzymywać spójnię i łączność z sąsiednimi kolumnami piechoty i żeby nie dopuścić do wymknięcia się Lachów przez luki, oddzielające jedne oddziały od drugich. Naturalnie im więcej zbliżali się do centrum, tem bardziej koło zmniejszało swój obwód, aż nareszcie po półgodzinnym może marszu, wykonywanym z wielkimi ostrożnościami i zachowaniem spokoju, gdy nareszcie świt już rozpoczynał swoje panowanie, Moskale nie więcej jak na tysiąc metrów byli oddaleni od młyna dzierzgowskiego.

Można sobie wyobrażać zdumienie ich i wściekłość, gdy zaciśnięty dookoła obozowiska powstańczego pierścień nie znalazł żywego ducha.

POBYT W STAREJ HUCIE.

Nastała nowa faza naszej partyzantki.

Do czasu stoczenia bitwy pod Mełchowem oddziały powstańcze w byłym województwie krakowskim i sandomierskim liczyły przeważnie po 400 do 500 ludzi w piechocie, z wyjątkiem konnych oddziałów lotnych, składających się zwykle z jednego szwadronu o sile około stu koni. Natomiast wojsko rosyjskie wzrastało w siły dzięki rezerwom, napływającym ciągle z głębi Rosji. Rozwój wojskowych organizacji polskich słabł coraz bardziej, a ponadto Moskale ciąglem prześladowaniem naszych zbrojnych oddziałów niszczyli stopniowo i z trudem ośrodki armji powstańczej. Nie łudząc się zupełnie niczem, wiedzieliśmy w chwili dzielenia oddziałów większych na mniejsze, że idziemy już prostą drogą ku upadkowi powstania i że, będąc za słabi do powstrzymania fatalnego przeznaczenia, nie odwrócimy żadnemi wysiłkami wyroków losu.

Nie ulega najmniejszej kwestji, że pod względem wyżywienia żołnierzy, rozdrobnienie oddziałów na mniejsze ilości, miało bardziej dodatnie skutki, łatwiej w danej okolicy można było zaaprowidować np. jedną tylko kompanję piechoty, aniżeli cały bataljon. Praktyki dowodnie wykazały, że pojedyncze kompanje, zaszyte

w gąszczach leśnych danej okolicy i zdane na zasoby żywnościowe jednej tylko wioski, przez cały czas nieraz bardzo długiego przebywania w tem samym miejscu, nie tylko że nie cierpiały na braki żywnościowe, lecz nawet miały stale większe zapasy, mogące na dłuższy jeszcze czas wystarczyć.

Oddziały liczebnie większe nie dawały nigdy takiej rękojmi bezpieczeństwa, jak partyjki małych oddziałów. Ukryte wśród leśnych wąwozów i nieprzebytych złomów boru, o jakich nikt absolutnie wiedzieć nie mógł, oprócz kilku zupełnie pewnych gospodarzy wiejskich, zajmujących się dostawą żywności, mogły się ukrywać w nieskończoność, nigdy nie będąc narażone na zdradę, a tem więcej na możliwość odszukania przez wrogów.

Zdarzały się nawet wypadki, w czasie bardzo ostrych mrozów, że włościanie z własnej ochoty zabierali całą kompanję piechoty do swych wiosek, rozdzielali po jednym żołnierzu do każdej chałupy, a ukrywszy należycie broń i mundury, przebierali ich w chłopską grubą bieliznę i odzież. W ten sposób przeistaczali wszystkich powstańców w swoich synów lub braci, i cieszyli się niezmiernie, gdy przychodzący do wsi Moskałe, nie poznając swych nieprzyjaciół, mieli ich za rzeczywistych chłopów, spokojnie na roli siedzących. Bodajby wieczną była taka silna chłopska organizacja i taka ogólna jedność bez różnicy stanów, a żadne, piekielne nawet siły nicby nam zrobić nie mogły.

Przeciwnie zaś oddziały większe, wystawione na bezustanne ujawnianie się w pochodach przez drogi, gościńce i wsie, a nieraz miasteczka, odwiedzane przez licznych dostawców furazu i wszelakich potrzeb wojskowych, wizytowane przez żydków, przywożących do obozu sardynki, czekolady, cukierki i t. p. smakołyki, stanowiły

znakomitą sposobność do szpiegowania powstańczych działalności i donoszenia Moskałom o miejscu przebywania i ilości powstańców.

Z dwojga złego, rozdrobnienie na małe partyjki dawało wprawdzie lepszą ochronę żołnierzom, chociaż w dalszej perspektywie nie zabezpieczało ich od tego smutnego zakończenia sprawy, jakie niechybnie nad nami zawisło.

Role kapitanów i komendantów kompanij zmieniły się znacznie. Za cenę większej odpowiedzialności usamowolniały się bardziej i więcej uniezależniały się od wyższych dowódców.

Argusowe oczy panów majorów i pułkowników nie śledziły ich postępów i kroków od świtu aż do później nocy, nie kontrolowały w takim stopniu jak dawniej wykonania danych im rozkazów, nie unaoczniały co minuta wyższego przełożenia i władzy.

Dwaj nasi dowódcy, majorowie Rosenbach i Bogdan zyskali na nakazanym rozdrobnieniu oddziału dobry wikt, wygodne wyspanie na miękkich materacach i poduszkach po dworach, a nadewszystko unikali nocowania wśród zimy w żołnierskich barakach leśnych, z gałęzi wystawionych i gałązkami przykrytych.

A ponieważ wszystkie cztery kompanje piechoty byłego oddziału Zaremby zostały przeznaczone do pobliskich miejscowości w okolicach św. Krzyża, obowiązkiem przeto majorów Bogdana i Rosenbacha było objeżdżać kolejno każdodziennie jedną kompanję piechoty. Major Bogdan kontrolował wyszkolenie kompanij, major zaś Rosenbach lustrował je pod względem zaopatrzenia. Regularnie więc każdego czwartego dnia ci dwaj „bracia siamscy“ (jak ich nazywaliśmy) powinni byli nas odwiedzić. Następných dni udawali się do innych kompanij.

Zatem praca tych dwóch majorów-dowódców była dosyć uciążliwa, bo wymagająca każdodzienniej jazdy, bez względu na pogodę i temperaturę. Nie było to również bezpieczne, gdyż mogli być zawsze narażeni na spotkanie się z moskiewskimi oddziałami. Nieraz musieli kazać furmanom nawracać i w szalonym biegu koni salwować się przed goniącymi za nimi kozakami i dragonami lub nawet, mając w pobliżu lasy, czym prędzej do nich dojeżdżać i, zeskoczywszy z bryczki, znikać na piechotę w gęstwinach leśnych zarośli.

Kapitan żuawów Grob, w którego kompanji, jakem wspominał, zostałem świeżo mianowany podporucznikiem, doskonale rozumiał znaczenie ważności na takim samoistnym posterunku komendanta. To też kiedy z marszrutą w rękę i przewodnikiem obok siebie, przedzierał się pocichutku i ostrożnie przez kordon pierścieniowy moskiewski, a przewodnik ciągle nadśluchiwał, ażeby się nie spotykać z podjazdem nieprzyjacielskim lub nie wleźć na ich pikiety, kapitan Grob baczył ustawicznie na spokojne zachowanie się żołnierzy i na to, aby każdy z nich był przysposobiony do dania natychmiastowego oporu.

Pisemna marszruta, udzielona naszemu kapitanowi przez pułkownika Chmielińskiego, przeznaczała nam za miejsce biwakowania Starą Hutę, położoną u podnóża góry świętokrzyskiej, otoczonej rozległymi odwiecznymi lasami, we wschodnio - północnej stronie od młyna dzierzgowskiego, oddalonej odeń o 6 do 8 mil. Maszerować zaś mieliśmy okolicami Ponczowa, Oksy, Rębiechowa, Rębieszyc, Chojnowa, Radkowic, Woli Murowanej, Sukowa, Brzechowa, Górna, Woli Jackowej, Porąbek, Konina i Nowej Łysicy.

Po trzygodzinnej możej drodze przez lasy, pola i pa-

górkowate wzniesienia przewodnik oświadczył, że jesteśmy dosyć daleko na tyłach moskiewskich i że już bezpiecznie możemy dalej sami maszerować. Kapitan, widząc zmęczenie swoich żołnierzy, zarządził odpoczynek w gęstym i głuchym lesie, do którego właśnie wstąpiliśmy. W dzierzgowskim młynie zaopatrzono nas tak obficie w jedzenie i picie, żeśmy bez najmniejszych turbacji o dary Boże zasiedli na miękkiej murawie i rozpoczęli wraz z przewodnikiem prawdziwie żołnierską ucztę, do której przystąpiliśmy z rzeczywiście wilczym apetytem. Potem, ułożywszy się na wygodnej leśnej pościeli, mimowolnie zasnęliśmy ze znużenia, bez roztawiania pikiet i straży obozowych, na solenne tylko zapewnienie przewodnika, że w takim jak ten ostępie leśnym, a do tego wśród ciemnej nocy, jesteśmy zupełnie bezpieczni. Słońce musiało być już bardzo wysoko, gdyśmy się obudzili z długiego, orzeźwiającego snu, czując dobrze na swych ciałach ciepłość jego promieni. Stanęliśmy do szeregu i na wydaną komendę ruszyliśmy szybko dalej jeszcze z przewodnikiem, abyśmy mimo osiągniętego bezpieczeństwa daremnie po tej puszczy nie błądzili. Dopiero kiedy wyprowadził nas na drogę, zmierzającą do widniejącej woddali wsi, serdecznie nas pożegnawszy, wkrótce znikł w gęstych zaroślach lasu.

Zmierzaaliśmy wprost ku zarysowującym się na horyzoncie silnym pasmom gór Świętokrzyskich, których nieprzebyte lasy i bory ze wskazaną ściśle przez Chmielińskiego miejscowością były nam przeznaczone na schronienie, aż do chwili odwołania nas stamtąd. Humory mieliśmy wyśmienite, nie wyłączając kapitana Groba, który był bardzo wesołym, przyjemnym, a co za tem idzie szanowanym i powszechnie lubianym dowódcą. Jako były oficer austriacki znał wszechstronnie wymogi

wojskowe i przestrzegał u żołnierzy ich wykonania. Poza służbą jednakże był dla wszystkich tylko szczerym kolegą, nie baczącym nigdy na wyższość wobec nich swej kapitańskiej rangi. Teraz szedł on na czele, opowiadając jakieś wesołe historie ze swych przeżyć wojskowych.

Już było bardzo dobrze z południa, gdyśmy wkroczyli w silnie zalesione podnóże dalekich jeszcze gór Świętokrzyskich i po całogodzinym mniej więcej pochodzie, usłyszeliśmy przed sobą jakieś wrzaski. Zmęczeniu i znużeni wyczerpującą po starych lasach podróżą, gdzieśmy na każdym kroku musieli walczyć z najrozmaitszymi przeszkodami w postaci leżących na ziemi ogromnych zmurszałych drzew, a niejednokrotnie brnąć przez leśne moczary i przeskakiwać z kępki na kępkę, pragnęliśmy za wszelką cenę należnego nam wypoczynku. A tu, jak na złość, jakieś hałasy stoją na przeszkodzie naszym pobożnym życzeniom.

Kapitan Grob zatrzymał niezwłocznie całą kompanię, nakazał wszystkim zachowanie największej ciszy i natychmiast wysłał jednego z podoficerów celem ostrożnego zbadania przyczyny tych krzyków. Gdy tenże po dłuższym czasie powrócił, oświadczył, że na drodze, wiodącej przez las, stoi moskiewski naładowany furgon, ugrzęzły w błocie, który sześciu kozaków stara się z błota wydobyć.

Po otrzymaniu takiej relacji, kapitan rozkazał wszystkim iść pocichu naprzód, ale tak ostrożnie, aby przez załamanie jakiejś gałązki nie spłoszyć kozaków i nie spowodować gorszego na nas licha. Zachowując w całej ścisłości wydane polecenie, ruszyliśmy, kryjąc się pojedynczo poza potężne zwały drzew, leżących tu może od wieków, przebiegając w postawie pochylonej od jednego do drugiego. W ten sposób dotarliśmy na

bliższą metę do miejsca wypadku, skąd już już gołem okiem mogliśmy widzieć i moskiewski furgon i kozaków, uwijających się przy nim wśród głośnych okrzyków, złorzeczeń i przekleństw.

Komendant nasz, nie chcąc przed czasem zdradzić oddziałku, wybiegł przed front i, stanąwszy pod osłoną bardzo grubego drzewa, dał znak do zatrzymania się. Gdy to się stało i wszyscy stanęli w miejscu jak wryci, wziął karabin z ręki najbliższego szeregowca i zmierzył w kierunku kozaków, nie przeczuwających nic złego, dając znak nam, bliżej stojącym, byśmy poszli za jego przykładem. Podnieśliśmy broń do oka w stronę kozu- niów, a wówczas kapitan Grob głośno zawołał:

— Ognia!

Zaledwie to jedno słówko padło z ust komendanta, zagrzmiała salwa karabinów, a kozacy, jakby w nich piorun trzasnął, w szalonym galopie rzucili się do ucieczki. Za chwilę znaleźliśmy się koło furgonu, przy którym stał z pokorną miną i z czapką w ręku nasz polski, zbiedzony chłopiec. Kapitan Grob rozstawił pół plutonu piechoty, z bronią zwróconą w stronę, w którą uciekli kozacy, a sam osobiście zaczął badać wieśniaka.

Okazało się, że Moskali było dwie rotty i oddział kozaków, którzy wszakże dawno już poszli naprzód, zostawiając ugrzęzły, zbyt naładowany wóz.

— Chłopcy! — zawołał kapitan Grob — Występować kolejno z szeregu i brać z wozu po jednym kozuchu!

Po wypełnieniu rozkazu okazało się wszystkich kozuchów, a zwłaszcza półkożuszków z górą dwie setki. Były ciepłe, o czarnej, puszystej szerści, z wierzchu na żółto wyprawione. Pod kozuchami na końcu wozu znalazła się spora beczka z okowitą, a na przodzie tegoż

pozawiazywane worki. Beczkę spuściliśmy na ziemię i napełniliśmy manierki.

Nastąpiła kolej na worki, z których cztery wypełnione były pszenicznymi sucharami, dwa doskonałą słoniną, tak tłustą i dobrze sporządzoną, że mogła być na surowo z chlebem konsumowana. Jeden zawierał znakomitą suchą kiełbasę, jeden wielki wór był pełen żółtych ładnych jagieł. Wreszcie na samym spodzie wozu znajdował się mały, ciężki woreczek. Byliśmy wszyscy pewni, że w nim znajdują się pieniądze. Jakże jednakowoż zostaliśmy srodze rozczarowani, gdy po rozwiązaniu woreczka, wysypaliśmy z niego kilkadziesiąt spiżowych medali, wybitych dla żołnierzy na pamiątkę wojny sewastopolskiej z popiersiem cara Mikołaja I na jednej i z religijnym napisem z drugiej strony: „Nie nam, nie nam, a Imieni Twojemu“. Nad tym napisem, o ile sobie przypominam, była wryta Opatrzność Boska.

Cały łup podzieliliśmy między siebie. Na każdego żołnierza przypadło po kilka sucharów, po funcie może kiełbasy i prawie po dwa funty słoniny. Nie zapomnieliśmy również o kmiotku — właścicielu wozu. A medalami kapitan Grob, śmiejąc się serdecznie i przypinając sobie jeden do piersi, udekorował kolejno swych żołnierzy.

Humor nam dopisywał, na dowcipach więc i wesołych żartach nie zbywało.

Ruszyliśmy dalej. Staropolskie przysłowie „im dalej w las, tem więcej drzew“ sprawdziło się tutaj co do joty. Byliśmy widocznie w centrum jakiegoś odwiecznego boru, gdyż kłody starych, olbrzymich drzew na każdym kroku tamowały przejście do tego stopnia, że musieliśmy ustawicznie przez nie przełazić, a nieraz i okrążyć. Słońce zachodziło coraz bardziej, zatem i mrok leśny stawał

się większy. Przyśpieszaliśmy kroku w nadziei, że las wkrótce się skończy i zobaczymy Starą Hutę. Tymczasem głusza robiła się coraz większa, a zwały drzew jeszcze okropniejsze. Zmęczeni nad wszelki wyraz tak utrudnionym marszem, nie wiedzieliśmy, jak wybrnąć z tej prawdziwej puszczy i kiedy ta uciążliwa wędrówka będzie ukończona. Mrok przechodził pośpiesznie w noc, wobec tego nasz kapitan, widząc niemożliwość dojścia do celu podróży przed zupełnym zachodem słońca, nakazał w kilku miejscach poza sobą ponaddzierać bagneta-
mi korę na drzewach, aby mieć temi znakami wytoczony kierunek do dalszego nazajutrz marszu, i polecił przysposobić się do nocnego spoczynku.

Szczęściem mieliśmy tutaj masy suchego mchu, tak że każdy z nas urządził dla siebie miękkie poślanie. Zarządzenie kapitana przyjęliśmy z powszechnem zadowoleniem: zmęczonym nogom naszym należało się już wytchnienie. Znużenie było ogólne tak, że sen od razu wszystkimi nami owładnął.

Jak długo w tak przyjemnym stanie pozostawaliśmy, tego dzisiaj oznaczyć niepodobna, pamiętam tylko dokładnie, żeśmy nagle zostali zbudzeni niezwykłą symfonją, pochodzącą, jakęśmy to wkrótce stwierdzili, z piekielnego wycia gromady wilków, które, zwietrzywszy ludzką w lesie obecność, chciały widocznie naszem mięsem zaspokoić apetyty. Wycia stawały się coraz bliższe i wkrótce w niedalekiem przybliżeniu widzieliśmy już fosforycznie świecące na podobieństwo wielkich świętojańskich robaczków wilcze ślepie. Wtedy skierowaliśmy ku nim kilkanaście karabinów i daliśmy salwę. Skutek był wyśmienity: fosforyczne oczka znikły i wycie natychmiast ustało, tylko z oddali dolatywały nas odgłosy łamanych przez wilki w ucieczce gałęzi. Naturalnie uło-

żyliśmy się do dalszego snu i nieniepokojeni już niczem przespaliliśmy spokojnie aż do chwili, gdy słońce, przedzierające się przez gęste konary drzew, postawiło zbudzonych i dobrze wypoczętych na nogi.

Po żołnierskiem śniadaniu, pokrzepieni fizycznie na siłach opuściliśmy ten nocny biwak w przekonaniu, że już wkrótce dotrzemy do miejsca przeznaczenia.

Wędrówka owa jednakże nieprędko się zakończyła. Musieliśmy jeszcze długo przedzierać się przez barykady upadłych drzew i przez niezwykle gęszcza gałęzi i krzewów, zanim około południa zdołaliśmy wybrnąć z labiryntu tych przeszkód.

Wkońcu, po przewyciężeniu wspomnianych trudności, wydostaliśmy się do drzewostanu bardziej przejrzystego i na gładką powierzchnię podłoża leśnego, nadającą się do wygodnego maszerowania dwójkami. I to, pomimo tak względnie dobrego terenu, zaledwie pod wieczór znaleźliśmy się na skraju lasu, skąd roztoczył się przed nami na wydłużonej odkrytej przestrzeni widok trzech wiosek, graniczących prawie z sobą: Huty Starej, Huty Nowej i, zdaje się, Huty Szklanej. Były to średniej wielkości osady rolne, zamieszkałe przez naszych poczciwych chłopków, z mozołem pracujących na kawałkach roli.

Informacja zatem furgonowego chłopka, że przed zachodem słońca zdołamy przejść las, ażeby znaleźć się w Hucie Starej, okazała się sprawdzianem słynnego obliczenia naszych kmiotków, gdy zapytani, jak daleko do danej miejscowości, zapewniają, że najwyżej będzie milka drogi. Byliśmy wprawdzie przed zachodem słońca na miejscu, ale dopiero przed drugim, o dobę późniejszym.

Dnia tego nie przystąpiliśmy do urządzenia stałego legowiska w postaci prowizorycznych szałasów, zabezpiec-

czających od deszczu i wiatrów, a częściowo i zimna, gdyż na przeszkodzie stanęła zapadająca noc i nieświadomość miejsca. A trzeba było jeszcze rozważyć najważniejsze dla nas zagadnienie: sprawę bezpieczeństwa. Oddziały większe, składające się z liczniejszej piechoty, i pewnej ilości konnicy, zabezpieczały się przed niespodziewaną inwazją wrogów placówkami, pikietami pieszemi i konnemi, oraz wysyłanemi nazewnątrz obozu podjazdami. W maleńkich zaś, jak nasz, oddziałkach, złożonych tylko z jednej kompanji, o takim zabezpieczeniu się i marzyć nawet nie można było. Radzono więc sobie obieraniem miejsca w niedostępnych kniejach i kryjówkach, znanych tylko organizacji cywilnej, przeważnie złożonej z chłopków, którzy zaufania w sobie położonego nigdy nie zawodzili.

Dowódca nasz, powodowany widocznie kwestją bezpieczeństwa, udał się osobiście do wsi, aby porozumieć się z sołtysem i wybrać z nim stosowne obozowisko oraz omówić sprawy aprowizacyjne. Nam polecił czuwać z bronią w pogotowiu aż do swego powrotu. Widząc z tego wszystkiego, że przyjdzie nam niezawodnie trzecią już zrzędu noc spędzić pod gołym niebem, pokładaliśmy się na leśnej murawie.

Na szczęście horyzont, wyiskrzony rzęsiście gwiazdami, nie zapowiadał jakichś niespodzianek.

Późno już w nocy kapitan Grob przyszedł w towarzystwie podstarzałego, wysokiego wzrostu chłopca, w wielkiej „na zawiasach“ czapie i z sękatym kijem w rękę. Był to urzędowy reprezentant gminy Stara Huta.

Pan sołtys, po przepiciu do nas kilku haustów okowity i zakąszeniu pszenicznym sucharem z kiełbasą, stał się zaraz o wiele wymowniejszy i prawie przyjacielski. Flegmatyczna dotąd rozmowa zamieniła się na bar-

dziej ożywioną i serdeczną. Ponieważ miejsce, gdzieśmy się zatrzymali, okazało się zbyt odkryte i nie pozwalało na palenie ognisk, gdyż płomienie były widoczne na dal-
sze przestrzenie, sołtys poradził natychmiast zmienić sta-
nowisko. Zaprowadził więc nas w głąb lasu. Po półgo-
dzinnym marszu znaleźliśmy się w jakimś wielkim, i głę-
bokim jarze, mającym i odpowiednią do ćwiczeń płą-
szczyznę i sączący się po niej strumyk wybornej wody.
Miejsce było niedostępne i wprost wymarzone na naszą
kryjówkę.

Ponieważ noce stawały się coraz chłodniejsze, wzię-
liśmy się raźnie do zbierania suchych gałęzi, których
w pobliżu było wielkie mnóstwo. Broń złożyliśmy w kozły
w jednej prostej linii, postawiwszy przy niej wartownika
o dwugodzinnej zmianie, a rozpaliwszy opodal sute ogni-
ska, położyliśmy się przy nich.

Na drugi dzień jeszcze przed świtem przyszedł soł-
tys na czele kilku ludzi, obładowanych workami. Okazało
się, że z rozkazu naczelnika gminy całą noc spędzono
w kilkunastu chałupach na pieczeniu chleba, który jeszcze
ciepły przyniesiono do nas. Oprócz tego dostaliśmy pół
worka krup, sporą dozę soli, dwa żywe barany, trójnóg
żelazny z kotłem, trzy konewki do noszenia wody i pięć
sieker do budowy szałasów. Kapitan Grob chciał za
wszystko zapłacić gotówką, lecz sołtys pieniędzy nie
przyjął, mówiąc, że na ten pierwszy dzień zagospiewania
pod opieką chłopską gmina uważa za obowiązek przyjąć
współbraci swoim kosztem. Nic przeto innego nie pozo-
stało, jak tylko serdecznie podziękować za tak szlachetną
uczynność mieszkańców Starej Huty, którzy z pewnością
bogactwem i nawet zamożnością nie grzeszyli. Na dalsze
potrzeby nasze kapitan Grob dał jednocześnie obstalunek,
wręczając sołtysowi na ten cel paręset rubli. Zaznaczył

wreszcie, że gdy przyjadą do nas wyżsi oficerowie i przywiozą z sobą urzędowe polskie blankiety o rekwizycji żywności, wówczas rozpoczną się pobory codziennych dla nas potrzeb we dworach okolicznych, za pośrednictwem wiejskiej organizacji.

Wyznaczyliśmy kucharza i pomocników do zarznięcia baranów, donoszenia wody, rozpalenia ognia pod kocioł i gotowania. Następne wybrano siekierników, zdatnych do ścinania drzew i gałęzi na budowę szałasów, oraz ludzi, mających znosić całe stosy suchego mchu. Robota zawrzała w całej pełni i wszyscy, nie wyłączając kapitana i dwóch oficerów, tak byliśmy nią zajęci, żeśmy się nawet nie spostrzegli, gdy słońce miało się ku zachodowi.

Pierwszy raz po kilku dniach włączegostwa o chlebie, słońnie i okowicie zasiedliśmy do ciepłej strawy w postaci wybornego krupniku z kawałem mięsa baraniego i dobrą porcją pulchnego chleba. Spożycie tak wspnianęgo obiadu odbyło się wśród niebywałego skupienia.

Szałasów zbudowano cztery, a każdy z nich obliczono na pomieszczenie jednego półplutonu wojska, czyli na 25 żołnierzy. Musiano jednak zaraz po obiedzie wziąć się do bardzo pilnej pracy, ażeby przed wieczorem te nasze leśne pałace mogły być oddane do użytku. Trzeba było je „poszyć“ nie dopuszczającem deszczu pokryciem, co było właśnie największą sztuką powstańczego budownictwa, a ponadto zasłać grubą warstwą leśnego mchu, którego naznosiliśmy takie masy, że spodziewaliśmy się lepiej pod nim spać, jak pod domową pierzyną. Kapitan Grob w uznaniu tak gorliwej pracy przyobiegał na następny dzień zupełny wypoczynek. Dopiero trzeciego dnia mieliśmy kontynuować od rana aż do wieczora codziennie

nakazane ćwiczenia i zajęcia wojskowe, aby — jak twierdził — kości nam nie zeszytniały, a mięsy nie utraciły elastyczności.

Odtąd stawialiśmy w nocy i we dnie tylko po dwie warty z jednogodzinną zmianą, mianowicie jedną wartę przy broni w kozłach i dla dozoru obozowiska, a drugą w odległości jakich trzystu kroków od naszego biwaku w miejscu, wskazanem przez sołtysa, z obserwacją drogi do wsi. Warty te pełniliśmy półplutonami w ciągu całej doby. W ten sposób jedna tylko godzina warty przypadała na pojedynczego żołnierza, reszta zaś półplutonu służbowego stanowiła niejako „doraźne pogotowie“. Podczas gdy jeden taki półpluton pełnił służbę wartowniczą, pozostałe trzy półplutony codziennie przed południem odbywały ćwiczenia bronią i w obrotach wojskowych, a po południu zabawiały się grą w warcaby zapomocą zdobytych sewastopolskich medali.

Taki miał być tryb codziennego naszego życia w lasach pod Starą Hutą.

Gdy już owego dnia wszyscy żołnierze zabierali się do spania, kapitan Grob, powierzwszy obóz porucznikowi Janowi Zawadzkiemu i mnie, udał się do sołtysa.

Na drugi dzień, po długiem, a bardzo smacznem spaniu zerwaliśmy się rażni i weseli. Umyliśmy się w strumieniu i zasiedli do zwykłego naszego śniadania.

Po śniadaniu, kiedy zabieraliśmy się już do obiecanego wypoczynku, zjawił się przed nami kapitan Grob i oświadczył, że zapomniano zupełnie o tem, iż należałoby się jeszcze zabezpieczyć na wypadek niespodziewanego najścia na nasze siedlisko. Odkłada więc odpoczynek na sobotę i niedzielę (a był właśnie piątek), a dziś poleca nam jeszcze opasać całą naszą polankę, leżącemi wszędzie kłódami starych drzew, aby w razie napadu,

pod ich osłoną mieć lepszą ochronę. Zamiast więc odpoczynku wzięliśmy się do obwarowywania polany. Wycieliśmy kilkadziesiąt sztuk grubych drągów ze świeżych drzew i, podważając gremjalnie leżące na ziemi grube drzewa, pootaczaliśmy się nimi wokoło. Pracując od rana do wieczora, o zmroku mieliśmy już okazałą forteczkę. Następnie dokładnie oczyściliśmy z krzaków i młodych drzewek całe wnętrze obozowiska, tak że wkrótce cały plac stał się równy i gładki, jak powierzchnia stołu.

Nazajutrz, w sobotę, wiedząc o nakazanie za dwudniową pracę jednodniowem wytechnieniu, leżeliśmy w szalasach znacznie dłużej, aniżeli wczoraj, zabawiając się różnemi opowiadaniem na tle przygód żołnierskich, i powoli jeden po drugim opuszczaliśmy naszą sypialnię. Po umyciu się w strumieniu i po odmówieniu wspólnie porannej modlitwy, zabraliśmy się do śniadania z przypiekanej u ognisk obozowych na długich patykach słoniny. Pod ściekający tłuszcz podkładaliśmy kromki chleba, także na patkach umocowanego, i w ten sposób, po przełknięciu małej czarki okowity, mieliśmy znakomitą zakąskę, coś w rodzaju ciepłych i wonnych sucharków, przesiąkniętych pożywnym tłuszczem.

Nie mając nic więcej do roboty, żołnierze wałęsali się po obozowisku lub kładli się na mchu i zatapiali w myślach. Wtedy kapitan Grob, spacerujący ze mną i z porucznikiem Zawadzkim po placu, zauważywszy bezczynność żołnierzy, zbliżył się do jednej, największej gromady i zapowiedział przybycie na niedzielę gości. Poradził przeto, abyśmy elegancko i dokładnie poczynszczyli nasze obozowe meble, t.j. zwykłe pnie drzewa. Następnie oznajmił, że w dniu jutrzejszym rano pół kompanji żołnierzy pójdzie z nim do kościoła na mszę świętą, a drugie pół kompanji w następną niedzielę. Kto z żoł-

nierzy zechce, będzie mógł przystąpić do spowiedzi i komunji, ażeby w naszym położeniu, być przygotowanym na wszystko. „Kto żyje z Bogiem, to i Bóg z nim“ — powiada staropolskie przysłowie. Wreszcie zażądał od żołnierzy szczegółowego spisu bielizny na poniedziałek. Według wojskowych naszych przepisów żołnierz powinien był posiadać bielizny najmniej po dwie sztuki w dobrym stanie, to znaczy jeden garnitur na siebie, a drugi w tornistrze. Poleciał przeto wszystkim podoficerom takie spisy w dniu dzisiejszym imiennie porobić i pojutrze rano sobie przedłożyć. Również kucharzowi polecił, aby w niedzielę, po wydaniu obiadu, kocioł był wyszorowany i wymyty, żeby mógł służyć do ugotowania herbaty.

Wszystkie zarządzenia kryły w sobie tyle zagadek, że gubiliśmy się w domysłach, co za niespodzianka czeka nas w niedzielę. Nie mogąc ostatecznie radykalnej odpowiedzi wynaleźć na rozwiązanie takich gordyjskich węzłów, porobiono z gałęzi różne miotёлki i tak zwane drapaki, i zacięcie zabrano się do należytego czyszczenia kłóców. Tak zeszedł czas do obiadu. Po obiedzie mieliśmy jednogodzinny wypoczynek, a po wypoczynku nastąpiła lustracja kłóców i całego placu, który ostatecznie tak wyrównano i splantowano, że więcej wyglądał na salę balową do tańców letnich, otoczoną siedzeniami, niż na plac musztry.

Takie leśne „Kolosium“ wymyślił chyba pierwszy kapitan Grob.

Kiedy już cały plac i wszystkie kłocy aż pachniały z oczyszczenia i niemal jak lustro świeciły, pół kompanji żołnierzy porozłaziło się po lesie, aby w cichości i odosobnieniu przygotować się do zapowiedzianej na jutro spowiedzi.

W niedzielę jeszcze się dobrze nie rozwidniło, kiedy

kapitan Grob zbudził żołnierzy, rozlokowanych w dwóch szalasach. Nad resztą pozostałych zdał komendę Zawadzkiemu, a wziąwszy mnie z sobą i pięćdziesięciu żołnierzy, poprowadził nas do Starej Huty, gdzie natychmiast rozprawiono nas pojedynczo po wiejskich chałupach i nakazano poprzebierać się w przygotowane chłopskie ubrania. W domostwie, do którego mnie przyprowadzono, był starszy wiekiem gospodarz z żoną, dwóch synów — dorodnych parobczaków i hoża ich dziewczyna, imieniem Jadzia. Wszyscy oni byli odświętnie ubrani i czekali tylko na ukończenie mego przebrania w komorze. Gdy to się stało i za chwilę przedstawiłem się gospodarzom w nowej skórce, przywitano mnie z uśmiechem, twierdząc, że wyglądam na ładnego i tęgiego parobczaka. Dano mi do ręki, jeszcze w dobrym stanie będący, chłopski kapełusz, który doskonale pasował do mojej głowy, i wtedy gospodarz, Jadzia i ja, ruszyliśmy na piechotę do Nowej Słupi, o pół mili drogi stąd oddalonej, a posiadającej parafialny kościół.

Droga prowadziła przez gęsty, wysokopienny odwieczny las. Głusza była tu godna podziwienia, bo nieprzerywana nawet świergotaniem ptaków, które zapewne poprzenosiły się od weselszych ustroni. Za nami i przed nami w różnych odstępach szły gromadki kobiet, w krasne kolory przybranych, wiodących z sobą po jednym polskim żuawie, przebranych za wiejskiego parobka. W ten sposób mogliby tędy maszerować Moskale nawet w większych ilościach, a żadnemu z nich nie przyszłoby z pewnością na myśl, że mają przed sobą niebezpiecznych dla cara „miałieżników“. Trzy czwarte części drogi odbyliśmy tym ciemnym, niebotycznym lasem, aż wreszcie wyszliśmy na odkrytą miejscowość, skąd w nieznacznej już oddali mieliśmy przed sobą ubogie miasteczko, Nową Słupię.

Ksiądz proboszcz widocznie na kilka dni przed niedzielą był zawiadomiony o przyjeździe większej ilości penitentów, gdyż w świątyni Pańskiej zastaliśmy kilku księży, oczekujących na nasze przybycie, a zebranych tutaj prawdopodobnie z pobliskich parafij. Konfesjonałów było tu zaledwie parę, to też spowiadano nas i na ławkach kościelnych i nawet w zakrystji. Księża zaś o tyle mieli więcej do roboty, że oprócz nas prawie wszystkie towarzyszące nam kobiety, korzystając ze sposobności, również przystąpiły do spowiedzi. Trzymając się stojącej obok mnie Jadzi, dałem jej pierwszeństwo i zaraz po niej odbyłem spowiedź przed tym samym księdzem. Licząc przeto, że każdemu powstańcowi towarzyszyły dwie kobiety, księża byli zmuszeni wypowiadać, oprócz miejscowych ludzi, około 150 przybyszów ze Starej Huty.

Zaraz po spowiedzi rozpoczęła się suma, celebrowana przez trzech księży, w czasie której jeden z nich wygłosił piękne i podniosłe kazanie na temat równości stanów, ogólnej w kraju zgody i wzajemnej miłości bliźnich. Po ofiarowaniu nastąpiła komunja, zakończenie sumy i błogosławieństwo. Opuściliśmy kościół podniesieni bardzo na duchu na dalszą, niepewną dla nas drogę życia.

Jadzia w powrotnej drodze zupełnie się względem mnie odmieniła. Gdyśmy szli do Nowej Słupi, rozmowa moja, do której wcale się nie mieszała, ograniczała się wyłącznie do konwersacji z jej matką. Spowiadanie zaś wspólne przed jednym księdzem i przyjęcie komunji obok siebie podziało na nią cudownie. Po wyjściu z kościoła szliśmy już obok siebie, prowadząc ożywioną i poważną rozmowę. Była to bardzo pociągająca blondynka, o niebieskich oczach, białej niezwykle cerze i ślicznych drobnych ząbkach. Wielkie i długie warko-

cze splecionych włosów, przewiązane różowemi wstążkami i puszczone wolno na plecach, podnosiły jeszcze bardziej urok jej zgrabnej i wiotkiej postaci, o trochę więcej niż średnim wzroście, szesnastu wiosenkach życia.

Zaraz z miejsca, całkiem szczerze i otwarcie zaczęła opowiadać, że pomiędzy wszystkimi dziewczętami we wsi zapanowała ogromna uciecha i radość z powodu zapowiadanych na dzisiaj w obozie tańców, że pan naczelnik powstańców razem z sołtysem wszystko co potrzeba urządzili, że wór mąki pszenicznej rozdano gospodyniom do pieczenia bułek, że zabito wieprza, z którego już porobiono kiełbasy i różne smaczne mięsiwa. Kobiety wiejskie przyniosą znowu od siebie jaja gotowane, ser i masło, oraz kubki na herbatę, sprowadzoną z Nowej Słupi. Obstałowano ponadto czterech wiejskich muzykantów.

— I będzie taka wesołość — mówiła, — że na długo pozostanie w pamięci. — To rzekłszy, spojrzała na mnie swym powłóczystym z pod dużych rzęs wzrokiem, śmiejąc się radośnie i głośno. Mówiła do mnie przez „wy“, ale to tak poufale i swobodnie, jakbyśmy już z sobą od wielu lat się znali i od dzieciństwa bawili.

Po powrocie do chałupy, Jadzia prędko nakryła stół grubym białym obrusem, postawiła na nim trzy fajansowe kubki, bochen świeżego, razowego chleba, masło, gotowane jaja i sól. Następnie wyjęła z pieca garnek gorącego mleka i, napełniwszy nim kubki, zaprosiła do śniadania.

Ma się rozumieć, że nie mając nic w ustach do samego południa, jedliśmy wszystko z największym apetytem, przeplatając dary Boże wesołą rozmową. Gościłem u tych poczciwych gospodarzy, jak we własnym domu, nie krępując się niczem. Po śniadaniu udałem się

do komory celem przebrania się w mundur, poczem, pożegnawszy się z domownikami, udałem się do obozowiska. Jadzia wyraziła chęć odprowadzenia mnie do leśnej ścieżki, z czego byłem niezmiernie rad, bo naprawdę podobiała mi się ta dziewczyna, w której zadurzyłem się zupełnie poważnie.

Tymczasem w obozie koledzy znakomicie sobie pościgali, zjadając moją porcję obiadową, byłem bowiem najedzony, jak rzadko kiedy. Wszyscy żołnierze byli już uwiadomieni o zabawie tanecznej, która niedługo miała nastąpić. Kocioł zatem z całem zacięciem szorowano, aby herbaty nie było czuć tłuszczem. Na boku leżały dwie głowy cukru i trzy butelki araku dla starszych wiekiem gospodyń i gospodarzy, paczka herbaty i kilka paczek tytoniu.

Zmęczony trochę marszem i wrażeniami przebytego dnia, położyłem się na swoim legowisku w szałasie, czekając z niecierpliwością wieczora i... przybycia Jadzi. Niebawem zaczęli nadchodzić gospodarze z żonami i córkami, obciążeni kosztami z różnolitem jadłem i kubkami do herbaty. Zerwałem cię więc co prędzej z szałasowej pościeli i, przypasawszy szablę do boku, pośpieszyłem do lasu naprzeciw „swojej“ dziewczyny. Co chwila natykałem się na gromadki włościan, spieszące do obozu; dopiero po wyjściu na czyste pole spotkałem się z Jadzią i jej rodzicami. Byli niezmiernie uradowani mojem nadejściem i bardzo przyjaźnie i serdecznie przywitali się ze mną.

W małym naszym obozie wrzało już jak w ulu. Pełniący rolę gospodarza komendant kompanji z całą uprzejmością przyjmował ciągle napływających gości i umieszczał jednych przy drugich na okalających taneczną arenę kłocach zwalonych drzew. Czterech muzykantów stroiło instrumenty, a kilka wiejskich gospodyń było

zajętych krajanem pszenicznych chlebów na kromki, smarowaniem ich masłem, z dodatkiem plastrów świeżego sera. Tak przysposobiony specjał do herbaty składano na białe płachty, rozciągnięte na trawniku w końcu placu, które to miejsce nazwano szumnie bufetem. Na jednej wielkiej płachcie poustawiano różnych rozmiarów misy i tym podobne naczynia, napełnione podzielonemi już kawałkami kiełbasy, schabów i pieczeni, a wreszcie stosami gotowanych jaj i kromek razowego chleba. Gospodynie ze Starej i Nowej Huty pośpieszyły z pomocą przy nalewaniu herbaty, a żołnierze, na ich usługach będący, roznosili kubki naprzód starszym wiekiem gospodyniom i gospodarzom, a następnie wszystkim innym. Kapitan Grob osobiście częstował podtatusiałych gości rumem do herbaty.

W ten sposób rozpoczęte ucztowanie trwało dłuższy czas bez żadnych przymusów i zapraszań, gdyż każdy z gości uprawniony własnymi na ogólną zabawę datkami, gdy chciał jeść, siedł do „bufetu“ i brał, co mu się spodobało.

Niebawem odezwała się muzyka i żołnierze oraz parobczacy ruszyli do wystrojonych dziewcząt dla rozpoczęcia tanów.

Stanąwszy z Jadzią do jakiejś polki, nie mogliśmy zrazu należycie wirować, gdyż dotąd nie znała tego tańca. Dopiero gdy pokazałem jej, jak się tempo polki wykonywa, Jadzia zrobiła dobrze zrazu kilka, a potem więcej obrotów. Doszliśmy w ten sposób do tak świetnych wyników, że powszechną na siebie zwracaliśmy uwagę.

Dobrze już zmęczoną Jadzię poprowadziłem do jej rodziców. Miałem przytem wielką uciechę, gdy ciągle zjawiającym się amatorom tańca odmawiała stale pod

pretekstem zmęczenia. A kiedy wypoczęła należycie, szliśmy znowu razem i powiększaliśmy zastępy tańczących par.

Zabawa była ochocza. Z braku młodych dziewcząt, tańczono zapamiętałe z wszystkimi kobietami, tak że nawet i mamusie raźnie z żołnierzami płaśły. Gdy już zmierzchać się zaczęło na dobre, rozpalono sute po rogach placu ogniska i przy świetle ich jeszcze lepiej i fantastyczniej się zabawiano.

W trakcie tego przystąpił do mnie kapitan, prosząc, abym się zaraz udał na skraj lasu od strony wsi i popatrzył się, czy nie widać łuny od naszych ognisk i czy muzyki tanecznej nie słychać. Odprowadziłem więc Jadzię do jej rodziców, a sam pobiegłem do szałas, przypasałem szablę do boku, wziąłem dla bezpieczeństwa rewolwer i już chciałem odejść, gdy Jadzia poprosiła matkę o pozwolenie towarzyszenia mi. Matka pozwoliła i z wielkiem zadowoleniem puściliśmy się w drogę.

Jadzia opowiedziała mi dużo o sobie i swoich rodzicach. Byli to ludzie biedni. Oprócz chałupy, stajni, stodoły, niedużej działki gruntu, jednej krowy i drobiu, nic więcej nie posiadali. W jej dzieciństwie było lepiej. Wówczas mieli konia, a ojciec sprzągając go z koniem sąsiada, mógł zaorać łatwiej swoje grunta, porozwozić nawóz na pole i przygotować z jego pomocą opał na całą zimę. Koń jednak ze starości zdechł, a bieda coraz bardziej zaczęła do ich domostwa zaglądać. Ojciec, widząc, że nie da rady potrzebom rodziny, zaczął razem z synami wynajmować się do zrąbywania lasu. A Jadzię w dziesiątym roku życia oddano do sąsiedniego dworu do pomocy przy kuchni. Tam podczas pięcioletniej służby o tyle skorzystała, że nauczyła się nieźle od pokojówki dworskiej czytać i jako tako pisać. Pragnęła uczyć się

dalej. Prosiła mnie bardzo, abym jej pomógł, a narazie żebym przyszedł do nich jutro, to pójdziemy do miasteczka Słupi kupić jakie książki do czytania, zeszyty, pióra i atrament.

Oczywiście zgodziłem się na jej prośbę, a co do jej biedy oświadczyłem, że jest to sprawa zgoła drugorzędna. A ponieważ w woreczku na piersiach miałem trzysta rubli, danych mi na wypadek potrzeby przy pożegnaniu przez ciotkę — wdowę po urzędniku, która kochała mnie jak własnego syna, przeto prosiłem, aby Jadzia wzięła je jako naszą wspólną własność, na kupno konia i poprawę gospodarstwa.

W czystym polu, pomiędzy wsią a lasem panowała cisza, niezmacona żadnym gwarem i szmerem życia. Ponad lasem był zupełnie jednostajny nieboskłon, o wspólnej wszędzie ciemno—szarawej barwie, a księżyc unoszący się nad nim, rzucał naokoło siebie blade światło, lekko omglone leśnemi oparami, unoszącemi się z tych starych, odwiecznych puszczy leśnych.

Poszliśmy najpierw w stronę wsi, aby stwierdzić, że nie słychać tu muzyki, ani łuny nie widać, poczem usiedliśmy na jakimś niewielkim pagórku, rozkochani w sobie, snujący przed sobą rozkoszne widziadła przyszłości. Moglibyśmy rozmawiać tak długo, gdyby nie konieczność powrotu do obozu, by zdać sprawę z nakazanego polecenia.

Po powrocie tańczyliśmy jeszcze, aż jeden ze starszych wiekiem gospodarzy powstał i, zabrawszy głos, oznajmił, że już jest po północy i czas z nami się pożegnać, gdyż niezdługo trzeba będzie wstawać do codziennych robót. Kapitan Grob poparł gospodarza, utrzymując, że i my musimy się wyspać bodaj kilka godzin, gdyż nazajutrz czekają nas rano ćwiczenia wojskowe, tem bardziej ważne, że spodziewać się należy rychłej lustracji

kompanji przez wyższych dowódców. Z żalem pogodzi-
liśmy się z koniecznością rozłąki. Dla pocieszenia jednak
wiejskich dziewoi i żołnierzy kapitan zaprosił wszystkich
na następną niedzielę.

Wszyscy zaczęli się zbierać do odejścia. Kapitan
poszedł płacić muzykantów, a załatwiwszy się z nimi,
wziął córkę sołtysa pod rękę i oznajmił gotowość odpro-
wadzenia tak miłych gości aż do wsi. Za przykładem ko-
mendanta poszła reszta żołnierzy, tak że każda dziewoja
miała swojego w powrocie do domu adoratora. Poże-
gnawszy Jadzię i jej rodziców przed samym ich domem,
powróciłem natychmiast do obozu. Zakopałem się zaraz
w grubą warstwę leśnego mchu i wśród słodkich marzeń
zasnąłem snem błogosławionych.

Skoro tylko świt nastał, zostaliśmy zbudzeni. Dbały
o wypełnianie obowiązków kapitan nie pozwolił na zbytne
lenistwo. Na umycie się, poranną modlitwę i naładowa-
nie żołądków przeznaczył wszystkiego pół godziny.

Padła komenda:

— Do szeregu! Bacność! — i wszyscy stanęli
w równej, wydłużonej linii z bronią u nóg.

Egzercycje całą kompanją, plutonami i sekcjami,
trwały już dłuższy czas, gdy na polanie ukazał się „nasz“
sołtys, prowadzący majorów Bogdana i Rosenbacha.
Kapitan Grob natychmiast ustawił kompanję frontem do
przychodzących, zakomenderował: „Na ramię broń!... Pre-
zentuj broń“ i, podszedłszy na kilka kroków ku przyby-
łym majorom, zasalutował ich dobytą szablą i począł
zdawać raport o stanie kompanji.

Lustracja ograniczyła się do tego, że major Bogdan
przywitał się z porucznikiem Zawadzkiem i ze mną, odsa-
lutował prezentujących broń żołnierzy i osobiście rozpo-
czął ćwiczenia. Jednocześnie kapitan Grob konferował

z majorem Rosenbachem o potrzebach kompanji, a więc o dokompletowaniu brakującej bielizny, o dostarczeniu pewnej ilości butów, a nadewszystko o prawidłowej dostawie prowiantów i tytoniu. Wizytacja trwała najmniej dwie godziny. Byliśmy już porządnie zmęczeni, gdy major Rosenbach, ukończywszy swoje sprawy z kapitanem Grobem, podszedł ku nam, przypatrując się odbywającym się obrotom żołnierzy. Major Bogdan niebawem zaprzestał dalszych ćwiczeń, udzielając pochwały żuawom.

Obaj majorowie oglądali następnie szczegółowo konstrukcję naszych szałasów. Szczególnie chwalili pokrycie, które z powodu szczelności i gęstości gałęzi o ostrym spadzie było absolutnie nieprzemakalne. Oznaczywszy dzień sobotni na powtórnią wizytację, pożegnali się z nami i z sołtysem na czele opuścili nasze obozowisko.

Po odejściu majorów kapitan Grob przystąpił do stojącej jeszcze w szeregu kompanji i oświadczył, że codziennie od rana do południa odbywać się będzie musztra żołnierzy. Po wydanym obiedzie pozwolił połowie kompanji na zmianę udawać się do wsi, aby pomagać gospodarzom przy robotach rolnych, o czem już ich uprzedził. Apel wieczorny odbywać się będzie o godzinie ósmej, na który bezwarunkowo wszyscy pod karą stawić się muszą. Następnie upomniał, żeby wszyscy będący we wsi żołnierze zachowywali się przyzwoicie, gdyż w razie najmniejszej skargi ze strony gospodarzy winowajca zostanie oddany pod sąd wojenny, złożony z trzech szeregowców i dwóch oficerów pod jego przewodnictwem, a prawo uczęszczania do wsi będzie natychmiast wszystkim odjęte. Po tem upomnieniu rozpuścił nas.

Po skonsumowaniu nareszcie obiadu, żołnierze z pierwszej półkompanji zaczęli pojedynczo lub po dwóch

opuszczać leśne obozowisko, udając się ku wsi. Wślad za nimi udałem się i ja i za dobre pół godziny znalazłem się w chałupie moich gospodarzy.

Pochwaliwszy zwyczajem wiejskim Pana Boga, zastałem w izbie gospodarza z żoną i Jadzią, dwaj bowiem ich synowie byli w lesie przy rąbaniu drzewa. Zaraz na wstępie zaczęli serdecznie dziękować za udzieloną pomoc przy zakupie żywego inwentarza, co mnie silnie zażenowało. Na ich gorące prośby musiałem się udać do stajni dla obejrzenia drugiej krowy, którą dzisiaj rano we wsi kupili za niecałych czterdzieści rubli. Oprócz tego nabytku w chlewie obejrzeliśmy trzy młode warchlaczki. Wreszcie na podwórzu w otoczeniu kilkunastu kur przechadzał się rosły kogut, okryty różnobarwnym płaszczem, a nieco opodał kilka białych gęsi wyciągnięte mi szypami skubało rosnącą tam bujnie trawę.

Za to wszystko razem gospodarz zapłacił zgórą sześćdziesiąt rubli, a nazajutrz rano wybierał się do okolicznych wsi, ażeby kupić parę dobrych roboczych koni, na które spodziewał się wydać najmniej sto rubli. Resztę pieniędzy postanowił użyć na kupno drzewa w lasach, które miał z pomocą synów wozić na opałową sprzedaż do Nowej Słupi, Opatowa, Iwanisk, Staszowa, Rakowa, Szydłowa i Ostrowca i w ten sposób powiększać ów rezerwowy kapitał.

Jadzia zniecierpliwiona za długiem oglądaniem kupionego inwentarza domowego i przeciągającą się zbyt-
nio z tego powodu rozmową z rodzicami, przypomniała, że mieliśmy przecież dziś pójść do Nowej Słupi. Czyniąc zadość jej życzeniu, za chwilę byłem już przebrany i wypiwszy razem z Jadzią po dużym kubku wybornego mleka i wzięwszy z sobą dwie podwójne kromki chleba

razowego, nasmarowanego masłem i przełożonego plastrami sera, opuściliśmy chałupę.

Przez całą drogę rozmawialiśmy o mającej nastąpić nauce, do której Jadzia przywiązywała dużą wagę. Zacząłem jej wreszcie opowiadać różne rzeczy z dziedziny wiedzy o ziemi, o jej powstaniu i kolejach. niesłychana bystrość umysłu, nadzwyczajna zdolność, połączone z zadziwiającą pamięcią, sprawiły, że zanim doszliśmy do miasteczka, Jadzia główne zasady geologii recytowała jak z nut.

Z dłuższej przechadzki po miasteczku okazało się, że w bardzo nielicznych żydowskich kramikach trudno było kupić odpowiednie książki. Oprócz wiejskiego elementarza żadnych innych nie było. Musieliśmy się zatem ograniczyć do kupna kilkunastu arkuszy lichego papieru do pisania, jeszcze gorszych piór, wybrakowanych ołówków i rozwodnionego atramentu.

Zatopiony w myślach, w jaki sposób dojść do posiadania bodaj paru poważniejszej treści książek w miasteczku, gdzie się nikogo nie zna osobiście, wpadłem na myśl, by udać się do miejscowego probostwa, które może będzie mogło udzielić odpowiednich do kupna wskazówek. A że od zamiaru do postanowienia jest tylko jeden krok, poszliśmy przeto w kierunku widniejącego niedaleko kościoła i dowiedziawszy się, gdzie jest kancelaria parafialna, niebawem znaleźliśmy się pod jej drzwiami.

— *Laudetur Jesus Christus!* — wyrzekłem, stanąwszy z Jadzią przed księdzem.

— *In saecula saeculorum, amen...* — odpowiedział ksiądz, wpatrując się we mnie przenikliwie.

Za stołem, założonym papierami i stosem książek parafialnych, siedział siwiutki jak gołąbek staruszek, ubrany w czarną sutannę. Na ścianie za jego plecami

wisiał dużych rozmiarów stary olejny obraz, przedstawiający zdjęcie z Krzyża. Sofka ceratowa, szafka politurowana i kilka krzesełek, oraz półki, wypełnione książkami kancelaryjnymi, uzupełniały umeblowanie.

Ksiądz odgadł od razu, że jestem powstańcem, czemu nie przeczyłem. Przeciwnie przedstawiłem się, iż jestem podporucznikiem w kompanji kapitana Groba, konsystującej obecnie w lasach obok Starej Huty, a towarzysząca mi dziewczyna jest córką gospodarzy z tej wsi oraz moją narzeczoną i że przyszlśmy do Nowej Słupi, aby zakupić książki naukowe, których nigdzie tutaj dostać nie możemy. Nietylko że nie odmówił pomocy, ale zaprosił do siebie, a sam poszedł wystarać się o odpowiednie dla Jadzi książki. Nieobecność jego poświęciłmy gawędzie o czterech działaniach, z której dowiedziałem się, że Jadzia wcale nieźle umiała pisać cyfry arabskie. Doczekaliśmy się nareszcie powrotu księdza proboszcza, niosącego pod pachą kilkanaście starych, ale jeszcze w dobrym stanie do użytku książek. Była więc gramatyka polska, zoologia, geografia, botanika, geometria i trzy książki wypisów z pisarzy polskich. Książki te zdobył u paru parafian, którzy na zbożny cel z ochotą je ofiarowali, a zwracając się do Jadzi prosił, aby zawsze, gdy będzie w miasteczku, pamiętała go odwiedzić, to w czym tylko będzie mógł zawsze jej dopomóc.

Wtem otworzyły się drzwi, prowadzące widocznie do kuchni i ukazała się oczom naszym podstarzała służąca z wielką tacą, na której stały trzy duże szklanki napełnione kawą, a obok nich dwa talerze z ciastem domowego pieczywa.

Ksiądz usiadł naprzeciw nas w dużym poręczowym fotelu i wtedy potoczyła się pomiędzy nami wesoła pogawędka w najrozmaitszych kierunkach i tematach. A kie-

dy po wypiciu kawy Jadzia wstała od stołu, chcąc podziękować za przyjęcie, oznajmiając zarazem, że czas już ze względu na późną porę i daleką drogę wracać do domu, ksiądz zaoponował i za cenę pozostania na kolacji obiecał postarać się o konie. Mieszkał jak pustelnik, nic więc dziwnego, iż rzeczywiście był rad naszym odwiedzinom.

Wyjął więc z szafki domino i na grze tej oraz dalszej rozmowie spędziliśmy resztę dnia. Po herbacie ksiądz posłał służącą do sąsiada, by poprosiła o konie z wozem dla odwiezienia nas do domu. Kiedy konie stały przed plebanją wyraził chęć odwiezienia nas do domu, tak w naszym towarzystwie poczuł się rzeźki i odmłodzony. Kazał prócz tego służącej wrzucić na wóz trzy białe kaczki i kaczora „na rozrobek“ dla „wnuczki“, prosił nas bowiem, byśmy nazywali go „dziadkiem“.

Co się działo w chałupie moich „teściów“ po przyjeździe nas trojga do Starej Huty, tego żadne pióro opisać nie byłoby w stanie. Radość była szczerą i ogólną; nie wiedziano, gdzie księdza proboszcza posadzić, jak około niego chodzić i czym go przyjmować. Ja tymczasem wymknąłem się do komory, przebrałem w mundur żuawa i powróciwszy do izby w stroju polskiego żołnierza, ucałowałem czule drżące ręce zacnego proboszcza. Było już późno i musiałem śpieszyć do obozu. Pożegnałem więc Jadzię i jej rodziców, oraz zacnego „dziadka“.

Dalsze nasze obozowe życie nie różniło się już wiele. Rano zwykła musztra, po południu aż do wieczora nauka z Jadzią, w sobotę ponowna wizytacja obozu przez majorów, w niedzielę rano spowiedź i św. komunja w Nowej Słupi dla pozostałej części kompanji kapitana Groba, a po południu powtórna zabawa taneczna na placu musztry.

„Teść“ jak zapowiedział, tak zrobił. Zaraz we wtorek wybrał się w drogę i tego samego dnia pod wieczór przyprowadził parę silnych i młodych koni. Następnie zakupił w lesie prawie za bezcen powalone kłody drzewne i razem z synami wziął się raźnie do rąbania, a naładowawszy drzewo na furę, na całą noc pojechał z niem do oddalonego o cztery mile Opatowa. Na drugi dzień powrócił wielce uradowany, opowiadając o korzystnym zarobku. W czasie jego niebytności synowie przysposobili tyle drzewa rąbanego, że urządził następną do Ostrowca wyprawę i znowu wrócił z dobrym zarobkiem. Dorobek domowy rósł przeto jak na drożdżach i przy szczerzej pracy błogosławieństwo Boże coraz widoczniejsze skutki okazywało w tej prawdziwie bogobojnej rodzinie.

W piątek po południu, w czasie mojej lekcji z Jądzlą, przyjechał do nas niespodziewanie ksiądz proboszcz z Nowej Słupi i ucałowawszy „wnuczkę“, którą tem mianem stale już obdarzał, i uściskawszy nas wszystkich, okazał wielkie zdziwienie z powodu znacznego przez tych kilka dni przybytku i odmiany wnętrza chałupy pod względem nadzwyczajnej czystości i schludności. Po paru godzinach miłej pogawędki proboszcz, zapowiedziawszy następną wizytę w niedzielę po nieszpórach, wrócił do Nowej Słupi.

W sobotę odbyła się w godzinach przedpołudniowych ponowna wizytacja naszych dowódców i popis z musztry przed majorem Bogdanem, który nie szczędził pochwał za znakomitą obrotność i wojskowe wyszkolenie żołnierzy. Major Rosenbach obiecał na drugi tydzień dostarczyć bieliznę i buty, pytał o dalsze nasze potrzeby i rozkazał pomiędzy szeregowców rozdać przywieziony z sobą tytoń.

W niedzielę zaraz z rana kapitan Grob z poruczni-

kiem Zawadzkim i połową kompanji żuawów, poszli w przebraniu wiejskiem i pod opieką gospodyń ze Starej Huty do kościoła w Nowej Słupi, ja zaś musiałem pozostać w obozie w charakterze zastępcy komendanta. „Teściowa“ dostała jednego powstańca za towarzysza do kościoła, a Jadzia pozostała w zastępstwie matki do gospodarowania w domu. Gdy kapitan z żołnierzami powrócił do obozowiska, zwolniony z obowiązku służbowego pobiegłem do Jadzi, ażeby w domu jej rodziców pozostać aż do późnej nocy i uniknąć nieinteresującej mnie już zabawy. Gospodyni nakryła stół, zastawiła go gorącym mlekiem, chlebem, masłem, serem i gotowanymi jajami.

Pod wieczór przyjechał ksiądz proboszcz, którego wprowadziliśmy do wybielonej i wyszorowanej izby i usadowiwszy na pierwszym miejscu przy stole, rozpoczęliśmy żywą rozmowę. Ksiądz proboszcz pytał gospodarza o sposoby prowadzenia gospodarki, o rentowność handlu drzewem, o zamiary na przyszłość, o jakość ziemi na gruncie i t.p. Nie szczędząc praktycznych uwag, nauczał gospodarza, jak ma ulepszać rolę, jak zmieniać płody, przeznaczone do uprawy, z czego większe zyski osiągać, w jaki sposób najłatwiej rozmnażać hodowlę koni, krów, świń i najrozmaitszych gatunków drobiu. Gospodarz słuchał z zapartym oddechem, dziękując za zbawcze wskazówki, obiecując sobie wprowadzenie ich w wykonanie. Wśród miłej pogawędki szybko mijały godziny. Przyszedł wreszcie czas na kolację.

Jakoś w rozmowie ksiądz zapytał się o synów gospodarza, a dowiedziawszy się, że są na powstańczej zabawie, zapragnął koniecznie zobaczyć obozowisko i ową żołnierską rozrywkę. Wszelkie perswazje, że to jest za daleko, że bardzo się zmęczy odległym jak na jego wiek

marszem na nic się nie zdały. Niezwłocznie podniósł się z za stołu i podziękował za przyjęcie.

Widząc, że żadna replika nic tu nie pomoże, pomogliśmy księdzu ubrać się w płaszcz i wszyscy udaliśmy się do lasu. Rzeczywiście nie było tak źle z marszem, jak to zrazu sądziliśmy. Ksiądz szedł z nami tak rzeźko, że w całej z nami drodze tylko trzy razy odpoczywał. Spostrzegłszy już ognie obozowe i wywijających tancerzy przy dźwiękach muzyki, poprosił mnie, abym nie robił narazie żadnych prezentacyj, lecz posadził go gdzie na uboczu, aby mógł wszystko obserwować, sam nie będąc widzianym.

Stosując się do tego życzenia, usiedliśmy na odosobnionej kłodzie, przypatrując się wirującym obok nas tancerzom z tancerkami. Po pewnym czasie ksiądz, natrzymawszy się dowoli wesołości żołnierskiej, prosił, aby przedstawić go kapitanowi.

Wypatrzywszy w długim łańcuchu par tańczącego z córką sołtysa kapitana, pokazałem go księdzu, któremu podobało się bardzo, że ten pomimo swej rangi i władzy żyje w zażyłości z ludem, do tego stopnia posuniętej, że wspólnie się z nim zabawia, a co większa, nie czyni żadnej różnicy pomiędzy szeregowcami a sobą, powołując ogół żołnierzy do jednolitej uciechy. Pytał się więc, czy taka może zbyt poufałość, nie oddziałująca ujemnie na służbistość wojskową? W odpowiedzi wyjaśniłem, że nasz kapitan, jest w służbie tak surowy i ostry, iż żadnego, choćby najmniejszego przewinienia nie przepuszcza płazem. Natomiast poza służbą jest najlepszym na świecie kolegą dla wszystkich bez różnicy podwładnych, prawdziwym ojcem swojej kompanji. Wszyscy więc podkomendni boją się go jak ognia, a jednocześnie kochają i miłują bardzo.

Tymczasem muzyka przestała grać, tancerze poodprowadzali na miejsce dziewczęta, a ja, korzystając z wypoczynku grajków, pobiegłem do kapitana z uwiadomieniem, kogo mamy w obozie. Kapitan Grob natychmiast podszedł do księdza i po przedstawieniu się zawiązał z nim ożywioną rozmowę.

Późna pora nie pozwoliła księdzu przebywać zbyt długo w obozie. To też wkrótce zabrał się do powrotu. Na odchodnym pobłogosławił nas wszystkich, uściskał serdecznie kapitana i w naszym poprzednim towarzystwie opuścił rozbawione obozowisko.

Tak mijały dni naszego pobytu w lasach pod Starą Hutą. Wszakże nie było nam sądzone zbyt długo spędzić na tych pracowitych wywczasach. Zwłaszcza dla mnie czas ten zeszedł jak jedna krótka rozkoszna chwila. Uczęszczając do swoich „teściów“, byłem zachwycony pilnością, wytrwałością i nadzwyczajnymi zdolnościami swej ukochanej Jadzi, przejętej do głębi duszy kształceniem swej wiedzy. Dom tych miłych ludzi przy skrzętnej pracy gospodarza i jego synów z każdym dniem zyskiwał na dobrobycie, szczęściu, zadowoleniu i coraz większym zaufaniu w miłosierdzie dobrotliwego Boga. A ja czułem się w nim coraz bardziej i bardziej swój.

BITWA POD OKSĄ I KWILINĄ.

(20 i 21. X.)

Wreszcie w dniu 18 października w czasie modlitwy porannej zjawił się niespodziewanie nasz sołtys z listem zapieczętowanym i zaadresowanym do komendanta. Kapitan Grob po przeczytaniu rozkazał wydać żołnierzom porcje śniadaniowe, wezwał mnie i porucznika Zawadzkiego do siebie, oznajmiając, że z rozkazu majora Bogdana mamy natychmiast odmaszerować w kierunku południowo-zachodnim, do lasów tynieckich, odległych stąd o przeszło cztery mile. Marszruta była ściśle wskazana, a termin przybycia na miejsce oznaczony na dzień 19 października, najdalej w południowej porze. Celem chwilowej translokacji jest odbycie ćwiczeń bataljonowych przed zwierzchnią władzą.

Zaraz tedy po spożyciu śniadania nakazano żołnierzom zapakować wszystko do tornistrów i w pełnym rynsztunku stanąć do szeregów. Każdy z oficerów zajął swoje miejsce, a wtedy z kapitanem na czele, a z głębokim żalem w sercach po utracie rajy ziemskiego w Starej Hucie, opuściliśmy nasz wygodny i rozkoszny biwak z błogą nadzieją powrotu. Wyszliśmy tą samą leśną drożyną, która prowadziła do wsi, spodzie-

wałem się przeto, że będziemy przez Starą Hutę przechodzić i że będę mieć sposobność bodaj na minutę wpaść do chałupy „teściów“ i swoją Jadzię na chwilową zapewne rozłąkę uściskać. Stało się jednak inaczej. Kapitan Grob, nie chcąc widocznie tracić czasu przez smutne pożegnanie z rodzinami wieśniaczami, z którymi tak serdecznie byliśmy zżyci, po osiągnięciu skraju lasu nie udał się do wsi, lecz brzegiem tegoż poszedł trochę dalej, a potem skręciwszy na pola Nowej Huty, o ile można najprostsza i najkrótsza drogą pomaszerował w kierunku wsi Skarzeszyce, o milę drogi stąd oddalonej. Przed Skarzeszycami słyszałem najwyraźniej, jak kapitan mówił do sołtysa, który nam towarzyszył, ażeby wszystkich naszych znajomych pożegnał w imieniu całej kompanji i polecił ich pamięci. Skorzystałem ze sposobności i poprosiłem sołtysa, ażeby udał się do chałupy moich „teściów“ i wytłumaczył niemożliwość osobistego mojego z nimi pożegnania.

W Skarzeszycach mieliśmy przeszło jednogodzinny biwak; stąd następnie przez Daleszyce, Bilczę i Brzezinę, z odpowiedniami w nich wypoczynkami, dotarliśmy już dobrze po południu do Wolicy, gdzieśmy zastali majora Rosenbacha, przybyłego tutaj w tym celu, aby dla nas przygotować ciepłą strawę. Wytnąwszy należycie i posiliwszy się jeszcze lepiej, pod wieczór poszliśmy dalej, a przeszedłszy trakt jędrzejewsko-kielecki i przeprawiwszy się przez obok płynącą Czarne Nidę, pomaszerowaliśmy przez Brzegi i Mnichów do tynieckich lasów, w których stanęliśmy już dobrze po północy. Na szczęście pogoda sprzyjała piękna, ruszyliśmy przeto o jakie małeńkie może ćwierć milki w głąb lasu i, przyodziewszy się w grube płaszcze, położyliśmy głowy na tornistach, a obserwując jaskrawo świecące gwiazdki, przedziera-

jące się gdzie niegdzie przez gęste konary drzew, pozasyrialiśmy na miękkiej murawie bez ognisk, twardym snem sławetnych susłów.

Kapitan Grob nie żałował sobie wcale słodczych morfeuszowskich przyjemności, śpiąc narówni z żołnierzami prawie do południa. Gdy wstał, otrząpał się trochę z przylegających na ubraniu zeschłych traw i zielska, a rozkazawszy nam nie wydaląć się z miejsca noclegu, aż do swego powrotu, poszedł do wsi po wskazówki, co mamy dalej robić z sobą. Dobrze się stało, żeśmy posiadali zapasowe przy sobie jedzenie i manierki niecałkowicie jeszcze wypróżnione. To też zaspokoivszy potrzeby żołądkowe po nużącym marszu dnia poprzedniego i po długim, wzmacniającym siły śnie, nie żalowaliśmy sobie olbrzymich porcyj chleba z tradycyjną obozową słoniną.

Doczekaliśmy się nareszcie nadejścia kapitana z jakimś wieśniakiem, który w roli przewodnika poprowadził nas stąd środkiem lasu na przeciwną stronę tegoż, gdzie pomiędzy Popowicami a Kuźnicą, w dobrze zalesionej gęstwinie, natknęliśmy się na biwakujące tam dwie kompanie piechoty kapitanów Hupperta i Postawki. Obecny przy nich major Bogdan, ucieszywszy się z naszego na oznaczoną porę przybycia, oznajmił, że musimy jeszcze doczekać się nadciągnięcia kapitana Narkiewicza, poczem ruszymy dalej. Nieco na uboczu gotował się w kotle, postawionym na wielkim żelaznym trójnogu, mięsny obiad dla żołnierzy, a dwa furgony naładowane żywnością świadczyły aż nadto wymownie, że i major Rosenbach sumiennie wypełniał włożone nań obowiązki przez ścisłą dbałość o zasilenie naszych fizycznych sił.

Tego dnia jeszcze przed samym wieczorem zjawił się w towarzystwie tynieckiego wieśniaka adjutant Chmielińskiego Julian Wiśniewski, ubrany w cywilny strój. Kon-

ferencja jego z majorem Bogdanem trwała z pół godziny; rezultatem jej był rozkaz do spoczynku z nadmienieniem, że po północy opuścimy obecne stanowisko.

To też jeszcze przed zmierzchem pokładliśmy się spać, a o oznaczonej porze zbudzeni, stanęliśmy w kompanijnych szeregach, nawet nie wiedząc o tem, że zostaliśmy już wzmocnieni czwartą kompanją kapitana Narkiewicza. Zostawiwszy oba furgony na miejscu obozowania i zabrawszy z sobą pozostałą na wozach żywność, podzieloną skrupulatnie pomiędzy żołnierzy, odmaszerowaliśmy wśród ciemnej nocy z majorem Bogdanem na froncie i towarzyszącym mu miejscowym przewodnikiem.

Po długim marszu przez odkryte pola stanęliśmy na dany znak z bronią u nóg. Zdaleka zamajaczyły przed nami jakieś czarne linje, odznaczające się na tle ciemnej nocy, dla których zbadania major Bogdan ostrożnie i po mału konno pojechał. Powróciwszy po jakimś czasie, uwiadił, że mamy pozostać tak długo na miejscu, dopóki nie otrzymamy od Chmielińskiego specjalnego rozkazu uderzenia na Moskali, przebywających w bliźniutkiej już Oksie.

Rzecz się tak miała. Rosyjski pułkownik Bentkowski, Polak, przybył do Oksy w sile sześciu rot piechoty, szwadronu dragonów, sotni kozaków i pewnej liczby raketników, celem ściągania od obywateli ziemskich zaległych podatków. Przyjmując, że rota piechoty miała przepisową liczbę 250 ludzi, Bentkowski rozporządzał oddziałem, złożonym z 1500 piechoty i 250 ludzi konnych, a oprócz tego raketnikami.

Przeciwko tej sile Chmieliński posiadał 1000 ludzi piechoty i 100 kawalerzystów. Różnica była więc dość znaczna na korzyść Moskali.

Należy nadmienić, że Krzywda w swoich Wspo-

mnieniach obozowych obniża tę liczbę do wysokości tylko 650 ludzi (str. 63) i poprawia Lucjana Sulimę, autora Pamiętników powstańca, który bardzo dobrze obliczył siły Polaków, bijących się pod Oksą, na 1100 żołnierzy.

W rzeczywistości rachunek jest bardzo łatwy i prosty: oddział Chmielińskiego posiadał 4 kompanje i 100 kawalerzystów, połączony z nim oddział majora Faustyna Grylińskiego składał się z dwóch kompanij piechoty, major Bogdan przyprowadził 4 kompanje byłego oddziału Zaremby, było zatem razem 10 kompanij piechoty i szwadron kawalerji. Licząc tych jedenaście kolumn średnio po 100 ludzi, otrzymujemy ogólną liczbę 1100, to jest taką, jaką podał Sulima.

Całość bitwy została opisana przez Krzywdę zupełnie nie tak, jak to było w rzeczywistości. Twierdzeniem, że major Bogdan dowodził dwiema kompanjami najstarszej wiary Chmielińskiego, dowiódł najgrubszego błędu, tem większego, że jako żołnierz Chmielińskiego powinien był znać doskonale swój oddział. Również mylne jest wskazanie, że major Bogdan był przeznaczony do opanowania drogi, wiodącej do Małogoszczy, a następnie zaatakowania Moskali, będących we dworze od strony bramy ogrodowej. Pod bramą ogrodową walczył major Gryliński i nie miał wcale żadnej łączności z Nowickim, bijącym się z przeciwnej strony dworu. O mnóstwie innych usterek w opisie bitwy pod Oksą, nie będę się dalej rozwodził. Wreszcie nie można się dziwić temu panu kawalerzyscie, który ze swymi konnymi kolegami przez cały czas bitwy pod Oksą musiał mieć bardzo głęboki respekt wobec 250 regularnych i dobrze wyćwiczonych dragonów i kozaków, nie pozwalających polskim jeźdźcom nawet na rolę spektatorów.

Jeszcze przed świtem Chmieliński polecił Grylińskiemu z trzema kompanjami piechoty udać się przez bagna, oddzielające gaik sosnowy od lasu, między Chyczą a Popowicami położonego, i zająć tyły dworu, obsadzonego przez Moskali. Kapitan Nowicki miał zaatakować drugimi trzema kompanjami folwark dworski, w czystym polu stojący, z owczarnią, stodołami i stajniami. W nim to właśnie ulokowała się większa część piechoty moskiewskiej. Ponieważ reszta piechoty rosyjskiej i znaczna część ich konnicy była rozkwaterowana po wiejskich chałupach, zadaniem przeto bataljonu majora Bogdana było zająć wieś i wyrugować na pole znajdujących się w niej Moskali, którzy w ten sposób musieli się natknąć na kolumny Nowickiego i wpaść pod obustronny ogień polskich oddziałów.

Major Gryliński, śpiesząc na wskazaną pozycję, natknął się na pikietę dragońską, a ta niezwłocznie wystrzałem z karabinka zaalarmowała cały obóz moskiewski. Pierwszy na to hasło wyruszył ze wsi szwadron dragonów, jadąc stępą, ku polu, badając i węsząc, skąd zagraża niebezpieczeństwo. Obawiając się zasadzki, rozwinęli dragoni szeregi we flankiery, strzelając bez przerwy na niewidzialnego jeszcze nieprzyjaciela. Kapitan Nowicki, maszerujący w stronę folwarku, chcąc przywabić bliżej dragonów, rozkazał rozwiniętym szykom swoich trzech kompanij położyć się na ziemi i na dogodny dystans rozpocząć ogień. Gdy świtać już zaczęło, dała się słyszeć silna salwa karabinowa, w skutku której dragoni niezwłocznie w popłochu zrejterowali z pola.

Miejsce ich natychmiast zajęła piechota rosyjska. Opuściwszy folwark i jego zabudowania, wystąpiła przeciw szeregom Nowickiego, sądząc, że samem ukazaniem się wzbudzi panikę pomiędzy powstańcami i zmusi ich

do rozproszenia lub poddania się. Nowicki jednakże, nie czekając na ich atak, zakomenderował nałożenie bagnetów na karabiny i z całym impetem uderzył na pewnych zwycięstwa Moskali, spychając ich z pola napowrót do folwarku. Biorąc szturmem jeden budynek po drugim, ostatecznie wyparował Moskali z wszystkich zabudowań folwarcznych, a ci, mszcząc się za doznaną klęskę, podpalili ze wszystkich stron folwark i całoroczny dobytek braci Wąsowiczów, właścicieli Oksy, puścili z dymem. Moskałe, wyrzuceni z folwarku, rejterowali przez pola ku dworowi, broniąc się po drodze zaciekle na to tylko, aby wpadłszy na dworskie podwórze, jak najprędzej zatarasować za sobą bramę.

Gdy tego rodzaju akcję przeprowadzał z Moskalami kapitan Nowicki, major Gryliński, obszedłszy dwór z boku, rozpoczął atak od strony bramy ogrodowej. Moskałe z poza murów, parkanów, drzew i dachów bronili się rozpaczliwie, aby tylko za wszelką cenę nie dopuścić do opanowania podwórza przez Polaków. Gryliński, przeciwnie, wyteżał wszystkie siły, aby dostać się do środka i w ten sposób uzyskać korzystne dla nas rozstrzygnięcie. Przez zaciętą jednak obronę dworu, zbudowanego w formie małej czworobocznej forteczki, okolonej zewsząd wysokim murem i ścianami zabudowań, nie mógł tego rychło dokonać. Ponadto dwie bramy dębowe, okute silnie żelaznemi sztabami, stanowiły niezwykłą zaporę; dlatego też atak i obrona musiały się sprowadzić do wzajemnej, morderczej strzelaniny.

Jednocześnie z akcją Nowickiego i Grylińskiego, major Bogdan — jakem wspomniał — otrzymał rozkaz uderzenia na Moskali, znajdujących się we wsi. Chcąc tego dokonać, należało wejść na drogę, łączącą Oksę z Popowicami i po przebyciu tejże, jako najkrótszej odle-

głości, wpaść do wsi i ostatecznie rozprawić się z resztą przybywającej tam piechoty moskiewskiej. Manewr taki wziął jednakże zupełnie odmienny obrót, Moskale bowiem, nie chcąc beczynnie stać we wsi, wyszli z niej właśnie niepostrzeżenie na tę samą drogę, do której myśmy podążali. Ukryci w rowach przydrożnych i poza rosnącymi tam drzewami, widząc nas ku nim maszerujących, przyczaili się poto, abyśmy lepiej się przybliżyli i na krótką metę zostali przez nich skutecznie zdzięsiętkowani.

Major Bogdan w przeczuciu złęgo na jakich sześćset kroków od drogi poleciał dwóm kompanjom rozsypać się w tyraljery, a dwie zostawił na tyłach jako rezerwy. W tak urządzonym szyku bojowym kazał zatrzymać się na miejscu, dopóki jeden pluton, wzięty z rezerwy, pod komendą oficera nie zbada, czy droga nie jest już obsadzona przez nieprzyjaciela. Dowodzący plutonem porucznik był jeszcze ostrożniejszy i przebieglejszy od swęgo wodza. Wiedział dobrze, że jego oddziałek może być z nim wybity do nogi, jeżeli drogę, obsadzoną stęremi i rozłożystymi drzewami, opanowali już Moskale. Zbliżywszy się przeto na jakich dwieście kroków, wydał rozkaz położenia się na ziemi i przeczołgania do samej drogi. Zaledwie jednakże powolnem czołganiem żołnierze jego zbliżyli się na sto kroków do rosnących z dwóch stron drogi modrzewi, ukryci w rowach i za drzewami Moskale sami zdradzali siebie wystającym z poza gałęzi bagnętem. Jeden z naszych żołnierzy strzelił, na co Moskale natychmiast odpowiedzieli rzęsistą salwą karabinową. Ponieważ stanowisko zbyt bliskie Moskali było niebezpieczne, oddziałek nasz zaczął się wycofywać, wkrótce połączył się bez strat z całym bataljonem, przed którym Moskale musieli mieć znacznie większy szacunek.

Bitwa zawrzała w całej sile. Moskalom zależało na niedopuszczeniu nas do opanowania drogi. Major Bogdan zaś postanowił wyprzeć z niej nieprzyjaciela. Rozpoczęła się zatem długotrwała walka. Gdyśmy w jednym miejscu na skrzydle wyrzucili Rosjan i z rowów i z poza drzew, oni, stosując do nas tę samą metodę, w słabszym naszym miejscu uzyskiwali przewagę.

Do przedłużenia bitwy przyczyniały się też wielce liczne sterty niedawno skoszonego na polach siana, o których zajęcie obydwie strony usilnie się kusiły. Najbardziej dokuczała nam jedna z największych stert, obsadzona zwierzchni i z boków przez gromadę Moskali, dotkliwie nas ostrzeliwujących. Kilkakrotnie przypuszczaliśmy do niej ataki, lecz stale z powodu strat nie mogliśmy jej zdobyć. Wówczas major Bogdan, nie bacząc na niebezpieczeństwo, podjechał na swym siwym koniu i zawołał w największej pasji.

— Zdawajties sukinsyny siejczas... czto-by ja nie rozporiadił wziat' was ogniom. W takim słuczaje nikamu iz was nie budiet poszczady! (Poddajcie się natychmiast psiesyny, ażeby nie rozkazał spalenia was. W takim razie dla nikogo z was nie będzie litości). — I jednocześnie obrócił się do swoich żołnierzy z dobitnie wygłoszonym rozkazem, ażeby podpalono stertę.

Kilku szeregowców rzuciło się do najbliższych, w naszych rękach będących, stert i zaczęło zwijać długie powrósla, lekko skręcone z wysuszonego siana. Następnie zaczęto je z końców zapalać i z owemi pochodniami biec ku nieznośnemu stogowi. Moskale, zobaczywszy to, a nie mogąc nas powstrzymać pozeskakiwali ze sterty i w tejże chwili zostali przez nas otoczeni.

— Brosajtie rużja! (Rzucajcie karabiny) — wrzeszczał Bogdan.

Gdy to się stało, major Bogdan kazał Moskalom oddać jeszcze tornistry i skórzane patrontasze.

Bitwa trwała dalej. Stopniowo zdobywaliśmy stertę za stertą i po obsadzeniu ich naszymi żołnierzami przewaga już była po naszej stronie. Dzień biegł szybko. Dobrze już było z południa, kiedy czterokroć wyrzucaliśmy ich z zajmowanych stanowisk i odwrotnie tyleż razy byliśmy przez nich wypierani. Aż dopiero w czasie, gdy słońce miało się ku zachodowi i gdy kompanja kapitana Narkiewicza zdołała się przedrzeć na przeciwną stronę drogi i tem samem zaczęła zagrażać tyłom Moskali, rejterowali oni już na dobre.

Ucieczka przed nieprzyjacielem jest najbardziej zaraźliwą epidemią. Skoro bowiem rozpocznie cofanie się tylko żołnierzy, w tejże chwili porywa za sobą innych, pluton pociąga całą kompanję, kompanja cały oddział. Z ucieczki powstaje ogólny popłoch, a wtedy niema już żadnej siły ludzkiej, zdolnej do powstrzymania uciekających. Tak samo było i z naszym nieprzyjacielem, który z niezwykłą chyżością opuszczał plac boju. Gęstym ogniem raziliśmy ich nader skutecznie, tak że straty ich w tym momencie bitwy równały się chyba połowie poniesionych w ciągu całodziennej walki.

Schroniwszy się wreszcie przed naszym brawurowem natarciem do wsi, zostali wkrótce również z niej wyrzuceni. Szukali więc ocalenia w pobliskim ku północy rozciągającym się lesie.

I jakież zdumienie nami owładnęło, gdyśmy, biegnąc ku dworowi na pomoc walczącym tam naszym oddziałom, zobaczyli to, czemu wprost uwierzyć nie można było. Oto powstańcy, walcząc zacięcie z obydwu stron dworu, odstępowali, a cała falanga Moskali, wysypawszy się z podwórza dworskiego, razila ich morderczym ogniem kara-

binowym. Nie pozostawało ani chwili do stracenia, tem bardziej, że Moskale, których zapędziliśmy do lasu, na nowo w nim się sformowali i wkrótce ujrzelśmy ich zdaleka na swoich tyłach.

Należało przeto natychmiast albo dać odsiecz cofającym się przed Moskalami oddziałom, albo bokami przez pola podążyć ku lasom i tam dopiero z Chmiełińskim się połączyć.

Major Bogdan wybrał to pierwsze wyjście. Biegiem więc pędziliśmy przez pole, położone obok jednego boku zabudowań dworskich, lecz Moskale spostrzegłszy nasz manewr i wzięwszy się znaczną siłą na lewo, zaczęli nam zabiegać z frontu. Wtedy major Bogdan, który słabo mówił po polsku i w zapale wojennym najczęściej używał rosyjskiego, chcąc zabezpieczyć swój oddział od stanowczej w razie cofania porażki, gdyż musielibyśmy wpaść na wrogów, zdążających za nami, i wpaść pod krzyżowy ogień, przypadł konno na lewe skrzydło bataljonu, komenderując piorunującym głosem:

— Wpieriod, skorym szagom, wpieriod, rebiata! (Naprzód, prędkim krokiem, naprzód dzieci!)

Żołnierze, przyzwyczajeni do rosyjskiej komendy swojego majora, biegli bez opamiętania przez pola, ostrzeliwani gęstym ogniem moskiewskim.

— Tiepier strielať! (Teraz strzelać) — krzyczał Bogdan, gdyśmy przebiegli znaczną przestrzeń i byli już blisko stanowisk rosyjskich.

Daliśmy kilka salw, od których między Moskalami zakotłowało się jak w garnku, powodując widoczne w nich zamieszanie.

Uważając tę chwilę za jedynie dogodną do rozstrzygnięcia losów i tak zbyt bliskiego zetknięcia z wro-

giem, major Bogdan w ostateczności zaryzykował wszystko, przez rzucenie rozkazu:

— Na sztyki! (Na bagnety)

To nas zbawiło...

Moskale, widząc cztery zbite kolumny powstańców, biegnące w szalonym pędzie z najeżonemi bagnetami, a oddalone już tylko o jakich kilkadziesiąt kroków, rozbiegli się w dzikim popłochu w dwie przeciwne strony. Pozostawili nam w ten sposób wolne przejście na dalsze pola. Przeleciawszy jak huragan przez otwartą lukę, Bogdan rozkazał jednej skrzydłowej kompanji rozsypać się w tyraljerkę i osłaniać odwrót przed pozostawionymi wtyle Moskalami.

Piechota rosyjska jednak nie okazała najmniejszych chęci nacierania na nas dalej. Zmęczona całodzienną bitwą, doznawszy nielada jakich strat w zabitych i rannych, niezdolna snąć była do dalszej walki. To też całkiem spokojnie przy zapadającej nocy połączyliśmy się jeszcze przed dojściem do lasu z ustępującemi oddziałami Chmielińskiego.

Najbardziej charakterystyczną i oryginalną cechą całej bitwy pod Oksą było to, że rosyjscy oficerowie razem ze swoim pułkownikiem Bentkowskim, będąc zakwaterowani we dworze, nie mogli się zeń wydobyć z powodu obopólnej strzelaniny przed dworem, skutkiem czego piechota moskiewska, rozkwaterowana we wsi i na folwarku, zostawała przeważnie pod komendą podoficerów.

Wszystkie trzy pola bitew objeżdżał bez przerwy pułkownik Chmieliński z adjutantami Julianem Wiśniewskim i Bolesławem Łackim, dodając bodźca walczącym powstańcom. Kierownictwo bitwy bez przerwy znajdowało się w jego ręku, wszystkie niemal ruchy wykonywane były pod jego baczem na wszystko okiem. Po

pobycie u nas, składał wizytę majorowi Grylińskiemu, walczącemu pod bramą dworską od strony ogrodu, a stamtąd udawał się do kapitana Nowickiego. Żołnierze nasi, walczący pod dworem, opowiadali, że Chmieliński w najwyższej pasji, stanąwszy na koniu za drzewem, lżył Bentkowskiego, który co chwila pojawiał się w otwartym oknie na pierwszym piętrze i strzelał do naszych, wyzwiskami jak: renegat, zdrajca ojczyzny, wyrzutek społeczeństwa, podlec, odszczepieniec, szubrawiec, kat moskiewski, Judasz polskiego narodu i t.p.

Dziwną i niewytłumaczoną rzeczą było, dlaczego rezultat bitwy, prowadzonej przez cały dzień z niesłychaną brawurą i męstwem, mimo znacznych sukcesów, okazał się w końcu zgoła niespodziewaną przegraną. Główną wszakże przyczyną było to, że przed wieczorem padło dwóch naszych dowódców major Gryliński i kapitan Nowicki, co wpłynęło nadzwyczaj demoralizująco na żołnierzy.

Zczasem dowiedzieliśmy się od braci Wąsowiczów, właścicieli Oksy, którzy byli przez cały czas bitwy u siebie we dworze razem z rosyjskimi oficerami, jak pułkownik Bentkowski, upatrując w tem losy bitwy, specjalnie polował na dowódców.

Oto według ich zeznań pułkownik Bentkowski, będąc całkowicie ze wszystkich stron otoczony, śledził bacznie przez lunetę wyniki bitwy. Dostrzegłszy, że Moskałe również na odcinku majora Bogdana zaczęli się cofać, a następnie wprost rejterować do lasu, uznał, że sytuacja staje się dla nich nadzwyczaj krytyczna. Nie ulegało bowiem najmniejszej wątpliwości, że przybycie na pomoc pod dwór całego bataljonu majora Bogdana, rozstrzygnie o wszystkim szybko i skutecznie na korzyść Polaków.

Nie pozostawało ani chwili do stracenia.

Niezwłocznie kazał wybrać dwudziestu najcelniejszych strzelców, to jest takich, którzy za trafne strzały otrzymywali nagrody. Dziesięciu z nich ukrył przy bramie ogrodowej, a drugich dziesięciu przy bramie przeciwległej. Pierwszym pokazał majora Grylińskiego, drugim kapitana Nowickiego i polecił za wszelką cenę ich zastrzelić. Wojsko rozdzielił na dwie części, przeznaczając do każdej z bram po jednej, i ustawivszy w kolumny szturmowe, zastosowane do szerokości bram, kazał czekać rozkazu.

Wtedy, upatrzivszy przez lunetę chwilę, gdy Chmieleński z nieodstępnyimi adjutantami pocwałował ku oddziałom majora Bogdana, dał rakieta hasło do szturm na dobijających się do bram dworskich powstańców. Jednocześnie był to znak dla ukrytych i gotowych do strzału strzelców. Raptem ciężko zraniony major Gryliński zsuwa się z konia i przez należyty mu ratunek powoduje chwilowe zamieszanie pomiędzy powstańcami. Jednocześnie z przeciwnej strony przestrzelony w piersi kapitan Nowicki pada trupem na miejscu, co również staje się przyczyną konsternacji. W tej właśnie chwili pewnego zamieszania Moskale raptownie otworzyli obie bramy i, wypadłszy w największym pędzie z najeżonemi bagnetami, na, niespodziewających się tego rodzaju wypadu, Polaków, wywołali popłoch i ucieczkę.

Śmierć kapitana Walerego Nowickiego przejęła wszystkich, a deprymująco podziałała na kolegów, którzy bliżej się z nim stykali i szczylicili jego przyjaźnią. Wszyscy oni nie mieli słów uznania dla jego wielkich cnót i przymiotów charakteru, oraz takiego istotnie polskiego demokratyzmu, jaki bez żadnej obłudy i stronniczości powinien przepełniać ducha każdego prawego Polaka. Był on synem urzędnika z Kielc i przed wybuchem

powstania studjował, jak mówiono, prawo w warszawskiej Szkole Głównej. Porwany początkowo w wir Narodowej Organizacji Cywilnej, z początkiem powstania znalazł się w szeregach walczących z bronią w rękę.

Przez las maszerowaliśmy w zupełnem rozstrojeniu i przygnębieniu. Do upadku ducha przyczyniała się zapewne niemało ciemna, jesienna już noc, a przedewszystkiem świadomość, że będąc tak bliskimi zwycięstwa przez cofnięcie się kompanij, szturmujących do bram dworu, musieliśmy sromotnie uchodzić.

Zaraz za lasem rozpoczynała się mała wioska Kwilina z jeszcze mniejszym dworkiem, zamieszkałym przez dzierżawcę folwarku Gnoińskiego. Szczuplutki ten dworek, złożony zaledwie z dwóch pokoiów, wystarczał na pomieszczenie rodziny państwa Gnoińskich, złożonej z gospodarza domu, jego żony i podrastającej córki panny Izabeli, ale będąc za mały dla większej ilości oficerów, przyjął tylko w swoje ściany pułkownika Chmielińskiego z adjutantami, majora Bogdana i paru jeszcze oficerów. Reszta oficerów, jak i żołnierze spoczęła na trawie i ściernisku wzdłuż drogi i natychmiastowym snem przeniosła się w lepsze światy zapomnienia o niefortunnych przejściach pod Oksą. Furgony i konnica zajęły całą długość wąskiej drogi, wzdłuż okalających ją pól.

Chmieliński, baczny i czujny jak zawsze, poobstawił natychmiast pikietami konnemi i pieszemi wszystkie drogi i ścieżki i rozesał w różne strony podjazdy celem zabezpieczenia się od możliwej moskiewskiej inwazji. Ponadto polecił Gnoińskiemu wysłać ekonoma Pawłowskiego na bryczce do Oksy, z poleceniem zbadania, co tam robią Moskale. W razie ujęcia przez wrogów miał się tłumaczyć zamiarem kupna w Oksie, nie pamiętam już jakiego produktu.

W czasie gdy Chmieliński tak się urządzał w Kwilinie, rosyjski pułkownik Bentkowski również nie zasypiał gruszek w popiele. A ponieważ, wkrótce po odejściu z Oksy naszych oddziałów, otrzymał jeszcze świeże posiłki, nakazał marsz pościgowy i w największej ciszy skierował wojska w tę stronę lasu, w którą udaliśmy się w oczach Moskali.

Marsz Moskali wśród ciszy nocnej przez las poprzedzała daleko naprzód wysunięta awangarda kozacka, która usłyszała turkot kół toczącej się bryczki ekonoma. Kozacy przyczaili się poza drzewami i dopiero gdy bryczka znalazła się już pomiędzy nimi a piechotą moskiewską, dopędzili ją galopem, a otoczywszy dookoła, pognali wprost przed oblicze pułkownika Bentkowskiego, który natychmiast rozpoczął indagację wysłańca Chmielińskiego:

— Jak się nazywaś i kim jesteś?

— Nazywam się Pawłowski, a jestem ekonomem w Kwilinie.

— Gdzie jedziesz i po co?

— Jadę do Oksy po owies dla pana dzierżawcy.

— Jakto? To już taki brak macie owsa, żeś się aż o północy wybrał po niego?

— Mamy tak dużo w dzień roboty, że inaczej nie można było wyjechać.

— A Chmieliński z miatieżnikami jest w Kwilinie?

— Przeszedł tylko przez Kwilinę i poszedł dalej.

— A prawdę ty mówisz? — krzyknął Bentkowski.

— Tylko najszczerzą prawdę mówię, wielmożny panie — wyjąkał przestraszony ekonom.

— Taaak? — wrzasnął Bentkowski. — Będziesz ty mi zaraz inaczej śpiewał!

I obróciwszy się nagle do stojących wokoło żołnierzy, kazał dać nieszczęśnikowi 50 nahajek.

Żołnierze rzucili się natychmiast na bezbronną ofiarę, ściągnęli z bryczki i położywszy na ziemi, przytrzymali nogi, rozkrzyżowali siłą ręce i rozpoczęli katowanie, podczas czego uderzenia sam Bentkowski rachował.

Rozdzierające okropne krzyki rozlegały się po całym lesie. Lecz nie pomogły ani jęki, ani płacze i wrzaski, ani błagalne prośby o zmiłowanie i łaskę. Bentkowski, głuchy na wszystko, liczył osobiście z zimną krwią dopóty, póki pełnych 50 kozackich nahań, z ołowianami na końcach rzemyków kulkami, nie zostało wymierzonych na ciele skazańca.

Wówczas Bentkowski powtórzył pytanie, czy Chmieliński jest w Kwilinie.

Pawłowski strasznym z cierpień głosem wybełkotał poprzednią odpowiedź.

Rozpoczęło się więc ponowne katowanie, tem straszniejsze, że Polak-renegat zapowiedział bijącym żołnierzom otrzymanie cielesnych plag na słabe uderzenia.

Pawłowski, nie mogąc już krzyczeć, przeraźliwym jęczeniem i charczeniem dawał znaki życia. Wreszcie całej krwią obłany, zaczął błagać o łaskę.

Bentkowski rozkazał zaprzestać bicia, a przywoławszy do swego boku chłopą przewodnika, którego zabrał ze sobą z Oksy, kazał uważnie słuchać, bo będzie musiał podać mu na podstawie zeznań Pawłowskiego wskazówki przy rozstawianiu żołnierzy. Przytem gdyby tego nałożycie nie dokonał zagroził plagami.

To powiedziawszy, zwrócił się do leżącego wciąż na drodze Pawłowskiego i po raz trzeci zapytał, czy Chmieliński jest w Kwilinie?

Wtedy Pawłowski, ulegając pod wpływem cierpień, powiedział, jak powstańcy są rozmieszczeni i ubezpieczeni.

— A prawdę ty mówisz? — pytał groźnie renegat.

— Przysięgam na wszystko, że tylko zupełną prawdę powiedziałem — osłabionym z bólu głosem odrzekł Pawłowski.

— Taaak?... mruknął Bentkowski i zwróciwszy się do żołdatów z całej siły wrzasnął: — Z a k o ł o t' j e w o ! (Zakłóć go).

— Jaśnie wielmożny panie!.. miłosierdzia... łaski... mam żonę i dzieci... — błagał nieszczęśliwy.

W tej chwili kilkanaście bagnatów ugodziło w posiekane nahajami ciało Pawłowskiego, który ostatnich sił dobywszy, zawołał jeszcze:

— Niech moja krew, nędza biednej żony i sieroctwo dzieci... spadną na twoje sumienie!

I w tej chwili stało się coś niespodziewanego.

W zupełnej ciemności nocnej, zdala od kata Bentkowskiego, ostatnie przedśmiertne o sumieniu słowa skazańca tak podziały na żołnierzy moskiewskich, że z ich szeregów dał się słyszeć dobitny głos:

— L a c h p a d l e c ! (Podły Lach).

Bentkowski jak wściekły pies rzucił się na koniu w stronę usłyszanego epitetu, wrzeszcząc:

— M o ł c z a t'... m o ł c z a t'... (Milczeć).

W tej chwili wszakże z przeciwnego końca moskiewskiej kolumny zawołano:

— L a c h r o z b o j n i k !

— K t o e t o g o w o r i t'... G o s p o d a o f i c e r y... n a s w o i m i e s t a. W p o c h o d... w p o c h o d... m a r s z ! (Kto to mówi? panowie oficerowie na swoje miejsca. Ruszamy, ruszamy, marsz!)

Powstało takie zamieszanie, że furman Pawłowskiego, niemy świadek powyższego strasznego zajścia, korzystając ze sposobności i z ciemności nocy, zsunął się pocichu z siedzenia na koźle i umknął w las, pozosta-

wiając Moskalom bryczkę i konie. Następnego dnia zjawił się jako ochotnik w naszym oddziale, obawiając się niechybnego aresztowania. Z jego to ust dowiedzieliśmy się o szczegółach morderstwa dokonanego na ś. p. Pawłowskim.

Bentkowski, korzystając z ciemności i lasu, obszedł i obsadził dookoła Kwilinę, pozamykawszy zewsząd drogi i, nie czekając świtu, rozpoczął ślepą strzelaninę. Obóz polski, pogrążony w silnym śnie, zbudzony został piekielnym ogniem karabinowym i pękającymi nad głowami rakietami. Wywołało to dużą panikę, lecz jednocześnie ocaliło nas od niechybnej zagłady. Piechota szybko zebrana uchodziła już z tego piekła, kiedy nasza kawalerja szamotała się jeszcze z końmi wystraszonemi rakietami. Wszystkie furgony stały się łupem Moskali i tylko z trudem zdołaliśmy uprowadzić konie zaprzęgowe.

Kiedy piechota i konnica nasza wycofała się, pułkownik Chmieliński, który spóźnił się skutkiem poszukiwań swoich papierów wyruszył ze dworu i znalazł się na podwórzu, kiedy Moskale już dobiegali do zabudowań dworskich. Jednej chwili nie było do stracenia. A tu jak na złość okazało się, że nie było zbywającego konia. Widocznie zerwał się z uwięzi i zbiegł. Szczęściem ostatni z kawalerzystów, któremu z trudnością przychodziło uspokoić swego wierzchowca, widząc tak bliskie niebezpieczeństwo dla ukochanego wodza, oddał mu konia i wyprowadził tyłami nazewnątrz dworu. Sam piechotą podążył w pola za oddziałem i szczęśliwie dogonił go na drugi dzień.

Piechota moskiewska wpadła tymczasem do dworku w bardzo krytycznej chwili dla adjutanta Chmielińskiego, Juliana Wiśniewskiego, który, słysząc w całym obozie ze znakomitej do snu skłonności, zbudził się poniewczasie.

Wybiegł do sieni, gdzie wpadł odrazu na kilku wchodzących Moskali, którzy, widząc przed sobą powstańca, dali doń ognia z karabinów.

Wiśniewski padł bez przytomności.

Swoim moskiewskim zwyczajem poczęstowali, jak sądzili, trupa kilkoma uderzeniami kolbą, a sprawdzwszy że w dworku nikogo więcej niema, wyszli, zostawiwszy drzwi otworem.

Świeży powiew wiatru, wpadający do sieni całą falą, sprawił, że Wiśniewski bardzo ciężko poraniony, przyszedł do chwilowej przytomności, przyczołgał do pokoju i ukrył pod kanapą w chwili, kiedy dał się słyszeć brzęk ostróg i pałaszy wchodzących oficerów rosyjskich.

Byli to rodowici Moskale, niewątpliwie świadkowie niedawnej okropnej tragedji nieszczęśliwego Pawłowskiego. Jak Wiśniewski potem opowiadał, zdawało mu się, że spostrzegli go, a będąc widocznie ludzkiego serca, zasiedli całą długość kanapy i zakryli go nogami. Widocznie z rozmysłu nie dopuścili pułkownika Bentkowskiego. Przyniesiono wódki, jadła. Pijatyka trwała już do samego rana. Dopiero o brzasku Bentkowski dał rozkaz do dalszej drogi.

Po ich odejściu państwo Gnoińscy z całem zaparciem poświęcili się przywróceniu Wiśniewskiego do przytomności. Obmyli rany z zakrzepłej krwi, sprowadzili natychmiast lekarza. Po długiej pielęgnacji powrócił wreszcie do zdrowia. Po zupełnem wyleczeniu bił się jeszcze z Moskalami w stopniu kapitana piechoty, a po powstaniu zmuszony do odbycia obowiązkowej służby w wojsku austriackiem, dosłużył się szarży oficerskiej i stopniowo doszedł do rangi podpułkownika. Na parę lat przed wojną światową przeszedł na emeryturę w stopniu pułkownika,

a osiadłszy przy zamężnej córce w Kamionce Strumiłowej, umarł tamże w czasie inwazji rosyjskiej.

Wyproszone z Kwiliny przez wojska Bentkowskiego trzy polskie oddziały, zmęczone w najwyższym stopniu, zatrzymały się w szczerem polu o parę kilometrów za wsią. Tam z zebranych żołnierzy sformowaliśmy na powrót fronty kompanijne. Na miejsce zboru Chmieliński wyznaczył leżącą na północno-zachód, a o pół mili stąd odległą wieś Radków, dokąd niebawem zaczęliśmy się kierować, nie niepokojeni narazie, Moskale bowiem pozostali na resztę nocy w Kwilinie.

W Radkowie odpoczywaliśmy spokojnie przez cały dzień. Wygląda to nieprawdopodobnie, ale w całej tej eskapadzie, jak się okazało, nie straciliśmy ani jednego człowieka zabitego. Mieliśmy kilku rannych od kul, lub pokaleczonych przez rozbiegane konie. Z wyjątkiem porucznika Wiśniewskiego, którego zrazu mieliśmy za poległego, znaleźliśmy się w komplecie, co wywołało wśród nas bardzo dobry nastrój. Po noclegu w Radkowie, drugiego dopiero dnia major Bogdan otrzymał rozkaz odmaszerowania ze swemi kompanjami do dotychczasowych naszych kwater, a raczej biwaków w lasach świętokrzyskich.

BITWA POD OCIESEKAMI.

(28. XI.)

Major Bogdan po otrzymaniu od pułkownika Chmielińskiego rozkazu opuszczenia Radkowa i udania się na powrót w lasy świętokrzyskie, ekspedycję swoich czterech kompanij rozpoczął przede wszystkim od naszej kompanji żuawów kapitana Groba. Ów jednakże komendant nie myślał, jak się wyraził, maszerować o głodzie i chłódzie dwanaście zgórą mil drogi do Starej Huty i dlatego poprosił o zaopatrzenie całej kompanji w prowjanty. Opóźniło to opuszczenie Radkowa o całych dwadzieścia cztery godzin. Musieliśmy jeszcze całą dobę przeczekać, zanim pułkownikowi Chmielińskiemu dostarczono prowjantu w takich ilościach, że mógł kolejno wyprawiać kompanje zgromadzone do odbytego boju do miejsc poprzedniego obozowania. Kapitan Grob, zaopatrzywszy nareszcie swoją kompanję w niezbędną na czterodniowy marsz aprowizację, opuścił Radków. Podążyliśmy niejako spacerem na Pończów, Okse, Starą Kanicę ku Rębieszynom.

Szliśmy okolicą prawie bezleśną, która nie przedstawiała takiego w pochodzie bezpieczeństwa jak lasy. Mu-

sieliśmy zatem baczna zwracać uwagę na wszystkie strony, aby nie dać się zaskoczyć. Dochodząc przeto do Rębieszyc, schroniliśmy się do głębokiego parowu, w którym postanowiliśmy dłużej wypocząć. Uradziliśmy ponadto nie wstępować na nocleg do wsi, aby jaki nieprzewidziany moskiewski przyjaciel nie zdradził naszego tam pobytu. Kotlina nazewnątrz zupełnie niewidoczna, należycie oddalona od drogi, stanowiła wcale dobre miejsce na nocleg. Po spożytej wieczerzy naznosiliśmy z pobliskich łąk siana, które rozesłaliśmy na dolnej stoczystości parowu. Poczem otuleni w wojskowe płaszcze, z tornistrami pod głowami ułożyliśmy się jeden obok drugiego dla wyzyskania wzajemnej ciepłoty ciał, w postawie pochylonej do spadku kotliny.

Pogoda nam sprzyjała. Cały firmament zaiskrzył się wkrótce miliardami lśniących gwiazd, które, poosadzone na tle ciemnej nocy, błyszczały światłem czystej wody brylantów, oprawnych w czarno emaljowanym sklepieniu niebios. Blask taki przy upornem się weń wpatrywaniu wywiera na obserwatora istnie magnetyczną siłę. Powieki, stając się coraz cięższe, pomału i mimowolnie opadają, senność i rozmarzenie obezwładniają całkowicie człowieka. Sen na świeżem powietrzu pod odkrytem niebem, przy umiarkowanej dla ciała temperaturze jest zbawczy i wzmacniający siły ludzkie, że żadne chociażby najwybredniejsze wygody mieszkaniowe, wszelkie luksusowe do spania przepychy nie mogą iść w porównaniu z tem prostem łóżem na łonie natury. !

Przez cały przeciąg mojego w powstaniu pobytu nie widziałem nigdy pomiędzy licznymi kolegami kaszlących, zakatarzonych, anemicznych, o suchotniczym wyglądzie. Przeciwnie nawet, jeżeli się zjawił do powstańczych szeregów jaki miastowy „zdechlaček“, lub wy-

delikacony tak zwany „mamim wychuchaniec“, ot — takie sobie Boże mizeractwo, co to, zdaje się, jedną nogą stoi na ziemi, a drugą w niebiesiech — raptem po parotygodniowych zaledwie trudach obozowych, po wilczym ustawicznie apetycie i po kamiennych snach w leśnych siedzibach nabierał stopniowo panieńskich kolorów i wieściórczej zwinności oraz rósł w siłę na wzór podrastającego po puszczech misia.

Pamiętam do dziś dnia, jak po przybyciu z Warszawy do organizującego się w lasach Złotego Potoka oddziału Chmielińskiego, w czasach gdy zaledwie kilkadziesiąt nas stanowiło całą siłę zbrojną tego osławionego z waleczności i męstwa wodza, poczęstowano mnie na kolację kawałek chleba i porcją „czerwonej“ (paprykowanej) słoniny, z dodaniem czarki okowity, wprost z wiaderka zaczerpniętej i rozdawanej pokolei żołnierzom, stojącym w szeregach. O picciu okowity nie miałem najmniejszego pojęcia, a nadewszystko nie wiedziałem nawet, jakim smakiem i odorem ona się odznacza. Podniosłem przeto czarkę do ust i w tejże chwili powonienie moje ogarnął wstrętny i ostry zapach. Nie wiedząc, co z tym fantem począć, już miałem zamiar wyrzeknięcia się tak niemiłego trunku, gdy podający okowitę szeregowiec rzekł:

— Niech się kolega nie certoli z tem picciem. U nas kawy i herbaty nawet na lekarstwo nie znajdzie. Trzeba tylko kałatnać okowitę odrazu.

Wrażenie było pioronujące.

Jakiś skurcz chwycił mnie za gardło. Oczy wylazły nawierzch, jak dwie wielkie cebule, krew uderzyła do mózgu i do twarzy. Poczułem się cały jak objęty płomieniami. Bardzo długo nie mogłem wydać ze zdławionej krtani ani jednego słowa.

Wszyscy obecni parsknęli w głos szczerym śmiechem, a ja, nieporadny, trzymałem się wciąż za usta, nie wiedząc, co z moją nieszczęśliwą gębą począć.

— Niech kolega prędko zagryzie chlebem i słoniną, a zaraz się dobrze zrobi — wołano dookoła.

Porwałem niezwłocznie za te obozowe specjały i, puściwszy w ruch „jadaczkę“, starałem się jak najwięcej chlebowo-świńskiego mlewa przepuścić przez gardło, aby bodaj w części załagodzić to niezdolne w przełyku palenie. Jedząc dłuższą chwilę, uśmierzyłem wprawdzie ogniste skutki tego prawdziwego djabelskiego napoju, lecz mowa moja stała się inna.. Ochrypnięcie było tak silne, że dźwięki mowy, wychodzące z ust, stały się bardziej podobne do pomroku niedźwiedzia, aniżeli do głosu ludzkiego. Nazajutrz rano pomruk mój przeszedł w fazę jeszcze gorszego stanu. Nie mogłem poprostu mówić, raczej szeptałem.

— Niema dla kolegi innej rady — mówił jeden z obozowców, odgrywający rolę przygodnego eskulapa — jak tylko „klin klinem wybijać“. Nie ty pierwszy, a na pewno i nie ostatni podległeś takiemu fatalnemu na wstępie w szeregi wypadkowi. Tak samo też, jak i twoi poprzednicy, powinienes pójść za naszymi doświadczonymi wskazówkami i sam przyspieszyć przywrócenie ci mowy.

— Więc cóż mam robić? — zapytałem, zdecydowany już na wszystko.

— Kałatnąć nową porcję okowity, a po wypiciu natychmiast „przeszorować“ gardło chlebem i słoniną.

— Raz kozie śmierć — wyszeptałem — dawaj okowitę!

Skutek był widoczny, bo po wypiciu nie wzywałem nadarmo ani imienia Bożego i nie chwyciłem się już za gębę. No i mowa moja stała się czystsza. Koledzy mnie

uprzedzili, że jak na południe palnę drugą czarkę, a wieczorem trzecią, to jutro rano będę zdrow jak ryba, a potem sam przyznam, że moskiewska herbata i szwabska kawa nie mogą iść w porównanie z naszą siarczystą okowitą. I rzeczywiście, stosując się do tych rad, następnego dnia wstałem z leśnej pościeli z odzyskaną cudownie mową. A kiedy na śniadanie przełknąłem jeszcze uczciwy haust tego napoju, nie czułem już żadnego wstrętu do odoru okowity, a nawet spluwanie nie miało miejsca.

Przebywając nocami i dniami pod odkrytym niebem i przyzwyczajeni wyłącznie do ustawicznego życia na świeżem powietrzu, spijaliśmy dowolne ilości okowity nieraz i pięć razy dziennie, to jest na pierwsze i drugie śniadanie, przed obiadem, na podwieczorek i przed ułożeniem się do nocnego spoczynku. W najbardziej forsownych marszach i wśród nadzwyczajnej spiekoty słońca, gdy nigdzie nawet jednej kropli wody znaleźć nie można było, gasiliśmy pragnienie ustawicznym tylko przechyleniem manierek, specjalnie w tym celu napełnionych każdemu żołnierzowi. I rzecz wprost niepojęta, że żaden żołnierz, przepuściwszy przez gardło spore ilości „piekielnego trunku“, nie doznawał nigdy zawrotu głowy i oszołomienia, nie odczuwał zdradzieckich skutków pijaństwa. Siła ciągłego przebywania wśród czystego i świeżego powietrza neutralizowała siłę wypitego alkoholu.

Po noclegu w parowie rębieszyckim kapitan Grob nakazał poodnosić wzięte z łąki siano na swoje miejsce, poczem wyruszyliśmy w dalszą drogę na Chojny, Podzamcze i Wolę Murowaną. Tak samo jak i poprzedniego dnia maszerowaliśmy przeważnie przez pagórkowate pola z wyjątkiem dwóch miejscowości, a to przed samymi Chojnami i Podzamczem, przylegającymi do leśnych

drzewostanów. Ponieważ coraz bardziej zbliżaliśmy się ku Kielcom, owej głównej w tych stronach siedziby moskiewskiej, uważaliśmy za stosowne przycupnąć na sposób zajęczy w jednym z licznych wertepów przed Wołą Murowaną, a dopiero ze zmierzchem nocy posunąć się do pobliskiego lasu, położonego na naszej marszrucie między Kowalą, Bilczą a Dyminami. Las ten, posiadający najwyżej 5 kilometrów kwadratowych obszaru, wystarczał zupełnie do ukrycia nas przed wzrokiem Moskali. W głębi tedy owego niewielkiego lasu przespawszy się może do północy, zostaliśmy zbudzeni przez komendanta, aby przy pomocy przewodnika przejść ciemną nocą z największymi ostrożnościami odkrytą przestrzeń przez Suków do lasów niestachowickich, w których już osiągnęliśmy bezpieczniejszy dla siebie teren. Przemaszerowana część drogi, poczynszy od Woli Murowanej, stanowiła przestrzeń najbardziej ryzykowną, bo oddaloną od Kielc najwyżej o jedną milę. W każdej chwili mogliśmy zostać dostrzeżeni przez wałęsające się kozactwo, co groziło nam zgubą.

W praktyce odbywanego marszu okazało się, że kapitan Grob dobrze uczynił, żądając w Radkowie czterodniowych racyj żywnościowych, już bowiem w lesie niestachowickim spostrzegliśmy, że gonimy ostatkami chleba i słoniny, a tu jak na złość mieliśmy jeszcze dość daleką przed sobą drogę, aby przez Brzechów, Skorzeszyce, Napęków i Koszary, dostać się do Starej Huty. Po długim wypoczynku i wyspaniu się w niestachowickich zaroślach, oraz po zjedzeniu resztek naszych zapasów, rażno pośpieszyliśmy naprzód. Dobrze już zmęczeni dotarliśmy nareszcie do Skorzeszyc, gdzie kapitan Grob natychmiast zarekwirował dla nas żywność. Zanim jednakże zażądany rekwirunek skutecznie, upłynęło

dosyć czasu, który swoim zwyczajem poświęciliśmy na drzemkę. Kiedy nas wreszcie zbudzono do przywiezionego na furze jadła, nie mogliśmy się dosyć nadziwić krótkości drzemania, chociaż, jak się okazało, przespałiśmy pół dnia.

Skorzeszyce tak hojnie zaspokoiliły nasze potrzeby, że oprócz doraźnie spożytych prowiantów, pozostałość stanowiła jeszcze godziwy zapas, w zupełności wystarczający na resztę marszu do Starej Huty. Radość też niezmierna zapanowała pomiędzy nami, gdyśmy znakomicie wypoczęci i odżywieni, po całodziennym pochodzie z licznymi po polach i lasach popasami, późnym już wieczorem wstąpili na dobrze sobie znaną leśną ścieżynkę, prowadzącą do wybudowanych przez nas szałasów. Pomimo zapadającej nocy, kapitan Grob na wstępie do lasu oświadczył, ażebyśmy niezwłocznie zajęli miejsca w naszych prowizorycznych barakach i nie oczekiwali jego przyścia, gdyż musi się udać do sołtysa celem zamówienia żywności na następny dzień i zawiadomienia, kogo należy, o naszym przybyciu na dawne miejsce.

Wiedząc, że „moi“ gospodarze, jako ludzie pracy, kładli się spać wkrótce po zachodzie słońca, aby równo ze świtem dnia wstawać do niecierpiących zwłoki codziennych zajęć, uważałem za stosowne zaniechać zamiaru niepokojenia ich domu w spóźnionej porze, zwłaszcza że byłem zupełnie wyczerpany.

Na drugi dzień, po opuszczeniu ciepłutkiego legowiska, przywitaliśmy z uciechą swój słodko szemrzący strumyk, odmówiliśmy jak zawsze poranną modlitwę. W trakcie śniadania nadszedł sołtys z kilkoma wieśniakami, obciążonymi kotłem z trójnogiem, konewkami, siekierą do rąbania drzewa, oraz workami naładowanymi krupami i świeżo upieczonym chlebem; za nimi zaś

wiejski chłopak przypędził kilka baranów. Sołtys, zao-
patrzywszy nas w żywność i we wszystko, co było po-
trzebne do gotowania, oznajmił, że w nocy zawiadomił
majorów Bogdana i Rozenbacha o naszym do Starej
Huty powrocie, skutkiem czego należy się spodziewać
rychłej przysyłki okowity, słoniny i tytoniu.

Tryb poprzedniego tutaj biwakowania powracał za-
tem ponownie. Co dalej z nami się stanie, pozostawało
w rękach Opatrzności i dlatego, na nic nie sarkając, nie
zagłębialiśmy się w niezbadaną przyszłość. Zresztą krew-
kość, właściwa naszemu wiekowi, i skłonność do młodo-
cianych figielków przyćmiewały wszelkie poważniejsze
myśli i refleksje. Z całą przeto swobodą i juńackim
entuzjazmem wiedliśmy swój żywot żołnierski.

Po odejściu sołtysa kapitan Grob urządził musztrę,
która wpłynęła na nasze apetyty nader podniecająco.
W trakcie ćwiczeń przykatulono do obozu beczułkę oko-
wity, podwieszoną furą pod sam las, oraz przyniesiono
dwa wory słoniny, a nawet *quantum satis* tytoniu...

Radość wymęczonych musztrą żołnierzy doszła do
zenitu, gdy kucharz oznajmił, że ma rozkaz wydać pół-
tora raza większe porcje, niż zwykle, to znaczy po peł-
nej menażce krupniku i mięsa na „bagnet“, a chleba do
obiadu po całym bochenku na czterech żołnierzy. Żoł-
nierze więc pobiegli czym prędzej po bagnety i kolejno
każdemu z nich kucharz nadziewał na tak oryginalny wi-
delec po najmniej funtowej porcji baraniego mięsiwa.

Nim wszakże kucharz zaczął rozdawać porcje, sto-
jący na boku kapitan Grob rozkazał odszpuntować be-
czułkę i uraczyć każdego szeregowca czarką okowity,
a jak nazywaliśmy ten napój „spiritualizmu“.

Ostatecznie gdy kolejno wszyscy już zostali obdzie-
leni i każdy z nas nosił na karabinowym widelcu swoją

rację ugotowanego mięsa i ćwierć bochenka chleba, pozasiadaliśmy na amfiteatralnie ułożonych kłódach i spożywaliśmy krupnik z chlebem, oraz objadaliśmy bagnety z gorącej baraniny.

Zjadłszy tak obfity obiad, każdy żołnierz stawał się mniej więcej podobny do olbrzymiego węża zwanego *boa-constrictor*, który po przełknięciu uduszonego przez swoje sploty cielęcia, stawał się na długo nieruchomy. Odrętwienie żuawów domagało się z konieczności bodaj parogodzinnego wypoczynku. To też natychmiast po obiedzie wszystkie cztery szalasy zaroily się szeregowcami, którzy, układając się na brzuchach, zapalali przeważnie króciutkie fajeczki i gawędzili o najróżnorodniejszych rzeczach.

Nie poszedłem za przykładem kolegów — żuawów i pośpieszyłem do Starej Huty, chciałem bowiem zobaczyć, co się dzieje z moimi gospodarzami i ich córką.

Jadzia zmieniła się do niepoznania. Zbladła na drobnej twarzyczce, stała się bardziej powiewna. W pięknych niebieskich oczkach przebijała melancholijna powaga, połączona z niewysłowionym wdziękiem i anielskością. Dawna figlarność i wesołość ustąpiły miejsca rozwadze i zastanowieniu, nie licującym z jej prawie dziecinnym wiekiem. Pozostała tylko nadzwyczajna serdeczność i szczerść, obok niezwyklego do mnie przywiązania.

— Myślałam, że już nigdy do nas nie wrócisz — zawołała, wstając od stołu i podbiegając ku mnie, gdy ukazał się we drzwiach.

— Jadziu, moja najukochańsza Jadziu! — witałem ją, tuląc do siebie.

W tych paru słowach zawierała się cała nasza radość. Opowiadaniom nie było końca. Jadzia ze łzami w oczach mówiła o swoim niepokoju i tęsknocie. Szuka-

jąc pociechy w rozłące, poszła nawet do Nowej Słupi do naszego „dziadzia“ proboszcza, który rzeczywiście dodał jej otuchy i uspokoił w rozterce. Szczególnie podniósł ją na duchu pięknym przykładem Zofji i Samuela Chrzanowskich z czasów Jana III. Poradził przytem, aby czas rozłąki wyzyskała na pilniejszą naukę, żebym miał po powrocie tem miłą niespodziankę. To też gdym wszedł, cały stół i ława były zarzucone książkami, które Jadzia przywiozła od „dziadzia“. Pocziwy proboszcz stał się niemal codziennym gościem, by Jadzi udzielać lekcyj. Spodziewano się go i dziś lada chwila. I rzeczywiście nie minęło pół godziny, gdy przed chałupę zajechała bryka i za chwilę ukazał się we drzwiach. Rozesmieliśmy się radośnie ku niemu. Matka ucałowała księdzu proboszczowi jedną rękę, a Jadzia drugą, gdy ja tymczasem rozpiniałem płaszcz pod szyją.

Zaczął się od reprimendy, że nie powiedziałem nikomu ani słówka i poleciałem pod Okse mordować Moskali. Nastąpiły długie rozmowy i opowiadania. Ja musiałem zdać dokładny raport ze swoich „bohaterskich“ czynów, a Jadzia zdać sprawozdanie ze swych postępów w nauce. Okazało się ku mej niezwykłej radości, że uczyniła ogromne postępy. Czas schodził szybko i aniśmy się obejrzel, jak przyszła pora na kolację. Późnym już wieczorem ksiądz proboszcz wyruszył do Nowej Słupi, a wkrótce i ja podążyłem do obozowiska.

Trzeba przyznać naszemu komendantowi, że jak był znakomitym żołnierzem, tak jeszcze lepszym kapitanem. Przyjęte przez siebie obowiązki gospodarza i dowódcy kompanji pojmował tak, że mógł służyć za prawdziwy i najlepszy do naśladowania wzór wszystkim w powstaniu kapitanom. Od samego rana do południa męczył i siebie i cały swój oddziałek musztrą. Miewał

przytem dość często pogadanki taktyczne. Dążeniem jego było, aby każdy szeregowiec stał na takim poziomie wyćwiczenia, aby nabrał takiej praktycznej wprawy, żeby w czasie bitwy i w razach wybicia oficerów potrafił sam sobą komenderować, umiał samoistnie rozpraszać się na wskazane taktyką części i napowrót momentalnie zgromadzać w odpowiednie szyki. Dlatego też wszystkie nasze obroty wojskowe były przez niego najdokładniej objaśnione, z czego korzyści były wprost imponujące.

Każdy żuaw wiedział i rozumiał aż nadto dobrze, dlaczego zmieniamy front kompanijny na plutonowy, pół-plutonowy i sekcyjny; dlaczego maszerujemy czwórkami, dwójkami lub pojedynczo (gęsiego); czemu rozsypujemy się w tyraljery i na jakie dystanse, lub formujemy *carrè* (czworoboczne szyki bojowe); w jakich wypadkach mamy strzelać w pełnej postawie, pół-postawie lub leżąc; jak się mamy chronić przed silnym ogniem nieprzyjacielskim i jak należy działać, aby wrogów razić dobrze swojemi strzałami, a samym najmniej być narażonymi na ich palbę. Jednem słowem nauka kapitana Groba była formalną szkołą wojskową. Na pewno w całym powstańczym 1863 roku nie wiele było kompanij tak znakomicie obrotnych i wymustrowanych.

Raz tylko jeden skutek zbyt wielkiej wojskowej gorliwości zdarzyło się naszemu komendantowi popełnić gruby błąd, będący powodem takiej irytacji, że prawie cały tydzień chodził jak struty i dla nikogo nieprzystępny. Wyszliśmy jak zwykle rano na plac musztry wśród najpiękniejszej, jak się zdawało, pogody. Tymczasem ni stąd ni zowąd zachmurzyło się silnie i deszcz, z początku mały, zamienił się w długotrwałą ulewę, zlewając strumieniami wody ćwiczących się żołnierzy. Kapitan Grob, nie zważając na tę żywiołową

przeszkodę, komenderował dalej kompanją bez najmniejszej przerwy, jakby wśród najpiękniejszej pogody. Sam zmoczony tak, że suchej nitki na nim nie było, nie zaprzestał ani na chwilę komend, dopóki nie wytrwał na stanowisku do oznaczonej ściśle przez siebie pory południowej. Można sobie wyobrazić, jak każdy z nas wówczas wyglądał. Wyglądaliśmy wówczas zupełnie tak samo, jak tłusciutkie koty, zanurzone ze łbami w beczkach wody.

— A to sprawiłem wam wspaniałą kąpiel — powiedział z uśmiechem kapitan. — Powinniście być mi wdzięczni, że w was znakomicie wymył i dobrze po wymyciu wypłókał z wszelkiego brudu i niechlujstwa. Teraz dopiero w czerstwem zdrowiu będziecie rosnać, jak na drożdżach.

To prawda, że wymyć byliśmy doskonale, lecz po wejściu do szałasów, zmuszeni byliśmy natychmiast się rozebrać, zmienić przemoczoną bieliznę na suchą, włożyć na siebie płaszcze i na bosaka leżeć półtora dnia i dwie noce na suchym mchu, nie mogąc się ruszyć z miejsca, z powodu całkowicie przemoczonego obuwia, wymagającego dłuższego czasu do zupełnego wyschnięcia.

Skutki tego prysznicu dotknęły również i kapitana. Buty jego znalazły się w tem samym położeniu, co i nasze, dzięki czemu mieliśmy z musztrą aż do trzeciego dnia zupełny spokój.

Pocieszne było, gdy następnego dnia po ulewie, kapitan Grob, chcąc ubrać się w obuwie, żadną miarą tego dokonać nie mógł, bo skóra na butach była skórczona do najwyższego stopnia. Zmuszony dać za wygranę, wybiegł boso na plac, krzycząc z całych sił:

— Chłopcy!... powynościście swoje buty na słońce, aby prędzej wyschły. Skaranie Boże z tym wczorajszym

deszczem. Oby tylko Moskale nie nadciągnęli, albo majorowie nie zechcieli na wizytację przyjechać... A tom sobie balu narobił!

Od tego czasu, gdy w chwilach wykonywanych ćwiczeń troszeczkę się zachmurzyło, albo gdy tylko parę kropli deszczu spadło na ziemię, kapitan z pośpiechem wsuwał obnażoną szablę do pochwy, krzycząc:

— Chłopczy! marsz do szałasów!

Dalsze dnie upływały jednostajnie. Kapitan Grob mógł dopiero trzeciego dnia po ulewie opuścić swoje legowisko i zabrać się z żuawami do dalszej roboty. Zły też był niepomierne jak nigdy i chodził cały dzień gniewny. Chcąc wynagrodzić stracony czas, męczył żołnierzy i popołudniu ćwiczeniami wojskowymi, tak że zaledwie z trudem zdołałem wyprosić wolny czas przed wieczorem na spacer do wsi.

Po tygodniu może takiego monotonnego życia zdarzyło się, że mentorując przy Jadzi, zostałem nagle wezwany przez umyślnie przysłanego żołnierza do kapita Groba. Po powrocie do obozu okazało się, że przybyła do nas kompanja piechoty z oddziału Chmielińskiego, pod wodzą kapitana Tylmana, mojego kolegi z dawniejszych czasów, gdyśmy jeszcze jako szeregowcy służyli razem w kompanji kapitana Skąpskiego.

Kapitan Tylman, spłoszony ze swojej dotychczasowej siedziby przez grubo większy oddział Moskali, szukał u nas chwilowego schronienia. A tymczasem chciał koniecznie uwiadomić pułkownika Chmielińskiego o przymusowej zmianie swego stanowiska i prosić o wskazówkę, gdzie ma nadal przebywać ze swoją kompanją. Chodziło o to, kto ma tę misję odbyć, gdyż sam nie mógł opuszczać kompanji, a jedyny jego oficer cierpiał na szalony ból zębów. Wybór padł na mnie. Udałem się

przeto piechotą do Nowej Huty, a przebrawszy się w cywilną odzież u tamtejszego właściciela czy dzierżawcy, wsiałem na bryczkę i skierowałem jazdę na Nową Słupię, w pobliżu której, w Jeleniewie, miał przebywać ze swoją konnicą pułkownik Chmieliński, już wtedy połączony z generałem Bosakiem.

Pogoda była fatalna. Drobny deszcz jesienny padał bez przerwy. Długo jechałem drogą leśną, wyciętą w wysokim odwiecznym drzewostanie, zmoknięty do nitki. Przejmujący chłód tak dawał się we znaki, że nawet chłop powożący, litując się nad końmi, ponakrywał je płóciennymi weretami. Nagle z naprzeciwka dał się słyszeć turkot kół i po chwili zobaczyliśmy bryczkę, wprost na nas jadącą. Gdyśmy się zrównali i wymijali wyskoczył z bryczki młody, bardzo przystojny blondyn, z brzoskwiniowym jeszcze puszkim na twarzy, i z całym uniesieniem radości, na jaką go stać było, przybiegł do mnie, wołając:

— Kaziu mój kochany!... Jak się masz!... Co ty tutaj porabiasz i skąd się wziąłeś?

Był to mój najszczęśliwszy kolega obozowy i przyjaciel Bolesław Łacki, drugi adjutant pułkownika Chmielińskiego, były junkier dragonów rosyjskich, który służąc ze swoim bratem we wrogich szeregach, w czasie jakiejś bitwy z powstańcami przeszedł na naszą stronę. Przeszedł sam, gdyż brat jego przeniósł awanse i order, spodziewane w służbie moskiewskiej, nad obowiązek poświęcenia siebie dla Ojczyzny.

Wzajemnej uciechy i objawom prawdziwej serdeczności końca nie było. Po pierwszych wybuchach przywitania, opowiedziałem Bolciowi o swoich przeżyciach od czasu ostatniego z nim widzenia, dodając, że jadę do naszego sztabu z rozkazu kapitana Groba z wojskową

sprawą z kompanji kapitana Tylmana. Łącki, wysłany przez Chmielińskiego również z jakimś rozkazem, odpłacił wzamian wynurzeniem o swoich przygodach i trudach, kończąc następującemi słowami:

— A czy wiesz, że nade mną zawisło jakieś nieszczęście?

— Nieszczęście?... A to jakie? mów! — zapytałem.

Opowiedział, że śniła mu się matka tak niezwykle, że z wrażenia dotąd otrząsnąć się nie może. Leżała w trumnie odkrytej, obstawiona dookoła jarzącemi świecami. Rzucił się do niej z krzykiem rozpacz i żalu... Ból ścisnął mu serce tak silnie, że wybuchnął głośnym spazmatycznym płaczem. Wtedy matka, podniósłszy się w trumnie, usiadła, dając znak, aby się do niej zbliżył. Jeden skok i znalazł się w jej lodowatych objęciach, zlewając łzami w gorących pocałunkach jej zmartwiałą twarz.

— I czegoż ty płaczesz... synu mój najdroższy? — spytała matka — ty przecież powinienes wiedzieć, że z duszą i z ciałem wyłącznie do mnie masz należeć, że odtąd nigdy ciebie nie opuszczę i że już nigdy się z sobą nie rozłączymy, bo taką jest wola Boża!

Z temi słowy upadła napowrót w trumnie nawznak a Bolek, przerażony jej powtórna śmiercią, wydał z siebie tak silny okrzyk rozpacz, że obudziwszy się, jeszcze na jawie cały był łzami oblany. Od tego czasu niema jednej godziny wolnej od nawału myśli, nieokreślonej trwogi i smutnych przeczuć.

Poradziłem mu, aby użył całego wysiłku woli i zapanował nad sobą i żeby postarał się innemi myślami wybić z głowy ten przykry sen, który przecież niczem więcej nie jest, jak tylko zwykłą senną fantasmagorją. Przypomniałem mu również chwilę zaraz po bitwie pod

Mełchowem, kiedy w czasie naszego marszu do Lelowa byliśmy bezustannie niepokojeni przez oddziały kozackie. Wówczas maszerując pod samym lasem, gdyśmy minęli pagórkowate wzniesienie terenu, on sam jeden na koniu, jako adjutant Chmielińskiego, nabrał szczególnej chętki zbadania, czy jeszcze kozacy postępują za nami. Pocwałował więc wówczas przez rozległe pola na wzgórze, a kiedy już dobiegał do samego grzbietu, z przeciwnej strony ukazało się wprost niego nie dalej jak na pięćdziesiąt kroków kilkunastu kozaków. Szybkim zwrotem obrócił konia i rozpoczął ucieczkę przed niechybną śmiercią. Bódl konia ostrogami, a koń o mało ze skóry nie wyskoczył i biegł jak wichra przez pola, nieomal brzuchem ziemi dosięgając. On zaś, ubrany w amarantową koszulkę, z dobytym pałaszem w jednej, a z rewolwerem w drugiej ręce, jaśniał w promieniach zachodzącego słońca, jak ognisty Archanioł na świętych obrazach. Wspaniały to był i cudowny widok, godny pędzla najznakomitszego artysty. Zaparliśmy wszyscy dech w sobie, patrząc, czy lada chwila trup jego nie runie na ziemię. Kozacy raz po raz palili ze swoich janczarek, lecz widząc, że w pędzie chybiają, zaniechali ognia i oddali się całkowicie gonitwie. Już zaledwie o kilka tylko kroków byli oddaleni. Jeszcze parę minut, a byłby kozackimi szaszkami na sztuki posiekany. Dopiero w tej tak bardzo krytycznej chwili, dwa czy trzy plutony naszej piechoty zatrzymały się w marszu i choć dzieliła ich duża odległość dały ognia do kozaków. Paru z nich spadło z koni, reszta rejterowała. Wkrótce Bolek wpadł między nasze szeregi rozpromieniony, szczęśliwy z ocalenia, wesoły nad wyraz, dowcipkujący, z wyśmienitym humorem. Dzisiaj — sen, wprawdzie niezwykły, — ale tylko sen wyprowadza go z równowagi. Tłumaczył mi, że bynaj-

mniej nie boi się niczego, tylko walczy z opanowywującym coraz bardziej całe jego jestestwo przeczuciem, ukazującym mu w perspektywie bliską śmierć. Nie uspokoił się, chociaż narazie poweselał. Żał mi go było bardzo. Był młody, a ponadto miał narzeczoną, którą kochał nad życie.

Czas nam było każdemu w swoją drogę. Na pożegnanie Łacki rzucił się w moje ramiona i długą chwilę wraz ze mną płakał. Wreszcie wskoczył na bryczkę i odjechał celem wypełnienia poruczonej mu misji.

Przeczucia biednego Bolka niestety się spełniły. Wkrótce potem ujęty do niewoli, został w Kielcach osadzony pod przybranym nazwiskiem i skazany na osiedlenie w Syberji. Jak mi koledzy później w drodze na Sybir opowiadali, nieszczęśliwiec ucieszył się bardzo, że zdolawszy przed Moskalami utaić właściwe nazwisko, uratował od śmierci życie, należące, jak mówił, do jego narzeczonej. Lecz cóż z tego? Gdy przyłączono go do partji polskich skazańców i wyprawiono przez Radom na Sybir, poznał go jeden z dragonów rosyjskich tego pułku, w którym służył, i natychmiast doniósł o tem władzy wojskowej, która poddała go pod ponowny sąd wojenny. Kilku powołanych na świadków dragonów zeznało pod przysięgą, że razem z nimi służył. Osądzono Łackiego za dezercję z wojska i czynny udział w powstaniu na karę śmierci. Wydobyta od Moskali przez p. Włoszyckiego w roku 1884 lista politycznych przestępców, straconych w powstaniu 1863/4 r., między kilkoma setkami nazwisk zawiera i nazwisko Bolesława Łackiego, rozstrzelanego w warszawskiej „Aleksandrowskiej“ cytadeli dnia 29 sierpnia 1864 r.

Pod smutnemi wrażeniami rozmowy z Łackim, przyniębiony niesłyszaniem w młodzięcym wieku zna-

czeniu słowa „przecucie“, zbliżałem się do miasteczka Słupi jak struty. Muszę przyznać, że owo złe przecucie udzieliło mi się z niezwykle sugestywną siłą i obawa utraty serdecznego przyjaciela nie dawała mi spokoju. We dworze owego miasteczka dowiedziałem się, że generał Bosak z pułkownikiem Chmielińskim na czele konnicy znajduje się istotnie w pobliskim Jeleniewie, majątności pani Libiszewskiej, wdowy po pułkowniku wojsk polskich z 1831 r.

Właściciel, czy dzierżawca Słupi nie mógł mi zaraz swych koni udzielić, z powodu rozesłania ich w inne strony w celach narodowych, zaprosił mnie tedy z konieczności na trochę dłuższą gościnę w czasie której musiałem towarzyszyć rodzinie gospodarza w prawdziwie wiejskim przyjęciu. Po nasyceniu się, wziął mnie pan gospodarz z sobą do osobnego bardzo skromnego pokoiku, szumnie nazwanego „fajczarnią“. Ozdobą tego przybytku był większych rozmiarów sztych, przedstawiający Napoleona I w bitwie pod Waterloo, umieszczony pod szkłem w czarnych ramach, oraz kilka portretów na płótnach jednolitego rozmiaru z wizerunkami Sobieskiego, Batorego, Kościuszki, Księcia Józefa, Żółkiewskiego i Czarnieckiego. W czterech narożnikach pokoiku stało po jednej fajce z długimi cybuchami. Pod oknem widniał mały stoliczek, a na nim wielkich rozmiarów porcelanowa czara, napełniona tytoniem. Cztery krzeselka i jakaś podstarzała kanapka stanowiły umeblowanie fajczarni. Gospodarz, w wieku około sześćdziesięciu lat, opowiadał z werwą żołnierską o swoich przygodach podczas walk z Moskalami w 1831 r., i cieszył się, że mógł i nasze powstanie wzmocnić swoimi dwoma synami.

W trakcie rozmowy nałożył dwie fajki tytoniem, poczem zapalił świecę, stojącą w lichtarzu na oknie,

i wskazał, ażebym jednym z leżących obok tytoniu skrawków papieru zapalił fajkę. Ponieważ nigdy w życiu fajki nie paliłem, delektując się jedynie papierosami, wzbraniałem się ujęcia za cybuch. Gospodarz wypalił ostrą filipikę na temat pierwszeństwa fajki nad obwijanym w papier tytoniem i szkodliwością ałunu, mającego się w bibułach zawierać, i niejako przymusił mnie do bodaj pokosztowania jednej fajeczki, ręcąc, że odtąd sam odrzucę wszelkie sposoby innego rodzaju palenia. Spróbowałem... i, kurząc z pół godziny wielkich rozmiarów fajczysko, przekonałem się, że nie tylko nic mi się złego nie stało, lecz że nawet dużą miałem z tego przyjemność. A że odtąd datuje się moje stopniowo wyrobione zamiłowanie do używania fajki, dlatego chwila ta utkwiała mi szczególnie w pamięci, a dla starego wiarusa, który otworzył mi oczy na zalety fajki, zachowałem wdzięczne wspomnienia.

Po nauczce palenia fajki i przyjemnej konwersacji, zajęchała bryczka. Pożegnałem się więc serdecznie z uprzejmą a miłą rodziną gospodarza domu i pojechałem przez Wólkę do Jeleniewa, dokąd przybyłem późnym już wieczorem. Wylegitymowałem się, jak mogłem i umiałem, przed jedną i drugą pikietą konną i, puszczony przez ułanów, zajęchałem przed dużym jednopiętrowym dwórem, oświetlonym jasno od góry do dołu. Salony, tonące w powodzi świateł, przepełnione były wyborową młodzieżą, tak z szeregów ułańskich, jak i z różnych rang oficerów, zabawiających się przy podawanej herbatce wesołą rozmową, a nawet płasami w takt skocznych tańców, granych na fortepianie przez jedną z trzech panien Libiszewskich.

Gdy wszedłem w zmoczonej bundzie i wcale nie wykwinem ubraniu cywilnem, ogólnie spoglą-

dano na mnie jak na bazyliuszka. Zapytano, jak się nazywam, skąd i w jakim celu tu przybyłem. Po wyjaśnieniu misji, z którą przyjechałem, przystąpił do mnie około trzydzieści lat liczący mężczyzna w wojskowym uniformie, przedstawił się jako adjutant generała Bosaka, wymienił swoje nazwisko i wdał się ze mną w szczegółową rozmowę. Następnie przywołał służącego, kazał wziąć moją bundę do wysuszenia, po czym przedstawił mnie pani Libiszewskiej, siedzącej na kanapie w drugim pokoju, w otoczeniu trzech córek i kilku oficerów. Rozmowa toczyła się o okrucieństwach Moskali nad wziętymi do niewoli powstańcami, o dobijaniu rannych Polaków, konfiskatach majątków ziemskich na Litwie i kontrybucjach, nakładanych w Królestwie na właścicieli ziemskich.

Pani Libiszewska, matrona starej daty, szlachcianka w każdym calu lubowała się w herbach, tytułach i dostojenstwach, co od razu poznać można było po treści jej rozmowy. Polską heraldykę znała na palcach i z widoczną lubością popisywała się znajomością różnych herbarzy. Kto nie należał do rodów uprzywilejowanych i nie posiadał (jak to niejedni drwiąco określają) czarnego podniebienia, ten nie zasługiwał u pani Libiszewskiej na towarzyskie względy i w nadzwyczajnych, koniecznych tylko okolicznościach był przez nią przyjmowany, ale chłodno, oziębło, nieomal lekceważąco.

Dowiedziawszy się o moim nazwisku, zapytała:

— Zienkiewiczze, vel Zienkowicze z pochodzenia należą do szlachty litewskiej i dzielą się na dwa herbowe odłamy: Leliwów i Siekierzów. Czy mogę zapytać, z których stron Litwy przybył pan do naszej nieszczęśliwej Kongresówki, aby zaszczytnie walczyć z Moskalami?

Odpowiedziałem, że moi rodzice są istotnie pocho-

dzenia litewskiego, a mianowicie z Wilna, ja zaś sam urodziłem się i wychowałem w Warszawie.

— A klejnotem waszym szlacheckim jest jakie godło? — zapytała pani Libiszewska.

Sponsowałem cały z irytacji, bo jako szczerzy demokrata nietylko że nie uznawałem przywilejów stanowych, ale nawet z próżnością tego typu, gdzie mogłem, walczyłem, wyjaśniłem jednakże, iż przodkowie moi pieczętowali się herbem Leliwa i że ojciec mój, Feliks syn Jakóba legitymował się nawet w 1843 r. w heroldji wileńskiej. Po osiedleniu się wszakże w Warszawie podarł swój dyplom szlachecki na drobne kawałki, żałując niepotrzebnych kłopotów i zachodów, połączonych z wyrobieniem bezużytecznego tylko, jak się wyraził, skórzanego pergaminu.

Pani Libiszewska uczuła się dotkniętą mojem lekceważeniem dla tradycji herbowych. Na szczęście dalszą rozmowę przerwało *vis major*. Oto nagle drzwi od przyległego pokoju zostały odchylone i dał się słyszeć głos dobitnie ostry:

— Prosić kurjera, przysłanego od kapitana Tylmana!

Zerwałem się natychmiast na równe nogi i, przeprosiwszy panią Libiszewską, w sekundzie byłem za uchylonymi drzwiami. Znalazłem się w pokoju wielkim, z dużym na środku stołem, całkowicie pokrytym mapami, a obok stołu stali generał Bosak i pułkownik Chmieleński.

Jednym rzutem oka objąłem przedewszystkiem wspaniałą, wyniosłą i niesłychanie sympatyczną postać generała Bosaka, wyglądającego podówczas na najwyżej 30 lat wieku. Niezwykle eleganckie jego obejście znamięnowało bardzo staranne i wykвітne wychowanie. Wzrost wysoki, połączony z imponującą powagą i bar-

dzo łagodnem, a za pięknem jak na mężczyznę obliczem, uwydatniały przytem niepospolitą energję i siłę woli. Był to prawdziwy typ wodza, nawykłego do rozkazów i bezwzględego dla siebie posłuszeństwa. Jako spóźniony na widowni bojów 1863/4 r. główny naczelnik powstania na tym terenie nie mógł powstrzymać upadającego już zbrojnego ruchu, ale wytrwał na stanowisku polskiego bojownika do ostatniego w szrankach żołnierza, do chwili, gdy carat stokrotną przemocą stłumił doszczętnie powstanie. Wszystko to groziło ostatniemu generałowi insurekcji polskiej utratą życia. Specjalnie nawet za wzięcie Bosaka żywcem do niewoli,znaczona była bardzo wysoka nagroda.

Generał Bosak po ostatniej walnej bitwie pod Opatowem 21 lutego 1864 r., odbytej bez jego wiadomości, która zdecydowała stanowczo o ukończeniu powstania i absolutnej niemożliwości prowadzenia dalszych walk z Moskalami, egzystował jeszcze na widowni województwa krakowskiego i sandomierskiego najmniej dwa miesiące, pomimo zupełnie zamierającego zbrojnego ruchu, ograniczonego już tylko do mikroskopijnych oddziałów, chroniących się jedynie dla ocalenia życia po nieprzebytych kniejach, niedostępnych wertepach i dzikich urwiskach.

Generał Bosak zostawił dla wszystkich polskich pokoleń jeden z najcenniejszych przykładów nieustannego trwania na stanowisku, bicia wrogów do ostatniego tchu, nie zastygania w zapale, a nadewszystko nie popadania w hańbiące tchórzostwo, sobkowskie upodlenie, osobisty egoizm i manję wielkości.

Pamięć o generale Bosaku trwać musi wiecznie, gdyż życie nieskazitelne, otoczone nimbem powszechnej czci i szacunku za okazaną w czynach wytrwałą do osta-

teczności odwagę, męstwo i prawdziwą rycerskość, jedynie w egzystencji żołnierskiej prowadzą do rzeczywistej nieśmiertelności.

Mając przed oczyma dwóch z najślawniejszych wodzów powstania polskiego, stanąłem natychmiast w żołnierskiej postawie.

Chmieliński, będąc w wybornym humorze, uśmiechnął się, a podając mi rękę, zwrócił się do generała Bosaka, mówiąc:

— Porucznik Zienkiewicz — stary żołnierz, od początków organizowania mojej piechoty.

— Podporucznik... — poprawiłem pomyłkę pułkownika.

Chmieliński roześmiał się głośno.

— Tak... teraz przypominam sobie... Awansowałem w czasie bitwy melchowskiej trzech moich podoficerów na podporuczników... A wiesz, poruczniku, jak oni się nazywają?

Uderzony mile powtórna tytułacją „porucznikiem“, zrozumiałem, o co chodzi, lecz nie dając nic po sobie poznać, powiedziałem:

— Henryk Huppert i Jan Postawka.

— A twoje imię?

— Kazimierz.

I wtedy dopiero, ponownie salutując, wykrztusiłem słowa podziękowania.

— A ty za co dziękujesz? — filuternie patrząc, zapytał pułkownik?

— Za najmniej spodziewany awans...

— Który wam się sprawiedliwie należy — dodał Chmieliński, poczem wspomniał, że gdy rozstrzelany Iskra i jego konnica zawiodły oczekiwania, to piechota, pozostała po nim, złożyła aż nadto dostateczny egzamin

z męstwa, sprawności i karności wojskowej tak w bitwie mełchowskiej, jak również pod Oksą i Kwiliną. — A teraz opowiadaj — ciągnął dalej pułkownik, — gdzie jest obecnie kapitan Tylman?

Zaraportowałem, że, z powodu odkrycia jego stanowiska przez Moskali, przymaszerował właśnie do Starej Huty, o czym przeze mnie zawiadamia. Jednocześnie prosi o wskazówkę, czy ma w Starej Hucie pozostać razem z kompanją kapitana Groba, czy też otrzyma inną miejscowość do biwakowania.

Na to Chmieliński oświadczył, iż kapitan Tylman razem z nami pozostać nie może, gdyż komplikowałoby to sprawę wyżywienia wojska, ponadto niemożliwe byłoby ze względu na bezpieczeństwo.

To powiedziawszy, zaczął chodzić po pokoju, pograżony w myślach. Poczem pochylił się nad stołem, studując leżącą mapę, a wzięwszy arkusz papieru i szybko kreśląc na nim ołówkiem szkic topograficzny, umieścił na nim nazwy kilku miejscowości. Podając mi go, wyjaśnił, że gwiazdka, uwidoczniiona na szkicu, ma być miejscem postoju kompanji kapitana Tylmana. Kazał więc mi jechać zaraz w powrotną drogę. Zanim jednak przybędzie przeznaczona dla mnie furmanka, pozwolił mi rozgościć się w pokojach pani pułkownikowej.

To powiedziawszy, podał mi rękę, co również uczynił i generał Bosak, poczem wróciłem do pokoi gościnnych.

Pani Libiszewska przestała już konwersować na temata heraldyczne, natomiast przedstawiła mnie swoim trzem córkom. Szczególnie miłą wydawała mi się średnia Marynia, która nawet zaszczyciła mnie dużem zaufaniem. Mianowicie zwierzyła mi się, że zakochała się w podporuczniku kawalerji Chmielińskiego Rydygierze,

przystojnym młodzieńcu, który również bardzo się nią zainteresował. Okazuje się, iż przed powstaniem był on subjektem w jakimś sklepie w Kielcach, gdzie widywała go pani pułkownikowa, udając się po zakupy. Oczywiście na taki mezaljans nie chciała się zgodzić, a nawet kiedyś zrobiła mu publiczny afront, nie podając ręki do ucałowania. Rydygier zrozumiał rzecz i w domu hardej szlachcianki nie pokazywał się więcej. Panna Marynia wszakże pokochała go po tem zejściu jeszcze bardziej, chcąc widocznie bolesną, a niezasłużoną krzywdę nagrodzić sercem. Tęskniła za młodzieńcem bardzo. Ostatecznie prosiła, abym odszukał Rydygiera i podjął się misji załagodzenia całego incydentu, na co oczywiście chętnie się zgodziłem.

W rok potem, gdy odbywałem z łaski Moskali podróż na Sybir, w Moskwie zjechałem się z Rydygierem, którego również dla ostrygnięcia z buntu zesłano w różne północne strony. Opowiedziałem mu wtedy szczegółowo o misji, włożonej na mnie przez pannę Marynię, nie zapominając o łezkach, błyszczących w jej cudnych oczkach podczas przeprowadzanej ze mną rozmowy. Rydygier ucieszył się bardzo, bo i jemu panienska przypadła bardzo do serca. Znalazł w tem nawet dużą podniecie w walce z przeciwnościami losu, jakie jeszcze go oczekwały.

— Czy prędzej lub później — oświadczył — powrócić do kraju musimy. Zanim to nastąpi, użyję wszelkich sposobów, aby zawiadomić pannę Marynię o moim losie i zapewnić ją o nigdy dla niej nieodmiennych uczuciach.

Rodzony stryj Rydygiera, jako rosyjski generał brygady, stał podówczas z dwoma pułkami piechoty w Moskwie. Do niego też udał się pisemnie nieszczęśliwy bratanek w przekonaniu, że z tytułu tak bliskiego pokre-

wieństwa stryj nie odmówi mu swej pomocy. Zaraz na drugi dzień otrzymał odpowiedź, że generał Rydygier w całym swoim rodzie nie posiada ani jednego buntownika przeciw legalnej władzy, a więc z żadnym uzurpatorem jego nazwiska traktować nie może.

Nadmierna pycha pani Libiszewskiej i wygórowane jej ambicje okropnie zostały ukarane. Po odbyciu sześcioletniego zesłania w Syberji Wschodniej, spotkałem się w Krakowie z pułkownikiem Bogdanem i od niego najmniej spodziewanie dowiedziałem się o dalszych wypadkach w Jeleniewie. Na parę tygodni przed bitwą pod Ocieskami pojawił się u pani Libiszewskiej nowy kapitan piechoty z oddziału Chmielińskiego, w osobie hr. Festetycsa, podobno magnata węgierskiego i byłego austriackiego oficera.

Kapitan Festetycs, przypuściwszy miłosny szturm do serduszka najmłodszej panny Justyny, z całym najwyższym uniesieniem radości otrzymał jej rączkę i zadosyć uczynienie prośbie, ażeby ślub jak najprędzej za indultem mógł się odbyć. Wzięto się przeto z całym pośpiechem do działania, tak że na parę dni przed walką pod Ocieskami, z największą paradą odbył się obrzęd ślubny w odległym o siedem mil od Jeleniewa Sandomierzu. Ślubu udzielił z całym przepychem swego otoczenia tamtejszy ksiądz biskup, a za świadków służyły całe rzesze polskich oficerów w najrozmaitszych rangach i mnóstwo okolicznego obywatelstwa.

Pani pułkownikowa Libiszewska dostąpiła nareszcie takich zaszczytów, o jakich w najśmielszych snach i marzyć nie mogła. Cóрка jej wyszła za mąż i za hrabiego, i za magnata i za oficera wojsk polskich. Mając takiego zięcia, wszystko teraz pójdzie jak z płatka, a reszta jej córek, chociaż starszych wiekiem, na łodzie nie osiadzie.

Przygotowywano wszystko z pośpiechem do poślubnej podróży. Kapitan Festetycs, dowiedziawszy się o mającem nastąpić nazajutrz starciu z Moskalami, oświadczył stanowczo gotowość wzięcia udziału w walce, ażeby nie być posądzonym o tchórzostwo. Wyszedszy cało z bitwy, wyrobił u polskich władz wojskowych jednomiesięczny urlop i podążył z obozu wprost w objęcia oczekującej go z utęsknieniem młodej żony.

Jeszcze jeden dzień wypoczynku po przebytych wzruszeniach, i zaraz rano następnego dnia ruszono powozami do Krakowa, w którym pierwszorzędny hotel otworzył swe gościnne podwoje na przyjęcie rozmiłowanych w sobie państwa młodych.

Trzy dni zrzędu trwała najśłodsza w świecie sielanka związanych, jak się zdawało, na całe życie stulą biskupa sandomierskiego.

Czwartego dnia wszakże zjawiła się... pierwsza żona Festetycsa i urządziła nowozaślubionej parze na cały hotel awanturę, kładąc kres sielance.

Kiedym rozmawiał z panną Marynią, nadszedł adjutant generała Bosaka i podał mi trzy nominacje na poruczników dla mnie, dla Hupperta i Postawki. Nominacje na oficerów w oddziałach pułkownika Chmielińskiego miały charakter warunkowy, co było zawsze w rozkazie nominacyjnym zaznaczone. W naszych oddziałach (a było tak wszędzie) adjutanci na skrawkach papieru, mających mniej więcej 12 centymetrów długości, a 8 szerokości, kreślili drobnem pismem nominacje, przedkładali dowódcy, który, zaopatrzwszy takowe swoim nazwiskiem i pieczęcią, polecał doręczyć nominatom.

Otrzymana przeze mnie w Jeleniewie nominacja, brzmiała następująco:

Pod zastrzeżeniem potwierdzenia przez

Rząd Narodowy Polski, mianuję niniejszem
podporucznika Kazimierza Zienkiewicza
porucznikiem, z pozostawieniem przy pie-
chocie.

(Pieczęć oddziału).

Dan w Jeleniewie, dnia... Listopada 1863 r.

Naczelnik Sił Zbrojnych woj. Krak. i Sand.
generał Bosak

Szef Sztabu Nacz. Sił Zbrojn. woj. Krak.
pułkownik Chmieliński

Nominacja ta to jedyna i najmielsza pamiątka z tam-
tych czasów, jaka mi cudem pozostała, której też strzegę,
jak oka w głowie.

Za chwilę dano mi znać, że konie na mnie czekają.
Pożegnałem więc panią Libiszewską, pannę Marysię
i wszystkich jej gości, wsiadłem na bryczkę i wróciłem
do Starej Huty.

Kapitan Tylman po otrzymaniu szkicu topograficz-
nego odmaszerował na wskazane mu miejsce. Na drugi
dzień wizytowali nas obaj majorowie i tak wlekliśmy
dalej monotonny swój żywot powstańczy. Jedyłą moją
rozrywką była nauka Jadzi.

Dola nasza była nie do pozadroszczenia, a przy-
szłość widzieliśmy w coraz ciemniejszych barwach. Wi-
doczne było aż nadto, że dalsza organizacja pieszych
oddziałów powstańczych utknęła skutkiem apatji spo-
łeczeństwa i coraz większego braku wiary w powodzenie
powstania. Oczywistym dowodem tego było, że do czasu
bitwy melchowskiej przy naszym szczupłym batalionie
pozostawało ciągle dwóch majorów, podczas gdy puł-
kownik Chmieliński, zaraz na drugi dzień po śmierci
Iskry, wyraźnie zdradził zamiar zorganizowania drugie-

go bataljonu, aby tak Bogdan, jak Rosenbach stali na czele osobnych oddziałów.

Tymczasem od mełchowskiej bitwy ubiegło już blisko dwa miesiące, a o zorganizowaniu większych sił i mowy nawet nie było. Zamiast spodziewanych zwycięstw zmniejszaliśmy się coraz bardziej liczebnie. Ubytku w rannych i zabitych, a nadewszystko zabieranych do niewoli, nie było już kim uzupełniać.

Nie dodawało nam to ducha i nie stwarzało pomyslnych horoskopów na przyszłość. Tymczasem jednak — służba nie drużba.

W dniu 27 listopada, dobrze już po południu przybył do nas major Bogdan z jedną kompanją piechoty, dając rozkaz do natychmiastowego pogotowia celem wymarszu. Ponieważ koniec listopada odznaczał się dosyć krótkimi dniami, zanim przeto rozdzielono żywność na podróż i zanim tornistry zostały załadowane prowiantami i wojskowymi przyborami, upłynęło tyle czasu, że już o zmroku zdołaliśmy opuścić miłe obozowisko w Starej Hucie.

Udaliśmy się w południowo-zachodnią stronę na Koszary, Lechów i Lechówek.

Z pomocą przewodnika jeszcze przed zapadnięciem nocy, terenem pagórkowatym i odkrytym zdołaliśmy dotrzeć do Koszar, skąd przez głuchy las, wśród bardzo ciemnej nocy stanęliśmy na odpoczynek w Lechowie. Tutaj dopiero od majora Bogdana dowiedzieliśmy się, że z polecenia generała Bosaka mamy przemaszerować do wsi Ociesęki, dokąd również ma przebyć i major Rosenbach z dwiema kompanjami piechoty 28 listopada rano. Ponieważ jednak nadesłany rozkaz nie zastał majora Rosenbacha w jego stałej kwaterze, wątpiono więc, czy zdoła on przybyć na czas ze swojemi kompanjami. Z toku opowiadania zrozumieliśmy, że powołanie nas do

Ociesek pachnie niezawodnie bitwą, w której z wielką łatwością można będzie „przewrócić koziołka“, to jest zostać rannym lub dostać się do niewoli. Samo jednakowoż większe skupienie liczby żołnierzy dodawało wszystkim większego animuszu i humoru, aniżeli to w setkę ludzi ukryte biwakowanie, zdane wyłącznie na łaskę wieśniaków.

Z Lechowa, maszerując przez wzgórzysty teren i miejscowością odsłoniętą, doszliśmy do Lechówka, skąd przed samą północą wkroczyliśmy znowu do lasu. W połowie leśnej drogi pomiędzy Lechówkiem a Orłowinami krzyżowały się dwie drogi niemal pod kątem prostym. Doszedłszy do wierzchołka owego kąta i maszerując dalej, odczuliśmy, że obok nas maszerują również dwójkami jacyś żołnierze. Przez długą chwilę w przekonaniu, że to są owe dwie zapóźnione kompanje pod wodzą majora Rosenbacha, nie zwracaliśmy na to zjawisko najmniejszej uwagi, tem więcej, że panujące „choć oko wykol“ ciemności nie dopuszczały do rozpoznania idących przy nas ludzi. Jakżeż jednakże nieprzyjemnie zostaliśmy zdziwieni, gdy z ust rzekomych naszych kolegów usłyszeliśmy rozmowy, w rosyjskim języku prowadzone. Nieznani dotychczas i przez nikogo nam nie przedstawieni sąsiedzi, zaniepokojeni znowu naszą polską mową, szepciem gdzieś niegdzie prowadzoną, stanęli osłupieni z podziwu. Myśmy wślad za nimi uczynili to samo. Nastąpiło wtedy ogólne, zupełnie zrozumiałe ogłupienie, chwilowa determinacja, a następnie wzajemna łupcówka po łbach, karkach i gdzie się tylko udało. Powstało hordenalne zamieszanie i chaos, zwiększone jeszcze bardziej, gdy w obopólnem rzucaniu się na siebie nie można było rozróżnić, kto był Polakiem, a kto Moskalom. O użyciu broni palnej, kolb i bagnetów nikt nawet pomyśleć nie

mógł, z całkiem naturalnej przyczyny zabijania w ciemnościach swoich. W grę wzajemnych zapasów wchodziły tylko pięści, kułaki, łokcie i nogi.

Otóż takiego bezładnego zamętu i zamieszania, takiego „grochu z kapustą“, jakie wytworzyły się owej pamiętnej nocy pomiędzy nami a Moskalami, wyobrazić sobie nawet trudno. Wypadek chyba jedyny w swoim rodzaju. Wrzaski i krzyki, jęki i nawoływania, klątwy polskie i sobaczenia moskiewskie uczyniły istne piekło. Guzy i szturchańce, podbijania ócz i przetrącania rąk, zwichnięcia stawów, puszczenia krwi z nosów i sążniste policzki były wciąż na porządku, a nikt nie wiedział, kto kogo bije, nikt nie mógł przewidzieć, na czym i jak owa przygodna awantura skończyć się może.

Na szczęście dowcipny jakiś trębacz rosyjski, odskoczywszy na dalszą metę, trąbieniem „na zbór“ rozpoczął dawać hasła do odłączenia moskiewskich dusz od Polaków.

O stoczeniu bitwy w tem miejscu żadna z poszkodowanych stron nawet kusić się nie mogła, gdyż wszyscy wogóle i każdy z osobna zajęci byli przywracaniem sobie do jakiego takiego porządku. Jedni poszukiwali czapek, płaszców i pozrywanych tornistrów, a drudzy wzdartych lub pogubionych pasów i bagnatów, inni tamowali krew, płynącą z nosów, obwiązywali skaleczenia.

Nastała dość długa chwila względnego spokoju. Dochodziło nas tylko coraz bardziej oddalające się moskiewskie trąbienie, aż nareszcie zupełnie umilkło.

Nie dowiedzieliśmy się nigdy, z kim mieliśmy przyjemność zmierzyć się tej nocy, poza tem, że byli to Moskale. Po koniecznym po tak niezwyklej bijatyce wypoczynku, jakiej żadna pewno armja w historii poszczycić się nie może, major Bogdan zaproponował wysmarowanie

odniesionych ran i guzów słoniną, oraz natarcie opuchnięć i nabrzękłości okowitą. Ponieważ pomiędzy nami nie było ani jednego takiego niedołęgi, któryby właściwego znaczenia tych słów nie rozumiał, wzięto się też z zapalem do smarowania i nacierania... nie bolących części ciała, lecz gardła i żołądka, filozofując zupełnie słusznie, że gdy żołądek należycie zasilony zostanie, to i całe ciało z największych dolegliwości uzdrowione być musi.

Gdy już wszyscy tak praktycznym i nawskroć partyzanckim sposobem ułagodzili odniesione w bójce kontuzje, sformowaliśmy się znowu w szeregi i pomaszerowali dalej. Przyszedłszy do Orłowin i powitani tam bardzo wdzięcznie przez ujadające psy i piania kogutów, skierowaliśmy się na Wojteczki, a stąd po krótkim przystanku dotarliśmy o słabym brzasku dnia do wsi Koźła. W tem miejscu kończył się las, a dalej już rozpoczynały się pagórkowate pola, o formie prawie eliptycznej, otoczone lasami, wśród których leżała wieś Ociesęki, odległa od Kielc o dobre cztery mile drogi. Major Bogdan rozkazał nam wypoczywać w lesie, lecz pod żadnym pozorem nie wychodzić na skraj od strony pola. Sam zaś, oddaliwszy się od nas, poszedł piechotą ku Ociesękom i nie dalej jak o wiorstę drogi natknął się na polską pikietę, z dwóch kawalerzystów złożoną.

Oświadczywszy, kim jest, polecił jednemu z ułanów natychmiast dać znać do sztabu o swoim z dwiema kompaniami piechoty przybyciu i prosić o danie rozkazu, dokąd mamy się udać. Ułan pogalopował do wsi, a na jego miejscu postanowił major Bogdan pozostać i oczekiwać na decyzję.

Nie ubiegło nawet pół godziny czasu, gdy rozległ się tętent koni i obok wysłanego ułana, ukazał się na

koniu pułkownik Chmieliński. Obaj przybyli do chwilowego naszego obozowiska. Chmieliński, rozejrzawszy się bacznie po całej okolicy, zdecydował, że mamy na tem samem miejscu pozostać, nadzwyczaj cicho się zachowywać i chociażby bitwa w Ocieskach na dobre rozgorzała, nie dawać żadnego znaku życia o sobie, dopóki przez adjutanta nie przyśle specjalnego rozkazu. Oprócz tego oznajmił, że dla wzmocnienia naszych sił przyśle zaraz 50 spieszonych dragonów.

Moskale w sile trzech rot piechoty (750 ludzi) dwóch armat i 50 kozaków, z którymi mieliśmy stoczyć bitwę, byli częścią załogi kieleckiej i maszerowali stamtąd bitym gościńcem przez Cisów, obok Ociesek, jak się zdaje, w kierunku ku Rakowu. Zrównawszy się ze wsią Ocieski, zostali zaatakowani przez polski podjazd, który, dokonawszy swego zadania, cofnął się do wsi, wciągając za sobą uszykowane do boju rotę moskiewskie. Ocieski były obsadzone przez jedną kompanję piechoty, pod osobistem dowództwem Chmielińskiego, przy boku generała Bosaka. Druga znowu kompanja piechoty pod komendą kapitana Tylmana została ukryta w lesie obok wioski Czarna.

Moskale, chcąc osłonić atak swej piechoty, wytoczyli na wzgórze dwie armaty i zaczęli z nich ostrzeliwać wieś granatami. Jednakowoż nasi żołnierze znakomicie i oddawna oswojeni z tą muzyką, ukrywszy się poza płoty, parkany i różne domostwa, tak celnie razili idących pod osłoną dział Moskali, że komendant ich, obawiając się skutków naszego ognia i chcąc odrazu osiągnąć sukces, uzupełnił szturmujący front wszystkimi swemi rezerwami.

Ataku 700 żołnierzy na 100 broniących wsi było troszeczkę za wiele, dlatego też generał Bosak z pułkowni-

kiem Chmielińskim, widząc tak znaczną przewagę, zdecydowali się opuścić wieś i wynieśli się na przeciwległe Moskałom pola. Tutaj rozwinęli się w jeden długi łańcuch tyraljerów i całkiem pomalutku, ostrzeliwując się, cofali się ku Czyżowu, to jest właśnie ku tej odsłoniętej luce, gdzie po lewej stronie w lesie koziełowskim przyczaił się major Bogdan z 250 strzelcami, a po prawej stronie w lasach Czarny, kapitan Tylman ze swoją kompanją. Moskałe, pragnąc również wyzyskać lukę dla siebie i użyć ją do rozbicia Polaków, rozdzielili się na trzy części. Jedna z nich postępowała nadal za cofającą się naszą tyraljerką, a dwie grupy biegiem podążyły ku lasom wsi Czarny i Kozieła, aby pod osłoną drzew, dokonać oskrzydlenia i osiągnąć niewątpliwe wtedy zwycięstwo.

Nie spodziewali się oczywiście zastawionej na nich pułapki, to też zostali zupełnie zaskoczeni sytuacją, jaka się za chwilę wytworzyła.

Najpierw podeszli do Tylmana, który odrazu, bez strażów, rzucił się na nich z bagnetami nasadzonemi na karabiny. Skutek był taki, że Moskałe pierzchnęli natychmiast w nieładzie, zostawiając w zabitych około 30 żołdatów, po których pozostałe na placu karabiny, stały się naszym łupem. Zwycięski Tylman parł uciekający przed nim oddział moskiewski.

Tymczasem kolumna moskiewska, zdążająca jednocześnie pod las koziełowski, przypuszczona przez majora Bogdana pod sam skraj leśnej gęstwiny na bardzo bliski dystans, została przywitana ogniem 250 karabinów. Przestrach, jaki ogarnął Moskali, nie da się opisać. Zrobili niezwłocznie „na lewo wtył zwrot“ i pędem umykali z największym pośpiechem również ku Ocieskom. W drodze natknęli się na będący w odwrocie oddział, prowadzący główny atak. Wpadłszy do Ociesek, bronili się zażar-

cie, wyzyskując wszelkie osłony, każde ogrodzenie, płoty, chlewy, kurniki i budynki. Połączony jednak kontratak wszystkich naszych oddziałów był tak gwałtowny, że Moskałe wyrzuceni ze wsi, kto wie, czy nie byłiby zupełnie otoczeni i zmuszeni do złożenia broni, gdyby nie otrzymana przez Bosaka wiadomość o nadciągającej im pomocy w sile trzech rot piechoty.

Wobec takiego stanu rzeczy generał nakazał ogólny odwrót w kierunku południowo-wschodnim, dokąd odsłana została jego konnica jeszcze przed rozpoczęciem bitwy. Że Ocieski nie zostały spalone przez mściwych Moskali, to chyba przypisać należy cudowi bożemu, wymodlonemu przez tamtejszego proboszcza, który przez cały czas walki, wśród gradu kul klęczał poza ogrodzeniem kościelnym i z krzyżem w ręku pogrążony był w żarliwej modlitwie. Mieszkańcy Ociesek zaraz w początkach bitwy uciekli ze starcami, dziećmi i całym swoim żywym dobytkiem do lasów, pozostawiając chałupy i domostwa na łasce Opatrzności.

Straty nasze w tej bitwie były stosunkowo nieznaczne. Najboleśniejszą była śmierć kapitana Tylmana. Dzielny ten oficer po starciu się z Moskałami na bagnety, trafiony kulą wroga w środek czoła, runął na ziemię, nie wymówiwszy ani jednego słowa. Oprócz kapitana Tylmana, ubyło z naszych szeregów 22 ludzi poległych, ranionych zaś było tylko 17 żołnierzy. Do ranionych sam również należałem: nacierając zbliżając się na czele swego plutonu na grupę Moskali u wstępu do wsi, o mało przez jednego z nich nie zostałem przeszyty bagnetem. Na szczęście, biegnący obok mnie, kolega-żołnierz szybkim odparowaniem odtrącił nieprzyjacielską broń tak zręcznie, że rosyjski bagnet, mignawszy się tylko błyskawicznie przede mną, zaciął mnie dość powierzchownie w podniesioną

z pałaszem prawą rękę. W ten sposób unikałem śmierci lub poważniejszej rany, gdy przeciwnie Moskalowi nic już nie pomogło. Ten sam polski karabin, który mnie ocalał, przebił go na miejscu na śmierć.

Gdyśmy wstąpili w lasy rębowskie, generał Bosak z Chmielińskim rozkazali wszystkim kompanjom powrócić na dotychczasowe leże, sami zaś z 50 dragonami udali się po resztę kawalerji naszej do Rębowa, a stamtąd podobno do Rakowa.

Moskale ponieśli tak dotkliwe straty, że nie dali za nami choćby jednego dla przyzwoitości strzału.

Nie długo jednakże cieszyli się względnym dla siebie spokojem, lichy jakieś ni stąd ni zowąd przyprowadziło do Ociesek zapóźnionego majora Rosenbacha z dwiema kompanjami piechoty. Zobaczywszy zapomocą lunety plac boju gęsto zasłany moskiewskimi trupami, a samych Moskali siedzących i leżących spokojnie na ziemi, rozwinął kompanje do boju i ztyłu jak gwałtowna burza wpadł na nich. Uderzenie było tak silne i nagłe, że zainim ich ocknęli z przerażenia i chwycili za broń, nasi ich już mordowali. Jedyne ratunek znaleźli w panicznej ucieczce ze wsi na czyste pole, a następnie do najbliższego lasu. Tam dopiero spostrzegłszy się, z jaką gromadką mieli do czynienia, opamiętali się, uszykowali jak należy i rozpoczęli kontratak na wieś. Lecz major Rosenbach, przekonawszy się naocznie, że licznym przeciwnikiem ma do czynienia, nie czekał wcale na ich opamiętanie się, lecz dopadłszy lasu przepadł w niem bezpowrotnie.

W tem huraganowem natarciu major Rosenbach nie poniósł żadnej straty, natomiast Moskale dość gęstym trupem znaczyli ślad swej porażki.

Współwalczące z nami kompanje piechoty, po ma-

łym wypoczynku w lasach rębowskich, rozeszły się na opuszczone przed bitwą stanowiska. Major Bogdan zaś, ze względu na ogromne znużenie żołnierzy, zwiększone bójką na pięści minionej nocy, postanowił pomimo bliskości Moskali zanocować na miejscu. Wyszukawszy zatem miejscowość, obfitującą w największą gęstwinę i suchy mech, pokładliśmy się ubrani w ciepłe, grube płaszcze i od razu zapadliśmy w głęboki sen.

Na drugi dzień rano zostałem odkomenderowany przez majora Bogdana z plutonem żołnierzy do Ociesek, dla zbadania, czy Moskale są we wsi, co się stało z naszymi zabitymi kolegami i czy po chałupach niema jakich rannych?

Zachowując wszelkie ostrożności, nim wyszedłem z lasu, wysłałem dwóch żołnierzy jako wywiad, a sam w znacznem dopiero za nimi oddaleniu pomaszzerowałem ku wiosce. Spokój był wokół zupełny, wszedłem więc do Ociesek. Spotkana na wstępie leciwa jakaś wieśniaczka objaśniła mnie, że Moskale jeszcze przed świtem opuścili wieś, zabierając z sobą ogromną masę swoich rannych na podwodach, zarekwirowanych z Ociesek i okolicznych wsi. Prawie całą noc zajęci byli znoszeniem zwłok poległych z pola bitwy na jedno miejsce za wsią, gdzie ich w paru wspólnych olbrzymich grobach pochowano.

To zeznanie wiejskiej kobiety, porównane z opowiadaniem dworskiej służby, utwierdziły mnie w przekonaniu, że Moskale w bitwie pod Ocieskami w samych zabitych stracili przeszło 150 ludzi. Na poparcie tego przypuszczenia może najlepiej służyć fakt, że oni sami przyznali się w urzędowym dzienniku do 100 zabitych i rannych.

Poleciwszy dwum sierżantom kolejno przejść wszystkie chałupy, mianowicie jednemu z jednej strony

drogi położone, a drugiemu z drugiej, i idąc za wskazówkami wieśniaczki, która opowiadała, że wszystkich zabitych powstańców gospodarze zaraz rano z parobkami poznosili na stary przy kościele cmentarz, udałem się wprost w stronę kościoła. Wzdłuż prawego boku wiejskiej drewnianej świątyni zobaczyłem mnóstwo wieśniaczek, płaczących rzewnymi łzami i zawodzących wniebogłosy. Po przejściu tego niewieściego kordonu, ujrzałem długi szereg martwych kolegów, obdartych z odzieży przez Moskali tak całkowicie, że żadnemu nawet koszuli nie zostawiono. Wieśniacy sami ponakrywali ich kawałkami płótna i słomą.

Leżało ich dwudziestu dwóch z twarzami tak pogodnymi, jak we śnie marzycielskim podczas lubych rojeń o wielkiem jakimś szczęściu, o błogich rozkoszach życia, które właśnie naprzekór tej mojej młodzieńczej ułudzie było już dalekie od nich. Pograżyłem się w szczerej za te młode dusze modlitwie, a stojąc długo, bardzo długo nad ich skostniałymi zwłokami, przykuty na miejscu sugestją łkających wieśniaczek oraz żalem za temi nowymi ofiarami, skierowałem swe kroki ku otwartym podwojom kościoła.

Na środku szczupłej nawy stał katafalk, otoczony jarzącymi świecami. Na katafalku spoczywała odkryta trumna, obita czerwonym aksamitem, a w niej zwłoki poległego kapitana Tylmana, z czołem przeszytem kulą moskiewską. Na rance uwidoczniła się jeszcze gruba kropla świeżej krwi. Charakterystyczna za życia bródka hiszpańska, którą zawsze starannie utrzymywał, dodawała mu i po śmierci nadzwyczajnego powabu. Wyraz twarzy uśmiechnięty, łagodny i spokojny tym spokojem, jaki wieczność nieraz na obliczach ludzkich wybija. Najmniejszej nawet zmiany w całej fizjonomji nie było tak

dalece, że gdyby nie owa śmiertelna ranka na czole i pewnoś, że kapitan w obliczu całego wojska poległ śmiercią walecznych chciałoby się zawołać:

— Kapitanie!... czemu tak długo śpisz?... Wstań i prowadź dalej swoich zuchów na Moskali!

Zwłoki ś.p. Tylmana były ubrane w czarną czamarkę i także spodnie, na nogach miał nowe ciżemki. Ręce skrzyżowane na piersiach trzymały obrazek z wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa.

Kościół odznaczał się atmosferą przerażającego spokoju wobec martwych szczątków bohatera. Nigdzie ani jednego człowieka, ani jednej żywej duszy. Cisza naokół grobowa, nieprzerywana nawet najmniejszym szmerem, pogrążyła mnie w stan jakiejś, niedającej się wytłumaczyć, kontemplacji, jakiegoś znieczulenia całego organizmu. Samowiednie też z poszanowania dla owej niezwyklej ciszy zbliżyłem się lekko na palcach do stopni katafalku i, zatopiwszy się w kornej przed Bogiem modlitwie, miałem wyłącznie przed oczyma błogie koleżeńskie współżycie ze ś.p. Tylmanem w oddziale Chmielińskiego od pierwszej chwili organizacji tego oddziału.

Poległy kapitan jeszcze przed wybuchem powstania był uczniem wojskowej polskiej szkoły w Genui i Cuneo, a odznaczając się niezwyklejmi zdolnościami, odrazu w stopniu oficerskim rozpoczął zawód rycerski pod komendą pułkownika Chmielińskiego. Byliśmy ze sobą w najserdeczniejszej zażyłości i przyjaźni, snując wielokrotnie najpiękniejsze dla Polski nadzieje... To też, stojąc przed jego w trumnie złożonem ciałem, nie chciałem wierzyć, że mój poległy kolega i przyjaciel w zaraniu swego życia odchodzi w nieznane duchowe światy, pozostawiając Polsce, jak każdy z śmiertelników, garść tylko marnych popiołów.

Takiemi myślami owładnięty, wpatrywałem się po raz ostatni w szlachetne oblicze prawdziwie sprawiedliwego śmiertelnika, jakim był ś.p. Tylman, a starając się niejako odbić jego twarz na zawsze w mem sercu, pomalą wyszedłem z kościoła, udając się do dworu.

We dworze, oprócz nielicznej służby, nikogo więcej nie zastałem. Jakiś niby pan, niby sługa oprowadzał mnie po pokojach dworskich, narzekając na szkody, jakie dwór od Moskali poniósł. Mianowicie gdyśmy, zająwszy wieś, staczali z nieprzyjacielem bitwę, Moskałe, ustawivszy działa zdaleka od wioski, strzelali granatami do niej chcąc nas zmusić do rejterowania na pole, i wtedy to jeden z armatnich pocisków uderzył w dwór i przebił go nawyłot, wywalając tak wielkie otwory we wszystkich ścianach, że można było niemi wejść do środka, przejść przez wszystkie pokoje i wkońcu przeciwną stroną znaleźć się na podwórzu. Ma się rozumieć, że przy nadzwyczajnej sile pocisku wszystkie najkosztowniejsze meble, stojące przy owych ścianach, zostały zdruzgotane na drzazgi. Jakie szkody od granatów poniosły zabudowania wieśniaków, tego już nie dochodziłem, bo wreszcie i zaradzićbym temu nie potrafił. Przyszło mi tylko na myśl zapytać oprowadzającego mnie jegomościa, w jaki sposób zwłoki ś.p. Tylmana zostały przybrane w czarny garnitur czamarkowy i ciżemki, oraz skąd się dzisiaj rano wzięła dla niego w czerwony aksamit obita trumna, jeżeli w dniu wczorajszym do późnego wieczora przeciągała się bitwa?

Okazało się, że do dworu schronił się jeden z łęcz rannych powstańców, który dzisiaj o świcie oglądał na cmentarzu kościelnym zwłoki wszystkich poległych, obdartych do naga, i wskazał księdzu proboszczowi na ś.p. Tylmana, oświadczając, że to jest oficer, komenderujący

kompanją podczas bitwy. Ksiądz proboszcz ociesęcki, bardzo zacny kapłan i gorący patriota, wyprosił we dworze kompletne czarne ubranie i buciki, sam zaś od siebie ofiarował trumnę, używaną do egzekwii kościelnych, kazał w nawie ustawić katafalk, obstawić świecami, obiecując urządzić zmarłemu taki pogrzeb, na jaki sobie życiem i piękną śmiercią zasłużył. Również ksiądz proboszcz postanowił zająć się wszystkimi poległymi powstańcami, aby, jak mówił, mieli całkiem przyzwoity i chrześcijański pogrzeb. W tej misji pojechał jeszcze rano do najbliższego miasteczka, skąd zapewne niezadługo powróci.

Ponieważ wkrótce zebrał się mój pluton z oznajmieniem, że w całej wiosce nie znaleziono żadnego ranego powstańca, pożegnałem pana dworaka, czy oficjalistę i powróciłem do kościoła. Przed odejściem wszakże pozwoliłem żołnierzom pomodlić się przy zwłokach kapitana Tylmana i poległych towarzyszy, a następnie, ustawivszy się w szyku, oddałem honory wojskowe zwłokom naszych bochaterów. Powróciwszy do obozu, z włożonego na mnie zadania zdałem relację. Po kilkugodzinem jeszcze na tem miejscu wypoczynku nakazano wszystkim kapitanom rozejść się z kompanjami na miejsca, zajmowane przed bitwą.

A teraz poświęćmy nieco miejsca polemice.

Konkursu na opisanie zdarzeń i wypadków 1863 roku żadne polskie pismo nigdy nie ogłaszało i nikt z amatorskich autorów, opisujących dzieje powstania narodowego, najmniejszej dotąd nagrody nie otrzymał... I dlatego zapewne przeważnie wszystkie tego rodzaju publikacje, zamiast sumiennego opracowania prawdziwości przytaczanych faktów, i rzetelnej bezinteresowności, nacechowane są osobistym egoizmem, własnem bohater-

stwem i podnoszeniem pod niebiosa swoich poświęceń dla dobra Ojczyzny.

Niestety błaga i kłamstwo są niejednokrotnie u nich na pierwszym planie.

Skaczący wciąż na koniu pan Napoleon Krzywda, nie zdając sobie najmniejszego trudu w ocenie historycznych zajęć powstania styczniowego, wydał drukiem omówione już wyżej tyłkrotnie Wspomnienia obozowe nie na to, ażeby społeczeństwo odniosło z nich istotny pożytek, lecz wyłącznie w celu uwydatnienia swego własnego „ja“, podniesienia szczególnie osobistej wartości i zasług. Opisując naprzykład bitwę pod Ocieskami, tak się dosłownie na str. 94 — 97 o niej wyraża:

„Trzeciego dnia po Stojnowie i Opatowie, przybyliśmy do Ociesek, gdzie rozłożyliśmy się obozem na noc. W lasach ocieskich znajdowały się trzy kompanie dawnej piechoty Chmielińskiego, liczone do 400 ludzi, w pewnej odległości od siebie rozwaterowane.

Nazajutrz do dnia przybywa do sztabu kurjer z wiadomością, iż generał Czengiersy z sześcioma rotami piechoty, pół szwadronem dragonów i dwoma działami, maszeruje z Cisowa do Ociesek.

Chmieliński, widząc szanse powodzenia, nadto chcąc generałowi Bosakowi zaprezentować swoją piechotę, której jeszcze w ogniu nie widział. Aby wzmocnić niedostateczną siłę piechoty, zsadza przeszło stu kawalerzystów z koni i, uzbrajając ich w karabiny, włącza w szeregi piechoty; jeden pluton kawalerji pod dowództwem porucznika M. ustawił pod lasem w celu zabrania armat, gdyby takowe tą drogą uciekać miały, resztę zaś kawalerji z luznemi końmi zostawił we wsi ze względu, iż teren lesisty nie był odpowiedni do użycia tejez.

Kapitanowi Tylmanowi, świeżo awansowanemu przez generała w sam dzień bitwy na majora, oddaje dowództwo nad piechotą, mającą atakować nieprzyjaciela od strony Ociesek, do której przydzielono i kawalerję spieszoną; pozostałą częścią piechoty dowodził major Bogdan.

Moskale weszli w zasadzkę; przywitany salwą rotowego ognia naszej piechoty, która odrazu biegiem rzuciła się do ataku, nieprzyjaciel zrazu, pomimo iż znacznie był silniejszy od nas, ratował się bezładną ucieczką, opamiętawszy się nareszcie, rozpoczął śmiertelną walkę na bagnety. Powstańcy jednak z taką szybkością i dzielnością uderzyli na nich, iż opór został złamany i nie-

przyjaciół na całej linii zaczął się cofać, artylerja uciekła z placu boju.

Walka trwała już przeszło godzinę.

Wtem niespodziewanie przybyła pomoc Moskwie w sile dwóch rot piechoty, które będąc niedaleko, a usłyszawszy strzały na furmankach zdążyły jeszcze na czas na plac boju, wszedłszy odrazu w ogień.

Nadomiar ginie major Tylman; powstańcy, widząc swego wodza, brodzącego w kałuży krwi, zachwiali się.

Wtem Chmieleński zeskakuje z konia, porywa karabin z ziemi po jakimś poległym i prowadzi naprzód; nasi za Chmieleńskim porwali się jeszcze raz do ataku, lecz tym razem już ze złym skutkiem. Moskale, wzmocnieni świeżemi posiłkami, byli teraz przeszło dwakroć silniejsi, nie więc dziwnego, iż wzięli wkońcu górę; nasi poczęli ustępować.

W każdym jednak razie, piechota nasza w tej bitwie dowiodła dzielności swej i odwagi.

Plac boju cały zasłany był trupami i rannymi; w bitwie tej Moskale ponieśli dużo większe od nas straty, gdyż jeśli Czengierey w swym raporcie urzędowym przyznał się sam do stu zabitych i rannych, to śmiało można podwoić tę liczbę.

Nasze szeregi liczyły 20 zabitych i około 30 rannych, szczególnie jednak dotkliwą była dla nas strata dzielnego Tylmana, ulubieńca Chmieleńskiego“.

Muszę sprostować tutaj trzy fakty, odnoszące się do bitwy ociesieckiej, mylnie podane w t. II Sulimy*)
Wspomnieniach ułana:

Przedewszystkiem nikt z naszych nie został wzięty do niewoli.

Następnie: piechota polska nie została rozproszona, lecz w zupełnym porządku cofnęła się do Ociesek, skąd udała się do Cisowa, kawalerja zaś tego dnia nocowała w miasteczku Rakowie. Dwie kompanje piechoty dawnego oddziału Chmieleńskiego spotkałem jeszcze w końcu grudnia około Słupi pod św. Krzyżem, ostatecznie wyginęła ona w czasie ataku na Opatów przy końcu lutego 1864 r. pod wodzą pułkownika Topora-Zwierzdowskiego, oraz w kilku innych potyczkach, bezpośrednio po bitwie opatowskiej, w których zniesiono doszczętu reszt-

*) Walery Przyborowski.

ki, pozostałe z całej naszej piechoty obydwu województw.

Trzecim faktem nieprawdziwym jest wiadomość, jakoby generał Bosak nie był obecny na placu boju pod Ociesękami; było wprost przeciwnie, bo potykał się bardzo dzielnie z wrogiem i nawet dwa konie tam pod nim raniono.

Oprócz tych zmyślonych bajeczek, pan Napoleon Krzywda na str. 94 robi na końcu (w odsyłaczu) dopisek poświęcony, autorowi *Wspomnień ułana*, i przekręcając tytuł jego książki:

„Począwszy od rozdziału v. *Pam. powst.*, autorowi tychże pamięć zupełnie nie dopisała; oprócz bitwy pod Ociesękami, która dość dokładnie (z małemi wyjątkami) jest spisana, reszta nie ma żadnej wartości z tego jedynie powodu, iż mało w niej prawdy. Autor to, co sam widział, pozapominał widać, o tem zaś, czego nie był sam świadkiem, fałszywie poinformowanym został; fakty są poprzekręcane, nie w takim porządku jak *Pamiętniki* podają, następowały jedno za drugimi, nadomiar wiele bardzo milczeniem pominięto.

To samo storuje się również i do księgi III *Pam. powst.* w całej jej osnowie“.

Otóż kłam temu wszystkiemu zadaje komunikat samego generała Bosaka, głównodowodzącego w bitwie pod Ociesękami, cytowany po odbytej walce w perjodycznych pismach galicyjskich, o treści dosłownie następującej:

dnia 28 listopada, stojąc z jazdą w Ociesękach, zostałem zawiadomiony, że Moskwa w sile trzech rot piechoty, dwóch dział i pół sotni kozaków podąży gościńcem do wsi Cisowa. Natychmiast poleciłem szefowi sztabu pułkownikowi Chmielińskiemu ściągnąć blisko będące dwie kompanie i, dodawszy do nich 50 dragonów spieszonych, zostawić je pod dowództwem mjr. Bogdana przeciw zbliżającemu się nieprzyjacielowi w odległości trzech wiorst od wsi Ociesęki; jazdę zaś, oprócz 50 jeźdźców, których zostawiłem dla eskorty, wyprawiłem ku Rębowu. Starliśmy się z Moskwą bardzo pomyślnie. Strzelcy kapitana Tylmana po silnym i żwawym ogniu rzucili się na bagnety, przyczem zabrali nieprzyjacielowi 24 karabiny. Po godzinnym boju, w którym Moskwa poniosła wielkie straty, dowiedziawszy się od wysłanych rekonesansów, że nadchodzi druga kolumna moskiewska

w sile trzech rot piechoty, nakazałem odwrót ku Rębowu, gdzie czekała nas jazda. W czasie naszego odwrotu ku Rębowu, Moska-
le zostali raz jeszcze zaatakowani przez trzecią kompanję z oddzia-
łu majora R. *) pod jego osobistym dowództwem, która na
odgłos strzałów spieszyła na plac boju i niespodzianie uderzyła
z tyłu na Moskali, którzy cofnęli się z pośpiechem, ponosząc i tym
razem znaczną stratę. Według wiarogodnych wiadomości, strata
Moskali w zabitych i rannych jest 80 ludzi. Z naszej strony
zabitych 20, a rannych 17. W boju tym, tak pomyślnym dla na-
szej piechoty, ponieśliśmy nieodżałowaną stratę w osobie kapitana
Tylinana, którego naczelnik sił zbrojnych województwa krakow-
skiego pułkownik Chmieliński uważał za najdzielniejszego ze wszy-
stkich swoich dowódców kompanji. Po skończonym boju skon-
centrowane kompanje powróciły na swoje stanowiska, ja zaś, do-
wiedziawszy się, że Moskwa w sile 12 rot od Kielc, Kunowa i Opa-
towa podąża ku lasom szczecińskim, wyruszyłem ku Chmielnikowi.
W boju tym pod Ociesękami raniono podę mną dwa konie.

Naczelnik sił zbrojnych województwa krakowskiego i san-
domierskiego: B o s a k

Szef sztabu nac. sił zbroj. wojew. krakowskiego

pułkownik Chmieliński

Dan 1-go grudnia 1863 roku.“

W porównaniu opisu Napoleona Krzywdy o stoczo-
nej bitwie pod Ociesękami, z komunikatem, publicznie
ogłoszonym przez generała Bosaka, wynika, że:

1) — nieprawdą jest, jakoby w lasach ociesęckich
znajdowały się trzy kompanje dawnej piechoty Chmie-
lińskiego w liczbie 400 ludzi, albowiem były tam zgro-
madzone dwie kompanje piechoty o sile 200 ludzi;

2) — mylnie jest twierdzenie, że do sztabu w dniu
walki (dodnia) przybył kurjer z wiadomością, że
generał Czngiery z sześcioma rotami piechoty, pół szwa-
dronem dragonów i dwoma działami maszeruje z Ci-
sowa do Ociesęk, natomiast niezaprzeczalne jest, że
jeżeli major Bogdan w przeddzień bitwy, a więc w dniu
27 listopada otrzymał rozkaz stawienia się w Ociesękach
na dzień 28 listopada rano, to sztab polski przed otrzy-
maniem dnia 28 rano uwiadomieniem o pochodzie Moskali

*) Rosenbacha.

z Cisowa, musiał zapewne mieć i wcześniejszą wiadomość od Narodowej Organizacji w Kielcach o mającym nastąpić wymarszu Czengierygo na oddziały generała Bosaka, skoro tenże zarządził ściągnięcie kompanij z bar-dziej oddalonych okolic;

3) — błędne było twierdzenie, że Czengiery przy-był do Ociesek z sześcioma rotami piechoty, pół szwadro-nem dragonów i dwiema armatami, gdyż generał Bosak otrzymał 28 listopada rano uwiadomienie, że Moskale maszerują z Cisowa w sile trzech rot piechoty, dwóch dział i pół sotni kozaków;

4) — nieprawdopodobne jest, że aby wzmocnić nie-dostateczną ilość piechoty, zsadzono z koni przeszło stu kawalerzystów i uzbrajając ich w karabiny, włączono w szeregi piechoty, że pluton kawalerji pod dowództwem porucznika M. ustawiono pod lasem dla zabrania armat, gdyby artylerja moskiewska tamtędy uciekała, i że resztę kawalerji z luźnymi końmi zostawiono we wsi, ze wzglę-du, że teren lesisty nie był odpowiedni do użycia tejże. Natomiast prawdą jest według komunikatu generała Bo-saka, że spieszył on 50 dragonów polskich, a uzbra-jać ich w karabiny nie potrzebował, gdyż zadaniem wła-śnie tego rodzaju konnicy jest zsiadać z koni i bić się według osobnego regulaminu na piechotę, tak jak każda infanterja posiadanemi dragońskimi karabinkami. Tych 50 dragonów miało służyć po skończonej bitwie za eskortę dla generała Bosaka i pułkownika Chmielińskiego podczas jazdy do Rębowa, gdzie znajdowała się reszta ich kawalerji. Również żadnego porucznika M. pod lasem nie pozostawiono i kawalerji polskiej we wsi Ocieski z luźnymi końmi nie było, albowiem generał Bosak wszystką jazdę przed bitwą odesłał do Rębowa;

5) — kapitan Tylman podczas bitwy dowodził wy-

łącznie swoją kompanją i awansowany na majora nie był, czegoby generał Bosak nie omieszkiał zaznaczyć w swoim pobitewnym komunikacie, tem bardziej, że poświęcił w nim kilka zaszczytnych słów o ś.p. Tylmanie, tytułując go tylko kapitanem. Również spieszonych 50 dragonów nie przyłączono do kompanji Tylmana, lecz do oddziału piechoty, dowodzonej przez majora Bogdana;

6) — Moskale nie weszli na początku boju w zasadzkę, lecz pułkownik Chmieliński, cofając się z dowodzoną przez siebie kompanją piechoty, naprowadził ich do odkrytej między lasami luki, obsadzonej z jednej strony lasu przez żołnierzy majora Bogdana, a z drugiej przez kompanję piechoty kapitana Tylmana;

7) — artylerja moskiewska do końca bitwy wytrwała na swoim stanowisku;

8) — Moskalom w czasie bitwy nie przybyła żadna pomoc w sile dwóch rot piechoty, tylko generał Bosak, dowiedziawszy się od wysłanego rekonesansu o marszu trzech rot piechoty moskiewskiej na pomoc walczącym Rosjanom, wczas wycofał swoje wojska i spokojnie odmaszerował w stronę Rębowa;

9) — kapitan Tylman nie poległ na placu boju „brodząc w kałuży krwi“, lecz trafiony kulą w sam środek czoła zmarł natychmiast na miejscu, bez najmniejszych oznak zakrwawienia;

10) — pułkownik Chmieliński wcale podczas bitwy nie zeskakiwał z konia i nie chwycił za karabin po jakimś poległym, lecz właśnie, konno prowadząc kompanję kapitana Tylmana, poruczył jej komendę porucznikowi z tej kompanji niewiadomego mi nazwiska. Również powstańcy, atakując Moskali do ostatka i pędząc ich ciągle przed sobą nie „porwali się jeszcze raz do ataku, lecz tym razem ze złym skutkiem“, bo Moskale już „wzmocnieni

świeżemi posiłkami, byli przeszło dwakroć silniejsi, nie więc dziwnego, że wzięli wkońcu górę.“ W istocie powstańcy na rozkaz generała Bosaka zostali wycofani z placu boju, zanim Moskałom nadeszła pomoc;

11) — piechota polska z Ociesek nie udała się do Cisowa, lecz pomaszerowała ku Rębowu, a z lasów rębowskich otrzymała rozkaz powrotu na dawne leże;

12) — pod generałem Bosakiem nie zabito dwu koni, lecz dwa konie raniono.

Z powyższych danych wynika, że pan Napoleon Krzywda, służąc przy ułanach, wraz z nimi przed bitwą wyprawniony został z rozkazu generała Bosaka do Rębowa i, nie uczestnicząc osobiście w walkach pod Ocieskami, bojów tam staczanych naocznie nie widział.



BITWA W HUCIE SZCZECIŃSKIEJ.

(9. XII.)

Ubyło wprawdzie z naszej kompanji trzech zuawów zabitych, a pięciu rannych, lecz mimo to maszerowaliśmy w dobrym nastroju. A usposobiła nas do tego świadomość zadanych Moskałom strat, tylekroć przewyższających nasze. To też kompanja wyśpiewywała w drodze różne wesołe piosenki obozowe, jakby najmniejszych w boju strat nie poniosła. Te młode zawadjaki i zaprawione w walce oczajdusze o niczem innem nie chciały myśleć jak tylko o jedzeniu, długiem spaniu i psich pomiędzy sobą figlach. Kapitan Grob na wszystkie ich wady spoglądał jednakowo przymglonem okiem, utrzymując, że młodość ma swoje prawa.

Gorąca krew polskiej młodzieży oczekiwała wybuchu powstania jak zbawienia duszy, jak zadosyćuczynienia przez upragnione spotkanie z najdroższym ideałem serca.

Takiem zbawieniem duszy, tak upragnionem marzeniem była dla polskiej młodzieży w 1863 r. chęć najprędszego zetknięcia się z Moskałami.

— Janku, czy widzisz — zapytywał jeden powsta-

niec drugiego, jak ten drażał moskalisko bierze nas na cel swego karabina? Kładźmy się natychmiast na ziemię!

Zanim strzał rosyjskiego drażala przeszył powietrze na średniej wysokości człowieka, co dało się widzieć po uderzeniu kuli w pień drzewa, za powstańcami rosnącego, dwaj insurgenci, leżąc jak wyciągnięte na ziemi szczupaki, postali wzamian dwie ołowiane pigułekki. Moskał zatrzepotał tylko rękoma w powietrzu i runął jak podcięte drzewo.

— A bodajżeś sto lat wojował z Moskalami — krzyczał Wiktorcio, a dajże mi zaraz pyska! Chodź prędzej, niechże cię wycaluję!

— Nie głupim się podnosić z ziemi — odpowiedział Janek, jak chesz się koniecznie całować, to chodź ty do mnie. A zresztą pytanie, czyja to kulka moskiewskiego drapichrusta pocałowała?

W tej chwili „podpłynął“ do nich kapitan Grob.

„Podpłynięcia“ używał nasz komendant wśród najrzesistszego ognia Moskali. Polegało ono na tem, że wyciągnawszy się jak długi na ziemi, sposobem przez węży praktykowanym, podciągano tył z nogami ku frontowi ciała, a przez raptowne wyprężenie „front“ awansował naprzód. Nasz kapitan częstemi ćwiczeniami doprowadził swoją kompanję do takiej perfekcji owego „pływania na piasku“, że nieznacznie i prawie nieraz niewidocznie dla baczного oka Moskali, umieliśmy znakomicie i niespostrzeżenie zbliżyć się ku rosyjskim linjom, aby następnie huraganowym z miejsca wypadem, na bliski już dystans, bagnętami rozstrzygnąć walkę na naszą korzyść.

— Kiego licha się sprzeczacie o to, czyja kulka ugodziła w Moskala — krzyczał kapitan. — We dwójkę

zatłukliście wroga, we dwójkę zatem upatrujcie drugiego psubrata. — To powiedziawszy, kapitan „odpłynął“ dalej wzdłuż frontu swoich żuawów.

Niejednokrotnie lubiłem „pływać“ za kapitanem i przysłuchiwać się jego komendzie i naukom, a nade wszystko wtedy, gdy sztukę „pływania“ łączył z ćwiczeniami, strzelając do celu. W bitwie na przykład pod Oksą popłynąłem za nim wzdłuż naszej tyraljerki, w której jeden żuaw od drugiego mógł być oddalony o 8—10 kroków. Kapitan zapomocą „pływania“ zbliżył do siebie dwóch żuawów, którzy jako synowie ludu posiadali bystre oczy, tak zwaną chłopską filuterję i nadzwyczajny spryt. Rozpoczęła się nauka pod silnym ogniem nieprzyjacielskim mniej więcej następującej osnowy:

— Czy pamiętacie, kto jest dla nas najniebezpieczniejszym szkodnikiem w czasie boju?

— Oficer moskiewski.

— A po czym go odróżnicie od carskich żołdatów?

— Po ciemnym mundurze i szabli przy boku lub w garści. Prosty Moskal jest zawsze szaro ubrany.

— A po oficerach kto następuje?

— Dobosze i trębacze.

— Czem oni są dla nas niebezpieczni?

— Dawaniem sygnałów na dalsze dystanse.

— Bardzo dobrze... świetnie... doskonale! A teraz powiedzcie, czy widzicie pomiędzy psubratami, jakiego niebezpieczniejszego Moskala?

— Na lewo pod drzewem stoi rosyjski trębacz, którego trąbka świeci jak złoto w słońcu.

— Widzicie go dobrze?

— Dobrze!

— A jakie będzie do niego oddalenie?

— Sześćset kroków — odpowiedział jeden.

— Osiemset kroków — odpowiedział drugi.

— W takim razie — powiedział kapitan — ustawcie wizery na 700 kroków i celujcie w brzuch trębacza. A dlaczego w brzuch?

— Bo gdyby dystans był za bliski, moglibyśmy go trafić w nogi, a gdyby był za daleki, to dostanie w łeb.

— Bardzo dobrze — odrzekł kapitan. — A teraz pamiętajcie: wizer, muszka i brzuch trębacza w jednej linii... celujcie pomału a dobrze...

Kapitan Grob podniósł nieco głowę ponad teren ziemi i bacznie wypatrywał rezultatu strzałów.

Za chwilę dał się słyszeć huk obu karabinów, a jednocześnie trębacz przewrócił się nawznak.

— A widzisz? psiakrew! — odezwał się jeden ze strzelających, będziesz teraz trąbić Panu Bogu na chwałę!

— A nie mogłeś to, psubracie — powiedział drugi — schować tak trąbki, aby w słońcu nie świeciła lub pomalować jej na szaro?

— Zuchy jesteście obydwaj — odezwał się z uśmiechem zadowolony kapitan. — Macie tu dwa cygara liściowe, a tutaj zapaliki... Zakurczcie sobie, aby wam się nie nudziło i strzelajcie dalej z taką samą celnością.

Kapitan „popłynął“ dalej wzdłuż linii tyraljerskiej, aby po drodze nauczać i przekonywać się, czy jego uczniowie czego nie zapomnieli. Ja zaś z satysfakcją obserwowałem, jak dwaj adepci strzelanina zakurzyli z dumą wonne oficerskie cygara.

Można sobie wyobrazić, jak wobec tak wyćwiczonej kompanji wyglądali Moskale.

— Czemu się tak niestosownie cieszyacie? — zapytałem pierwszego lepszego kolegi, zrównawszy się z marszerującą do Starej Huty kompanją. — Nie dalej przecie jak w dniu wczorajszym ubyłó nam kilku kolegów, cia-

ła ich może jeszcze nawet dobrze nie zastygły, a wy okazujecie tyle wesela, tak ochoczo wyśpiewujecie skoczne piosenki, jakby was nic złego nie dotknęło. W tej chwili może składają w Ociesękach naszych towarzyszy do grobu!

Zapytany koleżka wybałuszył na mnie zdziwione oczy, trochę się zastanowił, a wreszcie sentencjonalnie powiedział:

— Panu porucznikowi jest może wiadomo, że gdy umrze we wsi nawet najbiedniejszy gospodarz, to pozostała rodzina sprząta w chałupie stypę pogrzebową, nie szczędząc jej uczestnikom piwa, wódki i herbaty z rumem. A że w domu nieboszczyka, gdy on jeszcze przez zamknięte oczy wszystko widzi, co się naokoło niego dzieje, nie wypada się weselić, nawet najbardziej podпиты gość pogrzebowy, pomimo podochocenia i chęci do objawów wesela stara się powstrzymywać od takich wybuchów, przez rozpamiętywanie życia zmarłego. Ponieważ zaś wszystkie baby zebrane na stypie płaczą rzewnymi łzami i zawodzą, więc i chłopci czynią to samo. Co do nas,—zachodzi inna sprawa; my nie jesteśmy w domu nieboszczyka z jego zwłokami w odkrytej trumnie i przez przymknięte powieki nie patrzy on, co my robimy. Bab wiejskich, dających impuls do powszechnego płaczu, również pomiędzy nami niema. My na sposób czysto wojskowy żałujemy ich szczerze i serdecznie, nawet w czasie śpiewania wesołych obozowych pieśni. Zrestą jeżeli to jest prawda, że umarli przez trzy doby wspólnie z nami przebywają, to nie ulega kwestji, że muszą oni i teraz razem z nami maszerować i cieszyć się naszym życiem.

Na zakończenie zaintonował starą ulubioną naszą piosenkę:

Na wojence jak to ładnie,
Kiedy ułan z konia spadnie.
Koledzy go nie żałują,
Jeszcze końmi potratują...

Ze zmierzchem dnia znaleźliśmy się w swoich obozowych szałasach pod Starą Hutą.

Wypocząwszy należycie po marszu, odbytym dnia poprzedniego, wstaliśmy na drugi dzień zupełnie odświeżeni i (jak powiadają) z odmłodzonymi nogami, na to aby odbyć zwykłe półdniowe ćwiczenia.

Załatwiwszy się z obowiązkami służbowymi, udałem się do wsi, aby zdać sprawę Jadzi z przebiegu tych paru dni. I znów bezmała tydzień minął w miłym i beztroskim nastroju pod wieśniaczą strzechą „moich“ gospodarzy. Aż wreszcie znów w dniu 8 grudnia, przed samem południem, kapitan Grob otrzymał za pośrednictwem sołtysa opieczętowany rozkaz na piśmie. Natychmiast kazał wydać żołnierzom będący na dogotowaniu obiad, a następnie stanąć całej kompanji w pogotowiu do marszu, co niezwłocznie wykonaliśmy, ciesząc się nadzieją świeżych przygód, jakie niezawodnie będą naszym udziałem.

Bitwę czuć było w powietrzu, gdyż stale tylko do boju opuszczaliśmy obozowisko w Starej Hucie.

Po kilkugodzinnym marszu przez Koszary, Makoszyn, Cisów i Holendry, ze stosownymi odpoczynkami, dochodząc do końca wielkiego lasu, natknęliśmy się na polską pikietę, jak zawsze z dwóch ułanów złożoną, i od nich dowiedzieliśmy się, że za dobry kwadrans drogi dojdziemy do wsi Ujny, gdzie na kwaterach rozłożony przebywa oddział piechoty, 300 żołnierzy liczący, słynnego już podówczas wodza Rębajły-Kality, który znakomicie rąbiąc Moskali siłą swego oręża, a nadewszystko

taktyczno - wojskową sprawnością w zupełności na ten pseudonim zasłużył.

Wieś Ujny, położona w środku dość rozległych pól, w formie wielkiej wydłużonej elipsy, otoczonej ze wszystkich stron starami lasami, nie różniła się niczem od innych zaniedbanych polskich wiosek. Dwór drewniany, parterowy i niewielki, między chałupami chłopskimi usadowiony, omszały od przeżytych lat.

Zaraz po przybyciu późnym wieczorem do Ujen rozkwaterowano naszą kompanię po chałupach. Kapitan Grob poszedł przedstawić się dowódcy majorowi Rębajle, rozlokowanemu we dworze, mnie zaś na samym wstępie za powrotem kapitana Groba ze dworu poruczono dyżur oficerski nad całym obozem. Musiałem zatem natychmiast wsiąść na konia, stale dla oficerów dyżurnych pod siodłem stojącego, i w towarzystwie oficera schodzącego z dyżuru objechać wszystkie piesze na polach i konne po lasach pikiety.

Specjalnego regulaminu i przepisów wojskowych dla oficerów dyżurnych w czasie powstania zupełnie nie było. Mówiono tylko: „odpowiadasz głową za całość i bezpieczeństwo oddziału!“ I ten rozkaz każdy oficer dyżurny musiał doskonale pojmować, rozumieć i sam na wątpliwości sobie odpowiadać. Wzorował się zatem każdy na żórawiu, który czuwa, trzymając w pazurach kamień, a na jednej nodze stojąc. Tak samo było ze mną. Wiedziałem, że mam baczyć, aby wszystkie pikiety były na czas pozmieniane, ażeby komendanci placówek nie spali, aby w całym obozie panował w nocy zupełny spokój, a nade wszystko, ażeby żadna niepowołana dusza z zewnątrz nie wtargnęła do środka obozu, jak niemniej aby nikt nie wydostał się z obozu. Nie wiedziałem jednakże, gdyż nikt tego nie wyjaśnił, dlaczego, jeżeli te wszystkie

ostrożności będą ściśle wypełniane, mam jeszcze „głową odpowiadać za całość i bezpieczeństwo oddziału“?

Po rozpoznaniu wszystkich stanowisk komunikacyjnych, obstawionych pikietami, jako też odebraniu haseł i odzewów, oficer, kończący dyżur, pożegnał mnie i udał się pośpiesznie na błogi spoczynek, a ja, włożywszy na siebie ciepły, krótki kożuszek, postanowiłem swój dyżur spędzić na wolnem powietrzu. A że kamień żórawia zastępowała wybornie mała w ustach fajeczka, przechadzałem się tedy w jej towarzystwie pomaleńku z jednego końca wsi na drugi, nadsłuchując uważnie. Oczywiście koń mój w stajni stał osiodłany, abym w razie potrzeby niezwłocznie mógł go dosiąść i pogalopować na zaalarmowane miejsce. Po godzinie może takiego spaceru, w czasie którego wśród niezamąconej niczem nocnej ciszy nic złego i złowrogiego dla nas nie zauważyłem, raptem na drodze ku zachodowi do Ujen usłyszałem coś nakszałt oddalonych kroków ludzkich, a ponieważ echa tych kroków nie ustawały, wyprowadziłem konia ze stajni, dosiadłem go i tęgim kłusem pojechałem w owym kierunku. Wkrótce też wyjaśniło się, iż przyczyną tych odgłosów było przymaszerowanie do nas kompanji strzelców, pod komendą porucznika Hupperta.

Z Henrykiem Huppertem kolegowałem od pierwszych początków organizowania oddziału Chmielińskiego w lasach sancygniowskich, a następnie w lasach pomiędzy Żłotym Potokiem, Suliszowicami a Konstantynowem, jeszcze na kilka tygodni przed bitwą pod Janowem, położonym właśnie w pobliżu owych ostatnich lasów. Pełniłszy podówczas służbę prostych szeregowców i ani nam w głowach nie było jakieś tam awansowanie na wyższe rangi.

Otóż z biegiem czasu rozdzieleni z przyczyny „awan-

sowania“, najniespodziewaniej w świecie zetknęliśmy się znowu ze sobą i do tego zimą, w tej miejscowości, ochrzczonej chyba przez Tatarów jakąś niesamowitą nazwą „Ujny“, i wreszcie o djabelskiej północnej porze.

— Prędzej możnaby się dostać do nieba, aniżeli do was — zawołał wesoło Henryk, ściskając się ze mną i całując serdecznie. — Szczególnie dwaj ułani, stojący w lesie na pikiecie, po zatrzymaniu nas i sprawdzeniu, że jesteśmy swoi tak nas jeszcze obwąchali na wszystkie strony, podejrzewając widocznie, azali nie jesteśmy przebranymi Moskalami, że wkońcu ze złości rozpasjonowany do żywego, zakomenderowałem do pochodu i niemal przemocą dostałem się tutaj.

Istotnie major Rębajło swoich kilkunastu kawalerzystów tak doskonale wyćwiczył do służby zewnętrznej obozowej, że dotąd ani razu Moskale nie zdołali podejść znienacka oddziału i dlatego jego żołnierze czy w dzień, czy w nocy są zupełnie zabezpieczeni od niespodziewanej rosyjskiej inwazji. Nadzwyczajna ostrożność i czujność jest w naszym położeniu zupełnie zrozumiała i konieczna, tem więcej, że nietylko w samych Moskalach mamy wrogów.

Na zapytanie moje, skąd się wziął z kompanją, wyjaśnił, że dostał wczoraj pisemny rozkaz, podpisany przez pułkownika Chmielińskiego i opatrzony pieczęcią oddziałową, polecający natychmiast po otrzymaniu wymaszerować przez Bieliny, Smyków i Wymysłów do Ujen i tu oczekiwać dalszych rozporządzeń.

Z tego, że rozkaz pochodził od samego Chmielińskiego, wynikało, iż zciągnięto tu nas nagle, nie zdążywszy nawet zawiadomić o tem majorów Bogdana i Rosenbacha.

Przypomniało mi się również, iż kapitan Grob po-

wiedział mi, że kiedy przedstawił się majorowi Rębajle zaraz po naszym przybyciu do Ujen, tenże okazał nadzwyczajne zdziwienie z naszego tu przymaszerowania, zachodząc w głowę od różnych przypuszczeń nad zagadkowym postępowaniem pułkownika Chmielińskiego.

Odprowadzając kompanję Hupperta do wsi, snuliśmy domysły co do czekających nas nowych zdarzeń. Nie było wyłączone, że generał Bosak, objeżdżając województwa krakowskie i sandomierskie na czele konnego z 200 ludzi oddziału, prowadzi najniezawodniej za sobą Moskali, a chcąc ich wciągnąć w zasadzkę naszej piechoty, wzmocnił nami oddział majora Rębajły.

Nie uważając za stosowne budzić śpiącego dowódcy, rozlokowałem sam po niezajętych jeszcze chałupach świeżo przybyłą kompanję, a meldunek o niej postanowiłem odłożyć do ранnego raportu.

Już przed brzaskiem dnia na drodze, wiodącej do Ujen z lasu, dał się słyszeć głuchy tętent galupującego konia. Nie tracąc ani jednej chwili, dosiadłem swego bieguna i popędziłem jak wicher dla zbadania przyczyny tętentu. W środku pola pomiędzy wsią a lasem zetknąłem się z jednym z dwóch ułanów, postawionych w lesie na najdalej wysuniętej pikiecie, który mi oznajmił, że z głębi lasu nadciąga większy oddział jazdy, daje przeto o tem znać osobiście, ażeby darmo nie alarmować strzałami obozu, gdyż mogą to być nasi. Pogoniłem więc z ułanem na miejsce pikiety, gdzie rzeczywiście przekonałem się o nadciąganiu lasem w kierunku naszym jakiegoś konnego oddziału i to już tak blisko, że oprócz tętentu końskiego dawał się nawet słyszeć szcęk pałaszy. Mogli to być Polacy, a mogli też być i Moskale. Nie tracąc więc sekundy, nakazałem pogotowie karabinków i stępa we trzech w jednym rzędzie, ruszyliśmy ostrożnie naprzód.

Po pięciu najwyżej minutach odróżnić już można było z przeciwnej strony parskanie koni, które nie mogły być więcej, niż o sto kroków od nas oddalone. Zatrzymaliśmy się w miejscu, żołnierze wzięli karabinki do oka, a ja donośnie zawołałem:

— Stój! Kto jedzie?

— Kawalerja narodowa generała Bosaka! — odpowiedziano mi chórem.

Poleciłem niezwłocznie powrócić dwum ułanom na swoje stanowiska, a sam podjechawszy naprzód, ominąłem szpicę oddziałową, nareszcie awangardę, a wkońcu zetknąłem się z bardzo długim szeregiem polskiej konnicy, w środku której w odkrytym powozie siedział generał Bosak ze swoim szefem sztabu pułkownikiem Chmielińskim.

Podjechałem do powozu i, salutując dostojników, w krótkich słowach zameldowałem się, jako oficer dyżurny, i o przybyciu do obozu majora Rębały w Ujnach dwóch kompanij piechoty z bataljonu majorów Bogdana i Rosenbacha.

Chmielińskiemu widocznie przypadło do gustu tego rodzaju moje zachowanie się, gdyż zaraz obsypał mnie szeregiem zapytań, które kompanje przybyły, jak dawno, w jaki sposób jako oficer dyżurny znajduję się tutaj i t.p.? Na wszystkie te pytania dawałem wyczerpujące odpowiedzi, w trakcie czego brzask dnia tak się rozjaśnił, że Chmieliński mnie poznał, gdyż zapytał:

— Czy nie porucznik Zienkiewicz?

— Tak jest, panie pułkowniku — odpowiedziałem.

— Wracaj zatem śpiesznie do obozu i uprzedź pana dowódcę o naszym przybyciu.

Zrozumiałwszy, że pułkownik Chmieliński przez za-

wiadomienie dowódcy w Ujnach chce zarazem zlustrować oddział majora Rębajły, oddałem ukłon wojskowy i wkrótce, przygalopowawszy do wsi, uwiadomiłem go o wszystkim.

Zaalarmowano niezwłocznie cały oddział i postawiono go wydłużonym szeregiem wszystkich kompanij wzdłuż drogi. Niebawem nadciągnęła stępa konnica generała Bosaka i, jadąc powoli przed frontem prezentującej broń piechoty polskiej, dała sposobność do wszechstronnego jej zlustrowania. Powóz następnie zajechał przed dwór, a dostojnicy w asystencji majora Rębajły wysiedli i weszli do wnętrza. Liczna konnica generała rozlokowała się wzdłuż drogi przy płocie, do którego poprzywiązywano konie i dano im obroku, piechota zaś powróciła do swoich kwater w chałupach.

Wypoczynek trwał nie dłużej jak godzinę, poczem nakazano wszystkim stanąć pod broń celem ogólnego z Ujen wymarszu. Mnie specjalnie polecono stanąć z plutonem piechoty na skraju lasu, przy drodze, wiodącej do Huty Szczecińskiej, skąd mając przed oczyma całe terytorjum Ujen ze wsią i wszystkimi polami, miałem za zadanie baczne obserwowanie, kiedy i z której strony wkroczą Moskale do opuszczonej przez nas miejscowości. Dodano mi ponadto dwóch kawalerzystów, ażeby z ich pomocą natychmiast po zjawieniu się nieprzyjaciela uwiadomił o tem oddział w Hucie Szczecińskiej, przewodnik zaś chłop, którego mi przeznaczono, miał mnie z plutonem, jako nieznającego okolicy, doprowadzić tam najkrótszą drogą, naprzetaj przez las. Stanowisko miałem zająć wtedy dopiero, gdy cała piechota i konnica wkroczą już do lasu.

Na czele plutonu żuawów zeszedłem wbok drogi, ażeby nie przeszkadzać pochodowi wojska i patrzyłem,

jak wzdłuż mojego szczupłego frontu przechodziła nie-liczna kawalerja Rębajły z trzema kompanjami piechoty, za którymi maszerowała kompanja kapitana Groba i dru-ga porucznika Hupperta, razem około 500 ludzi piechoty, przeznaczonej do niedalekiego już boju. Za piechotą po-stępowała konnica generalska, w środku której jechał po-wóz z generałem Bosakiem i pułkownikiem Chmieliń-skim, przed którymi nakazałem sprezentować broń.

W pewnem za nimi oddaleniu wyruszyłem w po-chód i po odejściu do lasu wstrzymałem się na skraju, obierając odpowiednie zadaniu stanowisko, to jest takie, aby od strony pola nie być przez nikogo widzianym i odwrotnie, abyśmy na oczach mieli całe terytorjum wioski Ujny.

O kilkanaście kroków od drogi, po lewej stronie znajdował się młody wprawdzie zagajnik, ale silnie i dość gęsto rozkrzewiony pod ochroną gdzie niegdzie pozostawionych, starych, wysokich drzew, tak zwanych nasienników. A ponieważ w tem miejscu teren pokryty był gęsto rosnącą trawą, suchem zielskiem i mchami, postanowiłem przeto tutaj się rozłokować i to stanowisko uczynić punktem obserwacyjnym. Następnie wybrałem jednego z żołnierzy i poleciłem wyleźć na najbliższej skra-ju lasu rosnące najwyższe drzewo, przez co zwiększyłem krąg swej obserwacji.

Początek grudnia był beśśnieźny i naogół bardzo suchy, z czego korzystając, pokładliśmy się wszyscy na ziemi, nie wyłączając przewodnika i dwóch kawalerzy-stów, którzy, przywiązawszy konie do drzewa, opowia-dali nam zabawne i uciężne przygody z kozakami, spo-tykanymi na różnych podjazdach. Od czasu do czasu ba-dałem czujność obserwatora na drzewie.

Miałem właśnie zarządzić zmianę żołnierza na drze-

wie, gdy ten zasygnalizował, że od strony Ujen jedzie jakiś jednokonnny wózek w naszym kierunku. Podstąpiliśmy na sam skraj lasu, kryjąc się za gałęzie drzewek, i rzeczywiście zobaczyliśmy wyjeżdżającego ze wsi żyda, którego jeden z naszych żołnierzy, odznaczający się bystrzejszym od innych wzrokiem, po jarmułce poznał. W tejże jednak chwili po przeciwnej stronie lasu położonego za Ujnami, na tej samej leśnej drodze, którą przybył do Ujen generał Bosak z kawalerją, pokazali się kozacy. Rozkazałem niezwłocznie ułanom dosiąść koni i uwiadomić oddział w Hucie Szczecińskiej o pojawieniu się w Ujnach Moskali. Sam zaś na czele plutonu z przewodnikiem obok siebie, już miałem wyruszyć w drogę do obozu, gdy wpadło mi na myśl zbadanie przyczyn żydowskiej ku nam jazdy.

I cóż się okazało?

Oto kozacy, spostrzegłszy z oddalenia poprzez wieś żydowski wózek, puścili się wyciągniętym galopem, przelecieli jak wicher przez wieś Ujny i w minucie wysforowali się na naszą stronę wsi. Żyd, usłyszawszy tętent koni za sobą, obejrzał się, a zobaczywszy goniących go kozaków, zaczął z całych sił popędzać swego bachmata, aby wymknąć się z ich szponów. Gdy zaś wychudzona, jak zwykle, żydowska szkapa nawet i w setnej części sprostać nie mogła ręczości koni kozackich, został wkrótce dopędzony i nie dalej jak o 200 kroków od nas otoczony przez najmniej dziesięciu kozuniów. Przetrząsanie worków na wózku i rzucenie z tegoż jakiejś beczułki było dziełem jednej sekundy, poczem żyda ściągnięto na ziemię, przytrzymano przez dwóch kozaków i zaczęto bez litości okładać qahajkami. Żyd zaczął wydawać tak straszne i przeraźliwe wrzaski, że zakomenderowałem wziąć na cel i dać ognia do pastwiących się nad nim kozaków.

Skutek był piorunujący: kozacy powskakiwali na konie i jak błyskawica czmychnęli zpowrotem, pozostawiając jednego zabitego i unosząc z sobą dwóch rannych towarzyszy, których z obu stron podtrzymywali na koniach. Konia zabitego kozaka zabrali z sobą. Żyd, jęcząc dalej z doznawanego bólu i trzymając się pewien czas za pośladki, opamiętał się wkońcu, powrzucał worki na wózek, a beczułkę, której nie mógł sam dźwignąć zostawił na drodze. Wygramolił się nareszcie na furę i wprost przez pola skierował konia do najbliższej położonej części lasu, do którego drogą nie chciał widocznie jechać w obawie dostania się we dwa ognie.

Tymczasem z lasu, skąd wyszli kozacy, zaczęły się pojawiać kolumny piechoty moskiewskiej. Nie było już czasu do namysłu, pomaszerowaliśmy tedy pośpiesznie z całym oddziałem, spotykając po drodze silny rekonesans naszej konnicy ze znajomym mi oficerem Truskolaskim na przedzie, wysłany ku Ujnom przez majora Rębajkę. Ustąpiliśmy im nieco z drogi, którą w szyku bojowym przezywali, pędząc z karabinkami gotowymi do strzałów.

Resztę drogi spędziłem na rozmowie z maszerującym obok mnie starszym sierżantem Stanisławem Lechickim, byłem uczniem Szkoły Głównej w Warszawie, którego bardzo lubiłem i ceniłem.

Z Ujen do leżącej na północno-wschodzie Huty Szczecińskiej jest trzy kilometry. Od Kielc zaś do Huty Szczecińskiej liczą 3 mile drogi. Sama Huta Szczecińska jest niemal okrągłą powierzchnią wykarczowanego w środku wielkich lasów pola, obejmującego około 50 morgów roli z pięcioma jedynie osadnikami, całkowicie biedne życie z tak niedostatecznej ilości kiepskiej roli tutaj wiodącymi. Kiedyś ich poprzednicy zajmowali się

hutnictwem wyrobów szklanych, lecz proceder ten już dawno został zaniechany. O jakieś 5 kilometrów na zachód od Huty Szczecińskiej znajduje się wieś Szczecno, od której Huta Szczecińska, jako do niej przynależna, swą nazwę przyjęła. W tej przeto osadzie generał Bosak polecił Rębajle stawić czoło nadciągającym nieprzyjaciołom zapomocą wyłącznego tylko użycia piechoty, albowiem szczupły teren odkrytego pola nie dozwalał konnicy na wzięcie udziału w bitwie. Generał Bosak z pułkownikiem Chmielińskim i z całą swoją kawalerją stanęli na drodze leśnej, ztyłu pola walki położonej. Droga ta prowadziła do wsi Cisowa w stronie północno-wschodniej o 3—4 kilometry od Huty Szczecińskiej.

Major Rębajło poruczył prowadzenie bitwy kapitanowi Jagielskiemu, który na linii chałup przez całą średnicę kolistego pola rozstawił swych żołnierzy w linii tyraljerskiej. Z dwóch stron końcowych tyraljerki porozmieszczał w lesie po dwie kompanie piechoty, wyciągnięte w kierunku nadejścia Moskali, zdaje się w tym celu, ażeby przy zamaskowanym cofnięciu wtył linii tyraljerskiej kapitan Jagielskiego, odrazu otoczyć Moskali i zamknąć im tyły odwrotu. Myśl była wyborna i ona to właśnie spowodowała dotkliwą klęskę wroga.

Kiedy przemaszerowałem do Huty Szczecińskiej i zameldowałem o przybyciu plutonu majorowi Rębajle, tenże polecił mi wrócić do swojej kompanii, umieszczonej na prawem skrzydle lasu. Nie upłynęło więcej jak kwadrans czasu, gdy piechota moskiewska zaczęła się wysypywać z lasu, a ujrzawszy na polu polską tyraljerkę, rozpoczęła strzelaninę. Żołnierze nasi odpowiedzieli ogniem. Kapitan Jagielski próbował parę razy cofać się wtył, aby dać naszym kompanjom, stojącym na skrzydłach w lesie, sposobność do zupełnego otoczenia Moskali,

lecz oni zwąchali pismo nosem i w żaden sposób nie dawali się zwabić do środka. Należało zatem użyć innego fortelu i to jak najszybciej, gdyż zmierzch już zapadał. Major Rębajło zatem sprawił im inną niespodziankę, a mianowicie rozkazał naszym skrzydłowym kompanjom posunąć się cicho naprzód i nagłym wypadem okrążyć wroga. Jednocześnie niewielkim oddziałem kosynierów zasilił obie skrzydłowe kompanje; mieli oni na specjalny rozkaz do ataku rozpocząć szcęk kosami, imitując natarcie większych sił.

Plan ten się udał. Padł rozkaz:

— Ba-ta-ljon ko-sy-nje-rów! na-aprzód ma-arsz!

Kosynjerzy zaczęli istotnie tak walić kosami o kosa, że powstało prawdziwe piekło. Moskałe, widząc, że to nie przelewki, że w razie wpadnięcia bataljonu kosynjerów na ich karki, zostaną zmasakrowani, zaczęli rzucać broń i tornistry i w największym popłochu uciekać w las. Wtedy nasze kompanje rzuciły się biegiem przed siebie, dokonywając dzieła zniszczenia.

Dowódca Moskali kapitan Fedorowski, ulubieniec generała Czengierego, z dohytą szablą w ręku z całą zapalczywością starał się zawrócić pierzchających na całym froncie żołnierzy. Nie zdołał już wszakże sytuacji opanować. W trakcie kiedy z pasją pałaszował uciekających żołdatów, natknął się na porucznika Jana Zawadzkiego, który z karabinem w rękach uwijał się po lesie za Moskałami. Fedorowski, zamiast rzucić krótką szablę i zdać się na łaskę przeciwnika, uderzył na niego z całą wściekłością zapamiętałego w nienawiści Moskala. Zawadzki na szczęście zorjentował się wporę, odskoczył dla rozmachu dwa kroki wtył i silnem pchnięciem bagnetu w piersi powalił go na ziemię.

Siły rosyjskie wynosiły sześć rot piechoty i jedną

sotnię kozaków, komenderowaną przez Daniłowa. Główny dowódca pułkownik Bentkowski, osławiony morderstwem Pawłowskiego pomiędzy Oksą a Kwiliną, przeznaczył do wstępnego boju najdzielniejszą rotę piechoty kapitana Fedorowskiego. W pewnem za nim oddaleniu, pomimo że to było w głuchym wysokopiennym lesie, postępował w linii flankierskiej Daniłow z kozakami.

Nie dalej jak o sto kroków za flankierami kozakimi Bentkowski rozwinął łukowato pozostałe swe siły, aby zaraz po rozpoczęciu boju przez kapitana Fedorowskiego oskrzydlić powstańców. Matnia sama przez się była dla nas tem niebezpieczniejsza, że siły moskiewskie przewyższały nasze trzykrotnie.

Lecz, jak to mówią, chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi.

Uciekająca z placu boju rota zamiast powstrzymać się na linii konnych flankierów, impetem swej panicznej ucieczki rozproszyła własnych kozaków. Następnie pod naporem następujących na nich czterech polskich kompanij wpadła na pozostałe rotę Bentkowskiego, które prażone zwycięsko rotowym ogniem Polaków, zachwiały się na swoich stanowiskach i nie wstrzymały gwałtownego naporu biegnących na nich szczątków rotę Fedorowskiego. Sam pułkownik Bentkowski zniknął z placu bitwy jak kamfora i nikt nie wiedział, co się z nim stało.

Bitwa nie trwała dłużej jak półtorej do dwóch godzin, udowodniając, że śmiałość natarcia i zawadjacka szalona brawura cuda mogą zdziałać. Na przeszkodzie większego pogromu Rosjan stanęła ciemna noc i gęste wielkie lasy.

Moskale w zabitych i ranionych stracili 51 ludzi, a w liczbie tej czterech oficerów piechoty i jednego oficera kozackiego. Jeńców zupełnie zdrowych, którzy do-

browolnie poskładali przed nami broń, wzięliśmy 22.

Z naszej strony mieliśmy 9 rannych i 7 zabitych, i to jedynie przy pierwszym natarciu rotę Fedorowskiego na tyraljerów kapitana Jagielskiego.

Z początku goniliśmy za nimi szeregami całkowitych kompanij, lecz gdy rozproszyli się po lesie, zmuszeni koniecznością, zastosowaliśmy tę samą do nich metodę, dzieląc się na plutony, półplutony, a nawet i sekcje. Przy końcu zatem takiego uganiania za Moskalami, mając przy sobie może najwyżej dwudziestu żołnierzy, wpadłem na gromadkę żołdatów, z sześciu ludzi złożoną.

— Brosajcie rużja (rzućcie broń) — wrzasnąłem za nimi.

Znużeni nad wyraz, posłuszni mojemu wezwaniu, natychmiast położyli karabiny na ziemi i, odstąpiwszy od nich na kilka kroków, z pokorną miną stanęli w miejscu. Sześciu moich żołnierzy zabrało po jednym karabinie, czterech zostawiłem do eskorty żołdatów, a poleciwszy wszystkim oczekiwać mojego powrotu, z resztą żuawów pobiegłem w lewą stronę lasu na dalsze polowanie. Wkrótce też natknęliśmy się jeszcze na trzech żołnierzy, najspokojniej w świecie siedzących na ziemi i wypoczywających. Na nasz widok nie tylko że nie okazali najmniejszej trwogi, lecz sami odsunawszy się od swoich karabinów, pozwolili sobie jak niewinne baranki zabrać do niewoli. Ze względu na zmęczenie usiedliśmy na chwilę obok nich, poczem pomaszerowaliśmy zpowrotem. Przy samych domostwach Huty Szczecińskiej spotkaliśmy generała Bosaka z pułkownikiem Chmielińskim, którzy, zostawiwszy swoją konnicę w lesie, przyszli osobiście przekonać się o rozmiarach klęski moskiewskiej. Ruch tutaj panował niezwykle. Ze wszystkich stron znoszono rannych Moskali, których natychmiast prowizorycznie

opatrywano i umieszczano po chałupach, zabitych zaś składano na jednym wybranym miejscu.

Generał Bosak, pułkownik Chmieliński i major Rębajło objężdżali pobojowisko, obliczając obustronne straty.

Już noc zapadła, a nasi żołnierze jeszcze zajęci byli przeszukiwaniem lasów, znoszeniem rannych i uprzątnięciem zabitych. Kapitan Grob osobiście objechał okoliczne wioski celem sprowadzenia furmanek zaścielonych słomą, dla ulokowania na nich rosyjskich rannych i odesłania razem z jeńcami generałowi Czengieremu do Kielc.

Mnie jako oficerowi służbowemu, któremu dyżur obozowy jeszcze się nie skończył, przypadła rola zaprowadzenia pewnego porządku. Z plutonem tedy żołnierzy obszedłem jeszcze raz całe pobojowisko i znaczną część lasu, a trafiających się jeszcze paru rannych odstawiłem niezwłocznie do wioski. Następnie wałęsających się gdzieś niedługo we wsi żołnierzy odsyłałem do stojących pod bronią pomiędzy wsią a lasem kompanij oraz porozstawiałem warty pod chałupami z rannymi z nakazem nie wpuszczania nikogo do wnętrza. Wkońcu, obchodząc kolejno wiejskie domostwa, doglądałem osobiście, czy ranni rosyjscy są, o ile to było możliwe, wygodnie ułożeni i czy rany ich opatrzone.

Tak chodząc po chałupach w jednej z nich znalazłem Fedorowskiego. Leżał na jakimś tapczanie, na środku izby. Izba duszna i brudna, słabo oświetlona jakimś kagankiem, bardzo przykre robiła wrażenie. Na odkrytej piersi widać było przebitą bagnietem ranę. Oddychał ciężko, miał zamknięte oczy. Ranka po każdym oddechu wydawała z siebie nieco pianki blado różowej, w takt oddechu występującej na wierzch lub kryjącej się do wnętrza.

Przystąpiłem bliżej.

Kapitan otworzył oczy, popatrzył na mnie bystrym i zadziwionym wzrokiem, jak gdyby sobie coś przypomniał, i słabym głosem w mowie mieszanej rosyjsko-polskiej rzekł:

— Gaspadin... ja gdzie to was widział... Każetsia u państwa Biechońskich? (Panie... ja gdzieś was widziałem... zdaje się u...).

Rzeczywiście na pierwszy rzut oka poznałem go, lecz z obawy narażenia domu państwa Biechońskich, chciałem zataić moją króciutką z nim znajomość. Kiedy jednak mnie poznał, nie było celu ukrywać incognita. Przyznałem więc po pewnem wahaniu, że istotnie poznałem go przed kilku miesiącami w domu państwa Biechońskich w Kielcach. Kapitan, widząc moje wahanie, pośpiesznie uspokoił mnie, abym się nie obawiał skutków tego poznania dla wspólnych naszych znajomych, a na dowód szczerości zapewnienia dał słowo honoru.

Wyraził zresztą wątpliwość, czy żywy dojedzie do Kielc. Prosił, aby w razie jego śmierci zakomunikował państwu B. słowa pożegnania od niego. To powiedziawszy, ciężko ranny kapitan z dużym wysiłkiem podał mi rękę i przymknąwszy oczy popadł w widoczną bezsilność.

Aby wyjaśnić moją chwilową z kapitanem znajomość muszę się cofnąć wstecz.

Wkrótce po bitwie pod Rudnikami, jakoś mniej więcej w początkach sierpnia 1863 r., gdyśmy odbywali zwykłe codzienne ćwiczenia w polu pod okiem Chmielińskiego, niespodziewanie zostałem zagadnięty przez pułkownika, który kazał mi się po ukończeniu musztry osobście w obozie przedstawić.

Zaciekawiony w wysokim stopniu tym rozkazem,

czekałem z niecierpliwością ukończenia ćwiczeń, rozmyślając w duchu, w jakim celu pułkownik wzywa mnie do siebie, czego będzie żądać i czy nie zechce może w ściślejszym kółku udzielić mi jakiejś admonicji? Powróciwszy z całym oddziałem piechoty do obozu, udałem się do szałasów naczelnika i stanąłem w postawie wojskowej.

— Czy znasz ty Kielce? — zapytał Chmieliński zlekka się uśmiechając.

— Nigdy w nich nie byłem — panie pułkowniku.

— To teraz je poznasz — odparł Chmieliński — Idź zaraz do magazyniera Sokołowskiego i powiedz w moim imieniu, ażeby cię przebrał w cywilny ubiór, poczem zgłosisz się do mnie.

Gdy przebrany w jakiś popielaty garnitur, w wyglansowanych butach zjawiłem się znowu w szałasie dowódcy, Chmieliński dał mi opieczętowany pakiet bez żadnego adresu i kazał go doręczyć w domu sędziego Biechońskiego w Kielcach. Dał mi następnie na osobnej kartce napisane upoważnienie do obywateli na udzielenie mi podwód do Kielc i zpowrotem. W drogę miałem się udać natychmiast. Oficer dyżurny wyprowadził mnie do najdalszej pikiety na drodze do Rudnik.

Najwyżej za godzinę już wyjeżdżałem z dworu w Rudnikach wygodną bryczką do następnego dworu i w ten sposób od wioski do wioski, tak zwany rzeמיennym dyszlem, posuwałem się coraz dalej. Szczęście mi służyło: w czasie tej podróży ani żywej duszy nie spotkałem. Późnym już wieczorem dotarłem w ten sposób do jakiejś fabrycznej wioski, podobno o jedną milę od Kielc położonej, i zajechałem wprost do mieszkania zarządcy, czy dyrektora fabryki. Gdy się przedstawiłem i wyjawilem cel podróży, oświadczył, że do Kielc absolutnie końmi jechać nie mogę, gdyż całe miasto tak jest

obstawione pikietami i tak silnie strzeżone, że poprostu spadłbym Moskalom odrazu w ręce.

Nie było innego wyjścia, jak tylko przyjąć ostrzeżenia zarządcy za jak najlepszą monetę, spożyć z jego rodziną kolację i położyć się spać. Nazajutrz po śniadaniu odbyłem z zarządcą naradę.

Był to wtorek, a więc dzień tygodniowego targu w Kielcach, na który włościanie z całej okolicy śpieszą do miasta. Otóż obmyśliliśmy sposób następujący. Starszy, wtajemniczony w sprawy Narodowej Organizacji, wieśniak miał pędzić krowę na targ, a ja miałem uchodzić za jego syna.

Niezwłocznie więc udałem się do pokoju, w którym czekał już na mnie może przeszło pięćdziesiąt lat liczący wieśniak. Tutaj z jego pomocą przebrałem się w grubą koszulę ze zgrzebnego płótna, parciane stare portki, które podpasałem rzemykiem, za pazuchę włożyłem pakiet Chmielińskiego, wreszcie przywdziałem na wierzch zabrukana płótniankę i już miałem wkładać buty na nogi, gdy mi wieśniak zwrócił uwagę, że bezpieczniej będzie pójść „na bosaka“.

Wyszedłem na podwórze w ogromnym słomianym „kapeluchu“ na głowie, chłop odwiązał od płotu stojącą przy nim krowę i w jej towarzystwie opuściliśmy fabrykę. Po krótkim czasie takiej podróży, wśród grubej warstwy prochu na drodze, nogi moje nabrały tej samej barwy szaro-popielatej, jak i cały gościniec. Wieśniak poradził mi wtedy zamknąć oczy, wziąć w ręce garść prochu z drogi i natrzeć nim twarz tak, ażeby, jak mówił, „nie było pana z gęby widać“. Po takim upudrowaniu, wśród niemiłościwej, coraz bardziej się rozmagającej śpiekoty, doszliśmy do miejscowości, gdzie na boku o kilka kroków od drogi, pod wielkiem rosnącym

drzewem, siedziało na koniach dwóch kozaków, którzy spojrzeli tylko na nas i nie ruszyli się nawet z miejsca.

O tysiąc może kroków dalej, spotkaliśmy na tej samej drodze posterunek z dwóch żołnierzy, ale i ci również nie zwrócili na nas najmniejszej uwagi. Niezadługo potem weszliśmy w szeroką przedmiejską ulicę, po obu stronach zabudowaną parterowymi domkami. Na tej to właśnie ulicy wieśniak zawrócił się na lewo, wchodząc w wydłużone podwórze, otoczone niskimi domkami. Mnie z krową pozostawił, a sam wszedł do jednej z sieni, zapytując głośno na progu, czy jest pan Müller w domu? Na to zapytanie ukazał się jakiś podeszłego wieku mężczyzna wysokiego wzrostu, o siwych długich włosach i twarzy jeszcze rumianej, ubrany po mieszczańsku, który porozmawiawszy z wieśniakiem, podszedł do mnie i polecił iść za sobą. Wieśniak wówczas odebrał krowę z mych rąk i pożegnawszy nas, poszedł w swoją drogę. Müller przeprowadził mnie przez całą długość podwórza, otworzył furtkę i znaleźliśmy się w ogrodzie warzywno-owocowym, na końcu którego po stronie prawej, w samym narożniku stał maleńki drewniany domeczek, coś w rodzaju krytej ogrodowej altany. Drzwi otworzył kluczem i znaleźliśmy się w maleńkim pokoiku, pobielonym na biało, w którym oprócz prostego drewnianego łóżka, prymitywnym sposobem zaścielonego i nakrytego zwykłym kocem i poduszką skórzaną, starego klawikordu, dwóch stołków i małego stoliczka, nic więcej nie było.

Okazało się, że mój gospodarz był z zawodu stroicielem, a ponieważ wolne chwile od pracy lubił spędzać w zupełnym spokoju, zrobił przeto wyłącznie dla siebie ten „gołębnik“, by zdala od ludzkich gwarów myśleć o znikomości świata. Był członkiem organi-

zacji cywilnej i pewnego rodzaju łącznikiem między okolicą a naszymi władzami miejskimi. Prosił, aby się rozgościć u niego, jak u siebie, i całkiem otwarcie powiedzieć, w jakim celu przybyłem.

Oznajmiłem mu więc, że jestem oficerem z oddziału Chmielińskiego, mam specjalną misję do sędziego Biechońskiego, do którego muszę osobiście się udać.

Pan Müller kazał mi się narazie umyć, posilić i wypocząć. Było właśnie południe, lecz zanim znalazł ubranie, dzień już był prawie na schyłku. Poza tem dziś nie można było już urządzić konferencji z Biechońskim z powodu jakiegoś jego zajęcia zawodowego. Zdecydowałem się więc tutaj przenocować, a jutro rano dopiero wypełnić misję. Nazajutrz wypoczęty i przebrany w porządny czarny garnitur po ósmej godzinie rano poszedłem z Müllerem do miasta. Przeszliśmy przez rynek, gdzie w narożnym domu widziałem prowizoryczną cerkiew prawosławną, z wiszącymi od frontu dzwonami, specjalnie dla rosyjskiego garnizonu urządzoną, a z przyległego boku rynku odwach moskiewski z kręcącymi się tu i owdzie żołdatami. Stąd weszliśmy w ulicę zabudowaną ściśle po obu stronach domami, o większym pokroju, ze sklepami, jak na miasto, o ile mi się zdaje jeszcze podówczas powiatowe, dosyć wystawnymi. Po przejściu tej ulicy, spostrzegłem po prawej stronie wielkich rozmiarów kościół, który Müller nazwał kolegiatą. I już niedaleko za ową kolegiatą znajdował się ładny i obszerny parterowy dom, stanowiący własność państwa Biechońskich, do którego mnie doprowadziwszy, Müller pożegnał się i powrócił do swojej siedziby.

Kiedy zapukałem do drzwi wchodowych, wyszła na moje spotkanie, jak się z obopólnego przedstawienia okazało, panna Helena Biechońska w czarnym stroju

z krzyżykiem o czarnym łańcuszku na szyi, godłem narodowej żałoby. Panna sędzianka, nadzwyczajnie sympatyczna szatynka, średniego wzrostu, odznaczała się spokojnością wymowy i taktem w obejściu, nakazującym szacunek. Poprosiła mnie zaraz do pokoju, posadziła na krześle i wysłuchawszy celu misji, przyjęła pakiet Chmielińskiego z oświadczeniem, że postara się o doreczenie mi żadanego receptisu. Potem przeszliśmy zrazu do okolicznościowej rozmowy, w której opowiedziałem wiele o życiu obozowym i o różnych żołnierskich przygodach, co pannę Helenę niezmiernie interesowało.

W czasie tej rozmowy ktoś zlekka zapukał do drzwi i niebawem wszedł do pokoju oficer rosyjski w mundurze kapitana. Był to Fedorowski. Nastąpiło wzajemne przedstawienie mnie jako kuzyna panny Heleny, a kapitana jako zakwaterowanego w ich domu gościa.

Pan kapitan, mówiący łamanym polsko-rosyjskim żargonem, obserwował mnie pilnie, tak jakbym był wcale niepożądanym dlań towarzyszem. Być może, iż posunąłby się do roli agenta policyjnego, lecz powaga i wysoki takt panny Heleny trzymały go na wodzy. Musiał się więc ograniczyć do zwykłej konwenansowej rozmowy, przeplatanej od czasu do czasu złośliwymi aluzjami z powodu narodowej żałoby, noszonej przez pannę sędziankę. Wtem z dalszych pokoi weszła w poważniejszym już wieku matrona, nie pamiętam czy matka, czy ciotka panny Heleny, która uprzedzając zdradzenie mojego incognito wobec kapitana, rzekła najspokojniej w świecie, wskazując na mnie:

— Nasz kuzynek, Kazio, sprawił mi dzisiaj wielką niespodziankę, przynosząc do czytania najnowsze książki.

— O, nasz kuzynek — odpowiedziała starsza pani

z zimną krwią — jest zawsze bardzo uprzejmym dla nas wszystkich, a szczególnie dla ciebie, Helenko.

Panna sędzianka lekko się zarumieniła, Moskał został zbity z tropu, a ja nabrałem większej pewności siebie. Wkrótce też Fedorowski pożegnał nasze towarzystwo.

I znowu potoczyła się lekka, swobodna i żartobliwa niczem niekrępowana pogawędka. I byłaby ta niewinna rozrywka przedłużała się w nieskoczność, gdyby nie pakiet Chmielińskiego. Obie więc panie poszły do miasta, radząc mi, ażebym do ich powrotu zajął się czytaniem porozkładanych na stole gazet, książek i pism ilustrowanych. Po przyjeździe pań otrzymałem od panny Heleny na małej karteczce skreślone poświadczenie odbioru pakietu, zaopatrzone w nieczytelny podpis i pieczętkę Organizacji Narodowej, a zarazem zaproszenie na obiad, po którego spożyciu panie przyjęły na siebie odprowadzenie mnie do pobliskiego (jak mówiły) klasztoru na Karczówce, skąd miałem wyruszyć w powrotną drogę do obozu.

Aleja za miastem, którą po południu szliśmy ku klasztorowi, była wprost czarująca. Drzewa, po obu stronach drogi rosnące, ocieniały miejscowość tak przyjemnie i rozkosznie, że palące bez litości słońce, gęsto zwartych na drzewach liści żadną miarą przebić nie mogło. Z okolicznych pól unosił się w powietrzu niemal duszący aromat ziół i polnych kwiatów, a miliony polnych koników tworzyły tę cudną muzykę, jaką tylko człowiek wychowany na wsi ocenić potrafi.

Szedłem obok pań jakiś zadumany, nieswój i pograżony w rzewnych marzeniach. Tego samego uczucia doświadczały widocznie i obie panie, bo nie przerywały ani jednym słówkiem tego głębokiego spokoju, jaki go-

ścił w naszych jestestwach, zasugestjonowanych nadziemską grą maleńkich śpiewaków bożych.

Droga ta długości ze 2 kilometry doprowadziła nas wkońcu do raptownego wzgórzystego wzniesienia, na wierzchu którego stał kościół i klasztor OO. Bernardynów, czy też Kapucynów. Tutaj to, przed samą prawie furką nastąpiło ostatnie nasze pożegnanie, po którym panna Helena zcicha wyrzekła:

— Proszę się zaraz przedstawić księdzu przeorowi i nasze Kielce zachować w swojej pamięci.

— O mojej pamięci — odpowiedziałem — możecie, panie, być najzupełniej przekonane. Ale — dodałem jak w przeczuciu pytanie — czy losy pozwolą widzieć mi jeszcze kiedy tak lubie dla mnie Kielce?

Panie w tej chwili odwróciły się i zaczęły powoli schodzić z góry nadół. Długo jeszcze stałem na miejscu i patrzałem za odchodzącymi, dopóki w cienistych alejach całkowicie nie znikły mi z oczu.

Zapukałem do furty i zaprowadzony do księdza przeora z zadziwieniem dowiedziałem się, że tłumoczek z chłopskim ubraniem, w którym przybyłem do Kielc, już się tutaj znajduje i że mam go zawieść do fabryki, gdzie przedostatnią noc spędziłem. Niebawem zajechała bryczka i po krótkim czasie odwiedziłem znowu pana zarządcę fabryki. Gdy mu oddawałem chłopskie ubranie, tenże roześmiał się i rzekł:

— Trzeba panu wiedzieć, że w tym garniturze i w towarzystwie tej samej krowy nie pan już jeden z obozów dostawał się do Kielc.

Zdjąłem następnie czarne ubranie, otrzymane od Müllera, które napowrót przy najbliższej okazji miało mu być odesłane. Sam zaś po włożeniu obozowego gar-

nituru pożegnałem zarządcę i od dworu do dworu bez żadnej przeszkody dostałem się do obozu.

Natychmiast zameldowałem się pułkownikowi i wręczyłem pokwitowanie na pakiet doręczony w Kielcach. Chmieliński, zadowolony z dodatniego wyniku mojej jazdy, ofiarował mi kilka wyborowych cygar i zapytał o szczegóły podróży do Kielc.

W takich to okolicznościach zawarta została znajomość z kapitanem Fedorowskim, którego teraz życia i śmierci bezmała byłem panem.

Lecz wracam do przerwanego wątku opowiadania.

Po pewnym czasie przyjechał nareszcie do Huty Szczecińskiej kapitan Grob z furmankami wysłanemi słomą, na które pod osobistym naszym nadzorem zaczęto z zachowaniem wszelkich ostrożności wynosić rannych. Kapitana Fedorowskiego i ciężko rannych oficerów i żołnierzy umieściliśmy na podwodach osobno. Lżej raniionych lokowano po dwóch, a nawet i po trzech na jednej furmance. Obok podwód mieli postępować rozbrojeni jeńcy rosyjscy, zaopatrzeni przez majora Rębajłę w pieniądze na drogę. Jeden z rannych oficerów otrzymał list dowódcy oddziału do generała Czengierego w Kielcach.

Jak mi później w drodze na Sybir opowiadali koledzy powstańcy, sądzeni w Kielcach, kapitan Fedorowski żył jeszcze trzy dni pod osobistym dozorem i nadzwyczajną pielęgnacją generała Czengierego, którego był ulubieńcem. Czengierey kazał mu urządzić nadzwyczaj wspaniały z bardzo wielkimi honorami pogrzeb, a za śmierć ukochanego oficera mścił się potem surowo na wziętych do niewoli jeńcach polskich.

Po wyprawieniu z Huty Szczecińskiej transportu rannych jeńców do Kielc, pomaszerowaliśmy natychmiast lasami na nocleg do pobliskiej wsi Cisowa.

Nazajutrz, gdyśmy mieli wracać na swoje stare kwatery, a kompanje kapitanów Groba i Hupperta stały już w pogotowiu do wymarszu, nadszedł generał oraz pułkownik ze sztabem i zatrzymał się przed kompanją żuawów. Sprezentowaliśmy broń. Wówczas generał oświadczył, że za odznaczenie się w boju porucznicy Zawadzki i Zienkiewicz otrzymujemy medale, które nam na wstążeczkach biało - amarantowych zaraz na piersiach przypięto. W ten sposób wyróżniono nas: porucznika Zawadzkiego za zranienie w boju wręcz kapitana Fedorowskiego, a mnie za wzięcie jeńców. Mówiono, że takie same odznaczenie otrzymał również kapitan Jagielski.

Medale te, wielkości srebnego austriackiego guldena, pojawiające się przy końcu 1863 r. w bardzo małej ilości, były udzielane wyjątkowo. Bito je dwójako: ze srebra i z aliażu, naśladującego srebro. Z jednej strony nosiły napis „Towarzysz broni 1863/64“, okolony wieńcem z liści laurowych i dębowych, po drugiej zaś orzeł polski na tarczy, ściętej ku dołowi, przyozdobionej dookoła rycerską armaturą. Obecnie medale te są bardzo rzadkimi unikatami, tak że, o ile wiem, w dawnej Galicji posiada taką dekorację tylko kolega Józef Michniewski, który, jak mówiono, uzyskał to odznaczenie za współuczestnictwo w słynnej obronie Głanowa pod dowództwem Krukowskiego.

O poruczniku Janie Zawadzkim (Jastrzębskim) głoszono, że kiedy na późniejszym stanowisku naczelnika oddziału straży narodowej dostał się do niewoli i został skazany na śmierć, stracono go przez powieszenie w dniu 3 maja 1864 r. w Stopnikach z przypiętym na drwiny owym medalem na piersiach. W naszym oddziale słynął ś.p. Zawadzki z wysokiego wzrostu, gdyż prawie o głowę przewyższał wszystkich żołnierzy w całej kom-

panji, i z niepospolitej energii. Był dość szczupłej budowy, o silnym i czarnym zarostie twarzy, mniej więcej wieku lat 25.

W Cisowie ostatni raz widziałem generała Bosaka i pułkownika Chmielińskiego. Prędko po sobie następujące wypadki zakończenia sprawy narodowej z orężem w rękach nie dozwoliły mi już nigdy oglądać tych drogich, prawdziwie bohaterskich postaci.

Odtąd też nie miałem już więcej sposobności widzieć osobiście w powstaniu owego dzielnego dowódcy, majora, późniejszego pułkownika Rębajły, pod którego rozkazem zdobyłem to odznaczenie. Pamiętam, że w Ujnach i w Hucie Szczecińskiej major Rębajło przedstawił się naszym oczom w zupełnie pospolitym stroju, a mianowicie w zwykłym prostym kozuchu, pokrytym sieraczkowem suknem, pozapinanym pod samą szyję, z głową, nakrytą siwą barankową czapką, z karabinem zawieszonym na pasie przez ramię. Jadał z kotła wspólnie z żołnierzami, nie odróżniając się od nich niczem. Pomimo to rygor w jego obozowisku panował nadzwyczajny, a każdy z żołnierzy dałby się za niego w kawałki porąbać. Stanąwszy na służbę Ojczyźnie w końcu lipca 1863 r., wytrwał bez przerwy na straconym posterunku aż do kwietnia 1864 r., zawstydzając swoim postępowaniem całe falangi tuzinkowych dowódców i sztabowych oficerów, którzy po przebyciu jednej lub dwóch bitew, staczali następnie walne potyczki po kawiarniach, cukierniach i różnych spelunkach poza granicami kraju lub w bezpiecznej od moskiewskich kul Galicji.

KAMPANJA ZIMOWA I BITWA POD OPATOWEM.

Kto znał dokładnie przebieg ruchu powstańczego w województwie krakowskim i sandomierskim, zapomnieć nie mógł, że Zygmunt Chmieliński jako wódz odznaczał się tak wybitnymi zdolnościami, odwagą, energią, bezinteresownym patriotyzmem i zupełnem dla sprawy narodowej poświęceniem, że mało kto w tej mierze mógł mu dorównać. Był on od maja 1863 r. nieprzerwanie czynny na widowni bojowej, aż do 16 grudnia 1863 r., t.zn. prawie przez osiem miesięcy, i w czasie tym stoczył 16 bitew z Moskalami, a mianowicie:

1) po wejściu z Krakowa w granice Kongresówki, potłukł i rozpedził pod miasteczkiem Skalbmierzem pół sotni kozaków, dowodząc 40 polskimi kawalerzystami, a było to przy końcu maja;

2) w miasteczku Janowie, na linji Przyrów—Żarki zaatakował 6 lipca Rosjan i, pobiwszy ich na głowę, zaopatrzył oddział w zdobytą broń;

3) w bitwie pod Rudnikami pomiędzy Włoszczową a Konieczpołem, stoczonej 27 lipca, zaatakowany przez trzykrotnie większe moskiewskie siły, po całodziennym boju w czystym polu, zdołał się wieczorem w największą

szym porządku wycofać, zadając nieprzyjacielowi trzy razy większe straty od swoich;

4) w Obiechowie, na północny zachód od Wodzisławia, napadnięty 16 sierpnia przez rosyjskiego pułkownika Schulmana siłami przeszło trzykrotnie większymi od sił powstańców, w samych zabitych zadał mu tyle strat, ile w zabitych i rannych stracił oddział Chmielińskiego; prócz tego Rosjanie odwieźli 16 wozów rannych do Wodzisławia;

5) w Białej Wielkiej, na wschód od miasteczka Lełowa, Rosjanie 18 sierpnia, podszedłszy nocą na bliski dystans do stojącego pod bronią, gotowego do wymarszu oddziału, i po niespodziewanej salwie karabinowej, zdołali go rozprościć, nie zyskując najmniejszego dodatniego dla siebie skutku; oddział Chmielińskiego następnego dnia znalazł się w zupełnym komplecie, nie utraciłszy ani jednego żołnierza;

6) pomiędzy Prątkowicami a Przedborzem w początkach września trzydniowe wysiłki Rosjan, zmierzające do wpakowania Polaków do rzeki Pilicy, dały wynik: sześciu naszych zabitych i rannych, po rosyjskiej zaś stronie przeszło pięćdziesięciu; wobec gotowości oddziału Chmielińskiego do ataku, pomimo grubo przeważających sił, Rosjanie, ile nóg starczyło, uciekli do Kielc;

7) pod Ciernem na północny zachód od Jędrzejowa, 22 września bitwa z silniejszą czterokrotnie kolumną generała Czengierego, zakończona odwrotem Chmielińskiego w porządku i z nieznacznymi stratami;

8) bitwa pod Warzynem, położonym 5 kilometrów na południe od Cierna, jako dalsze następstwo bitwy pod Ciernem, stoczona 23 września;

9) bitwa pod Czarncą na południowy zachód od

Włoszczowy, stoczona 24 września, jako dalszy ciąg walk pod Ciernem i Warzynem;

10) bitwa pod Mełchowem, na północ od miasteczka Lelowa, zwycięsko zakończona po całodziennym boju 30 września;

11) bitwa całodzienna pod Oksą pomiędzy Włoszczową a Jędrzejowem, stoczona 20 października, zakończona odwrotem Chmielińskiego w największym porządku;

12) pod Kwiliną na południowy zachód od Oksy 21 października nocny napad Rosjan, pozostawionych w Oksie, bez żadnych dla nich korzyści; rozproszeni niespodziewanym atakiem rosyjskim polscy żołnierze, zebrałi się nazajutrz bez żadnego braku w ludziach;

13) Opatów 25 listopada. Józef Hauke-Bosak mianowany w czasie listopadowym generałem i dowódcą sił zbrojnych województwa krakowskiego i sandomierskiego, z pułkownikiem Chmielińskim w roli szefa sztabu przy swym boku, zamierzeli wykonać atak konnicy na powyższe powiatowe miasto. Na czele trzech szwadronów jazdy o 5 godzinie rano wpadli do Opatowa, znośząc przedtem rosyjskie pikiety. Szwadron rotmistrza Turckiego, przy którym był Chmieliński, miał polecenie objechać miasto z lewej strony i zabrać kasę powiatową. Oddział rotmistrza Prędowskiego miał rozkaz atakować komendę żandarmów, trzeci majora Rudowskiego, w jego nieobecności dowodzony przez rotmistrza Salbacha, przy którym znajdował się Bosak, był przeznaczony do alarmowania miasta z prawej strony. Atak powiódł się zupełnie. Kasa powiatowa w ilości 35,000 złp. została zabrana. Pięciu żandarmów wzięto do niewoli. W Opatowie była jedna rota piechoty z małą liczbą kozaków

i żandarmów. Z naszej strony podporucznik Tyszkiewicz został zabity, a podporucznik Morze raniony;

14) pod Ociesøkami (w środku trójkąta Chmielnik, Wielce, Opatów) dnia 27 listopada;

15) w Hucie Szczecińskiej, albo Szklanej pomiędzy Ociesøkami a Szczecnem, 9 grudnia Moskali pobito zupełnie;

16) atak piechoty i kawalerji rosyjskiej na konnicę polską pomiędzy Rzechowem a Bodzechowem (na południe od m. Ostrowca) 16 grudnia, kiedy to pułkownik Chmieliński, ranny na placu boju, dostaje się do niewoli, a w kilka dni później został rozstrzelony w Radomiu.

Do wielkich sukcesów pułkownika Chmielińskiego zaliczyć należy schronienie się przed pościgiem olbrzymich sił moskiewskich po bitwie mełchowskiej, kiedy napierany z tyłu i obu boków przez bardzo liczne kolumny moskiewskie, pomimo zręcznego manewrowania na przestrzeni przeszło czteromilowej, od Lelowa poczynszy, ku wschodowi i przejścia przez rzekę Pilicę, był zmuszony dać się w młynie dzierzgowskim tak otoczyć, że zdawało się niepodobieństwem ocalenie z górą tysięcy podwładnych mu powstańców z pułapki. Pomimo to Chmieliński przy pomocy przewodników z wiossek, przez które przechodził, potrafił pojedynczemi kompanjami wymknąć się, nie straciwszy ani jednego żołnierza.

Pułkownik Chmieliński, niezwykle czynny w działaniach, umiał skutecznie operować zorganizowanym przez siebie oddziałem i pomimo bezustannych na siebie wypraw moskiewskich, nie tylko stale odpierał zawsze przeważające siłą ataki wrogów, lecz również potrafił ich zręcznemi ruchami i obrotami męczyć i nużyć, a znakomicie obmyślanemi zasadzkami bić i rozpraszać.

Zygmunt Chmieliński był demokratą „czystej wo-

dy“ bez najmniejszych odcieni. Siłę fizyczną Polski widział tylko w ludzie wiejskim, stale utrzymując wiarę odzyskania niepodległości narodowej jedynie zapomocą gminu. Stąd też ubolewał nad jego ciemnotą i umysłowym ograniczeniem. Jako dowódca, acz nielicznej siły zbrojnej, działał zawsze samoistnie, nigdy nie zwierzając się przed nikim ze swoich zamiarów, planów i postanowień. A że działał dobrze i skutecznie, o tem wszystkim było wiadomo.

Niepomału też dziwny jest artykuł Bolesława Anca, na czele publikacji W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego, w roku 1903 we Lwowie wydanej, w którym pomiędzy mnóstwem błędów i usterek i niebywałych opisów mieści się też i niedorzeczne, bo uprzedzające bitwę pod Mełchowem, wyznaczenie Chmielińskiego, opowiedziane w Drochlinie poprzedniego dnia przed bitwą:

„Tu, w lesie mełchowskim na tej polanie (polany właśnie nie było) ich przyjmimy, ja z moimi w środku, Otto na lewym skrzydle, Zaremba na prawym. Moskali niewiele bo sześć rot (kompanji), dragoni i kozacy — to tyle co nas. — Ale nasza pozycja dobra i jeżeli żołnierze nie zawiodą, to się ich zwycięży“...

Pułkownik Chmieliński, znany aż nadto dobrze z zamknięcia się w samym sobie i z niezawierania się ze swoich myśli, miał zrobić wyłom ze stałych swoich przekonań, aby p. Ancowi opowiedzieć, że jutro na tej polanie przyjmie bitwę i zwycięży Rosjan, jeżeli żołnierze nie zawiodą.

Czy jest możliwe, ażeby przygotowujący się do spotkania z nieprzyjacielem dowódca mógł na dzień naprzód opowiadać, że „na tej polanie“ przyjmie bitwę? Każdy z komendantów, chociażby nawet i nie był wyszkolonym oficerem, zrozumie niedorzeczność takiego twierdzenia, a szczególnie w powstaniu, gdy mając do

czynienia zawsze z grubo większymi siłami wrogów, nie mogliśmy nawet ręczyć za jedną bezpieczną godzinę.

Bardzo też wątpić należy, ażeby pułkownik Chmieliński użył kiedy wyrażenia: „jeżeli żołnierze nie zawiodą“, gdyż Chmieliński, dozorując osobiście codziennych wojskowych ćwiczeń oddziału, jednocześnie wychowywał swych podkomendnych w karności, i dlatego, walcząc na ich czele z przeważającymi siłami, nie doznał nigdy zawodu ze strony swojej piechoty.

Zupełną zaś nieprawdę napisał Anc na str. 44, że:

„po śmierci Bończy (Bieszczynski) oddział Chmielińskiego powiększył się o stokilkadziesiąt koni, jako resztę oddziału Bończy. Charakterystycznym było przyjęcie tej resztki przez Chmielińskiego, nie pamiętam czy w Obiechowie, czy w Seceminie. Ustawivszy ten oddział, otoczyć go kazał swoją piechotą, a potem wypowiedział mowę do tych, którzy wodza swego na polu bitwy haniebnie odbiegli, wymyślał ich tak polskimi jak moskiewskimi wyrazami, a następnie zakonkludował, iż nie są oni godni siedzieć na koniach i że powinni naprawić swą sławę kosami. Zakomenderował więc: „z konia“, a rozbroiwszy uciekinierów, kosy im dać kazał.“

W rzeczywistości zdarzenie to miało następujący przebieg: 19 czerwca obozowaliśmy w wiosce Seceminie, gdzie oddział Chmielińskiego w dalszym ciągu się organizował. Otóż powyższego dnia do Secemina nadciągnął liczny jeszcze, gdyż przeszło 150 koni liczący, oddział rotmistrza Działoty h. Grzymały (rodzina pochodzenia włoskiego). Poprzedniego dnia ten sam oddział, zostający pod dowództwem Bończy, stoczył bitwę pod Górami, niedaleko wsi Lubczy położonemi. Wynik bitwy był straszny: Bończa, jeden z najzdolniejszych naszych dowódców, oficer armji rosyjskiej, został najokropniej przez dragonów czy kozaków zmasakrowany, a to skutkiem panicznej ucieczki z pola bitwy polskich kawalerzystów. Ciało jego zostało literalnie tak posiekane i pokłute, że gdy tego opuszczonego bohatera przyniesiono na płachtach do

dworu w Lubczy, po kilkunastu godzinach najstraszliwszych męczarni, zakończył życie. Rotmistrz Dzianott, dowodzący jednym z dwóch szwadronów Bończy, objął po jego śmierci dowództwo reszty całego oddziału i naza jutrz przybył do Secemina po to, ażeby pozostać w oddziale Chmielińskiego pod osłoną jego piechoty.

Byłem naocznym świadkiem złożenia owej wizyty i jej wyniku.

Parterowy, drewniany i długi budynek dworski w Seceminie odznaczał się bardzo obszernym placem, przed frontem, na którym w długich dwóch szeregach uszykowała się kawalerja po zmarłym Bończy. Po niedługiej chwili z dworu wyszedł z adjutantem Wiśniewskim pułkownik Chmieliński, a stanąwszy przed swoją piechotą, umieszczoną naprzeciw oddziału Dzianotta, grmiącym głosem przemówił:

— Za karę, żeście haniebnie opuścili na polu bitwy swojego własnego dowódcę, degradowuję wszystkich oficerów na podoficerów, a podoficerów na szeregowców.

Ledwie te słowa pułkownika przebrzmiały w powietrzu, rotmistrz Dzianott zakomenderował:

— Kawalerja... dwójkami od prawego... naprzód... marsz!

Rozległ się tętent koni, które stopniowo przeszły w dobrego kłusa i niezadługo już było tylko widać... ogony ostatniej dwójki.

Chmieliński widocznie zirytowany, bo z wypiekami na twarzy, powrócił z adjutantem do dworu, a z oddziału Dzianotta zostało tylko smutne wspomnienie zupełnie w niedługim czasie zmarnowania tego pięknego na oko oddziału, bez najmniejszej korzyści dla społeczeństwa i sprawy narodowej. A szkoda była niezmierna, gdyż oddział ten, składający się w połowie z ułanów i kra-

kusów, był nadzwyczaj malowniczo umundurowany, siedział na wyborowych koniach i odznaczał się znakomitą uzbrojeniem.

Drugim i trzecim faktem było niedotrzymanie placu boju w walkach pod Rudnikami i Mełchowem, za co rotmistrz R. miał być oddany przez Chmielińskiego pod sąd wojenny.

Na uniewinnienie jednakże polskich kawalerzystów zaznaczyć potrzeba, że w powstaniu ten rodzaj broni nie posiadał dłuższego wyszkolenia wojskowego, niezbędnie potrzebnego do praktycznego na polach bitew działania, że kawalerzysta więcej niż piechur wymaga ćwiczeń w rąbaniu pałaszem i działaniu lancą, jak niemniej w strzelaniu z konia do celu. Jeździec zaś w powstaniu, przeważnie używany do służby obozowej, do obstawiania pikiet zewnętrznych, do licznych rekonesansów i podjazdów, faktycznie bardzo mało miał czasu na naukę obrotów i ćwiczeń wojskowych. Tem się też tłumaczy, że polscy kawalerzyści w powstaniu 1863 r. żadną miarą nie mogli sprostać znakomicie i wszechstronnie wyrobionym i wyćwiczonym kozakom, huzarom i dragonom rosyjskim.

Młodzi synowie obywateli ziemskich, nie zastanawiając się nad olbrzymio większym bezpieczeństwem piechura polskiego i bardzo łatwym przyswojeniem obrotów karabinowych w piechocie, przekładali piękny krakowski lub ułański mundur, pobrzękiwanie szablą i ostrogami, miły flirt z panienkami po szlacheckich dworach, gdzie stale wstępowało się z okazji różnych podjazdów i licznych ekspedycji. A że przy takich sposobnościach o wiele się lepiej zjadło i wypilo, aniżeli w leśnych obozowiskach, to przecież każdy aż nadto dobrze zrozumie. Następstwem niewyrobienia należytego kawalerzystów

było, że oddziały polskiej konnicy, jak prędko się pojawiały na widowni powstania, tak jeszcze prędej z niej znikwały.

Pułkownik Chmieleński znał osobiście aż nadto dobrze wartość kawalerji powstańczej i dlatego wprost niezrozumiałe jest, czemu bezpieczeństwo swojej osoby właśnie tej kawalerji powierzył. Chmieleński powinien był pojmować, że życie jego w czasie opowiadany nie należało wyłącznie tylko do jego rozporządzenia, gdyż stanowiło wówczas własność całego narodu, całej Polski, która miała prawo żądać od niego lepszej ochrony swej osoby.

Wbrew takiemu pojmowaniu pułkownik Chmieleński stanął na czele konnicy, złożonej z pięciu szwadronów pod komendą rotmistrzów: Prędowskiego, Turskiego, Krzywdy (Rzewuskiego), Wysockiego i Wielobyckiego, razem o sile 450 koni i, odjeżdżając z nimi przy boku generała Bosaka piechotne oddziały, doczekał się ostatniej bitwy w swem bohaterskim życiu, stoczonej w dniu 16 grudnia 1863 r. pomiędzy Rzechowem a Bodzechowem.

Panowie oficerowie i wogóle ci wszyscy kawalerzyści, którzy udział w tej bitwie brali, a pojmowali współwzięcie porzucenia na placu boju swego dowódcy, którego czyny cała Polska podziwiała, starali się wszelkimi sposobami zatruszować swoją hańbę, chociaż żadne tłumaczenie absolutnie niczem zatrzeć jej nie dało.

Ogólna fama w oddziałach powstańczych, tak w kraju, jako też i pomiędzy polskimi jeńcami, maszerującymi w puste obszary Sybiru, jednogłośnie brzmiała, że pułkownik Chmieleński, skutkiem odniesionej rany spadłszy z konia, od całej falangi uciekających obok niego kawalerzystów żadnej pomocy nie doznał i że nikt nie poświęcił siebie, aby oddaniem własnego konia i osobistą po-

mocą ocalić tak drogocenne życie powszechnie wielbionego naczelnika.

Nasi polityczni więźniowie, sądzeni w Radomiu za udział w powstaniu, opowiadali, że dragoni rosyjscy, którzy wzięli do niewoli rannego pułkownika Chmielińskiego, naigrawali się z polskiej konnicy, że w liczbie czterystu pięćdziesięciu ludzi, zostawili im na pastwę swego najznakomitszego wodza, który po spadnięciu z konia, leżąc ranny na ziemi, uniknął doraźnej śmierci przez rozsiekanie na miejscu dzięki temu, że gdy dragoni moskiewscy, dopadłszy go, zamierzali pałasze do zadania ostatniego śmiertelnego ciosu, wódz polski po rosyjsku zawołał:

— Nie trogaj... ja Chmielińskij! (Nie rusz!.. ja Chmieliński)

Najlepiej sławę pułkownika Chmielińskiego ocenili sami Rosjanie, bo kiedy ciężko rannego naczelnika przewieziono do Radomia, tamtejsze władze wojskowe natychmiast telegraficznie zawiadomiły o tym nadzwyczajnym sukcesie wszystkich najwyższych dygnitarzy całego kraju i Petersburga. To też zaraz nazajutrz i następnych dni zewsząd zjeżdżało wielu generałów i dostojników, a pomiędzy nimi nawet sam namiestnik carski hr. Berg z Warszawy, aby zobaczyć osobiście oblicze najśłynniejszego polskiego wojownika.

W nagrodę jednakże swoich wysokich wizyt, uzyskał całkiem zasłużoną pogardę, gdyż Chmieliński odwracał się od nich twarzą do ściany, nie chcąc odpowiadać na zadawane mu pytania.

Być może, iż z zemsty za tę zniewagę lub z obawy, ażeby Chmielińskiemu, pomimo silnego strzeżenia, nie ułatwiono ucieczki, trzeciego czy czwartego dnia po prze-

wiezieniu do Radomia rozkazano go wyprowadzić na miejsce egzekucji i rozstrzelać.

Wyrok wykonano w ten sposób, że dwaj siepacze moskiewscy, ująwszy pod pachy ciężko osłabionego pułkownika i zawlokłszy na plac stracenia, przywiązali go do słupa. Wówczas przystąpił do Chmielińskiego podoficer rosyjski i gwałtownem szarpnięciem ręki zdarł pułkownikowi srebrny buljon, na lewem ramieniu przyszyty. Oddział żołdatów dał salwę na komendę oficera, kule świsnęły i wielka Rosja raz na zawsze została zwolniona od wiszącej nad nią grozy w osobie pułkownika Chmielińskiego.

Konsekwencją śmierci Chmielińskiego w województwie krakowskiem i sandomierskiem było znaczne osłabienie ducha żołnierzy, którzy pokładali w nim wielkie zaufanie.

Władze powstańcze wiedziały bardzo dobrze, czem był Chmieliński dla ogółu żołnierzy, biorących udział w insurekcji polskiej, i dlatego przez dłuższy czas energicznie zaprzeczały coraz bardziej szerzącym się pogłoskom o jego śmierci, obawiając się niechybnych najzgubniejszych skutków zniknięcia bohaterskiego pułkownika z horyzontu powstania.

A gdy wreszcie ta hiobowa wieść stała się wiarogodna, nie dająca się zaprzeczyć, trzeba było widzieć i słyszeć, co się podówczas działo w naszych oddziałach piechotnych, jak jad zwątpienia wsącał się w szeregi, jak zjawily się przepowiadanie rychłego upadku powstania, jak ogólnie przeklinano haniebnny czyn kawalerji Chmielińskiego.

Finezja panów kawalerzystów doszła do tego stopnia, że jeszcze w kilkanaście lat po powstaniu, rotmistrz teje kawalerji p. Rzewuski (Krzywda) w swoich

Wspomnieniach obozowych usiłował rzucić płamę na były oddział Iskry, jakoby pozostała po nim piechota odgrażała się pomścić śmierć Iskry śmiercią Chmielińskiego, a Chmieliński miał ją za to osobiście skarcić.

Należałem osobiście do byłego oddziału Iskry i jako oficer, mianowany przez pułkownika Chmielińskiego, pomimo rozdzielenia oddziału na kompanję, miałem sposobność pozostawania w kontakcie z całym oddziałem, a nigdy od byłych żołnierzy Iskry nic więcej nie słyszałem, jak tylko słowa najwyższego uwielbienia dla działalności ś. p. pułkownika Chmielińskiego. Kompozycja zaś była tem śmieszniejsza, gdy rotmistrz Krzywda nic a nic o tem nie wiedział, bo nie chciał widocznie wiedzieć, że wszystkie bez wyjątku oddziały piechoty polskiej w całym województwie krakowskim i sandomierskim były tak oburzone postępkiem kawalerji Chmielińskiego, że jawnie odgrażały się strzelaniem do tej konnicy, gdyby ona ośmieliła się im na oczy pokazać.

Pan rotmistrz Krzywda także bardzo zgrabnie uporował w swojej publikacji zniknięcie kawalerji Chmielińskiego w czasie bitew pod Rudnikami i Mełchowem, lecz ani jednym słowem nie wspomniał o tem, że dzień przed bitwą mełchowską, kiedy na placu egzekucji w Drochlinie rozstrzeliwano majora Iskrę, wyłącznie tylko konnica Iskry wołała: „Łaski... przebaczenia!“ Trzystu zaś żołnierzy jego piechotnych, stojących z nabitą bronią u nóg, solidaryzowało się najwidoczniej z wyrokiem.

Taż sama piechota Iskry uczestniczyła potem pod osobistem głównem dowództwem pułkownika Chmielińskiego, a pod pośrednią komendą majorów Bogdana i Rosenbacha w bitwach pod Mełchowem, Oksą, Kwiliłną, Ocieskami i w Hucie Szczecińskiej. Ostatecznej zagładzie uległa dopiero po bitwie opatowskiej, w dniu

24 lutego 1864 r. odbytej, kiedy Rosjanie ściągniętemi ze wszystkich stron olbrzymimi siłami znieśli doszczętu kadry dywizji krakowskiej. Dotrwała przeto do końca powstania.

*

*

*

Autor Wspomnień obozowych opisał bitwę Rzuchów — Bodzechów na ośmiu drukowanych stronicach i rozpoczynając jej przebieg na str. 106, zaznacza, że „przez cały czas powstania w województwach krakowskim i sandomierskim nie było nigdy jeszcze tyle kawalerji zgromadzonej razem. Liczyliśmy pięć szwadronów, każdy przecięciowo po 90 koni, było nas zatem około 450 koni razem“.

Zakończenie zaś powyższej walki na str. 113 tak Krzywda streszcza:

„W bitwie tej ponieśliśmy okropne straty w zabitych, rannych i wziętych do niewoli. Ubyło nam przeszło 500 ludzi“.

Dowcip nielada, trudny do pojęcia i zrozumienia. Jeżeli bowiem bitwa rozpoczęła się siłą, złożoną z 450 koni, a zakończona została „okropnemi“ stratami w liczbie 500 jeźdźców, to jawne jak na dłoni, że podczas walki musiało się urodzić 50 ułanów na to tylko, aby w tej chwili zginąć na miejscu i śmiercią swoją złożyć dowód, że konnica polska walczyła tak skutecznie do ostatniego żołnierza, iż wkońcu ani jednej żywej duszy nie pozostało na placu boju do obrony życia pułkownika Chmielińskiego.

Usprawiedliwienie charakterystyczne i w każdym razie dające wiele do myślenia.

W przeciwieństwie do takiego zdecydowania Krzywdy, zupełnie co innego mówi publiczny komunikat generała Bosaka, który dosłownie powtarzam:

„Dnia 16 grudnia oddział jazdy, znajdujący się przy mnie pod komendą majora Markowskiego, został zaatakowany przez 2 szwadrony dragonów, 50 kozaków i 5 kompanij piechoty, postępującej wślad za kawalerją. Po odebraniu pierwszej wiado-

mości o zbliżaniu się nieprzyjaciela, odstąpiłem ku wsi Gromadzie, zajmąwszy wzgórze linią flankierów, pozostawiałem na miejscu dla zrehabilitowania ruchów nieprzyjacielskich, głównej zaś kolumnie kazałem postępować dalej przez Rzechów ku Bodzechowu. Po półgodzinnym ogniu z flankierami nieprzyjaciela, w czasie którego, gdy główna kolumna odstąpiła na należyłą odległość, nakazałem odwrót, nie zważając na natarczywość dragonów i rzesisty ogień flankierowy, nasi, cofając się stępą prawie milę drogi pod mojem osobistem dowództwem, wstrzymali nacierającego nieprzyjaciela.

Tymczasem przewidując, że piechota nieprzyjacielska już nie mogła podążać za swoją jazdą, posłałem pułkownika Chmieleńskiego do głównej kolumny, aby, obrawszy pozycję, rozwinął ją do ataku. Lecz miejscowość ciągle była niesprzyjająca dla skutecznienia tego zamiaru. Owszem wielki wóz pokryty wysokimi krzakami, znajdujący się naprzeciwko lewego skrzydła naszych flankierów, spowodował zamieszanie, z którego nieprzyjaciel skorzystał. Prawe skrzydło, widząc to, zachwiało się i zamiast trzymać się centrum rzuciło się w lewo dołem wozu. Spodrzęszy to, ze skupieniem przy mnie centrum flankierów przruciłem się ku wsi, na drugą stronę wozu, z zamiarem, aby, stanąwszy tam, zatrzymać chwilowo zamieszanie. Zamiar ten wykonałem. Centrum i prawe skrzydło stanęło w miejscu i nacisk nieprzyjaciela został wstrzymany. Przyczem w boju na pałasze zginęło 8 dragonów.

Lecz lewe skrzydło i tym razem nie wytrzymało natarcia i pociągnęło za sobą nieprzyjaciela na czoło naszej kolumny. Wypadek ten zdecydował bój. Kolumna nasza, nie zważając na przykład dowódców, zachwiała się i, zamiast wstrzymać się, zaczęła się cofać... W czasie cofania się, dwa razy potrafiłem wstrzymać następującą masę, lecz w obu razach nacierający dragoni udaremnił chwilowo przywrócony porządek i tylko milę drogi od placu boju, w lasach ilżeckich, kiedy już część naszej jazdy rzuciła się w prawą stronę, reszta kolumny stanęła.

Wysławszy rekonesans dla zgromadzenia odłączonej części jazdy, wziąłem kierunek na Sienno, gdzie też stanąłem na nocleg. Na drugi dzień, to jest 17 grudnia, po obliczeniu się brakowało 40 ludzi. Lecz niestety! o pułkowniku Chmieleńskim do tej chwili żadnej pewnej wiadomości niema. W czasie odwrotu, w chwili formowania kolumny, upadł z koniem, a nie zdążywszy wsiąść na drugiego konia, podanego mu przez jego ordynansa, jak mówią, ukrył się w lesie. Z naszej strony poległo i otrzymało rany 18 ludzi, między nimi zabity rotmistrz Wielobycki, ranni: major Markowski, rotmistrz Prędowski, porucznik Vigier Latour i doktor Montega. Straty nieprzyjaciela dochodzą do 22 ludzi.

Dnia 17 grudnia 1863 r. o godzinie 11 wieczór.

Naczelnik sił zbrojnych województwa krakowskiego i sandomierskiego, generał Bosak.

Oficer ordynansowy porucznik Aveyde."

Generał Bosak zaraz po tej nieszczęsnej bitwie całą jazdę rozdzielił na trzy części i każdą z nich przeznaczył do innego powiatu. Dla bezpieczeństwa zaś swej osoby uznał za wskazane udać się w strony Ojcowa, gdzie konsystowały oddziały piechoty.

* * *

Rozprężenie organizacyj cywilnych, jako pozostałość z czasów rządów langiewiczowskich, została przez Chmielińskiego stopniowo usunięta. Żelazna ręka pułkownika zrobiła swoje. Lecz wywołało to dużą niechęć ku niemu sfer ziemiańskich, które potrafiły dość ujemnie usposobić władze naczelne w Warszawie. To też kiedy Chmieliński rozporządzał już świetnie wyćwiczonym oddziałem z 400 piechoty i 100 konnicy, kiedy wpoił w ten oddział swoje przekonania i zasady przez całodzienne osobiste trudy i niezmordowaną pracę, gdy zdołał narreszczie zaopatrzyć swych żołnierzy w wyborową belgijską broń i znakomite kompletne wyekwipowanie, gdy wkońcu rozradowany spodziewał się odnieść na czele tak przysposobionego oddziału odpowiednie dla sprawy narodowej sukcesy, niespodziewanie, przed końcem miesiąca czerwca zjeżdża do Secemina major Zaborowski z piśmiennym rozkazem Rządu Narodowego objęcia pod swoje dowództwo całego oddziału Chmielińskiego, z takimi mozołami i poświęceniem przez niego zorganizowanego. Można sobie wyobrazić, z jakim przygnębieniem usposobieniem rozstawaliśmy się z wielbionym przez nas wszystkich wodzem i co się działo w duszy Chmielińskiego przy pożegnaniu się z nami. Na drugi dzień major Zaborowski połączył się z pułkownikiem Oksińskim o małą milę drogi przed miastem Przedbozrem. Stąd, napierani przez Moskali, cofnęliśmy się do

Przedborza, skąd rejterując ustawicznie, złożyliśmy broń na podjeżdżające wozy, a żołnierzy rozpuszczono na cztery wiatry. W ten sposób zmarnowano kilka oddziałów, w sile około 2000 powstańców. A o dowódcach w rodzaju Oksińskiego, Lütticha, de'Lacroix i Zaborowskiego nawet i słuch zaginął.

Pod rozkazy Chmielińskiego zdołało wprowadzić około 250 żołnierzy powrócić, lecz reszta, jak się zdaje, pojedynczo została wyłapana przez Moskali i prawdopodobnie zesłana na Sybir. Chmieliński, niewiadomo w jaki sposób, zdołał dwie kompanie piechoty uzbroić i, zostawiwszy połowę bezbronných ludzi w lasach Złotego Potoka, w dniu 6 lipca wpadł znienacka do miasteczka Janowa i tak poturbował Moskali, że zdobytą na nich broń i amunicję zaopatrzył resztę swego oddziału.

W dniu 28 lipca Rosjanie, prawie otoczywszy nasz obóz, biwakujący w lesie niedaleko wsi Rudniki, zmusili Chmielińskiego do przyjęcia bitwy. Walka rozpoczęła się rano w czystym polu pomiędzy Załężem a Rudnikami i trwając do późnego wieczora, była tak krwawa, wobec znacznie przeważających sił wrogów, że tylko nadzwyczajnej umiejętności wojskowej Chmielińskiego mogliśmy zawdzięczać nasze ocalenie i ochronę od zupełnego rozbicia. Wielu najzdolniejszych oficerów wyginęło, a cała kompania Słazaków, otoczona przez falangi kozaków i dragonów, prawie w pień wysieczona została. Na zwłokach komendanta tej kompanji, kapitana Hoftmana naliczono aż 38 ran.

Ponieważ wiadomości o wyruszeniu na nasz oddział Rosjan, na podstawie których Chmieliński bitwę przyjął, były niedokładne, przeto po stoczeniu tejże zarządził on śledztwo i winnym natychmiast udzielił „dotykanej” admonicji. To dopiero poskutkowało. Odtąd relacje

o opuszczeniu miast przez Rosjan były punktualne i nadzwyczaj dokładne. Rekwizycje żywności, ubrań, obuwia i wszelkiego rodzaju zapotrzebowań jeszcze przed zażądanym terminem skuteczniiano.

Być może, że dalsze tego rodzaju psoty zastąpiono innemi. Mianowicie od połowy miesiąca lipca pojawiła się banda rozbójnicza pod wodzą Dowbora, burmistrza m. Pilicy, która, mianując się powstańcami, strzelała w Kowalewie do właściciela wsi Keferszteina, jego żony i córki, znanych z patriotyzmu. W Sędziszowie związali i męczyli tamtejszego proboszcza, również gorliwego patryotę, a w Obiechowie zrabowali doszczętnie dwór, ubożąc znaną z zacności obywatelską rodzinę. Chmieliński postąpił z Dowborem krótko: kazał wsypać przeszło setkę odlewanych batów, a następnie na pierwszym lepszym drzewie poza obrębem obozu powiesić.

Zaledwie jednakże echo powyższej egzekucji przebrzmiało, pojawiła się druga banda rabusiów pod komendą Gołębiowskiego, burmistrza m. Wolbromia. Wyślana do tego miasta konnica aresztowała go razem z kobietą, która w owych łotrowskich sprawkach była jego doradczynią. Oddani pod doraźny sąd wojenny po udowodnieniu zbrodni, przez nich dokonywanych, skazani zostali na powieszenie. Wyrok wykonano pod wsią Słupią w połowie sierpnia.

Pułkownik Chmieliński „pokutował“ za swoje „grzechy“ tem, że przez długi czas w roli dowódcy oddziału, z czterech kompanij piechoty i jednego szwadronu konnicy złożonego, pozostawać musiał w randze kapitana! Stopień majora uzyskał dopiero przed bitwą pod Oksą i to jedynie pod naciskiem rozgłosu, jaki orężem wyrobił sobie w narodzie. Tak samo nie śpieszono się też

z nadaniem mu należnej oddawna nominacji na pułkownika.

Najmniej spodziewana śmierć pułkownika Chmielińskiego odbiła się fatalnie na dalszym rozwoju insurrekcji polskiej. Większość żołnierzy przestała stanowczo wierzyć w możliwość prowadzenia dalszych walk z Moskalami. Zamiast przybywania nowych ochotników rozpoczęła się dezercja z szeregów, wprawdzie z początku nieznaczna, lecz dużo mówiąca. Nie pomogły ani przemowy odczuwających klęskę oficerów, ani nawoływania do wytrwania w przyjętych przez siebie obowiązkach, ani sprężysta działalność generała Bosaka, ani nareszcie płomienne zapewnienia o bliskiej już zbrojnej interwencji mocarstw zachodnich. Żołnierze, straciwszy raz wiarę w powodzenie oręża polskiego, nikomu i niczemu już nie wierzyli, wyczekując z rezygnacją najsmutniejszego dla siebie zakończenia sprawy narodowej.

Wprawdzie niespożytej woli i energii generał Bosak pragnął całą siłą swej bohaterskiej duszy naprawić nieszczęście, spowodowane śmiercią Chmielińskiego, lecz wszelkie jego w tej mierze nadzwyczajne nawet wysiłki nie przynosiły pożądanych rezultatów. Szeregi powstańcze topniały coraz bardziej, duch narodu pod wpływem poniesionej straty widocznie upadał, a siła pięści moskiewskiej zaczęła brać olbrzymią przewagę nad ostatecznymi już wysiłkami narodu.

Generał Bosak, wysoce uzdolniony wódz i jeden z najdzielniejszych polskich bojowników powołał na opróżnione po Chmielińskim miejsce naszego majora Pawła Bogdana, byłego kapitana wojsk rosyjskich, również bardzo zdolnego oficera, który wszakże nie mógł Chmielińskiego zastąpić. Mimo wysiłków podtrzymania

ducha powstanie powoli upadało, coraz bardziej chyląc się ku ostatecznemu zanikowi.

Nie pomogły ani reformy wojskowe, nakazane zmysłem organizacyjnym Traugutta, ani postoje w nieprzebranych puszczech leśnych, ani piękna wojskowa rewa w Bodzentynie, urządzona w rocznicę powstania styczniowego. Duch insurekcji polskiej przeżywał ostatnie chwile agonji, a nie było go komu ożywić.

Niezbitym albowiem faktem okazało się, że od ostatniej klęski w bitwie pod Rzechowem i Bodzechowem, poniesionej 19 grudnia 1863 r., do bitwy pod Opatowem, 24 lutego 1864 stoczonej, to jest w przeciągu zgorą dwóch miesięcy nie odważono się ani na jedną nawet z Moskalami walkę, pomimo prawie jeszcze pięciotyśięcznych sił powstańczych, rozrzuconych po kniejach iłżeckich i świętokrzyskich. Bitwa zaś pod Opatowem — była grobem powstania polskiego.

* * *

Reakcja ze strony ziemiaństwa, rozzuchwalonego ubytkiem żelaznej ręki pułkownika Chmielińskiego, doszła do tego stopnia narodowej niegodziwości, że po niektórych dworach odmawiano nawet zaopatrywania oddziałów w żywność. W tydzień, może, po śmierci pułkownika, gdy kapitan Grob dla kompanji, liczącej już podówczas zaledwie 80 ludzi, zarekwirował żywność w Nowej Hucie, właściciel tejże, a może dzierżawca, młody obywatelczuk i kawaler na bliskim, jak mówiono, ożenieniu w niedalekim dworze nie chciał nam jej udzielić, motywując odmowę zupełnym brakiem baranów i maki na chleb. Komendant kompanji, nie dowierzając słowom szlachetki, gdy się zupełnie zciemniło, poszedł niepostrzeżony przez nikogo do sołtysa Nowej Huty i prze-

konał się o słuszności swych podejrzeń. Według zapewnień i dokładnych wskazówek sołtysa wielkie stado baranów dworskich stale bywa wyprowadzane w oznaczonej przezeń miejscowości lasu, a znaczne zapasy zboża i mąki ukryto w murowanych piwnicach obok dworu, nakrytych szczelnie deskami, zasypanych ziemią i w części obłożonych darniami, co odrazu po małym wzniesieniu poznać można będzie.

Na drugi dzień z rana kapitan Grob nakazał pogotowie do wymarszu, a gdy kompanja stanęła pod bronią, niebawem ruszyliśmy w drogę. Zaledwie wyszliśmy z lasu, naprzeciw nas ukazał się major Bogdan, który właśnie wysiadł z wózka i szedł do nas na wizytację.

— A wy dokąd maszerujecie? Może Moskale wysłędzili wasze obozowisko? — zapytał major.

— Odmówiono nam zarządzanej przez rekwizycję żywności. Ażeby przeto uniknąć głodu, musieliśmy wymaszerować w celu postarania się o chleb i mięso — odpowiedział kapitan, opowiadając szczegółowo o zaszłym fakcie.

Major Bogdan, zwykle blady, na swej wychudzonej twarzy odrazu poczerwieniał z irytacji, machnął ręką w powietrzu i rzekł:

— Chodźmy...! Ja się z nim sam rozprawię.

Po półgodzinnym marszu znaleźliśmy się u celu, przed parterowym niewielkim dworkiem z zabudowaniami. Kompanja pod komendą sierżanta Długosza została przed frontem budynku. My zaś, to jest major Bogdan, kapitan Grob oraz ja z porucznikiem Zawadzkim weszliśmy do wnętrza sieni.

Na spotkanie nasze wyszedł z pokoju może trzydziestoletni mężczyzna, przystojny i postawny blondyn.

-- Jakiemuż to niebywałem szczęściu mam przy-

писаć sposobność powitania panów u siebie?.. Proszę wejść i rozgościć się, jak we własnym domu — dodał, otwierając drzwi. — Ja w tej chwili będę panom osobiście służyć.

W niewielkim kawalerskim pokoju, prymitywnie urządzonym, usiedliśmy we trzech na zgrabnych bambusowych krzeselkach, ustawionych dookoła stołu. Major Bogdan, widocznie jeszcze wzburzony, przechadzał się od jednego do drugiego kąta. Za chwilę wszedł do pokoju gospodarz z flaszką wódki i kieliszkami w rękach w asystencji młodej dziewczyny, niosącej srebrną tacę, na której leżał bochenek białego chleba, masło, ser i noże. Kiedy już wszystko złożone zostało na stole, a pokojówka wyszła z pokoju, pan domu słodziutko dobranymi słówkami zaprosił nas do przekąski.

— Myśmy wcale nie przyszli objadać pana — odpowiedział spokojnie major Bogdan. — Zadaniem naszego przybycia jest załatwić sprawę odmówienia przez pana rekwizycji żywności dla kompanji obecnego tu kapitana Groba.

— Bóg mi świadkiem, że, jako Polak — nie byłbym w stanie postponować pisemnych zarządzeń panów; ale nie posiadając u siebie żadnych zapasów żywnościowych, tem samem nie mogę zadośćuczynić żądanym wymaganiom. Co tylko miałem, to już się przez rekwizycję wyczerpało zupełnie i doprowadziło do całkowitego wyniszczenia mojego domu.

— A czy możesz pan dać słowo honoru, że jesteś zupełnie zubożałym przez powstanie i że żadnych u siebie zapasów nie masz?

— Nie raz, ale nawet sto razy daję panom słowo honoru, że nic a nic z zapasów u siebie nie posiadam.

— Taaak?.. — ciągnął dalej major Bogdan — To

bardzo pięknie z pańskiej strony, ale ponieważ osobiście nie mam najmniejszej podstawy do dawania wiary pańskiemu słowu honoru, przeto zapraszam go do przejścia się z nami celem dokonania rewizji.

— O, bardzo proszę — wyrzekł wzburzony młody szlachcic. — W tej chwili wezmę ze sobą klucze od śpichlerzy i magazynów i przekonam panów, że wszędzie są tylko same pustki.

— Do tego stopnia nie będziemy ciekawi, ażeby zaglądać aż do środka śpichlerzy i magazynów.

Na twarzy szlachcica odbiło się pewne zadowolenie. Gdy jednakże powolnym krokiem obchodziliśmy dwór naokoło, a major przystanął w miejscu, gdzie płaszczyzna darni wystawała o jakieś trzy cale ponad teren obejścia, gospodarz zbladł i okazał widoczne zaniepokojenie.

— Proszę mi przywołać kilku żołnierzy z łopatami! — rozkazał major, zwracając się do kapitana.

Za chwilę przybyli żołnierze, zdjęli część darni i ziemię, natrafiając na pokład desek, obok siebie ułożonych, po wyjęciu których ukazał się oczom wielki dół, bardzo starannie po bokach obmurowany i wypełniony po sam wierzch worami ze zbożem i mąką.

Na dziedzińcu tymczasem zebrała się znaczna liczba służby folwarcznej, a nawet włościan z pobliskich chałup.

Major wezwał sołtysa i polecił mu zabrać dwa korce mąki, rozdzielić po domach i nakazać bezwzględnie gospodyniom zająć się pieczeniem chleba dla wojska. Należność za wypiek będzie po skutecznieniu zapłacona. Ponieważ żołnierze od samego rana nic w ustach nie mieli, polecił rozkwaterować ich po chałupach i nakarmić, a co się będzie należało za strawne, zostanie uiszczone.

Przyprowadzona na miejsce kompanja piechoty, raźnie zabrała się do roboty, wydobywając z lochów i przenosząc worki ze zbożem i mąką do spichrza, aby — jak to zakonkludował dowódca — dar Boży nie poszedł na marne. Sierżant Długosz przeznaczony został do skontrolowania, ile jest korcy zboża, a ile mąki.

Wreszcie, zwracając się do mnie, major rozkazał wysłać sześciu żołnierzy do lasu i z dworskiego stada przypędzić pięć sztuk baranów. Za zarekwirowane rzeczy gospodarz otrzymał storubłówkę. Wszakże za okazany opór i niechęć powstańcom major Bogdan zwymyślał go od ostatnich łajdaków, a kiedy ten zachowywał się w dalszym ciągu wyzywająco, polecił wymierzyć mu 50 batów.

* * *

W tej chwili przypomniało mi się inne zdarzenie, dowodzące, że major Bogdan był zawsze bezwzględny wobec podobnych wypadków.

Wpobliżu Kielc, głównej w naszych województwach siedziby moskiewskiej, w pięknej i bogatej majątności posiadaczem obszaru dworskiego i wspaniałej rezydencji z licznymi oficynami, obwiedzionej, o ile sobie przypominam, żelaznemi sztachetami na podmurowaniu, był szlachcic nazwiskiem Kołakowski lub Kułokowski. Do tej to majątności przy schyłku życia majora Iskry, może na tydzień przed jego rozstrzelaniem, a zatem przed końcem miesiąca września 1863 r. poprowadził oddział major Bogdan, który, jak to już w swoim miejscu zaznaczyłem, przydzielony został do boku Iskry. Artur Iskra nie posiadał już wówczas żadnego prawie moralnego ani realnego znaczenia w swoim oddziale. Oddany pijaństwu i wielkiemu zarozumieniu o swojej władzy, oddzielił się od podwładnych sobie żołnierzy całą prze-

paścią pychy i brakiem wspólności tych celów, jakie wszystkich nas w jedno ogniwo powinny były łączyć. Major Bogdan przeciwnie, ludzki i humanitarny na każdym kroku, łagodny i uprzejmy w obejściu, rozmowny i towarzyski w pożyciu z wszystkimi, odrazu potrafił sobie zjednać serca żołnierzy, wyrobić ogólny szacunek i miłość.

Noc zapadła zupełna, gdyśmy wyruszyli w drogę z miejsca naszego kwaterowania. Deszczyk, zrazu drobny i stopniowo się zwiększający, zamieniony został w formalną ulewę. Maszerowanie w takich warunkach stało się nad wyraz przykre. Po półgodzinnej może ulewie deszcz ustał zupełnie, a niebo zaczęło się rozjaśniać, pokrywając sklepienie świecącemi do nas gwiazdkami. Oddział na rozkaz majora Bogdana stanął, aby płaszcze z wody powykreć i wyruszyć następnie w dalszą drogę.

Przed północą byliśmy na miejscu.

Cała wieś została obstawiona dookoła gęstemi konnemi i pieszemi pikietami ze względu na bliskość Kielc, a mieszkańcy dworu, niespodziewanie zbudzeni z głębokiego snu, oświecili dwór rzęsście.

Wiedzieliśmy, że właściciel tej rezydencji nietylko w sposób arogancki odmawiał płacenia podatków narodowych, ale nakłaniał mieszkańców wsi od uchylania się od wszelkiej pomocy dla powstańców. To też przeprowadziliśmy zaraz po przybyciu dochodzenie, aby rzecz całą wyjaśnić. Co pewien czas powoływano świadków z pośród zebranych włościan. Tak upłynęła godzina, po upływie której wyszedł z sieni nasz sztab, dając rozkaz przyprowadzenia kompanji, która, niebawem nadciągnawszy, została ustawiona obok gazonu. Drugą stronę tegoż zajęli chłopci. Wkrótce potem na środku klombu rozłożono dywan i położono na nim posiadacza dóbr,

wyprowadzonego z dworu pod eskortą dwóch kawalerzystów z dobytymi pałaszami. Nie mieliśmy już wątpliwości co do rezultatów przeprowadzonych dochodzeń. Gospodarz okazał się winny.

Jeden z tęgich parobczaków usiadł okrakiem na nogach ziemianina, drugi na karku, a dwóch trzymało za rozkrzyżowane na dywanie ręce. Wtedy po obydwu stronach skazańca stanęło dwóch wieśniaków z nahajami w rękach i na dany znak rozpoczęto chłostę, wymierzając sto różeg.

Kiedy wymiar kary został ukończony, zaniesiono jęczącego z bólu delinkwenta do parterowej oficyny i położono na łóżku.

Przeznaczony z całą sekcją żołnierzy do pilnowania i strzeżenia obitego szlachcica, musiałem przebywać w jego pokoju ze dwie godziny. Obywatel co pewien czas mdlał, krzycząc wniebogłosy z bólu, lub może z okropnie upokorzonej dumy. Dwie kobiety, przysłane ze dworu, cuciły go.

O świcie dnia byliśmy już bardzo daleko od wioski, w której musieliśmy asystować tej niemiłej egzekucji.

W kilka tygodni później opowiadano nam, że Kułakowski po częściowem wylizaniu się z otrzymanych plag przeniósł się na bezpieczniejszy pobyt do Kielc pod opiekę generała Czengierego z postanowieniem sprzedaż dóbr ziemskich i osiedlenia się w takich okolicach, gdzie nawet wiatr nie mógł przynieść wiadomości o karze, dokonanej na nim przez powstańców.

* * *

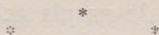
Przed nowym rokiem generał Bosak, stosując się do rozkazów naczelnika ówczesnego rządu polskiego Traugutta, zabrał się z całą energią do przemiany od-

działów powstańczych na kadry regularnych armij. Generał, mianowany naczelnikiem II korpusu sił zbrojnych województwa krakowskiego, sandomierskiego i kaliskiego, miał stać na czele trzech dywizyj, po jednej w każdym województwie sformowanej. Dywizja miała się składać z dwóch brygad, które powinny powstać z pułków, organizowanych w poszczególnych powiatach. W ten sposób każdy powiat obowiązany był wystawić kompletnie uzbrojony i całkowicie wyekwipowany pułk piechoty pod nazwą powiatu i jeden szwadron konnicy. Tak rozległe zamierzenia miałyby zupełnie odpowiednie zastosowanie w początkach powstania, gdy entuzjazm narodu dochodził do najwyższego szczytu. Wprowadzać jednakże tak donośne, lecz bardzo kosztowne reformy u progu widocznego upadku ruchu insurekcyjnego, gdy wiary w powodzenie walk nie było, gdy skarb powstańczy świecił zupełnymi pustkami z powodu niechęci do płacenia podatków narodowych, gdy pozostałe na placach boju niedobitki walczyły tylko dla honoru poto, aby zginąć, a nie dać się ująć do niewoli, lub nie dopuścić do zawiśnięcia na szubienicy... zakrawało to na żart z samych siebie.

Z nową organizacją wojskową dokonano licznych awansów i mianowań. Dowódcami, na przykład, nie istniejących jeszcze dywizyj mianowani zostali ludzie, zupełnie nam nieznani z działań w krakowskiej i sandomierskiej insurekcji, jak Topór i Kopernicki. Lecz nadewszystko niefortunny wybór Kurowskiego, który, uśmierciwszy młodzież akademicką z Krakowa nierozważnym atakiem na Miechów, przez całe lato i jesień nie dawał żadnego znaku życia na krwawym teatrze wojny, aż dopiero przy zupełnym prawie zaniku powstania wypłynął na scenę ostatecznych walk w roli komendanta zapoczątkowanej dywizji.

Nasz oddział, składający się z czterech kompanij piechoty, skutkiem strat w bitwach poniesionych, już tylko średnio po 75 ludzi liczących, uzyskał nazwę pułku kieleckiego, czyli, że w stosunku do regularnych pułków, składających się zwykle z 4.000 żołnierzy, stanowił prawie piętnastą część formacji pułkowej. Taki sam mniej więcej stosunek musiał zapewne zachodzić w pułkach: olkuskim, miechowskim i stopnickim, biorących udział, jako kadry dywizji krakowskiej w zaatakowaniu miasta Opatowa przy schyłku miesiąca lutego 1864 r.

Awanse oficerskie posypały się obficie. Kapitanowie zostali majorami, majorów posunięto na stopnie pułkowników. Z nowych wybrańców zaawansowany na pułkownika major Rosenbach stał się samoistnym kendantem pułku kieleckiego, a major Bogdan powołany został również w randze pułkownika do boku generała Bosaka w charakterze szefa sztabu.



Jakoś w pierwszej połowie stycznia 1864 r. młodziutki kapitan Henryk Huppert, stacjonujący ze swoją kompanją w lasach, o dwie mile od Starej Huty odległych, otaczających w północno-zachodniej stronie klasztor św. Katarzyny, na mocy otrzymanego dwutygodniowego urlopu wyjechał do rodziny, przebywającej w Krakowie. Przeznaczony przez pułkownika Rosenbacha na jego zastępcę, musiałem z bólem serca pożegnać się i z dzielnym kapitanem Grobem i z całą jego kompanją, w której kilka miesięcy przebywając, żyłem się z każdym żołnierzem.

Podróż odbywałem na Baszowice, Hucisko, Mirocice, Dębno do sołtysa Woli Szczygiełkowskiej.

Pod wieczór byłem na miejscu.

Sołtys, średniego wzrostu mężczyzna o ogorzałej twarzy i bystrym spojrzeniu, przyjął mnie bardzo uprzejmie. Gdy się dowiedział, że zostałem przysłany na miejsce kapitana Hupperta, stał się jeszcze bardziej grzeczny. Jak mnie poinformował, kapitan Huppert odjechał od kompanji przed dwoma dniami. Pan pułkownik Rosenbach przyjeżdża tutaj dość często na wizytację, a kiedy był ostatnim razem, oznajmił, że przyśle nowego zastępcę, gdyż z panem podporucznikiem Sierpem, jakimś Ślązakiem, czy też Słowakiem, niekoniecznie dobrze rozmówić się można.

Z powodu coraz bardziej zapadających ciemności zaproponował nocleg u siebie, perswadując, że zanim przez las się przedrzemy, cała kompanja będzie już we śnie pogrążona i narobimy przyjsciem nie wporę niepotrzebnego wszystkimi ambarasu i niepokoju. Uznając to twierdzenie za słuszne, przyjąłem zaproszenie sołtysa i uczęstowany garnuszką gorącego mleka, gospodarzkim chlebem z razowej mąki, masłem i serem, ułożyłem się na rozścielonej słomie, przykrytej grubym białym prześcieradłem z dodaniem poduszki i grubego koca... i, znużony trzęsącą po wybojach drogą, wkrótce przeniosłem się w sfery nadziemskie.

Nazajutrz o świcie byliśmy już na nogach. Pani sołtysowa grzała mleko na śniadanie, my zaś zabawialiśmy się rozmową.

— Czy Moskale przychodzą kiedy do wsi? — zapytałem.

— Oj, czemu nie — odpowiedział sołtys. — Dawniej odwiedzali nas bardzo rzadko, ale teraz są u nas częstszymi gośćmi.

— A o kompanji, przebywającej w tutejszych lasach, nic nie wiedzą?

— A skądiesz mogą wiedzieć, jeśli nikt ze wsi, ani stary, ani młody, ani żaden z dzieciaków o tem im nie powie?

Zaraz po śniadaniu i pożegnaniu pani sołtysowej udaliśmy się do lasu, zabawiając się wzajemną rozmową. Znajomość drogi do obozu objaśnił mi sołtys wyrębami siekiery, dokonanemi na drzewach, twierdząc, że jeżeli będę dobrym obserwatorem, to sam zdołam trafić do celu podróży. Znaki były powyrębywane na podnóżach drzew, na pół metra wzwyż ponad powierzchnię terenu. Z przeciwnej strony drzewa posiadały podobne nacięcia dla drogi powrotnej.

Las wysokopienny, gęsto zwarty, był tak głuchy i zaciszny, że pomimo wcale niezłego we wsi mrozu tutaj ani śladu z niego nie było. Prawie ciepła temperatura była tak w lesie przyjemna, że z prawdziwą lubością odbywaliśmy nasz spacer.

Kiedy nareszcie dotarliśmy do obozowiska, żołnierze siedzieli przed szałasami, niebardzo prawidłowo postawionemi, co na pierwszy rzut oka w oczy wpadało, posilając żołądki chlebem i słoniną, przypiekaną na długich patykach u rozłożonych ognisk. Podporucznik Karol Sierp, zobaczywszy mnie, wchodzącego w wojskowym stroju, z pałaszem przy boku i w asystencji sołtysa, zrozumiał, że jestem zastępcą urlopowanego kapitana i natychmiast powołał całą kompanję pod broń. Zlustrowałem ją niezwłocznie, przekonywując się o zupełnym porządku płaszców poszarpanych od zużycia. Ani jednej dziury w nich nie było i nigdzie ani jednego guzika nie brakowało. Dwóch, czy trzech żołnierzy miało popękane przyszwę u butów, lecz podporucznik oznajmił, że szewc kompanijny miał takowe dzisiaj właśnie naprawić. Nakazałem pierwszemu szeregowi odstąpić trzy kroki na-

przód i tak samo zlustrowałem drugi szereg. Przeprowadziłem jeszcze ogólną kontrolę broni i przekonałem się, że rdzy na nich nie było, a zamki należycie funkcjonowały. Wnętrza luf odznaczały się zupełną czystością.

Rozpuściłem żołnierzy dla dokończenia rozpoczętego śniadania, a zwróciwszy się do podporucznika, zapytałem o zapasy żywności? Okazało się, że chleba miano tylko na dzisiaj, okowity pół baryłki, na trzy dni słoniny, krup niewielki zapas, soli poddostatkiem, natomiast mięsa brak było zupełnie.

Wyprawiony na zastępstwo komendanta kompanji, otrzymałem za pośrednictwem kapitana Groba 200 rubli do wyrachowania się na niezbędne potrzeby utrzymania żołnierzy. Polecilem przeto sołtysowi, by kupił trzy barany i przypędził je do obozu, jeżeli można zaraz oraz by zarządził upieczenie we wsi chleba z jednego korca mąki z terminem dostawy na dzień jutrzejszy rano. Również poleciłem zakupić pół korca krup jęczmiennych. Na rachunek tego wszystkiego wręczyłem sołtysowi 30 rubli.

Podporucznik Sierp mógł liczyć około 20 lat i posiadał wzrost średni dobrze odżywionego młodzieńca. Ryżawy blondyn w kolorach, znamionujących zdrową krew, dość piegowały na twarzy, był typem austriackiego żołnierza. Dosłużywszy się w armji habsburskiej stopnia podoficerskiego, zdezerterował do powstania, „wołąc bić się za polską Ojczyznę, aniżeli służyć austriackiemu Kaizerowi“ — jak mówił. Chociaż nie posiadał odpowiedniego na oficera wykształcenia, wzięto pod uwagę jego waleczność oraz zachowanie się i zamianowano go w miesiącu grudniu podporucznikiem. Służbiwą był aż do przesady i pod komendą każdego wyższej rangi oficera stanowił nieoceniony materiał. Najgorsze było tylko to, że żadną miarą czysto po polsku nie zdołał się

nauczyć. Mówił, przeplatając kiepską polszczyznę jakimś morawskimi, czy też czeskimi słowami, z domieszką nabytej w regularnej armii niemieczyny.

Mając na uwadze regularnie codziennie prowadzone zajęcia wojskowe w kompanji kapitana Groba, po dokończeniu przez żołnierzy śniadania zarządziłem ćwiczenia w obrotach kompanji, liczącej wszystkiego 72 ludzi. Wszelkie obroty, jakie tylko przepisuje regulamin piechoty, z taką precyzją były wykonywane, żem się poprostu zdumiewał nad tego rodzaju umiejętnością. Gdy przyszło do ćwiczeń bronią, karabiny wprost lały błyskawicznie w rękach żołnierzy. Praca kapitana Hupperta i jego oficera podporucznika Sierpa wydały rzeczywiście najświetniejsze rezultaty.

W czasie jednego z wypoczynków, które nakazałem co kwadrans uskutecznić, przyszedł żołnierz służbowy, pozostawiony w obozie z oznajmieniem, że przypędzono trzy tęgie barany. Wydzieliłem zaraz z szeregów kuchacza i jego pomocników, by zabili jedną sztukę i przygotowali krupnik. Tak rozporządziwszy, męczyłem musztrą żołnierzy dalej, aby ich przyzwyczaić do ciągłej czynności i odwieść od mogącego się wyrodzić lenistwa. Wkońcu, widząc ogólne znużenie i widniejące w oczach żołnierzy zniechęcenie, nakazałem wypoczynek, w czasie którego dostrzegłem, że niektórzy z szeregowców nakładali suche liście drzewne do fajek, mające w braku tytoniu zastąpić ten obozowy narkotyk. Przypomniałem sobie wtedy o całym pudełku cygar liściowych, które dla siebie w Nowej Słupi kupiłem. Nie namyślając się też długo, poszedłem do naszego obozowiska i z szałasem, w którym zostawiłem swoje zawiniątko, przyniosłem cygara, częstując wszystkich w ten sposób, że każdemu z nich dałem po jednej sztuce, podoficerom po

trzy, a szczupłą pozostałością podzieliłem się z podporucznikiem Sierpem. Radość i zadowolenie odbiły się na wszystkich twarzach. Zauważyłem, że żaden z szeregowców nie zapalał całego cygara, lecz tylko przedzierał go nożykiem na dwie części, lub też krajał drobno na tytoń do fajki. Bieda z braku naturalnego materiału nauczyła ich tej nadzwyczajnej oszczędności.

Broń złożono w kozły, postawiono przy niej wartownika i zabrano się do zaimprovizowanego naprędce obiadu. Animusz żołnierski zapanował niepodzielnie, może właśnie dlatego, że się nie przedstawił w roli diabła z rozżarzonym do czerwoności ozorem i drapieżnymi pazurami.

Żołnierze „zawali robaka“ haustami okowity i po-brali wieczorne porcje chleba i słoniny. Konsumując takowe wśród najrozmaitszych opowiadań i humorystycznych obozowych dykteryjek, nie śpieszyli się z jedzeniem, mieli bowiem dwie godziny czasu, stale przeznaczonego na poobiedni wypoczynek.

Po wypoczynku zwróciłem uwagę żołnierzy, że skoro dachy nad szałasami porozłaziły się w wielu miejscach, błyszcząc jak rzeszoto świecącemi ku niebu dziurami, należałoby naciąć gałęzi i szczelnie a trwale poprzykrywać, żeby deszcze i śniegi nikomu na twarze nie padały, tem bardziej w porze tak spóźnionej, gdy w każdej chwili mogą nas nawiedzić zupełnie niepożądane śnieżyce.

Na to wezwanie rzucono się natychmiast raźnie do roboty, porwano za siekiery, podzielono zamierzone prace i wyruszono w głąb lasu. Rezultat był taki, że zanim zapadł wieczór, dachy szałasów zostały znakomicie poszyte. W czasie tej roboty zjawił się posłany do wsi żołnierz z wypełnionym machorką i gorszym gatunkiem tytoniu workiem na plecach. Powitano go burzliwemi

oklaskami. Każdy żołnierz otrzymał paczkę tego pożądanego specjału.

Późno już w nocy, bo przy świetle dwóch zapalonych latarni, rozdano w menażki wyborny gorący krupnik zamiast herbaty, a po wypróżnieniu menażek rozdzielano tęgie porcje mięsa.

W godzinę później zapanowała głęboka cisza w obozie, przerywana jedynie harmonijną symfonią chrapania i poświstywania przez nosy uśpionych żołnierzy. Noc ta jednakże dała mi się djabelnie we znaki. Z powodu nikłej warstwy mchu, użytego na podściółkę, większą część nocy nie mogłem spać, drząc prawie z zimna i prosząc Pana Boga o rychlejsze nastanie dnia, aby móc doraznie zapobiec złemu. Dowód był jasny, że kapitan Grob więcej, jak to mówią, miał w piętach praktycznego zmysłu, aniżeli kapitan Huppert w głowie.

Zaledwie nastał brzask, usłyszałem kroki ludzkie. Zerwałem się czem prędej na równe nogi, ciesząc się w duchu z opuszczenia tak nędznej w miesiącu styczniu pościeli. W obozie miałem nowych gości w osobach kilku wieśniaków, którzy przynieśli wory, napełnione świeżo upieczonym chlebem i pół korca jęczmiennych krup. Nie mając co do roboty, osobiście obliczyłem bochenki, lokując je w najmniejszym szałasie, specjalnie przeznaczonym na magazyn żywnościowy. Obok chleba kazałem złożyć i krupy.

Zacząło się na dobre rozwidniać. Postawiłem zatem cały obóz na nogi i kazałem zebrać się w szeregu, a stanąwszy przed frontem, ogłosiłem następujące przepisy porządkowe: by żołnierze po opuszczeniu szałasów jeden drugiego dokładnie strzepali z mchów, by myli się w pobliskim źródle, a po umyciu wspólnie w szeregach odprawiali poranną modlitwę; następnie po modlitwie i pół-

godzinnej przerwie na śniadanie zarządziłem do samego południa musztrę; wreszcie zarezerwowałem sobie po południu do dyspozycji, zależnie od okoliczności i potrzeb. Wkrótce potem na małej polance rozpocząłem musztrę i kiedy różne obroty szły w najlepsze, usłyszałem nagle za sobą:

— Świetnie, znakomicie!.. Nie spodziewałem się wcale takiego sukcesu!

Odwrociłem się poza siebie i zetknąłem twarzą w twarz z pułkownikiem Rosenbachem.

— Na ramię broń! Prezentuj broń! — zakomenderowałem, a jednocześnie zasalutowałem szablą.

Wojskowe honory widocznie podobały się pułkownikowi, gdyż uśmiech zadowolenia przebiegł po jego twarzy.

Musztrę kazałem prowadzić podporucznikowi, a sam zacząłem składać dokładny raport o stanie i potrzebach kompanji, po którego wysłuchaniu pułkownik przeszedł przed frontami obydwu rozstąpionych szeregów, lustrując najdokładniej stan umundurowania, obuwia i uzbrojenia. Po przeglądzie udaliśmy się do obozowiska, by przeprowadzić na osobności konferencję o potrzebach kompanji. Prosiłem o rękawice, pewną ilość mocnych nici czarnych i białych, potrzebnych do naprawy umundurowania i bielezny oraz odpowiedniego tłuszczu do smarowania obuwia, wreszcie o beczkę okowity, soli i znaczniejszy zapas słoniny paprykowanej, które są obecnie na zupełnem wyczerpaniu. Co się tyczy mięsa, chleba i krup, takowe każdej chwili możemy kupować w okolicznych wsiach i przez to uniknąć dalekiego transportowania. Wreszcie tytoń dla żołnierzy wyszedł do tego stopnia, że kompanja była zmuszona przez trzy dni palić liście drzewne. Wyjaśniłem, że po przybyciu zaradziłem brakom przez zakupy, naby-

wając tytoniu, pół korca krup jęczmiennych, trzy żywe barany i korzec mąki na wypiek chleba.

Dotychczasowe moje rozchody wyniosły: za 3 żywe barany 33 ruble, za przypędzenie ich do obozu 1 rb., za pół korca krup jęczmiennych 6 rb., za 1 korzec mąki żytniej 14 rb., za upieczenie chleba 5 rb., za odniesienie tegoż do obozu 6 rb., wreszcie za tytoń 5 rb., razem 70 rb. Zatem pozostało jeszcze 130 rubli. Do sumy tej pułownik dodał mi 200 rubli, prosząc, żebym z całej sumy 330 rb. wyrachował się za następną jego bytność.

Po odejściu pułownika udałem się niezwłocznie na plac musztry i, ściągawszy żołnierzy do obozu, nakażałem wszystkim znosić suchy mech w jak największych ilościach z takich miejscowości, w których jest jego najwięcej i składać do szałasów, chociażby nawet pod sam wierzch dachów.

Żołnierze tak się skrzętnie zwijali, że do pory obiadowej szałas prawie do wysokości jednego metra były zasypane suchym, wyborowym mchem. Noszono go w zapasowych workach, a nawet, gdy się dobrze przy robocie zagrzali, w zdjętych płaszczach.

Po obiedzie i krótkim po nim odpoczynku pracowano aż do samego wieczora ze znakomitą skutecznością. Szalasy zostały napełnione aż zanadto dostatecznie, a gdy noc zapadła, posilano się wieczorą, poczem wszyscy powసుwali się krecim kunsztem do środka przyrządzonych przez siebie „pierzyn“. I znowu zapanowała nadzwyczajna cisza i martwy spokój w obozie, przyczem harmonijnej symfonji i nosowego świstania wcale już słychać nie było. Ciepło otulającego ze wszystkich stron mchu tak nas przyjemnie rozgrzało, tak błogo oddziaływało na sen, żeśmy spali jak susły, jak koty w kłębek zwi-

nięte. Już była blisko dziewiąta godzina, gdyśmy się ocknęli.

Odtąd życie podwładnej mi kompanji potoczyło się normalnemi torami, a kiedy w tydzień potem sołtys przyniósł za sprzedane skóry 75 kubków blaszanych, obstalowanych w którymś z pobliskich miasteczek oraz cukier i herbatę i kiedy wieczorem po wyszorowaniu kotła kucharz wszystkim ponalewał dobrze osłodzonej gorącej herbaty, wówczas bezinni radość i wesołość stała się ogólna.

Pułkownik Rosenbach odwiedzał nas regularnie co cztery dni, przeprowadzał ze mną rachunki, odbierał pokwitowania z poczynionych na wojsko wydatków, zaopatrywał całą kompanję w półkożuszki i we wszelkie potrzeby i zawsze odchodził uradowany z przeglądu dokonanej wizytacji, a nadewszystko z wybornie odbywanych ćwiczeń wojskowych.

Korzystając ze spokoju i niedalekiej odległości od Woli Szczecińskiej, odwiedziłem niebawem moją miłą Jadzię i jej rodziców, sprawiając tym zacnym ludziom niezmierną radość.

Życie dalsze ubiegało zwykłą niezmienną w niczem koleją, a chociaż miesiąc luty dawał się czasami dobrze we znaki panującymi mrozami, zabezpieczeni jednakże ciepłemi półkożuszkami, pod płaszcami i przy ogniskach, nie dbaliśmy wcale o zimno, łagodzone do tego głębią wysokopiennej puszczy, nie dopuszczającej do swego wnętrza przejmujących w tej porze wiatrów.

Razu pewnego przybyły na wizytację pułkownik Rosenbach oznajmił mi, że zostałem przez niego przedstawiony do rangi kapitańskiej na miejsce kapitana Huperta, który w drodze powrotnej do obozu ujęty przez Rosjan do niewoli pod przybranem nazwiskiem został

zesłany na Sybir. Podziękowałem pułkownikowi za pamięć o mnie. Była to jedyna nagroda, jaka mogła spotkać oficera powstańczego. Powstanie widocznie już upadało, oficerów coraz więcej ubywało, dezercja z szeregów zdarzała się coraz częściej, a o zgłaszaniu nowych ochotników ani słyszeć nie było. W tak trudnych warunkach awansowanie równało się nakładaniem na barki większych odpowiedzialności, a tem samem w razach popadnięcia do niewoli na nieochybną od Moskali śmierć, lub co najmniej na długoletnie ciężkie roboty w syberyjskich kopalniach.

Jadzie odwiedzałem regularnie co tydzień, czerpiąc z tej słodkiej rozrywki otuchę do dalszego, coraz bardziej niepewnego życia — do zapomnienia ponurej w myślach egzystencji dogasającego ruchu powstańczego.

Przykre, a przygnębiające przeczucia niebawem się spełniły...

Dnia 20 lutego 1864 r. otrzymałem pisemny rozkaz od pułkownika Rosenbacha, bym niezwłocznie wyszerował z lasów, położonych około klasztoru św. Katarzyny i przez Kakonin, Bełno, Makoszyn, Wojteczki, Kozieł i Kierdony udał się do Rembowa, gdzie nastąpić miało połączenie z pozostałymi kompanjami. Ponieważ było mi zalecone zabrać z sobą jak najwięcej żywności, zażądałem od sołtysa pare furmanek, na które kazałem złożyć umyślnie upieczony chleb oraz żywe związane barany i wyruszyłem z wszystkimi zapasami żywności do Rembowa, o trzy i pół mili drogi oddalonego od miejsca naszego pobytu. Szliśmy na koncentrację sił powstańczych przed nieszczęsną wyprawą na Opatów.

Po uciążliwym marszu z częstymi wypoczynkami, przyszedłszy do wskazanego celu, zastałem tam jedną tylko kompanję naszej piechoty, niedawno przed mojem

przyjściem przybyłą. Następne dwie kompanie ściągnęły znacznie później i to w pewnych po sobie odstępach czasu. Wreszcie zjawił się i pułkownik Rosenbach, który rozkazawszy pogasić ognie, pozapalane dla rozgrzania się żołnierzy, przeniósł nas do wsi, polecając natychmiastowe rozkwaterowanie całego oddziału po chałupach. Stąd po przespanej nocy przemaszerowaliśmy do następnej wsi Dębno, gdzie już były zgromadzone piesze oddziały pod dowództwem Denisiewicza, Waltera, Jagielskiego i Eminowicza.

Nasz oddział według nowo zaprowadzonych przez generała Bosaka formacyj, nosił nazwę pułku olkuskiego, Waltera pułku miechowskiego, a Jagielskiego i Eminowicza pułku stopnickiego. Skoro według organizacji armii regularnych każdy pułk liczyć ma 4.000 żołnierzy na stopie wojennej, to w naszych czterech pułkach powinniśmy byli posiadać w uzbrojonych powstańcach 16.000 ludzi. Gdy zaś faktycznie w owych imponująco nazwanych czterech pułkach było nas zaledwie 1500 żołnierzy, można sobie wyobrazić, jak mikroskopijnie przedstawiały się nasze kadry pułkowe i z jak wielką nierozwagą prowadzono nas na zdobycie Opatowa. Niby celem było przerżnięcie się przez ten najśłabszy punkt łańcucha okalających nas Moskali, gdy ogół sił powstańczych, zgromadzonych pod Opatowem, nie dochodzących liczbą nawet połowy rzeczywistego pułku, miał zdobywać w ciasnych uliczkach dom po domu.

Pomimo koniecznej lepszej rozwagi, krzycząc się mianem dywizji krakowskiej, nakazano nam wymarsz z Dębna pod główną komendę dywizjonera Topora-Zwierzdowskiego, mającego za szefa sztabu tego samego pułkownika Apolinarego Kurowskiego, który w początkach powstania wsławił się owym szalonym atakiem na

Miechów i przedwczesnem wyprawieniem do nieba krakowskiej młodzieży akademickiej, o czem już wyżej wspominałem.

Wprawdzie przeciw siłom powstańczym, organizującym się w lasach świętokrzyskich, cisowskich i klasztoru św. Katarzyny, Rosjanie urządzili generalną wyprawę niemal wszystkich sił, pościąganych z najdalszych nawet okolic, było jednak znamienne, dlaczego Rosjanie nie objęli swoim zadaniem i olbrzymich sąsiednich lasów iłżeckich, w których przebywał z kadrami dywizji sandomierskiej generał Bosak i dlaczego dowództwo kadr dywizji krakowskiej bez wiedzy swego generała podjęło bezmyślną i zgubną w skutkach dla całego powstania wyprawę na Opatów?

Moskale, chcąc zniszczyć pokolei zawiązki obu powstańczych dywizyj, ścigali pod dowództwem generała Czengierego swe załogi z Piotrkowa, Radomska, Częstochowy, Daleszyc, Stopnicy, Jędrzejowa, Olkusza, Miechowa, Radomia, Sandomierza, Zawichosta, Staszowa i Kielc, a pod komendą generała Bellegarda z Łodzi, Iwangrodu, (Dębłina), Kalisza, Zamościa, Lublina i Warszawy. Z samej Warszawy miało przybyć 18 rot gwardji z pułkiem ułanów i pułkiem grodzieńskich huzarów.

Na stronie 143 Wspomnień Obozowych autor ich Zygmunt Napoleon Krzywda oblicza ogół sił moskiewskich na 8,000 piechoty i 2,000 kawalerji, co jest absolutnie liczbą za małą. Minimalnie tylko obliczając, Rosjanie wyprowadzili z okolicznych miast przeciw powstańcom dla ostatecznego zgniecenia powstania przeszło 30 rot, gdy zaś dodamy 18 rot gwardji, wysłanej z Warszawy, będziemy mieć razem blisko 50 rot piechoty moskiewskiej po 250 żołnierzy w każdej, czyli ogółem 12,500 bagnetów. Prócz tego, nie mając żadnych pod-

staw do obliczenia ilości rosyjskiej konnicy, musimy poprzestać na podanej przez Krzywdę cyfrze 2.000 szabel.

Tenże Napoleon Krzywda na stronie 139 swych Wspomnień podaje, że w lasach świętokrzyskich i iłżeckich stało pod bronią przeszło 4,000 piechoty powstańczej, dobrze uzbrojonej i doskonale wyćwiczonej oraz do 500 koni kawalerji, prócz rozmaitych drobnych oddziałków, wysłanych przez Bosaka w odleglejsze powiaty.

Z porównania zatem sił naszych i rosyjskich wynika, że pomimo nadzwyczajnych wysiłków nieprzyjaciela przewyższał on nas zaledwie trzykrotnie.

A cóż w powstaniu polskim znaczyło trzech Moskali na jednego powstańca?

Wszystkie przecież bitwy, staczane z Rosjanami przez oddziały Chmielińskiego, Czachowskiego i Rębajły, były pod względem sił zbrojnych stale najmniej o $\frac{1}{3}$ mniejsze, a zawsze godnie stawiały czoło przeciwnikom.

Stosunek zatem cyfrowy Polaków do Rosjan był znakomity — tylko że po naszej stronie... brakowało Chmielińskiego.

Wszystkie prawie opisy bitwy, stoczonej w Opatowie, jednogłośnie niemal podają, że wobec otoczenia nas przez Rosjan Kurowski uderzył w najsłabszy punkt okalającego nas ze wszystkich stron łańcucha, a tym najsłabszym punktem był właśnie Opatów i że ten Opatów stanowił o jedynym sposobie przebicia się przez wojsko rosyjskie.

Jakaż to horrendalna niedorzeczność!..

Gdy silniejszy przeciwnik otacza słabszego, obsadza przedewszystkiem swem wojskiem zewnętrzne komunikacje, zajmuje dookoła położone miejscowości, lasy i t.d. i to się nazywa „otoczeniem“.

Literalnego jednakże otoczenia absolutnie być nie może, z wyjątkiem chyba, gdy nieostrożny, raczej niedołężny dowódca przez własną niedbałość pozwoli na coś podobnego.

Chmieliński w takich „otoczeniach“ znajdował się wielokrotnie i zawsze śmiał się z przeciwnika i z jego niemądrych zamiarów. Chmieliński w praktyce uczył tego wszystkiego swoich oficerów i podoficerów, twierdząc, że mapa wojskowa, dokładny szkic i kompas w rękach komendanta to największe, bo pewne zwycięstwo i ochrona w leśnych powstańczych postojach w razach tak zwanego otoczenia.

Bezmyślny, według mego przekonania, atak na Opatów miał chyba na celu danie czasu przeciwnikowi do lepszego ugrupowania się przeciwko nam i poprowadzenia swoich skoncentrowanych sił.

Zapomocą busoli, mapy i użycia dobrych wywiadowczych konnych oddziałków należało nam w pierwszym lepszym punkcie wyjść najspokojniej nazewnątrz i śpiesznymi marszami wpaść na tyły rosyjskie, złożyć wizytę opustoszałym z załóg miastom, jak Staszów, Miechów, Jędrzejów, Sandomierz i t. d., pozabierać znajdujące się w nich zapasy i magazyny i tem samem doprowadzić ich do wścieklej bezsilności.

Uderzenie Kurowskiego na Opatów było aktem nie bohaterstwa polskiego, lecz dowodem najgorszego w świecie bezrozumu, było zbrodnią, na bezsilnych żołnierzach popełnioną, tem większą, że stanowiło prawdziwy pogrzeb zgórą cały rok trwającego powstania.

Słusznie też bardzo wielu polskich insurgentów po bitwie opatowskiej nazywało Apolinarego Kurowskiego grabarzem powstania 1863/4 roku.

Powiatowe miasto Opatów, jako ważny punkt z bi-

temi odśrodkowemi gościńcami do Iwanisk, Sandomierza, Zawichosta, Ożarowa i Ostrowca, w końcu lutego 1864 r., w czasie gdy Rosjanie skombinowanemi siłami wyruszyli na lasy cisowskie i świętokrzyskie, mogło doskonale posłużyć jako środek do obezwładnienia w niem załogi rosyjskiej. Nigdy natomiast pod żadnym pozorem nie mogło być celem. Zdobywanie szturmem tego miasta było szaleństwem i spowodowało sprawienie rzezi samym sobie.

A cóż mogło być łatwiejszego do wykonania, jak zupełne owładnięcie Opatowem i rozbrojenie jego nielicznej załogi, liczącej wszystkiego 600 żołnierzy?

Dokładny plan sytuacyjny Opatowa był przecież w rękach pułkownika Kurowskiego, gdyż na tej podstawie wypracował on projekt zdobycia miasta, ale tak niepraktyczny, zawiły i niedorzeczny, że naprawdę zdumiewać się trzeba nad jego nielogicznością.

Zamiast zaatakowania miasta Opatowa w jasny dzień, jak to uczynił Kurowski, należało wkroczyć do Opatowa po północy, gdy Rosjanie spali. Wkraczający powstańcy powinni byli zachować się pocichu, z zachowaniem wszelkich wojskowych ostrożności i maszerować nie gościńcami i drogami, na których czuwały moskiewskie pikiety, lecz pod ochroną nocy dojść niepostrzeżenie pod miasto lukami międzydrożnemi.

Dla nas najbardziej nadawały się dwie obszerne luki: północna pomiędzy gościńcami, prowadzącemi do Ostrowca i Zawichosta oraz zachodnia pomiędzy drogą do Łogowa a gościńcem do Iwanisk. Na samem bowiem przedmieściu z tej strony znajdował się cmentarz katolicki, a trochę dalej kościół katedralny i pobernardyński, za katedrą zaś koszary wojskowe i żandarmerja, przylegające do zachodniej połaci rynku. Oddzielenie zatem

silnemi kordonami wojskowemi i koszar i żandarmerji od reszty miasta, ażeby nie dopuścić Rosjan do opanowania domów przyulicznych w całym mieście, powinno było być dziełem minutowem, dokonaniem przez połowę naszych oddziałów, podczas gdy druga część, otoczywszy cichaczem koszary i żandarmerję, powinna była raptownym atakiem oszołomić śpiących żołnierzy i zabrać ich do niewoli. Wtedy stalibyśmy się panami licznej broni, amunicji i najrozmaitszych wojennych materiałów.

Przypatrzmy się teraz, jaką zdolnością wojskową odznaczał się pułkownik Kurowski w roli szefa sztabu dywizjonera Topora.

Celem zatwierdzenia niefortunnego planu zdobycia Opatowa zwołano radę wojenną, złożoną z dowódców pułków: kieleckiego, miechowskiego, olkuskiego i stopnickiego. Gdy jednakże wszyscy ci komendanci nie zgodzili się na projekt Kurowskiego, bohater z pod Miechowa nazwał ich tchórzami. Pułkownik Topór może właśnie dlatego, aby tak brzydki epitet nie dotknął jego odważnej osoby, projekt przyjął i zabrał się niezwłocznie do wykonania go. Jako komendant dywizji krakowskiej, powinien był przedtem uwiadomić o zamierzonej akcji naczelnika korpusu w osobie generała Bosaka i uzyskać od niego aprobatę tego szalonego czynu. Pułkownik Topór tego nie uczynił i atak na Opatów wykonał samowolnie bez wiedzy generała Bosaka.

Z Dębna, po odbytych tamże przeglądach zgromadzonych wojsk, pułkownik Topór nakazał wymarsz do oddalonego stąd o przeszło cztery mile Opatowa. Długi ten marsz odbyliśmy w zupełnym spokoju, bez najmniejszego nagabywania ze strony nieprzyjaciela. Naszej piechocie towarzyszył szczupły szwadronik konnicy rotmistrza Uragana, mający za zadanie spełniać służbę rekonesansową

i ubezpieczającą marsz; po wkroczeniu do Opatowa szwadronik ten miał dać po kilku kawalerzystów do każdego pułku piechoty dla rozsyłania i przenoszenia rozkazów podczas bitwy. Reszta konnicy została przeznaczona do opanowania stajen kozackich, położonych nieopodal żandarmerji i szpitali. Zanim jednak doszliśmy, kozacy w naszych oczach małemi oddziałkami rozjeżdżali się gościńcami w różnych kierunkach, pewno w celach uwiadomienia o naszym zbliżaniu się załóg moskiewskich w okolicznych miejscowościach.

Po przebyciu uciążliwej górzystej drogi z Dębna do Kobylan, obfitującej w miejscowości naprzemian leśniste i odkryte, podążaliśmy stąd już do samego Opatowa okolicami bezleśnemi, gościńcem z Iwanisk.

O wejściu do miasta niepodobna było myśleć, gdyż Rosjanie, uwiadomieni o naszym marszu, obsadzili najodleglejsze przedmieścia. A zwłaszcza mocno ulokowali się na cmentarzu katolickim od strony zachodniej i na okopisku żydowskim w części południowo-wschodniej. Rosjanie trzymali od samego początku naszego pojawienia się pod Opatowem inicjatywę działań. Kiedy na cmentarzu żydowskim, na wschód od miasta położonym, kompanje majora Waltera rozpoczęły atak, Moskale, skoncentrowani tu przeważającemi siłami, odrazu ruszyli do kontrataku, pozajmowali upatrzone przez siebie najbliższe domostwa, rozpoczynając z nich ponowny ogień karabinowy ku nacierającym powstańcom. Choć nocne pomroki zapanowały już na dobre, walka wrzała w najlepsze. Wzniesiony w kilku miejscach pożar oświeślał plac boju, co nie zawsze było dobre dla nacierających powstańców.

Szturmujący do ratusza Polacy znajdowali się z konieczności w pełnem oświehleniu i pomimo daremnych

wielokrotnych ataków, poniósłszy straszliwe ofiary w zabitych i rannych, pod presją przybywających zewsząd posiłków rosyjskich, musieli wkońcu ustąpić.

Również w innych częściach miasta oddziały polskie poniosły wielkie straty, nie uzyskując powodzenia. Kiedy cztery kompanie piechoty pułkownika Rosenbacha szturmowały tylne zaułki i zakamarki na całej długości ulicy Żydowskiej, a kadry pułku olkuskiego pod majorem Denisiewiczem operowały od północy po zewnętrznej stronie domów ulicy Powiatowej, to zadaniem oddziału majorów Eminowicza i Jagielskiego był atak na połąć zachodnią miasta z cmentarzem katolickim, katedrą, kościołem pobernardyńskim i niedaleko za nimi stojącymi koszarami moskiewskimi. W tych miejscach spędzono nieprzyjaciół do wnętrza miasta i zajęto silne stanowiska w klasztorze bernardynów i niedalekich domach, stojących przy drodze, wiodącej do Ostrowca. Wzajemna palba przy zdobywaniu pojedynczych budynków trwała uporczywie. Wtem stanęła w ogniu plebanja, której pożar, podniecany panującym wichrem, zapalił dzielnicę żydowską, przenosząc ogień w różne części miasta. Na mieście od krwawej łuny i od bliskich ognii palących się zabudowań zrobiło się widno jak w biały dzień. Wśród takiego rażącego oświetlenia prowadzone zdobywanie domów, w których poukrywali się Moskale, narażało powstańców na każdym kroku na niechybną śmierć lub rany. Moskale z palących się domków drewnianych na ulicy Żydowskiej puciekali do budynków murowanych, które z wielkimi ofiarami w ludziach należało zdobywać.

Podzieliwszy kompanję swoją na cztery sekcje pod komendą własną, podporucznika Sierpa i dwóch sierżantów, przypuściłem szturm jednocześnie do czterech

okien. Ze strychów i z poza murów sypał się na nas istny grad ołowianych pocisków, rażący nacierających zawzięcie. Dobywając ostatnich sił, toporami i kolbami rozbijaliśmy drzwi wchodowe. Po wpadnięciu do środka mściliśmy się strasznie za śmierć poległych kolegów: żaden z moskiewskich zbrodniarzy nie miał już sposobności do opowiadania, co się w tych domach działo.

Sierżant Krzywicki, nie mogąc żadną miarą rozwalić silnych drzwi dębowych, okutych żelaznemi sztabami, skorzystał z nisko umieszczonych parterowych okien, z których gęstym ogniem razili nas Moskale. Ustawił pod murem całą sekcję w „gąsiora“ i szybko popędził z żołnierzami do okien, nakazując, aby jeden za drugim wskakiwali do środka. Trzech pierwszych padło trupem we wnętrzu mieszkania, lecz reszta po wpadnięciu do środka izby, rozjuszona widokiem poległych towarzyszy, wymordowała bez pardonu zabójców w całym budynku.

Około północy „nieustraszony“ Kurowski polecił zaprzestać walk rzekomo zwycięskich. Resztki okropnie przeredzonych powstańców, zabrawszy z sobą zdobycz opatowską w postaci broni, amunicji i różnych rekwizytów wojskowych oraz mnóstwa ranionych kolegów, opuściły to nieszczęsne miasto, rozpamiętywując straszne straty w materjale. Najbardziej żałowano księdza Przybyłowskiego, proboszcza z oddalonych o dobrą milę Modliborzyc, który, spowiadając i udzielając ostatnich absolucyj umierającym na placu boju powstańcom, sam został przeszyty kulami moskiewskimi.

Ze znanych mi oficerów polegli: kapitanowie Buziński i Dunajczyk, porucznicy Starzyński, Alfons, Batory i Bella. Raniony został dowodzący kadrami dywizji krakowskiej pułkownik Topór, którego w pare dni po

bitwie ujęto podczas leczenia się w domu obywatelskim i powieszono na rynku w Opatowie.

Ranni również zostali: podpułkownik Eminowicz, major Jagielski oraz kapitanowie Wiśniewski i Bezdziada. Co do liczby zranionych i zabitych żołnierzy, Polacy oceniali różnolicie te straty. I tak gdy jedni podają ogólną liczbę zabitych i ranionych na 104, to drudzy mówią o cyfrze 150 ludzi. Najprawdopodobniejsze jest twierdzenie majora Waltera, który w napisanym przez siebie artykule dosłownie powiedział, „że sam tylko pułk miechowski stracił 94 ludzi w zabitych i ranionych“ i że inne pułki poniosły podobne straty.

Do klęski powstańczej w Opatowie przyczynił się niemało brak tej energii i sprężystości organizacji cywilnej obu naszych województw, jakie ją cechowały za nieodżałowanego pułkownika Chmielińskiego. Rozluźnienie obywatelskich obowiązków było nieodzownym następstwem jego śmierci. Prawdopodobnie niewiele też podówczas dbano o uzupełnienie powyższego braku służbą wywiadowczą drobnych oddziałów kawaleryjskich.

Mieliśmy jeszcze wtedy na widowni bojowej kilka samodzielnych konnych partyj po powiatach jak: Belardiego, Krzywdy, Popowa, Szandor-Szeredera, Daniszewskiego, Zarzyckiego, Rudowskiego i innych, lecz żaden z tych panów rotmistrzów nie raczył pośpieszyć z pomocą pod Opatów, lub też może nie otrzymał od zwierzchniej władzy wojskowej polecenia do współdziałania z dywizją krakowską. Jeden z nich tylko rotmistrz Krzywda, napisał na str. 141 i 142 swoich Wspomnień Obózowych, że, stojąc w Nieznanowicach, pod samą Włoszczową, otrzymał 25 lutego pocztą narodową rozkaz od naczelnika sztabu II kurpusu, pułkownika Kurowskiego,

aby na dzień 21 lutego rano w Kobylankach pod Opatowem stawił się ze swoim szwadronem.

Otrzymanie tego rozkazu w grubo spóźnionej porze stanowiło znakomitą musztardę po zjedzonym już obiedzie.

Główny bohater i inicjator bitwy opatowskiej, Kurowski dopiero po opuszczeniu miasta okazał się we właściwym świetle. Wiedział on doskonale, że główny nacisk sił moskiewskich pod wodzą generałów Bellegarda i Czengierego parł na lasy cisowskie, świętokrzyskie oraz okalające klasztor św. Katarzyny, i że właśnie oddziały powstańcze pod naciskiem tych sił i wyłącznie z jego rozkazu uderzyły na Opatów, aby rzekomo przebrać najslabszą w moskiewskim kole część łańcucha.

Lecz dlaczego tenże sam Kurowski po wyjściu w nocy z Opatowa, zamiast osobiście poprowadzić oddziały na północ, w stronę lasów iłżeckich, o dwie mile tylko odległych, w celu połączenia się z kadrami dywizji sandomierskiej, organizującami się tam pod osobistym dowództwem generała Bosaka, zdał komendę nad wszystkimi oddziałami majorowi Bandrowskiemu, rozkazując maszerować na zachód w kierunku Cisowa, Łagowa i Witosławic, a więc właśnie w te strony, skąd największe siły wroga ku nam ciągnęły?

Dlaczego, wiedząc o maszerujących z tamtych stron siłach rosyjskich, nakazał powstańcom, zredukowanym o czwartą część przez bitwę opatowską, leżeć w otwartą paszczę moskiewską?

Dlaczego kierunek odwrotu z pod Opatowa wyłącznie w te strony został nakazany, kiedy mieliśmy bliższą drogę do bezpiecznej przystani po lasach iłżeckich, gdzie na czele przeszło 2000 insurgentów przebywał generał Bosak, gdzie lasy iłżeckie, łącząc się



Grupa powstańców w Krakowie po powrocie w 1869 r. z zesłania
KAZIMIERZ ZIENKIEWICZ (pierwszy od góry na tle szczeliny drzwi).

z mnóstwem innych, ciągnęły się do Ożarowa, do Końskich na przestrzeni setek kilometrów, kiedy w jednej tylko miejscowości od Przysuchy ku Kielcom jest 50 kilometrów puszczy, borów i lasów, gdzie nigdzie tylko poprzetykanych mniejszymi wiejskimi posiadłościami?

Dlaczego tych olbrzymich, nadzwyczaj silnie zalesionych przestrzeni, obejmujących miasta i miasteczka, jak: Iłżę, Szydłowiec, Przysuchę, Końskie, Radoszycy, Kielce, Łagów, Kunów i Ożarów nie umiano wyzyskać z możliwością dalszego prowadzenia partyzantki.

Na drugi dzień po bitwie opatowskiej oddziały, powracające z tejże, zostały doszczętnie pod Witosławską Górą i Łagowem porozbijane, mnóstwo zabitych zrosiło rzęsiście krwią swoją oba pobojuwiska, licznych rannych w zwierzęcy sposób podobiano, a wziętych jeńców po okrutnem skatowaniu wysłano na Sybir.

Los ten wkrótce i mnie spotkał.

W potoku jeńców, gnanych na wschód, ku Azji, znalazłem się i ja, unikając śmierci tylko przez przypadek, że sądzony byłem pod zmienionem nazwiskiem, jako rzekomy mieszkaniec Galicji, a więc poddany austriacki. Cały sześcioletni mój pobyt na Syberji, obfitujący w wiele ciekawych epizodów i spostrzeżeń, opiszę jeszcze kiedy, jeśli tylko Bóg pozwoli i nie zawezwie mnie wcześniej przed swe oblicze do licznej gromady poległych i zmarłych towarzyszy broni.

PRZYPISY

Iskra prowadzi oddział na Małogoszcz

Bój oddziału Iskry - Sokołowskiego w Małogoszczy rozegrał się dnia 16 IX między g. 17 a 18. Przebieg walki zestawiał St. Zieliński „Bitwy i potyczki 1863 — 1864“ (Rapperswyl 1913) str. 179; wymienia on, jako poległego, oficera jazdy L'Oiseau, nie zna natomiast lekarza — Włocha, a którym pisze Zienkiewicz. W ocenie sił rosyjskich tu, jak i następnie Zienkiewicz jest bardzo przesadny; główny błąd wynika stąd, że rotę, czyli kompanię rosyjską oblicza zawsze na 250 bagnetów; był to pełny etat wojenny, razem z rzemieślnikami i t. p., podczas gdy stan bojowy rotę wynosił najwyżej 160 bagnetów. Źródła: „Niepodległość“ 10, „Czas“ 214, „Głos Narodu“ 35, „Kronika Krakowska“ 8; Z. Krzywdą-Rzewuski: „Wspomnienia obozowe z roku 1863 i 1864“ (Lwów 1883) str. 33.

Bitwa pod Ciernem, Warzynem i Czarną

Str. 12: wiadomość, że Chmieliński walczył na Kaukazie — mylna; str. 13: pod Opatowem Kalitę nie było, choć oddział jego sam walczył; bitwa ta była dla powstańców niepomyślna, jak zresztą sam Zienkiewicz pisze niżej, nie może więc tu być mowy i „moskiewskim pogromie“. Opis tych trzydniowych walk u Zielińskiego l.c. 179 — 80; Źródła: „Niepodległość“ 10, „Czas“ 222, 225, 227, „Echo“ 19, „Dziennik Powszechny“ 247, Krzywdą-Rzewuski l.c. 33, 36, 43, Sulima-Przyborski „Wspomnienia ułanów z 1863 r.“ II (Poznań 1878) 35 in., J. Stella-Struś-Sawicki „Zygmunt Chmieliński“ w zbioru

„Ludzie i Wypadki z 1861 — 1865“ (Lwów 1894) I 247 i n., relacja L. Gaszyńskiego, St. Rybickiego „Zygmunt Chmieliński“ (Warszawa 1916) 27 i in.

Major Iskra i jego rozstrzelanie

Najobszerniej pisze o tem B. Anc „Zygmunt Chmieliński“ w książce zbiorowej „W 40-tą rocznicę powstania styczniowego“ (Lwów 1903) 48 — 50, oraz Rybicki l.c. z relacji Fr. Górczyckiego 37 — 9.

Bitwa pod Mełchowem i Dzieżgowski młyn

Str. 123: Grob — pseudomin powstańca Franciszka Rutkowskiego, schwytanego następnie i rozstrzelanego w Radomiu; str. 156 Zienkiewicz niesłusznie utożsamia sołtysa z naczelnikiem gminy, którym w Królestwie Polskiem był wójt. Omyłka wynika stąd, że w Galicji gminy były jednowioskowe, podczas kiedy w Królestwie na gminę składało się po kilka wsi.

„Niepodległość“ 10, „Czas“ 223, 224, 226, „Echo“ 20, „Dziennik Powszechny“ 229, „Efemerydy“ czyli kronika wypadków wojennych w „Głosie“, „Wileńskij Wiestnik“, Sulima-Przyborowski l.c. 95, Krzywda-Rzewuski l.c. 52 in., B. Anc l.c. 45 in., oraz B i J. Ancowie „Z lat nadziei i walki 1861 — 1864“ (Brody 1907) 89 in., Struś-Stella-Sawicki l.c. 260 in., Zieliński l.c. 180 — 2, relacja Górczyckiego: Rybicki l.c. 39 in.

Bitwa pod Oksą, Kwilina

„Czas“ 245, 247, „Dziennik Powszechny“ 251, 265, „Echo“ 23, „Efemerydy“, „Wileńskij Wiestnik“ 121, Sulima-Przyborowski l.c. 56, M. Berg „Polskoje Wozstanie w 1863 — 1864 g.g.“: „Russkaja Starina“ 1879, przekład polski — „Zapiski o powstaniu polskiem 1863 i 1864 r.“. (Kraków 1899) III, 341., Krzywda-Rzewuski l.c. 56, 62, Stella-Sawicki l.c. 264 in., B. i J. Ancowie l.c. 99, Zieliński l.c. 145 — 6, L. Gaszyński: Rybicki l.c. 48 in.

Bitwa pod Ocieskami

„Czas“ 285, „Echo“ 28, 29, „Efemerydy“, „Dziennik Powszechny“ 292, „Żurnał wojennych dziejstw“ z 30. XI.; Sabow-

ski „Józef Hauke-Bosak“ (Kraków 1871) 24 in., Sulima-Przyborowski l.c. 69 in., Berg l.c. 348 in., Krzywda-Rzewuski l.c. 85 in., Stella-Sawicki l.c. 26, Zieliński l.c. 145—6, Rybicki l.c. 67 in.

Bitwa w Hucie Szczecińskiej

Str. 276. Sprawa odzacczenia powstańczego za dzielność nie jest zbadana. Nie znam potwierdzenia wiadomości, podanej przez Zienkiewicza. Być może, iż była to impreza Haukego, która nie zdołała już zyskać aprobaty Rządu Narodowego.

„Dziennik Powszechny“ 297, „Chwila“ 3, „Echo“ 29, 30, Berg l.c., Krzywda-Rzewuski l.c. 104, K. Rębajło-Kalita „Obława moskiewska. Generał Bosak w obozie“ w książce zbiorowej „40-tą rocznicę“ 363 in., tegoż, „Ze wspomnień krwawych walk“ (Lwów 1913) 77—85.

Kampanja zimowa i bitwa pod Opatowem

Do Bodzechowa, w którym Zienkiewicz udziału nie brał, lecz któremu przez wzgląd na ranę i niewolę Chmielińskiego poświęca nieco miejsca: „Chwila“ 7, 25, „Echo“ 30, „Dziennik Powszechny“ 44, 293, „Rozporządzenia i wiadomości policji narodowej“ 4, „Wileński Wiestnik“. Sabowski l.c. 29 in., Sulima-Przyborowski l.c. 69, Berg l.c. 351, Krzywda-Rzewuski l.c. 106, Wł. Witowski „Pod sówią górą“ oraz W. Wolski „Bitwa pod Bodzechowem“ w książce zbiorowej „W 40-tą rocznicę“ 494 in., 506 in., Wł. Płomień-Zapałowski „Pamiętnik z roku 1863—1870“ (Wilno 1912) I, 87 in.

Do Opatowa. „Chwila“ 43, 44, „Echo“ 42, „Dziennik Powszechny“ 57, „Wiek“ 13, 15, 25, „Gazeta Narodowa“ 44, 45, 51, 53, 57, 60, „Głos“ z Litwy“ 3—5, „Dziennik Poznański“ 64, Sabowski l.c. 40, Berg l.c. 358, W.Z.S.L.-Przyborowski „Ostatnie chwile powstania styczniowego“ (Poznań 1887) I. 215 in., Zieliński l.c. 152—3, 513, Rębajło-Kalita „Ze wspomnień...“ 142 in., Zapałowski l.c. 107 in.



GRUPA POWSTAŃCÓW LWOWSKICH.

- 1) Józef Tszärner, 2) Ludwik Matiaszek, 3) Józef Wybranowski, 4) Ksawery Gebhard, 5) kpt. Izidor Karlsbad,
- 6) Antoni Wojnarowski, 7) plk. Adam Andrzej Zieliński, 8) Walery Wolski, 9) kp.. Kazimierz Zienkiewicz,
- 10) Konstanty Jaworski.

SKOROWIDZ NAZWISK.

- Alfons 323.
Anc 282 — 3, 329.
Ancowa 329.
Bandrowski 325.
Bandrowksi 325.
Bartoszewicz XI.
Batory król 216.
Batory por. 326.
Belardi 93—4.
Bella 323.
Bellegarde 325.
Bentkowski 181, 189—90, 193—8, 264.
Berg 287, 329 — 30,
Bezdzieda 324.
Biechońscy 267.
Biechońska 271—4.
Biechoński 268, 271.
Błaszczczyński XXI — XXIII, 9—11, 93—4, 283—4, 339.
Bogdan 69, 73, 108—9, 111, 113, 115—6, 127—8, 130—1, 143,
147, 168—9, 174, 178, 180—92, 199, 206, 224, 227, 229—30,
232, 235, 240, 242—3, 245, 255, 257, 295, 297—301, 304.
Bogusz 71, 93, 105, 108, 111, 113, 115, 118.
Bończa patrz Błaszczczyński.
Bosak patrz Hauke.
Burzyński 323.
Chabriolle XXIII.
Chmielińska Aleksandra XVIII.
Chmielińska Apolonja XVIII.

Chmielińska K. XVIII.
 Chmielińska Michalina Józefina XVIII.
 Chmielińska N. XVII—XVIII.
 Chmielińska W. XVIII.
 Chmieliński A. XVIII.
 Chmieliński I. XVIII — XIX.
 Chmieliński Jan XVII—XVIII.
 Chmieliński Józef XVIII.
 Chmieliński L. XVIII.
 Chmieliński T. XVIII.
 Chmieliński Władysław XVIII.
 Chmieliński Wojciech XVIII.
 Chmieliński Z. XIII, XVI — XXXI, 6—8, 11—6, 18—42, 44—69, 71,
 79, 82—4, 93, 103—7, 109, 113—6, 118—21, 126, 129—34,
 137—43, 148—9, 180—3, 188—94, 196, 198—9, 201, 211—2, 214,
 216, 219, 221—2, 224—6, 231—2, 234, 237, 240—5, 254—7, 259,
 262, 265—9, 272—3, 275, 277—96, 317—8, 324, 328—30.
 Chrzanowska 208.
 Chrzanowski 208.
 Cywiński XXIII.
 Czachowski 12, 120, 317.
 Czarniecki 55, 216.
 Czengiery XXIX, 2, 15—7, 19—20, 28, 32—9, 42, 45—6, 49—50,
 52—6, 58, 60, 66, 68, 85—6, 103, 108, 144, 240—1, 243—4,
 263, 266, 275, 279, 302, 316, 325.
 Daniłow 264.
 Daniszewski 324.
 Denisiewicz 70, 108, 111, 113, 115, 118, 120, 123—4, 127, 131, 315, 322.
 Długosz 297, 300.
 Dobrowolski 2.
 Dowbor XXVI, 294.
 Dunajczyk 323.
 Dzanott 11—2, 283—4.
 Eminowicz 315, 322, 324.
 Ernroth XXIV — XXV.
 Esterhazy 114—5, 118, 126, 129, 132, 137.
 Fedorowski 263—7, 272—3, 275—6.
 Festetics 224—5.
 Gaszyński 5.

Gawryłow 15, 35, 37.
 Gebhard 329.
 Gnoiński 192, 197.
 Gołębiowski 294.
 Gorczycki 329.
 Grąbczewski 8.
 Grob patrz Rutkowski.
 Gryliński 139, 143, 182—4, 190—1.
 Hauke XXV—XXX, 13—4, 62, 82—4, 120, 212, 218—20, 222,
 225—7, 231, 233—4, 240, 242—6, 256—60, 262, 265—7, 277,
 280, 286, 290—3, 295, 302—4, 351—7, 320, 325, 329—30.
 Hoffman XXV, 63, 293.
 Huppert 130—1, 180, 221, 225, 246, 254—6, 259, 276, 304—5, 310, 313.
 Iskra patrz Sokołowski.
 Jagielski 262, 265, 276, 315, 329.
 Jan III 208, 216.
 Jastrzębski patrz Zawadzki.
 Jaworski 331.
 Jeziorański 79.
 Jordan XXI, XXIV—XXV.
 Kalita 13, 252—3, 255—9, 261—3, 266, 275, 277, 317, 330, 339.
 Karlsbad 331.
 Kefersztejn 294.
 Kinastowski 136.
 Krukowiecki XXV, 276, 339.
 Krzywda patrz Rzewuski.
 Krzywicki 323.
 Kucharski 8.
 Kułakowski 300, 302.
 Kurowski 3, 97, 109, 113—4, 303, 31^f 317—20, 323—5.
 Kurzya XX.
 Kuźniecowa 95.
 Lacroix de 293.
 Langiewicz 2—3, 9, 71, 79, 94, 108.
 Latour patrz Vigier de Latour.
 Libiszewska 216, 218—9, 222, 224, 226.
 Libiszewska J. 224.
 Libiszewska M. 222—3, 225—6.
 Libiszewskie 217.

Loiseau 4, 328.
 Lotkin 71—95, 110—1, 119.
 Lüttich 293.
 Łacki 5, 143, 189, 212—5.
 Maliszewski XI.
 Markowski 290—1.
 Matiaszek 331.
 Michniewski 276.
 Mierostawski XIX — XX.
 Milkowski XX.
 Montega 291.
 Morok 94.
 Morze 281.
 Müller 270—1, 274.
 Napoleon I 216.
 Narkiewicz 180—1, 187.
 Nejman 46.
 Nowicki 15, 22, 41—2, 57—8, 182—4, 190—1.
 Otto 283.
 Osipiński 80, 292—3.
 Pawłowski 192—7, 264.
 Piłsudski VIII, XII, XV, XXXI.
 Płomień patrz Zapałowski.
 Poniatowski 216.
 Postawka 111,
 Postawka 111, 120, 123, 130—1, 180, 221, 225.
 Prędowski 280, 286.
 Przyborowski XXII, 45—6, 64, 182, 241, 328—30.
 Przybyłowski 323.
 Ramsay XXI.
 Rębajło patrz Kalita.
 Rochebrune 108.
 Ropelewski 44.
 Rosenbach 70, 108, 111, 113, 115, 118, 120, 123—4, 127, 131, 145,
 147, 168—9, 174, 206, 227—8, 234, 243, 255, 257, 289, 304—5,
 311—5, 322.
 Rudowski 19, 20, 280, 324.
 Rutkowski 69—70, 74, 108, 111, 113, 115, 118, 120—1, 123—4, 126, 131,
 148—52, 155—61, 165—9, 172—9, 199, 204—6, 209—12, 222,
 247—50, 252—3, 255, 259, 266, 275—6, 296—7, 304, 307—8, 310.

Rybicki 329.
Rydygier ppor. 222—3.
Rydygier gen. 223—4.
Rząśnicki 15, 21, 30—1, 40—2.
Rzepecki 15, 23, 27, 33, 40, 45, 50.
Rzewuski 45—50, 58—67, 93, 140, 181—2, 240, 242—3, 246, 286,
288—90, 316—7, 324, 328—30.
Sabowski 330.
Sawicki-Stella 328—30.
Sierp 305—9, 322.
Skąpski 7—8, 15, 21—2, 40, 44, 63.
Sokołowski mjr. XVI, 2—7, 68—70, 72—4, 80, 93, 96—119, 126,
129—31, 289, 300, 328—9.
Sokołowski magazynier 33, 36, 40, 53, 68, 268.
Solbach 280.
Starzyński 323.
Struś patrz Sawicki.
Sulima patrz Przyborowski.
Szanecki 15, 21, 41—2.
Szulman XXVI, 103, 136—9, 141, 144, 279.
Szydłowski 23—6, 41.
Tomaszewski patrz Błaszczyński.
Topór patrz Zwierzdowski.
Traugutt XXVIII, 296, 302.
Truskolaski 261.
Tszhāzner 331.
Turski 280, 286.
Tylman 63, 211, 213, 219, 222, 226, 231, 233, 236—45.
Tyszkiewicz 281.
Uragan 320.
Uszakow XXX.
Vigier de Latour 291.
Walter 315, 321.
Wąsowiczowie 184, 190.
Wieczorkiewicz XXXI.
Wielobycki 286, 291.
Wiśniewski 7, 23, 68, 142—3, 180, 189, 196—8, 284, 324.
Wojnarowski 331.
Władyczański 115, 118, 123—6, 131, 147, 182, 282.

Wolski 330—1.
Wybranowski 331.
Wysocki rtm. 286.
Wysocki gen. XIX.
Wysocki Ludwik patrz Zienkiewicz Kazimierz.
Z. S. L. patrz Przyborowski.
Zapałowski 330.
Zaborowski XXIV, 80, 292—3.
Zaremba patrz Władyczański.
Zarzycki 324.
Zawadzki 158—9, 161, 168, 175, 178, 263, 276, 297.
Zieliński A. 331.
Zieliński St. 328—30.
Zienkiewicz F. XIII, 219.
Zienkiewicz J. XIII, 219.
Zienkiewicz K. IV, XIII—XVII, XXIV, XXVI, XX XI — XXXI, 326,
328—30.
Zienkiewicz W. XXXI.
Zienkiewiczze XIII, 218.
Zienkiewiczowa XIII.
Zwierow 2.
Zwierzdowski 13, 241, 303, 315, 320, 323.
Zólkiewski 216.

1870
1871
1872
1873
1874
1875
1876
1877
1878
1879
1880
1881
1882
1883
1884
1885
1886
1887
1888
1889
1890
1891
1892
1893
1894
1895
1896
1897
1898
1899
1900
1901
1902
1903
1904
1905
1906
1907
1908
1909
1910
1911
1912
1913
1914
1915
1916
1917
1918
1919
1920
1921
1922
1923
1924
1925
1926
1927
1928
1929
1930
1931
1932
1933
1934
1935
1936
1937
1938
1939
1940
1941
1942
1943
1944
1945
1946
1947
1948
1949
1950
1951
1952
1953
1954
1955
1956
1957
1958
1959
1960
1961
1962
1963
1964
1965
1966
1967
1968
1969
1970
1971
1972
1973
1974
1975
1976
1977
1978
1979
1980
1981
1982
1983
1984
1985
1986
1987
1988
1989
1990
1991
1992
1993
1994
1995
1996
1997
1998
1999
2000
2001
2002
2003
2004
2005
2006
2007
2008
2009
2010
2011
2012
2013
2014
2015
2016
2017
2018
2019
2020
2021
2022
2023
2024
2025

E R R A T A

Str.	Wiersz	Jest	Powinno być
9	10 od dołu	Błęszyński	Błaszczyński
13	11 od góry	Kolita	Kalita
45	10 od dołu	„Pamiętniki powstańca“...	„Wspomnienia ułana“...
56	13 od góry	widniejący	na widniejących
64	6 od dołu	powstania	powstańca
128	4 od dołu	nam było	aby nam było
133	8 od góry	zewnątrz	wewnątrz
153	11 od góry	wytoczony	wytoczony
161	11 od dołu	od	do
164	14 od dołu	cię	się
194	16 od dołu	na	za
226	5 od dołu	do	od
276	9 od dołu	Krukowskiego	Krukowieckiego
280	6 od dołu	Salbacha	Solbacha
315	6 od dołu	krzycząc	szczyjąc

55707/
12

SPIS RZECZY.

	str.
Słowo wstępne	
Przedmowa	VI
Iskra prowadzi oddział na Małogoszcz	1
Bitwa pod Ciernem, Warzynem i Czarncą	9
Kozak Paweł Lotkin	75
Major Iskra	96
Rozstrzelanie Iskry	111
Bitwa pod Mełchowem	122
Dzierzgowski młyn	138
Pobył w Starej Hucie	145
Bitwa pod Oksą i Kwiliną	178
Bitwa pod Ociesøkami	199
Bitwa w Hucie Szczecińskiej	247
Kampanja zimowa i bitwa pod Opatowem	278
Przypisy	
Skorowidz nazwisk	332





55707/
12